

„Czołowy włoski autor kryminałów” — *The Times*

FLORENCKA GRA

MICHELE GIUTTARI



Międzynarodowy bestseller
ćwierć miliona sprzedanych egzemplarzy!

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Spis treści

- [Karta tytułowa](#)
- [Część Pierwsza](#)
 - [Godzina 7.00](#)
- [Część Druga](#)
 - [☛ 1 ☛](#)
 - [☛ 2 ☛](#)
 - [☛ 3 ☛](#)
 - [☛ 4 ☛](#)
 - [☛ 5 ☛](#)
 - [☛ 6 ☛](#)
 - [☛ 7 ☛](#)
 - [☛ 8 ☛](#)
 - [☛ 9 ☛](#)
 - [☛ 10 ☛](#)
 - [☛ 11 ☛](#)
 - [☛ 12 ☛](#)
 - [☛ 13 ☛](#)
 - [☛ 14 ☛](#)
 - [☛ 15 ☛](#)
 - [☛ 16 ☛](#)
- [CZĘŚĆ TRZECIA](#)
 - [☛ 1 ☛](#)
 - [☛ 2 ☛](#)

- 3
- 4
- 5
- 6
- EPILOG
 - 1978-2000
 - PODZIĘKOWANIA

Michele Giuttari

FLORENCKA GRA

(SCARABEO)

PRZEŁOŻYŁA: IWONA BANACH

ZYSKI S-KA
WYDAWNICTWO

2013

CZĘŚĆ PIERWSZA

DŁUGI, DZIWNY DZIEŃ
FLORENCJA, 1 PAŹDZIERNIKA 1999

Godzina 7.00

DOM MICHELEGO FERRARY

Florencja tego dnia obudziła się dwukrotnie: po raz pierwszy z nocnego snu, po raz drugi z ospałości spowodowanej zbyt ciepłym i za długim latem.

Komisarz Ferrara podziwiał miasto z tarasu swego domu przy Lungarno Acciaiuoli. Właśnie skończył czytać gazety. Nawet wiadomości wpasowywały się w dobry nastrój tego poranka. Papież ogłosił, że stosunki seksualne są przyczyną występowania raka, ku uciechu nieprawomyślnego przyjaciela Ferrary, Massima Vergi, który z pewnością wykorzysta tę wypowiedź w celu potwierdzenia swojej wyższości jako intelektualnego ateisty. W Hiszpanii, w Grenadzie, ustalono, że Włoszki, z przewidywalną długością życia osiemdziesiąt dwa-osiemdziesiąt trzy lata, plasują się pod względem długowieczności na drugim miejscu na świecie, tuż za Japonkami.

Petra, jego żona, przypadkowo urodzona jako Niemka, ale z wyboru i z miłości Włoszka, co często podkreślała z wielką satysfakcją, z pewnością się uśmiechnie, kiedy za chwilę przeczyta jej ten artykuł, gdy zasiądą, by napić się herbaty.

Teraz Michele rozkoszował się lekką bryzą i widokiem na Ponte Vecchio, który powoli zaczynał się ożywiać.

Petra została jeszcze na chwilę w domu, bo musiała odebrać telefon, ale wcześniej zdążyła już nakryć do stołu.

Śniadanie było prawie uświęconym rytuałem w domu Ferrary, może dlatego, że był to praktycznie jedyny posiłek, który wraz z żoną mogli zjeść wspólnie. Przez wzgląd na germańskie pochodzenie Petry śniadania, jakie jadali, były bardzo urozmaicone i obfite. To były prawdziwie niemieckie śniadania, takie, o jakich Niemcy mogą sobie jedynie pomarzyć, bo wędliny, które jadali były tokańskie, oliwki sycylijskie, a strudel, zamawiany przez Petrę w piekarni na placu Beccaria, o wiele większy i lepszy niż te, które

można było kupić w jej rodzinnym mieście. Fakt ten zresztą wiele razy podkreślali teściowie, którzy lubili ich odwiedzać, nie wiadomo, czy z powodu tęsknoty za córką, czy dlatego, że byli po prostu oczarowani Florencją.

Taras, przekształcony przez panią Ferrara w ogród, był miejscem, gdzie zawsze jadali, o ile pozwalała na to pogoda. Tego ranka powietrze pachniało jaśminem, lawendą i rozmarynem. Z głośników wieży stereo cicho sączył się śpiew Toski przeklinającej Barona Scarpę.

- Zgadnij, kto dzwonił? - zapytała wesoło Petra, kiedy w końcu pojawiła się na tarasie z czajniczką parującej herbaty.

- Nasza Mutti? - zapytał komisarz lekko ironicznie. Teściowie wyjechali zaledwie kilka dni wcześniej, a jeszcze poprzedniego wieczoru rozmawiali z córką ponad godzinę przez telefon.

- Podrywacz - odpowiedziała. - Mówi, żebyś potem wpadł do niego. Ma dla nas jakąś niespodziankę.

Podrywacz zwany też był czasem przez Petrę Piotrusiem Panem, bo uparcie dążył do tego, by, jak wszyscy poszukiwacze przygód miłosnych w stylu Casanovy, pozostać wiecznym dzieciakiem. Był to Massimo Verga, najserdeczniejszy przyjaciel Ferrary. Prowadził dużą księgarnię przy ulicy Tornabuoni i z pochodzenia również był Sycylijczykiem. Razem chodzili do liceum, ale potem Massimo zapisał się na wydział filozofii, a komisarz wybrał studia prawnicze. To właśnie Massimo poznał ze sobą Michele i Petrę. Sam zresztą był w niej szaleńczo zakochany, ale dziewczyna wybrała Ferrarę. Przyjaciele trochę się przez to oddalili od siebie, aż do ponownego spotkania przypadkiem we Florencji, dokąd obu zawiodły skomplikowane koleje losu i gdzie księgarz, odnowiwszy dawną przyjaźń, postawił sobie za punkt honoru, by wyciągnąć komisarza z otchłani ignorancji, w jaką, jego zdaniem, wtrąciły go studia prawnicze i kariera w policji.

To właśnie on wprowadzał go w arkana muzyki. Ani Ferrara, ani jego żona nie byli tak wytrawnymi słuchaczami jak ich przyjaciel księgarz i pewnie

nigdy by się wytrawnymi słuchaczami nie stali. Operę kochali żarliwie, słuchali jej, kiedy tylko mogli, z takim samym zachwytem jak ich dziadkowie i pradziadkowie w czasach, kiedy tego typu muzyka była popularna, a melodramat wciągał, tak jakby był częścią zwykłego życia, zanim kino i telewizja weszły do domów zwyczajnych Włochów. Telewizor zresztą był dla nich ledwie odrobinę ważniejszy niż inne meble, które trzeba było odkurzać. Jeżeli słuchali wiadomości, to woleli te nadawane przez radio.

Literatura stanowiła dziedzinę, w której komisarz zawsze i nieodmiennie sprawiał zawód przyjacielowi, a przy której tamten strasznie się zaciętrzewiał.

To nie znaczy, że komisarz nie lubił czytać - wręcz przeciwnie. Zupełnie nie miał jednak na to czasu.

Ferrara popatrzył na zegar.

- Teraz nie dam rady, może uda mi się wpaść do niego przed obiadem. Będziesz pamiętać, żeby kupić grzyby? Dzisiaj powinno mi się udać wrócić na obiad.

- Czy mogłabym zapomnieć? Kiedy komisarz Ferrara wraca do domu na obiad, to nie lada wydarzenie! - zażartowała.

Pożegnał się z nią, całując w czoło.

Godzina 8.56

STACJA SANTA MARIA Novella

Eurostar 9425, który miał przyjechać o 8.46, wjechał na stację z dziesięciominutowym opóźnieniem.

Valentina Preti wysiadła z pociągu i szybkim krokiem poszła w kierunku biura informacji turystycznej. Śpieszyła się.

Przechodząc obok trzech młodych beczynnianie siedzących mężczyzn, usłyszała, jak jeden z nich mówi do niej:

- Och, *beautiful Fräulein*, jeżeli masz ochotę dogłębnie poznać język

włoski, to służę swoim! - Wszyscy się roześmiali.

- Pierdol się - odpowiedziała, uśmiechając się złośliwie. Osłupieli.

Była przyzwyczajona do tego typu tekstów, czasem nawet ostrzejszych, i do tego, że brano ją za cudzoziemkę. W Bolonii, gdzie mieszkała od czterech lat, było to wręcz na porządku dziennym.

Valentinę urodzoną w San Vigilio di Marebbe w prowincji Trentino, gdzie jej rodzice mieli hotel, natura obdarzyła zdecydowanie nordyckimi rysami. Była wysoka, smukła i doskonale zbudowana, kręcone blond włosy obcinała krótko na chłopczycę, ale dzisiaj loki przekornie wydstały się spod pomarańczowej chusty w żywe fioletowe wzory związanej na głowie jak bandana. Miała gładką twarz i regularne rysy leciuteńko podkreślone makijażem, którego wcale nie potrzebowała. Jasną cerę po obu stronach prostego, delikatnego nosa zdobiły piegi. Szarozielone oczy wydłużały się nieco ku górze. Małe i miękkie usta wyginały się lekko w grymasie niezadowolenia, który tak podoba się mężczyznom. Miała na sobie obcisłe džinsy, fioletową bluzkę i kamizelkę z indyjskiego jedwabiu.

Przed biurem informacji turystycznej ustawiła się w kolejce, od czasu do czasu nerwowo spoglądając na zegarek.

- Jak mogę się dostać do Greve in Chianti? - zapytała, kiedy w końcu nadeszła jej kolej.

- Są autobusy, które odjeżdżają niemal co godzinę. Stacja jest niedaleko, proszę wyjść z prawej strony na ulicę Santa Caterina da Siena - odpowiedziała urzędniczka.

- A jak dojechać na uniwersytet?

- Tu, we Florencji?

- Tak, chodzi o wydział literatury i filozofii.

- Chwileczkę, zaraz zobaczę.

Sprawdziwszy w rozkładzie, urzędniczka poinformowała ją, jakimi środkami komunikacji miejskiej powinna pojechać i gdzie kupić na nie bilety.

Valentina wyszła ze stacji i raz jeszcze popatrzyła na zegarek.

Była 9.25, późno. Powinna wziąć taksówkę, w tej chwili jeszcze mogła sobie na to pozwolić.

Godzina 10.00

ZEBRANIE W PREFEKTURZE POLICJI

Ferrara wezwał kilku swoich ludzi na spotkanie do biura wydziału śledczego, który mieścił się na pierwszym piętrze budynku prefektury policji przy ulicy Zara. Usiedli przy stole na wprost jego biurka. Na spotkaniu byli: młody komisarz z zawsze nadąsaną miną, niedawno przeniesiony z Rzymu, Gianni Ascalchi; komisarz Francesco Rizzo, który zastępował Ferrarę we wszystkich sprawach; najstarszy z szefów w zespole, głuchy na jedno ucho nadinspektor Violante, teraz już przed emeryturą oraz niedoceniany przez kolegów inspektor Antonio Sergi, którego nazywali Ser pico z racji podobieństwa do postaci granej w filmie przez Ala Pacino. Obecny był też inspektor Riccardo Venturi, chodząca historia wydziału.

- Jesteśmy gotowi na niedzielę? - zapytał Ferrara. - Z Romą zawsze mamy problemy, będziemy mieć tu dwie bandy kibiców, które nie powinny się spotkać. Prefekt obawia się rozruchów na stadionie, szczególnie jeżeli przegra Fiorentina.

- Jak to: jeżeli przegra? - zapytał ironicznie Ascalchi, którego wszyscy tu nazywali Rzymianinem ze względu na bardzo silny akcent - przegra, na pewno przegra, myśmy są lepsze.

Rizzo, Sycylijczyk jak Ferrara, popatrzył na niego z rozbawieniem, podczas gdy inni, dotknięci do żywego, gotowi byli zacząć się spierać.

- Jesteście lepsi, ale w zbieraniu batów! - natychmiast odpowiedział inspektor Venturi.

- Zobaczycie! Dostaniecie niezłe cięgi! - dorzucił Violante.

- Paskudnie się zaczyna - przerwał Ferrara - jeżeli my sami już się kłócimy! Kończymy z tymi przewidywaniami, rozumiano? Musimy pomóc

kolegom z DIG OS*, żeby nie obudzili się z ręką w nocniku.

[* DIGOS - DIVISIONE INVESTIGAZIONI GENERALI E OPERAZIONI SPECIALI - JEDNOSTKA DO ZADAŃ SPECJALNYCH.]

- Jakbyśmy nie mieli niczego innego do roboty! - jęknął Rizzo. Nurtowały go bieżące sprawy, które miał nadzieję szybko pozamykać. Nie podobało mu się, że będzie musiał oddelegowywać policjantów ze swojej ekipy do innych zadań, które, jak uważał, nie wchodziły w zakres ich kompetencji.

Ferrara go zignorował.

- Starajcie się zdobyć poufne informacje. Spróbujcie się dowiedzieć, czy fioletowi mają zamiar organizować jakieś bójki. Wyślijcie kogoś do barów, gdzie spotykają się kibice, zbierajcie wszelkie możliwe dane.

- Ale szefie, ci z DIGOS już to robią - znów sprzeciwił się Rizzo.

- Wiem, ale to nie wystarczy. Jesteśmy na swoim terenie, a poza tym takie są rozkazy prefekta, jasne?

- Nie miałem zamiaru sprzeciwiać się rozkazom, tylko wydawało mi się, że to marnowanie ludzi.

- Nie można lekceważyć skali problemu. Jak pewnie czytaliście w „La Nazione”, wczoraj ci z DIGOS przeszukali domy najbardziej niebezpiecznych kibiców.

- Tak, czytałem - potwierdził Sergi, przestając się bawić swoją długą, zmierzwioną brodą. - Piszą, że w jednym z domów znaleźli ładunki wybuchowe wypełnione metalowymi kulkami.

- W trzech - sprecyzował Ferrara. - Trzy ładunki wybuchowe, które mogłyby w kogoś uderzyć i w najlepszym wypadku pozostawić po sobie nieusuwalną pamiątkę. Zastanówcie się, co by się stało, gdyby zostały rzucone w tłum rzymskich kibiców albo w siły porządkowe! Pomyślcie. Mogłoby dojść do najgorszego!

- Oczywiście, szefie - poddał się Rizzo. - Zobaczymy, co uda nam się zdziałać.

- Dobrze, w takim razie po zebraniu zorganizujcie się jakoś. Przeszukujcie samochody i domy, jeśli to będzie konieczne. Mamy narzędzia prawne, by rewidować z własnej inicjatywy, doskonale o tym wiecie. Najważniejsze, byście mnie uprzedzili, chyba że to będzie nagły przypadek i nie dacie rady się do mnie dodzwonić. W takim razie, choć niepotrzebnie to mówię, róbcie swoje.

- Oczywiście, szefie - przytaknęli wszyscy.

- Są jakieś pytania? Ktoś chce coś powiedzieć na temat obecnej sytuacji? - zapytał Ferrara, jak to zawsze miał w zwyczaju robić na zakończenie zebrania.

Inspektor Venturi podsumował spotkanie, a komisarz, stwierdziwszy, że wszystko jest pod kontrolą, zamknął naradę i odesłał ludzi do pracy.

Godzina 12.00

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY SANTA Croce, Greve In Chianti

Ojciec Rotondi, don Sergio, jak go tutaj wszyscy nazywali, przeszedł przez główną nawę kościoła w kierunku zakrystii. Jak zwykle był zdenerwowany z powodu turystów, którzy zakłócali spokój jego kościoła. To była turystyka elitarna, tak przynajmniej się mówiło, ale nie mniej inwazyjna niż ta masowa i niestety z roku na rok stawała się coraz bardziej popularna. Niemcy, Anglicy, Amerykanie i Japończycy - ci byli najgorsi, bo zawsze chodzili stadami.

Tego ranka w kościele zjawily się dwie grupy zwiedzających. Jedna, mniejsza, podziwiała bezcenne białe płytki szklone znajdujące się nad ołtarzem w lewej bocznej nawie; druga, liczniejsza, tłoczyła się przed tryptykiem namalowanym przez Lorenza di Bicci w kaplicy absydalnej prawej nawy. Spośród tej grupy wyraźnie wyróżniał się młody wysoki

blondyn, który górował nad głowami niezbyt wysokich Japończyków. Nie można było go nie zauważyć, choćby dlatego, że nawet będąc w kościele, nie zdjął okularów przeciwsłonecznych.

- Ten to dopiero zachwyca się tryptykiem - mruknął do siebie ojciec Rotondi jeszcze mocniej podenerwowany, tym bardziej, że miał wrażenie, iż skryte za okularami spojrzenie młodzieńca skierowane było nie na dzieło Lorenza, ale raczej na jego własną osobę.

Wróciwszy do zakrystii, przyniesionym z kuchni nożem starał się odblokować zacięte drzwiczki drewnianej szafki, w której przechowywano cenną monstrancję używaną tylko podczas najważniejszych obrzędów liturgicznych. Ojciec Francesco, proboszcz Santa Croce, chciał jej za wszelką cenę użyć podczas niedzielnej ceremonii.

- Uważaj, żeby nie uszkodzić drewna - powiedział, wchodząc właśnie w tym momencie.

Don Sergio wzdrygnął się zaskoczony, a ostry nóż wypadł mu z ręki.

- To nie jest sprzęt dla ciebie, ojczy - stwierdził proboszcz. - Wydajesz mi się dzisiaj bardziej nerwowy niż zwykle. Coś jest nie w porządku?

- Nie, nie, ale jest dużo do zrobienia.

- Jak zawsze, don Sergio. Troska o ludzkie dusze nie pozostawia wiele wolnego czasu.

Kapłan nie myślał jednak w tej chwili o zbawieniu bliźnich. Zastanawiał się raczej nad mnóstwem drobnych spraw administracyjnych, które zupełnie nie obchodziły proboszcza, a które stary kościelny coraz bardziej otwarcie lekceważył. Trzeba było wykonać wiele napraw, były rachunki do zapłacenia, kończyły się świece i gdyby o nich nie pomyślał, musieliby się bez nich obejść podczas niedzielnej mszy. Miał też swoje własne problemy. Jego życie pełne było rozterek i grzechów, od których powinien uwolnić się raz na zawsze, nawet za najwyższą cenę. Coraz częściej myślał właśnie o tym.

Kiedy raz jeszcze podważył drewno nożem, drzwiczki odskoczyły z

trzaskiem.

- Udało się! Teraz ważne, żeby nie zamykać tego przynajmniej do niedzieli. W przyszłym tygodniu wezwiemy ślusarza.

- Dobrze, ale odnieś ten nóż do kuchni i postaraj się nie zrobić sobie krzywdy. Jeśli zechcesz potem przyjść do mnie z tymi rachunkami, to będę u siebie.

- Przyjdę dopiero po obiedzie.

- W porządku.

Godzina 12.30

KSIĘGARNIA VERGA PRZY ULICY TORNABUONI

- Witam, witam, co za niespodzianka - jak zwykle jowialnie przywitała komisarza Rita Senesi ze swoim czarującym florenckim zaśpiewem. Połykała spółgłoski jak wyborne czekoladki o doskonałym smaku. - Czym mogę służyć?

Rita Senesi pracowała w tej księgarni od zawsze. Czy była zakochana w jej właścicielu? Odpowiedzi nie znał nikt, nawet ona sama. Oczywiście, zносиła z podziwu godną rezygnacją wrodzony donżuanizm Massima Vergi, który swego czasu był przyczyną niemałych kłopotów i przyczynił się do znacznego uszczuplenia jego rodzowego majątku.

- Nie przyszedłem na zakupy, Rito. Massimo prosił, żebym do niego wpadł.

- Jest tam, na jednym z tych swoich zebrań, pójdę i zawołam go. Niech pan zaczeka tutaj. Chyba że chce pan iść do jego biura?

- Tak zrobię. A pani niech mu powie, że przyszedłem.

Księgarnia była naprawdę duża i zajmowała trzy piętra. Na parterze wystawione były nowości. Dział z prasą codzienną i miesięcznikami mieścił się na lewo od wejścia, na prawo zaś znajdował się sektor z luksusowymi artykułami papierniczymi. Na piętrze sprzedawano książki dotyczące sztuki

oraz wydawnictwa ilustrowane i antykwaryczne, tam też znajdowało się biuro Massima Vergi.

W podziemiach mieściły się magazyn i dział wydań kieszonkowych oraz sala konferencyjna, gdzie, poza promocjami książek, odbywały się spotkania najświatlejszych umysłów miasta - ludzi, którzy od czasu do czasu bez uprzedzenia dawali sobie ciche przyzwolenie, by zmasakrować bezlitośnie ostatni bestseller albo politykę rządu sprawującego akurat władzę, bez różnicy, po której stronie sceny politycznej się znajdował.

Komisarzowi nie przeszkadzałyby wejście do sali podczas trwania takiego spotkania. Massimo byłby zajęty, więc nie mógłby poddać go przesłuchaniu na temat postępów w zrozumieniu książki *W kleszczach lęku* Henry ego Jamesa, co do której dawał mu niekończące się wykłady, od kiedy Michele nieostroźnie przyznał się, że jeżeli chodzi o horror, to woli Stephen Kinga. Tego przesłuchania komisarz bardzo się obawiał.

Biuro było niewielkim pomieszczeniem z maleńkim metalowym biurkiem zawalonym książkami, z których większość była otwarta i upstrzona zapiskami na marginesach albo poznaczona wąskimi paskami kolorowego papieru używanymi zamiast zakładek. Były tam też cztery krzesła, szafy z segregatorami i nieproporcjonalnie duży stojak na pięknie wypolerowane fajki.

Pośród upodobań różniących obydwu mężczyzn było także i to. Ferrara uznawał wyższość tokańskich cygar nad wszystkimi innymi używkami tytoniowymi, Verga zaś wierzył w szlachetność fajki. Obaj pogardzali banalnymi i śmiercionośnymi papierosami.

- Udało mi się! - wykrzyknął triumfalnie Massimo, kiedy w końcu zdołał wykręcić się od uczestnictwa w trwającej właśnie gorącej debacie i podszedł do komisarza.

- Mogłem jeszcze poczekać, nie śpieszy mi się.

- Co? A, nie, nie chodziło mi o tych czterech wariatów - powiedział z uśmiechem, otwierając szufladę biurka. Wyjął z niej dość grubą kopertę i z

triumfalnym uśmiechem położył ją przed sobą. - Patrz i oszczędź sobie wdzięczności, sam ci o niej przypomnę w odpowiednim czasie.

Niespodzianka była naprawdę ogromna. Koperta zawierała bilety na podróż i dwutygodniowy pobyt w Wiedniu na Nowy Rok dla dwóch osób oraz wejściówki na premierę *Rycerskości wieśniaczej* z udziałem Plácida Dominga, które już od dawna były nie do zdobycia.

Godzina 13.00-14.30

DOM MICHELEGO FERRARY

Ferrara wrócił do domu, nucąc półgłosem arię *Bada, Santuzza, schiavo non sono* i starając się, by nikt go nie usłyszał. Fałszował koszmarnie i wiedział o tym doskonale nawet wtedy, kiedy nie było przy nim Petry, która by mu o tym przypomniała. Myślami był miliony lat świetlnych od konstatacji, że życie ciągle depcze nam po piętach, nic sobie nie robi z naszych planów i zawsze gotowe jest wykręcić nam jakiś paskudny numer, żeby przypomnieć, że jesteśmy ludźmi i tylko ludźmi, stworzonymi po to, żeby cierpieć.

Petra była w szklarni na tarasie, który wraz z kuchnią stanowił jej królestwo.

Siedem lat wcześniej komisarz miał szczęście i jakimś cudem znalazł to poddasze. Było niezbyt przestronne, ale wystarczało dla nich dwojga. Na dodatek posiadało naprawdę piękny i, jak na florenckie warunki, ogromny taras. Petra natychmiast się w nim zakochała. Poświęcając odrobinę czasu, cierpliwości i determinacji, przekształciła taras w godny pozazdroszczenia ogród.

O tej porze roku spędzała większość czasu w szklarni, siejąc, przesadzając i nawożąc rośliny. Szklarnia była niewielką, doskonale klimatyzowaną konstrukcją ze szkła i drewna. Stała w południowej części tarasu, wspierając się o ścianę budynku.

Całując żonę na powitanie, Ferrara odniósł dziwne wrażenie. Kiedy dwoje

ludzi zna się tak dobrze, wystarczy czasami nic nie znaczący drobiazg, zbyt długi uścisk, wahanie w głosie.

- Cześć, Michele, wspaniały dzień - przywitała go Petra, odsuwając się od niego z wymuszonym uśmiechem.

Ten uśmiech wcale go nie zmylił, ale jeżeli chciała czasu, wołał go jej dać.

Nie była kobietą, która używała podstępów. W odpowiednim czasie sama wyjaśni, w czym problem. Tak przynajmniej pomyślał.

- Nie masz pojęcia jak wspaniały! - odpowiedział, biorąc ją pod ramię i podchodząc do nakrytego stołu, który czekał na nich pod pergolą.

- To znaczy?

- Niespodzianka od Massima.

- Piękna? - zapytała tylko.

- To mało powiedziane.

Usiedli. Nie spróbował nawet sałatki z prawdziwkami i płatkami parmezanu. Przyjrzał się uważnie żonie.

- Nie chcesz wiedzieć, co to jest? Jesteś jakaś nieswoja.

- Nie, nie, powiedz, co to za wielka nowina?

Opowiedział wszystko, podając jej kopertę. Przez chwilę wydawało się, że radość z niespodzianki oddaliła to, co ją dręczyło, ale jej twarz szybko przybrała zamyślony wyraz.

- No więc - zagadnął delikatnie Michele Ferrara, nie dając rady się powstrzymać - powiedz mi teraz, czy wolisz, żebym się denerwował do samego wieczora?

- O co ci chodzi, Michele? - zaczęła się słabo bronić, wiedząc, że to nic nie da.

Petra miała cenny talent, była kobietą praktyczną i konkretną. Umiała doskonale poradzić sobie z lękami i obawami, szukała wyjścia z najtrudniejszych nawet sytuacji, nigdy nie poddawała się zniechęceniu. Reagować - to było credo jej życia. Właśnie dlatego zaniepokoiła go jej mina, ten prawie niedostrzegalny brak radości życia.

Przez chwilę patrzyli na siebie uważnie, w końcu Petra wyjęła z kieszeni fartucha ogrodniczego, którego nie zdjęła, list. Podała mu go. Na jej wyciągniętej ręce komisarz zobaczył zegarek i zauważył, że była 13.46.

List był w zwykłej handlowej kopercie z pieczętą firmy wysyłkowej oraz z nazwiskiem i adresem Ferrary nadrukowanym na naklejce. Wewnątrz znajdowała się kartka papieru A4 złożona w poprzek trzy razy.

Rozłożył ją.

Wyglądała jak kolaż szalonego artysty z zamiłowaniem do makabry.

MEMENTO MORI

Piękna myśl, zauważył Ferrara. Przypomnienie nie było konieczne, śmierć jest jedyną pewną rzeczą w życiu, nie ma sensu, żeby ktoś zadawał sobie trud, by mu to uświadamiać. Jeżeli jednak ktoś robi to celowo, w anonimowej formie i kieruje taki list do szefa Wydziału Śledczego Policji we Florencji, trudno spodziewać się, że to żart.

Petra też nie uważała tego za żart.

Nadawca dokończył dzieła, obryzgując kartkę i litery wycięte z gazety czerwonymi plamami, potem najprawdopodobniej powiesił papier, by plamy trochę ściekły. Ten zabieg sprawił, że zacieki nabrały realizmu i rzeczywiście wyglądały jak krew, prawdziwa czy nie, ale jednak krew.

Komisarz wziął toskańskie cygaro, ale go nie zapalił. Petra wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Żadne z nich nawet nie skosztowało prawdziwków.

Chciał ją przytulić, uściskać. Może i ona tego by chciała, ale nigdy nie mieli się tego dowiedzieć, bo dokładnie w tej chwili zadzwonił telefon komórkowy.

Dzwonił zastępca Ferrary Francesco Rizzo.

Właśnie zamordowano człowieka.

Godzina 14.40

W RADIOWOZIE POLICYJNYM

- Zadzwoniono na sto trzynaście - wyjaśnił Sebastiano Franchi, kierowca samochodu policyjnego, kiedy przejeżdżali przez miasto na sygnale.

- Kto jest na służbie w centrali?

- Grassi.

- Która to była godzina?

- Czternasta dwadzieścia trzy, panie komisarzu.

- Ustalono, kto dzwonił?

- Jakaś kobieta, kasjerka z baru na placu centralnym w Greve.

- Co powiedziała?

- Tylko tyle, że znaleźli ciało. Ten człowiek został zamordowany. Jak mówił Grassi, była bardzo przejęta.

- I co jeszcze?

- Nic, panie komendancie, odłożyła słuchawkę.

Powiedział to, wyraźnie dając do zrozumienia, jak bardzo jest oburzony brakiem odpowiedniej postawy obywatelskiej u tej kobiety. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat, był dopiero co mianowany i nie zdawał sobie sprawy, że to niestety normalne w takich sytuacjach. Prowadził za to świetnie, tak jakby siedział za kierownicą ferrari na torze w Monzy.

Jak wszystkim kierowcom, zależało mu na tym, aby pokazać, co potrafi i jaki jest sprytny.

Wyjechali już z miasta i zaczęli wjeżdżać na wzgórza koło Greve. Komisarz kazał wyłączyć syrenę i ograniczyć prędkość. Wciąż powtarzał, że kiedy już morderstwo zostało popełnione, pięć minut w tą czy w tamtą niewiele zmieni w życiu ofiary.

Tym bardziej, że na miejsce udał się już Rizzo, który wyjechał zaraz po zgłoszeniu, podczas gdy kierowca Ferrary musiał jeszcze pojechać po niego do domu.

Komisarz był zadowolony z pracy Rizza, który okazał się doskonałym

śledczym i od czasu morderstw na prostytutkach, kiedy to zaraz po ukończeniu akademii został detektywem, przeszedł długą drogę.

Miał niezawodny instynkt i pracował z takim samozaparciem jak policjanci z dawnych czasów, co niestety zdarzało się coraz rzadziej, potrafił też korzystać z wszelkich nowinek technologicznych.

Pod niektórymi względami przypominał Ferrarze obecnie już emerytowanego sierżanta Monaco, tylko że, o ile tamten nienawidził nawet maszyny do pisania, o tyle Rizzo radził sobie doskonale z myszką i klawiaturą.

Komisarz postanowił wysłać na rozpoznanie właśnie jego. Miał do niego zaufanie, ale też zależało mu na tym, aby mieć spokój i ciszę w czasie tej krótkiej podróży za miasto. Musiał się zastanowić.

Wyraźnie ktoś chciał go wyeliminować.

Tylko kto i dlaczego?

Jak wszyscy, Ferrara także miał swoje własne obawy, zarówno prywatne, jak i zawodowe. Pracował w policji ponad dwadzieścia lat, zawsze na stanowiskach operacyjnych, musiał więc zostawić za sobą wiele uraz i niechęci, nie tylko pośród ludzi żyjących na marginesie społeczeństwa i temu społeczeństwu zagrażających, ale także i w samej instytucji.

Jeżeli więc chodzi o nieprzyjaciół, to miał z czego wybierać, ale nie był w stanie wskazać jednego potencjalnego wroga, który mógłby nienawidzić go aż do tego stopnia.

Przypadki zemsty więźniów, którzy wyszli z zakładów karnych, są rzadsze niż mogłoby się wydawać. Wykluczał także motywy polityczne. W ostatnich latach nie było wielu napięć, a Czerwone Brygady zeszły już ze sceny i od jakiegoś czasu nie było żadnych sygnałów, że znów mogłyby zacząć stosować strategię terroru. Trzeba też zwrócić uwagę na fakt, że do zabójstw o podłożu politycznym przyznają się konkretne grupy, ale już po ich dokonaniu. Nikt ich z góry nie zapowiada, a już w żadnym razie nie w taki sposób.

Była też oczywiście sprawa Potwora, odpowiedzialnego za osiem podwójnych zabójstw. Szesnaście potwornych zbrodni, przy których dochodziło do okaleczania zwłok. Potwór z Florencji został jednak złapany, zanim Michele został szefem wydziału śledczego.

Była to sprawa, którą niejeden chciał uznać za zamkniętą, ale on uparł się, by ponownie ją otworzyć, stawiając na głowie wszystkie dotychczasowe hipotezy i ustalenia bazujące na jednym, samotnym seryjnym zabójcy. Ferrarze udało się też odnaleźć współników Potwora, wszyscy zostali już skazani. Był to sukces, który zadowoliłby bardzo wielu, ale nie jego, bo, jak mówili o nim florentyńscy, był „ostrzy jak brzytwa”, uparty i nieprawdopodobnie zawzięty. Tak zawzięty, że wbił sobie do głowy, iż znajdzie osoby, które zleciły te morderstwa, a szukał coraz wyżej i coraz dalej, zapuszczając się nawet w najskrytsze zakamarki miasta, miejsca, gdzie odbywały się czarne msze i inne rytuały satanistyczne, co było absurdem według ludzi wyznających teorię seryjnego mordercy.

Grzebanie w niektórych sprawach może być niebezpieczne, toteż z pewnością narobił sobie wrogów, ale trudno mu było uwierzyć, że mogliby naprawdę brać pod uwagę jego fizyczną eliminację.

Mogliby zniszczyć mu karierę, wciągając go w sztucznie rozdmuchane skandale albo awansować go tak, żeby awans znaczył tyle samo co porażka.

Zresztą tego już próbowali.

Zabicie go było jednak za bardzo ryzykowne. Jego ludzie poruszyliby niebo i ziemię, poza tym byli jeszcze prokuratorzy zajmujący się jego dochodzeniami, dziennikarze, którzy dobrze go znali oraz dawny prefekt, bardzo zainteresowany tym śledztwem.

Może jednak się mylił i był ktoś wysoko postawiony i blisko powiązany ze sprawą, dla kogo takie ryzyko warte było zachodu?

Godzina 15.05-16.15

MIEJSCE ZBRODNI W GREVE IN CHIANTI

Funkcjonariusz Franchi zaparkował samochód obok innych radiowozów i furgonetek policyjnych, tuż przy pomniku żeglarza Giovanniego da Verrazzano na placu Matteottiego, gdzie zatrzymywały się liczne autobusy z turystami. Sklep znajdował się przy ulicy Roma, która odchodziła od placu zwanego *a baccalr* (dorsz) ze względu na charakterystyczny kształt nieregularnego trójkąta.

Na jednym z jego wierzchołków znajdował się kościół, a w okolicach podstawy, w podcieniach - bar, z którego, sądząc po ilości tłoczących się tam ludzi, zadzwoniono na policję. Ferrara w tłumie zauważył kilku funkcjonariuszy z wydziału zabójstw przesłuchujących ludzi. Nie dostrzegł ekip telewizyjnych ani dziennikarzy i był z tego powodu bardzo zadowolony. Ulica Roma była odgradzona biało-czerwoną taśmą z napisem STAĆ: POLICJA. Jego ludzie dokładnie oddzielili cały teren, który należało odizolować.

Przeszedł pod taśmą.

Sklep znajdował się o jakieś piętnaście metrów dalej. Dwie duże witryny z dobrze wyeksponowanym towarem, różnego rodzaju krzyże, kandelabry, książki, kartki pocztowe, druki o charakterze religijnym. Na zewnątrz, nad wejściem wisiał napis „Dewocjonomia”.

Wszedł.

Poza Rizzem, który natychmiast do niego podszedł, byli tam także: lekarz sądowy Francesco Leone, z którym Ferrara nadal nie przeszedł na ty, mimo niezliczonych spraw, przy których wspólnie przez lata pracowali, oraz inspektor Sergi z funkcjonariuszami z wydziału zabójstw. Byli też pracownicy laboratorium kryminalistycznego wyposażeni w odpowiedni sprzęt do badań.

W odosobnionym i oddalonym od miejsca zabójstwa kącie pomieszczenia Michele zauważył zachowującego się nerwowo, bardzo poruszonego księdza, który rozmawiał cicho z jakimś starszym panem. Ksiądz wydał mu się bardzo

przystojnym mężczyzną.

Wokół panowała jakaś dziwna atmosfera, nienaturalna cisza. Wydawało się, że przytłoczeni nią mężczyźni instynktownie ściszyli głosy i zapanowali nad naturalnym przecież poruszeniem, jakie pojawia się w takich okolicznościach, dostosowując rytm i ruch ciała do jakiegoś sacrum, którego, prawdę powiedziawszy, to miejsce było zupełnie pozbawione.

- Ma się uczucie, jakby człowiek był w starym kościele - powiedział Rizzo na powitanie, potwierdzając to wrażenie.

Pomieszczenie było dość duże i miało kształt prostokąta. Oświetlało je sztuczne światło, bo z zewnątrz wpadało tu niewiele słońca. Ściany prawie całkowicie zastawiono ciężkimi, drewnianymi szafami. Niektóre z nich były oszklone, zawierały książki, mszały, obrazki wotywnie i piękne, najprawdopodobniej srebrne krucyfiksy wykonane przez lokalnych rzemieślników. Wysoki sufit podtrzymywały masywne belki. Na prawo znajdowały się przymknięte drzwi, które prowadziły do pomieszczeń magazynowych.

W głębi stała długa lada, na której wyeksponowano przeróżnej wielkości świece.

Zapach drewna, wosku i kadzidła, pomieszany z zapachem wilgoci, dodawał temu miejscu szczególnego charakteru.

Na podłodze leżały zwłoki przesłonięte ladą.

Poszedł w tamtym kierunku.

Zobaczył krew. Wszędzie było mnóstwo krwi. Było nią poplamione ubranie ofiary podarte w wielu miejscach, zalana była podłoga, jakby szkarłatna i błyszcząca krew biła ze źródła znajdującego się pod ciałem.

Poplamione były szafy, lada i inne przedmioty.

Zmarły leżał na lewym boku, z głową odwróconą lekko w prawą stronę, oczy i usta miał szeroko otwarte, jakby został uderzony znienacka. Twarz przerażająco zmasakrowano.

Francesco Leone dyktował swoje obserwacje jednemu z techników z

wydziału kryminalistyki. Nawet się nie zatrzymał, tylko skinął komisarzowi głową i dyktował dalej:

- ...rany zadano najprawdopodobniej nożem w prawy staw skroniowo-zuchwowy, w lewy róg zuchwy, w łuk żebrowy prawy i w okolice brzucha. Liczne rany na całej twarzy...

- Kim jest ofiara? - zapytał zastępcę Ferrara.

- Stefano Micali, lat trzydzieści.

- Sprawdziłem go w rejestrach - dodał inspektor Sergi, który zajął miejsce Antonia Monaco. - Żadnych precedensów, czysty jak łąza.

- A ci dwaj? - zapytał komisarz, wskazując na młodego księdza i jego towarzysza.

- Don Sergio z kościoła na placu i Alfredo Beccalossi, właściciel sklepu - odpowiedział Rizzo.

- To właśnie don Sergio znalazł zwłoki. Natychmiast pobiegł do baru, żeby zawiadomić policję. W barze był wtedy ten Beccalossi, więc przyszli tu razem. Don Sergio się bał, nie chciał tu wracać, ale tamten bardzo nalegał. Tu ich znaleźliśmy i zatrzymaliśmy.

- Dobrze zrobiliście. Stawiali opór?

- Żadnego. Wręcz przeciwnie, bardzo chcą współpracować.

Podczas gdy technicy kryminalistyczni zdejmowali odciski, Ferrara poprosił obu mężczyzn, aby poszli z nim do pomieszczenia służącego za magazyn, gdzie mogliby porozmawiać spokojniej.

Zabrał ze sobą Sergiego, zostawiając Rizza, by nadzorował prace pozostałych.

Don Sergio, mimo iż miał trzydzieści lat, wyglądał na o wiele młodszego. Był wysoki, atletycznie zbudowany, elegancki. Skromny, ciemny garnitur i koszula z koloratką leżały na nim jak ciuchy od Armaniego. Miał jasne, modnie obcięte włosy, intensywnie niebieskie oczy, regularne, prawie kobiece rysy twarzy. Raffaello Santi wybrałby go pewnie, by pozował do postaci anioła. Alfredo Beccalossi był niewysokim starszym mężczyzną

zgięty w pół z powodu artretyzmu. Miał rzadkie, siwe włosy i palce pożółkłe od nikotyny.

Komisarz zaczął właśnie od niego.

- To jeden z pańskich pracowników?

- Tak, ale nie jeden, tylko jedyny.

- Był dobrym pracownikiem?

- Doskonałym. Właściwie prowadził ten sklep, bo ja tu już prawie zupełnie nie zaglądam.

- Żonaty? Miał rodzinę?

- On? Nie, był... samotnikiem. Sierotą na dodatek. Został wychowany przez księży. Zaczął pracować u mnie jako sprzedawca w wieku dwudziestu trzech lat. Zachowywał się nienagannie, nigdy nie miałem z nim żadnych problemów, zapewniam pana.

- Orientuje się pan, czy miał jakichś wrogów?

- Wrogów? Nie uwierzyłbym w to, nawet gdyby on sam mi to powiedział.

Nie potrafię sobie wyobrazić, kto...

- Ktoś jednak go zabił, prawda?

- Jakiś wariat albo emigrant, pełno ich się tutaj kręci.

- Ksiądz też tak sądzi? - Ferrara zwrócił się do duchownego.

- Nie potrafię powiedzieć... Nie byłbym w stanie... ja, nie... nie wiem, zupełnie nic nie wiem!

Mówił bardzo cienkim głosem, wydawał się bliski ataku hysterii. Nerwowo zacierał ręce i bez przerwy przygryzał dolną wargę.

- Ksiądz także uważał go za wspaniałego człowieka?

- Tak, był wspaniałym człowiekiem.

- Zechciałby ksiądz opowiedzieć, co się stało?

- No więc przyszedłem po świece na ołtarz...

- O której godzinie?

Ksiądz przełknął głośno ślinę, niemal zakłopotany tym, że mu przerwano.

- Chyba było kilka minut po drugiej.

- Czy sklep jest otwarty przez cały dzień? - zapytał Ferrara, zwróciwszy się do Sergiego.

- Od dziewiątej do trzynastej i potem od piętnastej do dziewiętnastej - odpowiedział skrupulatnie Serpico.

- No tak, ale Stefanino podczas przerwy zawsze zostaje w sklepie - pospieszył duchowny z wyjaśnieniem. - To znaczy zostawał - dodał, ścisząc głos. Zrobił na piersi znak krzyża. - Często przychodziłem właśnie w czasie przerwy, bo on jest... bo on był wspaniałym człowiekiem, już mówiłem, i był bardzo wierzący.

- Stefanino? - zapytał grzecznie komisarz, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt ostro czy niestosownie. Zdrobnienie w ustach księdza wydało mu się dziwne, przesadnie poufale.

- Tak miał na imię. To znaczy tak go wszyscy tu zdrobniale nazywaliśmy. Był naprawdę dobrym człowiekiem. Był miły dla wszystkich i wszyscy dobrze mu życzyli.

- Rozumiem, proszę kontynuować.

- Przyszedłem i naturalnie było zamknięte. Zadzwoiłem i czekałem. Nie odpowiedział, więc zadzwoniłem jeszcze raz, ale też przyłożyłem twarz do szyby w drzwiach, osłaniając oczy dłonią. W środku było dość ciemno, tyle że drzwi nie były zamknięte na klucz jak zawsze i nacisk sprawił, że odskoczyły. Przestraszyłem się! O mało co nie padłem tu na miejscu jak długi... mój Boże!

Ton jego głosu znów zrobił się piskliwy, co wywoływało bardziej komiczny niż dramatyczny efekt.

- A potem?

- Powolutku wszedłem i zawołałem go. Stefanino! Stefanino! Nikt nie odpowiadał. Poszedłem w kierunku drzwi do zaplecza i, nie wiem dlaczego, w pewnym momencie odwróciłem się w lewo. Zobaczyłem go, zobaczyłem go, zobaczyłem! O mój Boże! O Panie, miej nad nim litość! Miej litość nad nami.

- Proszę się uspokoić, już wszystko skończone.

Don Sergio pociągnął nosem.

- Zobaczyłem jakiś stos na ziemi - kontynuował - tam, za ladą. I krew, wszędzie krew, nawet w półmroku było doskonale ją widać, błyszczała, czyja wiem, jak jakieś płynne rubiny.

- Dotykał ksiądz czegoś? Krzyczał, wzywał pomocy?

- Uciekłem, pobiegłem do baru i wezwałem pomoc. Kasjerka zadzwoniła po was, chciałem wrócić na parafię i powiedzieć o wszystkim ojcu Francesco, ale pan Beccalossi poprosił mnie, bym z nim tu wrócił. Chciał sam to zobaczyć.

- Zauważył ksiądz coś podejrzanego? Może kogoś podejrzanego?

- Nie, nic i nikogo.

- Długo się znaliście? Ksiądz i Stefano Micali?

- Znaliśmy się od dawna, jeszcze ze szkoły.

- Będziemy musieli panów jeszcze raz przesłuchać, jeżeli to nie kłopot, a gdyby przyszło wam do głowy coś związanego z tym tematem, cokolwiek by to było, nawet coś, co mogłoby wydawać się bez znaczenia, to proszę o kontakt ze mną albo z komisarzem Franceskiem Rizzem. Teraz zostawiam was z inspektorem, musi jeszcze załatwić kilka formalności. Na razie dziękuję - zakończył Ferrara.

W tym czasie inni policjanci przesłuchali już kasjerkę, właściciela baru oraz klientów, którzy byli obecni przy tym, jak don Sergio przyszedł do baru. Dwaj funkcjonariusze stanęli na straży przy wejściu do sklepu. Na szczęście nikt nie wtargnął na miejsce zbrodni przed przybyciem komisarza, byli tam tylko ksiądz, właściciel i kilku policjantów.

Czasami nawet filmy kryminalne pomagają lepiej wychować obywateli, pomyślał Ferrara.

Z przeprowadzonych przesłuchań nie wynikło nic szczególnie interesującego poza potwierdzeniem faktu, iż Stefano Micali był skromnym, miłym człowiekiem, trochę może nieśmiałym, ale za to pracowitym i

hojnym. Przeszukano także dokładnie księgarnię. Upewniono się, że najprawdopodobniej nic nie zostało skradzione. Jak stwierdził właściciel, w kasie były wszystkie pieniądze i nie brakowało żadnego cennego przedmiotu. Niestety nie odnaleziono narzędzia zbrodni. Technicy kryminalistyki i lekarz sądowy skończyli swoją pracę. Zwłoki zapakowano do ceratowego worka zapinanego na zamek błyskawiczny i złożono w cynkowej trumnie. Miały zostać przewiezione do prosektorium Instytutu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Florenckiego. W specjalnych plastikowych pojemnikach pozamykano wszelkie przedmioty, które mogły okazać się w jakiś sposób użyteczne dla sprawy; albo dlatego, że znaleziono je w pobliżu zwłok podczas przeszukania, albo dlatego, iż mimo znajdowania się z dala od miejsca zbrodni mogły zostać z nią w jakiś sposób powiązane.

Najciekawsza okazała się niewielka Biblia albo raczej mszał oprawiony na czarno ze złotym krzyżem na okładce, który znaleziono pod zwłokami. Był zupełnie nasiąknięty krwią i to sprawiło, że stał się kompletnie nieczytelny.

Prawdopodobnie sprzedawca pokazywał albo zamierzał pokazać go klientowi, jeżeli oczywiście był tu jakiś klient. Podobne mszały wyeksponowano w szafie za ladą.

Sklep pustoszał. Wkrótce wyjdą stąd ostatni ludzie i opieczętuje się to miejsce.

Ferrara poszedł w kierunku placu, gdzie za kierownicą jednego z samochodów zobaczył Giannię Fuschiego z sekcji kryminalnej. Od dawna byli przyjaciółmi. Zawołał go.

- Czy mógłbyś oddać mi przysługę? - zapytał, podchodząc.

- Nawet dwie, wszystko, czego sobie zażyczy Przebiegły Kot - odpowiedział technik, używając przezwiska, jakim wielu policjantów i kilku dziennikarzy zwracało się do Michele. Wyrażało ono podziw dla jego sprytu i przebiegłości, ale także nawiązywało do kociego wykroju oczu i ostrego, przeszywającego spojrzenia.

- Chodź ze mną - polecił Ferrara, oddalając się od reszty policjantów

wsiadających właśnie do radiowozów i furgonetek, które miały ich odwieźć z powrotem do prefektury. Pośród nich zauważył Rizza. - Jedź pierwszy, dojadę później! - krzyknął do swojego zastępcy, a potem znów zwrócił się do Fuschiego: - Przyjrzałbyś się temu z bliska dla mnie? Wyniki badań mają trafić do mnie i tylko do mnie, do nikogo innego.

Z kieszeni marynarki wyjął plastikową torebkę, w którą włożył wcześniej list zawierający pogrożki. Papier został oczyszczony z ewentualnych odcisków palców, był to prawdopodobnie błąd, którego jednak nie mógł uniknąć. Nie mógł ryzykować, że ktoś zidentyfikuje jego własne odciski, albo, co gorsza, odciski Petry, bo zdecydował, że nikt, przynajmniej na razie, nie powinien się dowiedzieć, że ktoś mu grozi. Wiele osób mogłoby wykorzystać to jako pretekst, żeby go odsunąć od sprawy Potwora dla jego własnego bezpieczeństwa.

- Pięknie, pięknie, pięknie - zażartował Fuschi. - Niezłomny komisarz Ferrara zaczyna zabierać dowody z miejsca zbrodni dla swojego własnego użytku? Mam kilku przyjaciół w „La Nazione”, którzy za taką nowinę gotowi byliby postawić mi obiad w restauracji Sabatini, a może nawet dwa, takie, po których pali się hawańskie cygara, a nie te twoje śmierdziuchy.

- To bardzo ważne, Gianni - powiedział, ale tamten już to rozumiał.

Rozeszli się do swoich samochodów. W drodze powrotnej komisarz pozwolił, by Franchi w pełni wykazał się swoimi zdolnościami kierowcy. Teraz mieli naprawdę wiele powodów, by się pospieszyć.

Po drodze minęli białą furgonetkę telewizji RAI.

Godzina 17.00

BIURO PREFEKTA

Dokładnie o siedemnastej Ferrara udał się do biura prefekta, by złożyć sprawozdanie. Riccardo Lepri, który objął to stanowisko po Angelu Durantim, zwanym „Mefisto” i odznaczającym się czarnym humorem, był

prawie całkowitym przeciwieństwem swojego poprzednika. O ile tamten był ponury i smutny, o tyle ten był serdeczny, a czasami wręcz jowialny. Dobrze zbudowany mężczyzna o wielkich ambicjach rzadko pozwalał sobie na napady gniewu. Wolał stać na straży porządku publicznego, roztaczając wokół siebie aurę spokoju i bezpieczeństwa. Jednak w jego pełnej dyplomacji postawie było coś, co umykało Ferrarze, jakby w głębi serca jego prawdziwe zapatrywania nie zgadzały się z tymi, które narzucało mu biuro. Z tego powodu prawdopodobnie ich stosunki, serdeczne co prawda i bardzo poprawne, nie były tak przyjazne jak te, które łączyły go z innymi prefektami.

- Trudna sprawa, jak rozumiem - stwierdził prefekt retorycznie, kiedy komisarz skończył raport.

- Jak wszystkie te, w których mordercy nie łapie się na gorącym uczynku albo nie odkrywa natychmiast. Ofiara nienotowana, żadnych świadków, nie odnaleziono broni, nie ma wyraźnego motywu. Może to być próba kradzieży, która źle się skończyła, dzieło jakiegoś włóczęgi, ale szczerze w to wątpię, biorąc pod uwagę wściekłość, z jaką morderca poranił ofiarę, poza tym w kasie było mało gotówki, a cennych przedmiotów w sklepie nie ma zbyt wiele i nie są specjalnie wartościowe.

- Prawdziwa manna z nieba dla prasy.

- Niestety! Byłem naprawdę zdziwiony, że nie było ich jeszcze na miejscu.

- To przysługa jednego z pańskich oddanych wielbicieli - wyjaśnił prefekt, mrugnawszy okiem. - Wezwałem dziennikarzy do sali konferencyjnej, jak tylko dowiedziałem się o tej zbrodni i zaimprovizowałem konferencję na temat środków, jakie zamierzamy podjąć w celu uniknięcia albo choć ograniczenia rozruchów na stadionie w niedzielę. To był naprawdę mocny argument.

- Dziękuję, choć nie sądzę, żeby to wiele dało. Teraz jest tam już telewizja i dziennikarze prasowi.

- Nie wątpię w to, ale nawet kilka minut przewagi może się przydać,

abyśmy mogli ich wyprzedzić, zanim zaczną rozsiewać przesadzone informacje, jak to tylko oni potrafią. Nie sądzi pan?

- Zależy, ile czasu zabierze nam znalezienie tropu i doprowadzenie winnego przed oblicze sprawiedliwości. Obawiam się, że nie będzie to sprawa kilku godzin.

- Zajmie się pan tym osobiście, prawda?

- Nie bezpośrednio. Mam zamiar oddać tę sprawę komisarzowi Rizzowi, to świetny śledczy, trzeba mu pozwolić się wykazać.

Prefekt wydał się lekko poirytowany, ale Ferrara nie chciał nawet myśleć o tym, że on także chciałby odciągnąć go przynajmniej na jakiś czas od sprawy Potwora.

- Jasne, jasne, znam komisarza Rizza, ale jego doświadczenie... W każdym razie będę wdzięczny, jeżeli poświęci pan tej sprawie szczególną uwagę. Wie pan lepiej niż ja, że takie wydarzenia mogą rzucić niekorzystne światło na skuteczność sił policyjnych i wywołać niezadowolenie społeczne. Nie mówiąc już o tym, że zła propaganda nie służy turystyce, a Greve jest tylko dwadzieścia pięć kilometrów stąd, to jakby część samej Florencji.

- Niech się pan nie obawia, panie prefekcie. Odpowiadam za swoich ludzi i nigdy nie uciekam przed odpowiedzialnością. Sprawa zostanie skrupulatnie zbadana, a Rizzo będzie miał wszelką pomoc z mojej strony. Sam będę sprawdzał postępy w śledztwie.

- Dziękuję, mam do pana całkowite zaufanie.

Godzina 18.00

BIURO KOMISARZA FERRARY

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Rizzo. Właśnie wrócił z prosektorium.

- Siadaj, Francesco.

- Dzięki, szefie.

Ferrara bardzo szybko zaczął mówić do Rizza na ty, ale ten w

poszanowaniu dla stopnia i hierarchii nadal zwracał się do niego per pan i Ferrara już od jakiegoś czasu przestał zauważać, że trochę dziwnie to brzmi. Rizzo był dość masywnie zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu. Można powiedzieć, że był nawet krępy. Małomówny i bardzo konkretny, doskonale wcielał się w swoją rolę, był dobrym policjantem i nie miał kaprysów.

- Jakież interesujące nowiny?

- Kilka - powiedział, siadając na jednym z czarnych foteli ustawionych przy wielkim biurku z jasnego drewna.

Wyciągnął paczkę papierosów, lecz przypomniał sobie, że Ferrara, co prawda, nie zakazał palenia, ale nie lubił, kiedy śmierdzący dym papierosowy miesza się z zapachem cygar, schował ją z powrotem do kieszeni.

Wyglądał na zmęczonego. Miał spiętą twarz. Ciemne, trochę potargane włosy powoli zaczynały mu siwieć.

Zajrzał do notesu, w którym robił zapiski i zaczął mówić:

- Przede wszystkim udało się z całkowitą pewnością ustalić czas zgonu. Przedział czasowy jest dość niewielki. Pomiędzy trzynastą piętnaście a trzynastą czterdzieści pięć. Na pewno nie przed i nie po tej godzinie, ale prawdopodobnie w czasie dwudziestu minut między trzynastą dwadzieścia a trzynastą czterdzieści. Poza tym badanie ran pozwoliło stwierdzić, że śmierć była prawie natychmiastowa. Spowodował ją pierwszy lub drugi cios, najgłębsze rany znajdowały się na plecach. Uderzenia zadano nożem o ostrzu długości około jedenastu-dwunastu centymetrów.

- Ile było uderzeń?

- Zbyt dużo. Trzydzieści sześć i prawie wszystkie, jak już powiedziałem, zostały zadane po śmierci, albo kiedy upadł na bok, albo kiedy już leżał.

- Jakież informacje na temat kanałów wklucia ran? - zapytał Ferrara, używając technicznego terminu, jakim policja posługiwała się w stosunku do kierunku pchnięcia oraz biegu ostrza przedmiotu przebijającego ciało.

- Pierwsze rany zadano z niesamowitą gwałtownością z góry na dół i z

prawej ku lewej, pchnięcia nastąpiły bardzo szybko jedno po drugim. Morderca albo morderczyni nie jest więc leworęczny i musi być tego samego wzrostu co ofiara albo trochę wyższy. Pozostałe to nie pchnięcia, ale raczej rany cięte. Zostały zadane z prawej ku lewej i z góry na dół.

- To już coś.

- Ale to nie wszystko, szefie.

- Co jeszcze? Mów!

- Leone przeprowadził dokładne badania tkanek i ścian odbytu i okazało się, że bez najmniejszej wątpliwości Micali już od bardzo dawna oddawał się praktykom homoseksualnym.

- Ach, nasz Stefanino - rzucił instynktownie. - Dzisiaj też? Są może ślady gwałtu?

- Nie, to zostało wykluczone.

- Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko, szefie.

- Spróbujmy podsumować. Morderca przyszedł podczas przerwy na obiad. Zazwyczaj Micali zamykał drzwi na klucz, ponadto nigdy nie wychodził ze sklepu podczas przerwy, jak twierdził don Sergio. Przyjmował wtedy czasami, a może nawet często, znajomych, takich jak właśnie nasz ksiądz, a może i jakichś innych szczególnych przyjaciół.

- Powiedziałbym, że to jak najbardziej prawdopodobne - zgodził się Rizzo.

- Czyli musiał sam otworzyć drzwi mordercy, którego znał i do którego miał zaufanie wystarczające, by odwrócić się do niego plecami, nie mając pojęcia, co tamten zamierza zrobić. Musiał być zaskoczony, kiedy tamten go zaatakował.

- Dokładnie tak.

- Śmiertelny cios został zadany tak szybko, że nie pozostawił mu czasu nawet na krzyk, a kiedy upadał, morderca nadal ciął go nożem, jakby chciał się za coś zemścić. Jakby chciał zmieść ciało z powierzchni ziemi. Skąd tyle nienawiści? Zazdrość? Sprawy finansowe?

- Musimy dowiedzieć się czegoś o jego prywatnym życiu. Może to nie będzie specjalnie trudne. Greve to małe miasteczko, jeżeli dopisze nam szczęście, to sprawa nie zatoczy szerszych kręgów i w miasteczku odnajdziemy winnego.

- Lepiej wcześniej niż później. Trzeba zrobić wszystko, żeby dziennikarze nie wysmażyli nam z tego jakiejś telenoweli. Ta sprawa z homoseksualizmem to dla nich prawdziwa gratka, nawet jeżeli ten trop okaże się nieprawdziwy. Tak czy siak, doceniam twój optymizm i życzę szczęścia, chciałbym, żebyś zajął się tą sprawą osobiście. Co sądzisz o księdzu?

- Jakiś dziwny - odpowiedział Rizzo, zadowolony z powierzonego mu zadania. - Dlaczego pobiegł do baru? Po co najpierw został przy zwłokach przez ponad pół godziny i co tam robił? Wyglądał na takiego, który raczej ucieknie niż da się wmieszać w jakieś kłopoty, nie sądzi pan?

- Właśnie, chyba że uciekł zaraz po dokonaniu zabójstwa, by zmyć z siebie krew, ukrył narzędzie zbrodni i dopiero potem, z powodu wyrzutów sumienia, pobiegł do baru. Wygląda mi na tchórza. Wszystko jedno, miej na niego oko, ale dyskretnie, proszę. Nie możemy wzbudzać niczyjej podejrzliwości. To środowisko jest bardzo przewrażliwione, szczególnie jeżeli może z tego wyniknąć jakiś skandal.

- Niech pan się nie boi, szefie. Z kościołem będziemy działać w białych rękawiczkach, ale nie z klapkami na oczach.

Ferrara się uśmiechnął.

- A, Francesco - dodał - nie ma potrzeby, żebyś o wszystkim mnie informował, wystarczą najważniejsze szczegóły, jakieś naprawdę ważne sprawy. Pospiesz się najbardziej jak możesz. Mam w tej chwili inne sprawy do załatwienia. Jeżeli chodzi o dziennikarzy, to podawaj jak najmniej informacji, a w razie czego odsyłaj ich do mnie, ja sobie z nimi poradzę.

Nawet jeżeli Rizzo nie chciał tego po sobie pokazać, widać było, że taki obrót sprawy był dla niego kompletnym zaskoczeniem. Ferrara zauważył w jego oczach cień popłochu, a rysy twarzy zaczęły mu się jeszcze bardziej

ściągać.

- Teraz skończymy - powiedział. - Ty masz co robić, a ja chcę obejrzeć w domu dzisiejszy dziennik wieczorny.

GODZINA 19:00

KSIĘGARNIA VERGA PRZY ULICY TORNABUONI

Porsche carrera, srebrny metalik, zatrzymało się dokładnie przed wejściem do księgarni. Gwarantowany i to bardzo wysoki mandat - pomyślała Rita Senesi, ale właściciel samochodu wyglądał na zadowolonego i obojętnego na konsekwencje związane z naruszeniem prawa.

- Im bogatsi, tym bardziej chamscy - mruknęła pod nosem Rita.

Z wnętrza sklepu para w porsche nie była zbyt dobrze widoczna, ale dało się zauważyć piękną kobietę, a za kierownicą siedział raczej dość młody mężczyzna, który mimo późnej pory nosił okulary przeciwsłoneczne.

Dziewczyna o długich i pięknych nogach wysiadła z samochodu i szybkim krokiem podeszła do wejścia.

Rita się nie poruszyła. Wystarczyło popatrzeć na kosmyki włosów, które wysunęły się spod chusty dziewczyny, na blade piegi na twarzy, lekko skośne, uniesione ku górze zielonoszare oczy. Klientki takie jak ona były obsługiwane tylko i wyłącznie przez szefa. On sam zresztą, dzięki jakiemuś nadnaturalnemu instynktowi, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się w sklepie i poszedł otworzyć dziewczynie drzwi wejściowe.

- Proszę. Pani jest u nas pierwszy raz, prawda? Jest pani cudzoziemką?

- Tak, jestem cudzoziemką... z Bolonii - sarkastycznie odpowiedziała dziewczyna srebrzystym głosem.

- Naprawdę? Zawsze uważałem, że Florencja to nieodpowiednie miasto, to w Bolonii powinienem był otworzyć księgarnię!

- Jest pan tylko szarmancki, czy może jeszcze sprzedaje pan książki?

- Zależy, czego pani potrzebuje. Osobiście radziłbym jednak moją

szarmanckość, w przeciwieństwie do książek nie psuje oczu.

- Trochę się spieszę - powiedziała, podając karteczkę ze spisem tytułów. Historia teatru renesansowego, estetyka, historia sztuki.

- Coś będziemy mieli. Fabio! - zawołał i podał karteczkę podbiegającemu sprzedawcy. - To potrwa najwyżej pięć, dziesięć minut. Jeżeli w tym czasie zechce pani pójść ze mną na piętro, to sądzę, że mógłbym polecić pani coś równie wartościowego.

Dziewczyna popatrzyła na zegarek, a potem spojrzała za okno, w kierunku samochodu. Był pusty. Za wycieraczką niewinnie sterczał blankiet mandatu.

- Jeżeli śpieszy się pani z powodu tego mandatu, to niech się pani nie przejmuję, został już wystawiony.

- Śpieszę się na pociąg.

- O której?

- O ósmej trzynastcie.

- Mamy dobrze ponad pół godziny. Trzeba to wykorzystać, proszę iść za mną. Czym dokładnie się pani zajmuje?

- Jestem na ostatnim roku na wydziale sztuki. Piszę pracę na temat przedstawień teatralnych w epoce Wawrzyńca Wspaniałego.

- A czy tych książek nie znalazłaby pani w Bolonii?

- Pewnie bym znalazła, ale rozważam możliwość studiowania tu, we Florencji, a te książki zostały mi polecane przez wykładowcę - powiedziała, kiedy wchodzili po schodach.

- Czyli jeszcze nie raz pani nas odwiedzi. Florencja mimo wszystko nie jest taka najgorsza.

- Nie powiedziałam jeszcze, czy się zdecydowałam. - Uśmiechnęła się jak nastolatka trzymająca na dystans dojrzałego mężczyznę.

Tymczasem Rita Senesi, która z rozbawieniem patrzyła, jak drogówka dopadła porsche, obserwowała młodzieńca, który najpierw wszedł do pobliskiego sklepu tytoniowego, a teraz przechadzał się nerwowo z papierosem w ustach przed oknami wystawowymi.

Był naprawdę pięknym i bardzo młodym mężczyzną, miał jasne włosy i chyba około metra osiemdziesięciu wzrostu. Był szczupły i elegancki, mimo że kosztowna kurtka ze skóry renifera wydawała się nieco zbyt ciepła jak na pierwsze oznaki jesieni, które tego dnia obudziły miasto. W pewnym momencie znudził się chodzeniem tam i z powrotem, rzucił papierosa i wszedł do sklepu.

Rita była już przygotowana, by wskazać mu wejście na piętro, ale ją uprzedził.

- Pióro.

- Kulkowe? Wieczne? - ledwie wyjąkała.

- Wieczne i to w dobrym gatunku.

Mężczyzna nie mówił z florentyńskim akcentem i Ricie wydało się, że słyszy w jego głosie delikatne naleciałości amerykańskie.

Zaprowadziła go do oszklonej lady z doskonałymi piórami, wyjęła z szuflady tacki z różnymi modelami i postawiła je na szklanej tafli.

- To ostatnie modele Aurora, te to Cross, a to Parker i...

Zdecydowanym, prawie gwałtownym gestem odsunął tacki, odsłaniając widok na towar znajdujący się pod szkłem lady.

- To - powiedział, wskazując na Montblanc Meisterstück, jeden z najkosztowniejszych modeli.

- Doskonały wybór. Chce pan, żebym zapakowała na prezent?

- To pióro jest dla mnie, ale proszę je napełnić atramentem.

- Oczywiście, będzie pan mógł je wypróbować.

Kiedy wkładała naboje, chłopak zdjął okulary przeciwsłoneczne. Podając mu pióro, Rita popatrzyła na niego i zadrżała. Miał bardzo jasne oczy, szare, zimne, wręcz lodowate.

Nabazgrał kilka linii na podanym mu bloczku.

- Odpowiada mi.

- Lepiej, żeby pan coś napisał, choćby swoje imię.

- Powiedziałem, że mi odpowiada, biorę je.

Nawet nie zapytał o cenę.

Rita wydrukowała paragon, wzięła pieniądze, które jej podał i wręczyła mu pióro.

Wyszedł.

- Jeżeli pani pozwoli, to zwrócę pani na coś uwagę - powiedział księgarz. - Niech pani nie pominie pogańskiego charakteru tych spektakli. Rytualny, magiczny komponent, połączenie tego, co dionizyjskie i sakralne w kulturze Florencji piętnastego wieku to niewyczerpane źródło niespodzianek, szczególnie w przedstawieniach ludowych, ale nie tylko. Niech pani choćby pomyśli o Machiavellim i jego *Mandragoli*, która skupia się na ludzkiej łatwowierności. Mąż zostaje oszukany dzięki cudownym, podobno, właściwościom ziół.

- To prawda, nie pomyślałam o tym.

- Jeżeli to panią interesuje, to mogę trochę pomóc pani w pisaniu pracy. Niech pani idzie ze mną.

Poprowadził ją do działu starodruków i książek używanych.

- Niech pani weźmie to - powiedział, wyjmując z jednej z szaf tom częściowo oprawiony w skórę z tytułem wytłoczonym złotymi literami: KSIĘGA ZMARŁYCH I RZECZY UWAŻANYCH ZA STRACONE. - Wielu twierdzi, że to jedyna istniejąca włoska wersja cieszącego się złą sławą *Necronomiconu*, wykonane przez Giulia Delminia w Paryżu w 1530 roku. Pani wie oczywiście, co to jest *Necronomicon*?

- Nie.

- To najstarszy znany traktat o czarnej magii, napisany przez Abdula Alhazreda. Proszę, niech pani weźmie.

- Nie, przykro mi, ale nie mogłabym sobie na to pozwolić. Jestem studentką, mówiłam już panu.

- Niech się pani nie obawia, to nie starodruk, a bezwartościowa fotokopia,

ale zawartość jest bardzo interesująca. Poza tym, nie musi pani kupować. Wystarczy mi obietnica, że pani to zwróci. Nalegam, a kiedy nalega Sycylijczyk...

Dziewczyna zawahała się, ale w końcu wzięła książkę.

- Wie pan, że jest pan bardzo ciekawym człowiekiem? Ten pomysł z magią jest naprawdę dobry, nikt mi wcześniej o tym nie wspominał.

- Witamy we Florencji, panienko - odpowiedział zadowolony.

Wróciwszy do samochodu, młodzieniec napisał kilka słów drukowanymi literami na zwykłej kartce papieru listowego, którą kupił chwilę wcześniej wraz z kopertą i naklejonym znaczkiem u sprzedawcy w sklepie z wyrobami tytoniowymi.

WIDZIAŁEM CIĘ DZISIAJ W GREVE. WIEM, GDZIE CIĘ ZNALEŹĆ, NIE UDA CI SIĘ UNIKNAĆ KARY. TEN, KTO TORTUROWAŁ, ZASŁUGUJE TYLKO NA TORTURY. OKO ZA OKO, TAKIE JEST PRAWDZIWE PRAWO BOŻE. PRZYJDĘ PO CIEBIE. NIE UDA CI SIĘ UCIEC. ZAWSZE CIĘ ODNAJDĘ.

Potem zaadresował kopertę:

OJCIEC SERGIO ROTONDI KOŚCIÓŁ PARAFIALNY S. CROCE
GREVE IN CHIANTI

Kiedy dziewczyna wróciła do porsche, mężczyzna zdążył już schować list do kieszeni.

- *How come it took so long?* - zapytał grzecznie.

- Znowu zaczynasz, Mike? Dlaczego nie powiesz tego po włosku, doskonale ci przecież idzie.

- Masz rację, przepraszam. Zajęło ci to dużo czasu.

- Nie umieli znaleźć książek, mają kiepską organizację. W końcu wzięłam tylko trzy, ale właściciel to miły człowiek, pożyczył mi jedną, pomyśl tylko!

- Dobrze. Jedziemy? Do ósmej nie mamy wiele czasu.

- No to szybko!

Nie dał się długo prosić. Odjechał z piskiem opon, a zostawiwszy dziewczynę na dworcu, wrócił do domu niezdecydowany, czy wysłać list.

*

- Piękna dziewczyna, prawda? - stwierdził Massimo Verga.

- Zapomnij o niej.

- Daj spokój, nie zaczniesz chyba teraz przypominać mi, ile mam lat!?

- Nie o to chodzi. Raczej przypomnę ci, że dziewczyna nie była sama. Widziałeś jej faceta?

- Przystojny mężczyzna, jak się wydaje. Typ młodego ogiera, skóra, fura i komora. Są pełni pasji, ale nie mają doświadczenia.

- Jest piękny, naprawdę piękny. Włosy ma rozjaśniane, ale co blondyn to blondyn. Niepokojący facet i ten samochód! Gdyby nie był cudzoziemcem, powiedziałabym, że jest alfonsem, a ona luksusową dziwką na telefon.

- I pomyliłabyś się! Jest studentką. Choć dziwką też jest, wszystkie kobiety są dziwkami, ale nie sądzę, aby była zawodową kurwą.

- Lepiej zamykajmy - odcięła się Rita. Nie było sensu znów wracać do dyskusji, którą prowadzili już tysiące razy, a która zawsze kończyła się cyniczną uwagą księgarza casanovy.

- Jeżeli nie wszystkie kobiety są kurwami, to jakim cudem wszyscy faceci są skurwysynami?

Godzina 20.00

DOM MICHELEGO FERRARY

Lokalne media nie nagłośniły przesadnie sprawy morderstwa w Greve in Chianti. Pojawiła się wzmianka w kronice, ale upublicznione informacje były bardzo skrótowe i nie podano żadnych niesprawdzonych hipotez. Dziennikarze pewnie szukali gorączkowo jakichś informacji albo przecieków, ale na razie nie mieli niczego konkretnego. Komuś udało się nawet połączyć przez centralę prefektury, do której jakiś czas temu Ferrara podłączył swój telefon domowy. Ten ktoś jednak natknął się tylko na automatyczną sekretarkę. Tego dnia Petra i komisarz zdecydowali, że od tej chwili nie będą odbierać telefonów, chyba że wcześniej sprawdzą, kim jest rozmówca. Ferrara nie chciał ryzykować sytuacji, w której jego prześladowca będzie mógł przestraszyć żonę.

Petra przygotowała mu *pappa col pomodoro*, gęstą zupę pomidorową z chlebem, którą tak bardzo lubił. Postawiła ją na stole z butelką Rosso di Montalcino z winnicy Marchesi Antinori. Dla niej życie znów zaczynało toczyć się zwykłym torem, choć musieli być odrobinę ostrożniejsi.

- Dlaczego nie pojedziesz na jakiś czas do rodziny? - zapytał podczas posiłku, zdając sobie sprawę, że to nie ma najmniejszego sensu. Zależało mu jednak na tym, by była z dala od niebezpieczeństwa, więc musiał spróbować.

- Niedawno się z nimi widziałam, doskonale radzą sobie sami, a ty nie.

- Daj spokój, Petro, wiesz, że...

- Posłuchaj, Michele. To, co się dziś stało, nie jest przyjemne, ale taki masz zawód, prawda? Taki zawód sobie wybrałeś, a ja wyszłam za ciebie, zdając sobie z tego sprawę. Jeżeli nie można nic zrobić, to nie róbmy nic. Możesz coś zrobić, zrób to. Jeżeli o mnie chodzi, to umiem tylko być przy tobie i będę cały czas.

- Sama wiesz, że to nie będzie łatwe, a ja nie lubię, by ciążyła na mnie większa presja niż to konieczne. Nigdy bardziej niż teraz nie potrzebowałam trzymać nerwów na wodzy i działać ze szczególną rozwagą. Nie mogę pozwolić sobie na najmniejszy fałszywy krok, a przede wszystkim muszę mieć czas, żeby dobrze popracować głową. Wcale mi nie pomoże

świadomość, że się o mnie martwisz.

- Bo uważasz, że w Baden-Baden nie będę się o ciebie martwiła? Nie bądź śmieszny, Michele. Jedyne, co musisz teraz zrobić, to skończyć jedzenie, zanim ostygnie i zrobi się naprawdę paskudne.

Komisarz napełnił kieliszki doskonałym winem aż po same brzegi.

Godzina 20.40

EUROSTAR 9450, TRASA FLORENCJA-BOLONIA

Muszę iść.

Cthulhu wzywa mój umysł.

Muszę iść.

Cthulhu żąda mojego umysłu.

Idę.

Słowa starej księgi tańczyły, rozmazując się przed oczami Valentyny. Była zmęczona. Ten długi, niewiarygodny dzień zupełnie ją otumaniał.

Pociąg jechał w ciemnościach otulony chmurami Apeninów. Siedziała wygodnie w przedziale pierwszej klasy, który Mike Ross, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej protesty, kupił dla niej, zwróciwszy wcześniej wykupiony przez nią bilet drugiej klasy.

Mike Ross był rewelacyjny. Poznali się zupełnym przypadkiem w jakimś chat roomie kilka tygodni wcześniej. Dzisiaj spotkała go po raz pierwszy. Wyznaczyli sobie spotkanie w Greve, gdzie on robił jakieś badania dla swojej gazety. Wyjątkowo jej się spodobał. Polubiła nawet te jego zimne, przenikliwe oczy, które ją wręcz zafascynowały. Tak, przypadł jej do gustu. Dziwnie sprzeczne emocje targały nią od środka. Czy to on miałby stać się jej wyzwoleniem? Czy kiedykolwiek zdobędzie się na odwagę, by wszystko mu wyznać? Czy będzie w stanie mu zaufać?

Co za dzień! Zaczął się od tego niepewnego postanowienia (nigdy niczego

nie była pewna, to było prawdziwe przekleństwo), że zacznie uczęszczać na interdyscyplinarne wykłady na uniwersytecie florenckim, prawie sto kilometrów od miejsca zamieszkania. Prawdopodobnie gdyby w końcu się zdecydowała, musiałaby opuścić Bolonię i wynająć pokój tutaj, co mogłoby jej nawet dobrze zrobić.

Mike Ross, Florencja, czarna magia... A jak na to zareaguje Cinzia, współlokatorka, z którą tak wiele wciąż ją łączyło?

Pełna wrażeń, ukołyszana miarowym rytmem i przyjemnym ciepłem pociągu, zamknęła oczy.

Godzina 0.00

Czarny notes z wytłoczonym na okładce złotym krzyżem był jeszcze nietknięty. Na pierwszej, nieskalanej jeszcze stronie, szybkim, wprawnym ruchem ręki napisano drobnym, pewnym charakterem pisma:

1 października 1999

W imię twoje zabiłem, Ojczy.

To było łatwe. To mnie wyzwoliło.

Bardziej niż jakakolwiek Spowiedź.

Wreszcie się narodziłem!

Doprowadzę to aż do samego końca, bo Ty tego chcesz.

Nie pozbawiaj mnie swojego wsparcia.

Będę narzędziem zemsty Twojej, a także i mojej.

CZEŚĆ DRUGA

DŁUGI ŁAŃCUCH ZBRODNI
FLORENCJA, 1999-2000

❁ 1 ❁

Michele Ferrara i jego żona nie zobaczyli Placida Dominga w *Rycerskości wieśniaczej* ani pokazu sztucznych ogni, który rozświetlił austriacką stolicę.

Opuścili Wiedeń kilka godzin przed północą, nie czekając na powitanie Nowego Roku, którego wszyscy tak bardzo oczekiwali, bo zamykał stare i rozpoczynał nowe, pełne nadziei milenium.

Dwa zabójstwa, które wydarzyły się tego dnia, to o wiele za dużo, by komisarz Ferrara mógł nadal przebywać za granicą. O pierwszej zbrodni został zawiadomiony późnym rankiem trzydziestego pierwszego grudnia przez Rizza, o drugiej dowiedział się po siódmej wieczorem od komisarza Moschina. Zabukował więc pierwszy możliwy lot z Wiednia do Mediolanu w jednym z samolotów Lufthansy. Na mediolańskim lotnisku Linate czekał na niego radiowóz oddany mu do dyspozycji przez prefekturę z ulicy Fatebenefratelli. Do domu dojechali trochę przed drugą w nocy, w sobotę pierwszego stycznia.

Nowy Rok przywitali wraz z kierowcą marnym winem musującym w plastikowych kubkach w przydrożnej restauracyjce niedaleko Padwy. Ferrara był nie tyle zasmucony, ile naprawdę zmartwiony z powodu biednego policjanta, który wykonywał swoje zadanie, starając się udawać dobry humor, ale prawdopodobnie myślał wciąż o swojej narzeczonej, która w tej właśnie chwili bawiła się bez niego.

Petra, jak zwykle w takich sytuacjach, okazała się naprawdę pomocna, obdarowując kierowcę najcenniejszymi prezentami wynalezionymi na półkach sklepiku przy restauracji. Przedtem z typowo kobiecą, sprytną nonszalancją dowiedziała się wszystkiego na temat jego gustów muzycznych i literackich, napojów alkoholowych, a nawet marek telefonów komórkowych, do których można było tam znaleźć przeróżne akcesoria.

Spali niewiele, ale komisarzowi wystarczyło aż nadto. Dziesięć dni spędzonych w Wiedniu było wręcz zbawiennym wypoczynkiem. Massimo był w doskonałej formie. Przyjechał z nową dziewczyną, Lucrezią, wenecką około czterdziestki, która była bardzo piękna i sympatyczna, tak bardzo, że spodobała się nawet Petrze. Zwiedzili oczywiście Prater, dzielnicę muzeów, Pałac Cesarski, pałac i ogrody Schonbrunnu. Zabytki te były tym bardziej interesujące, że księgarz sypał anegdotkami i wyjaśnieniami na temat obrazów, ciekawego okna jakiegoś pałacu czy któregoś z mijanych zaułków.

Podczas wycieczki statkiem po Dunaju zjedli kolację i tańczyli, śmiali się pod mostami i żartowali na ulicach, mimo niezbyt ładnej zimowej pogody. Uderzyła ich przede wszystkim różnica, niesamowity kontrast między historycznym centrum a nowymi, dość przypadkowymi rozwiązaniami architektonicznymi tego miasta. Kontrast, jakiego we Florencji, mieście muzeów *par excellence*, nie dałoby się prawdopodobnie nigdy dostrzec; kontrast, który chyba zresztą nie istniał w żadnym innym włoskim mieście.

Ferrara już na samym początku zauważył, że bardzo potrzebował tego odpoczynku. Sprawy nie szły za dobrze, a nastrój coraz bardziej mu się pogarszał wraz ze zbliżaniem się nowego roku. Nie odnotowano żadnych postępów w sprawie Potwora ani żadnego śladu w sprawie anonimu z pogrózkami, a w śledztwie, które prowadził Rizzo - same ślepe uliczki. Wydawało się, że sprawa zabójstwa Micalego wkrótce stanie się jeszcze jedną grubą teczką w już i tak przepełnionym archiwum spraw nierozwiązanych i plamą na karierze zawodowej Michele.

O ósmej rano w sobotę pojawił się w biurze.

Czekały na niego gazety ułożone w równy stos na biurku pomiędzy monitorem komputera a drukarką. Najwięcej pisano o porannym zabójstwie, o wiele mniej o tym popołudniowym, które uważano już za rozwiązane.

Florencja. Zabił żonę ciosami noża. Taki tytuł widniał w gazecie „La Nazione”. Pod spodem był krótki artykuł.

Ostatniego dnia bieżącego roku we Florencji odkryto zwłoki kobiety. Ofiara, Linda Pini, lat siedemdziesiąt pięć, mieszkała ze swoim także siedemdziesięcioletnim mężem przy ulicy del Confine na obrzeżach Coverciano. Mąż zamordowanej miał problemy psychiczne. Żonę zabił licznymi ciosami noża. Zwłoki przetrzymywał w domu przez kilka dni. Morderstwo odkrył patrol policji, który interweniował trzydziestego pierwszego grudnia po tym, jak ktoś z rodziny, zaniepokojony niemożliwością skontaktowania się ze starszym małżeństwem, zadzwonił na 113. Według wstępnych ustaleń śmierć pani Pini nastąpiła kilka dni wcześniej, przez cały ten czas mąż pozostawał przy niej. Miał powierzchowne rany cięte klatki piersiowej spowodowane prawdopodobnie próbą samobójczą. Mężczyzna został aresztowany za zabójstwo i umieszczony w szpitalu, gdzie zostanie zbadany jego stan psychiczny.

Zupełnie inny był ton artykułów dotyczących porannego zabójstwa znajdujących się na pierwszych stronach gazet.

Morderstwo pośród antyków.

Śmierć wchodzi do sklepu.

Masakra w centrum San Frediano.

Zabójstwo pod szesnastowiecznym krucyfiksem.

Wszystkie odnosiły się do tego, że zabójstwa dokonano poprzedniego ranka, zaraz po otwarciu sklepu na ulicy Santo Spirito. Zabito młodego sprzedawcę, który pracował tam od bardzo dawna. Alfredo Łupi niedawno skończył trzydzieści dwa lata. Został zabity dwoma strzałami z broni palnej.

Zadano mu też liczne cięcia, raniąc ciało i potwornie okaleczając twarz. Nie było żadnych naocznych świadków. Jak się wydawało, zabójstwo rozegrało się w ciągu zaledwie kilku minut. O motywie czy mordercy nie wiedziano niczego konkretnego.

Przeprowadzono liczne wywiady z przyjaciółmi i znajomymi ofiary. Wszyscy bez wyjątku uważali to morderstwo za zupełnie nieprawdopodobne. Ofiara była uczciwym pracownikiem, człowiekiem aktywnym, bardzo oddanym żonie i małemu synkowi.

Ferrara podniósł słuchawkę. Zapytał w centrali, kto zajmuje się tymi dwiema sprawami. Kazał się połączyć z Alfonsim, który brał udział w śledztwie w sprawie zabójstwa przy ulicy Confine oraz wezwał do swojego biura Serpica, który wraz z nadinspektorem Violantem był w tej chwili na ulicy Santo Spirito.

- Tak, słucham, szefie - zagadnął Alfonsi, kiedy centrala połączyła go z komisarzem.

- To zabójstwo z wczorajszego wieczoru to sprawa naprawdę zamknięta?

- Tak sądzę i tak uważa też sędzia. To na pewno mąż, biedny staruszek. Według mnie nie ma najmniejszych wątpliwości.

- Wierzę ci. Przyślij mi akta, chcę rzucić na nie okiem, zanim podpiszę raport.

- Oczywiście, szefie.

Komisarz zapalił pierwsze tokańskie cygaro tego dnia.

Serpico nie miał wiele więcej do powiedzenia niż to, o czym pisały gazety.

- Kiedy udaliśmy się na miejsce, pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy po odnalezieniu zwłok, to przesłuchanie sklepikarzy z okolicznych butików. Wezwaliśmy też do prefektury Luisę Conti, lat dwadzieścia sześć, żonę ofiary, żeby ją wstępnie przesłuchać - wytłumaczył, starając się nadać raportowi oficjalny ton.

- Uspokój się, Sergi, opowiedz to wszystko swoimi słowami.

Inspektor poczerwieniał, przeciągnął ręką po długich, kręconych włosach, przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i wzięwszy oddech, ciągnął:

- Niewiele jest do powiedzenia, szefie. Ta wiadomość ją załamała. Według niej zabójstwo męża jest całkowicie niewytłumaczalne. Wręcz absurdalne. Cały czas powtarzała, że to nie może być prawda, że to jakiś koszmar. Biedaczka, wygląda na bardzo delikatną i do tego młodziutką kobietę, to prawie dziecko. Według niej mąż nie miał żadnych wrogów. Żył tylko domem i rodziną. Ona uważa, że to jakiś wariat albo pomyłka, ktoś zabił niewłaściwą osobę. Jest pewna, bo doskonale знаła swojego męża. Wychowali się niemal razem, zaręczyli się, kiedy byli jeszcze bardzo młodzi... Dla obojga to była pierwsza i jedyna miłość.

- Sklepiarze też nic nie wiedzą, prawda?

- Nic. Nikt nie widział zabójcy, mimo że nawet o tak wczesnej porze to bardzo ruchliwa i pełna ludzi ulica. Niestety. Przesłuchaliśmy jego pracodawcę, niejakiego Antonia Salustriego, ale tu też zupełnie nic. Wielkie pochwały za zaangażowanie i profesjonalizm pracownika, któremu całkowicie ufał, ale tylko tyle. Nikt niczego nie widział albo nikt nie chce niczego powiedzieć.

- Daj spokój Sergi, to nie Sycylia czy Calabria.

- Skoro pan tak uważa, szefie...

Wiedział, do czego odnosiła się ta aluzja. Pohcja doskonale zdawała sobie sprawę, że w wymuszeniach rozbójniczych w antykwariatach pojawiały się elementy podobne do działań mafii kalabryjskiej, ale zbyt pochopne wysnuwanie takich wniosków mogło być bardzo niebezpieczne.

- A poza tym wie pan, czyj to był antykwariat, zanim przejął go obecny właściciel? - zapytał inspektor.

- Nie wiem, ale pewnie mi powiesz.

- Należał do Ricciardiego.

Gualtiero Ricciardi był jednym z pierwszych poważnych marszandów

sztuki we Florencji, a ponadto od końca lat sześćdziesiątych do połowy pięćdziesiątych handlował antykami. Zarobił wielką fortunę. Zginął wraz z żoną w paskudnym pożarze, który prawie całkowicie zniszczył piętro zamieszkaną przez nich willi. Najprawdopodobniej była to sprawa jakiegoś niezidentyfikowanego podpalacza. Tego właśnie dnia skończyła się seria pomniejszych podpałek, które notowano w mieście od pięćdziesiątego trzeciego do pięćdziesiątego piątego roku. Ze względu na okoliczności badano także trop związany z wymuszeniami, zważywszy, że Ricciardi od dawna podejrzewany był o układy z Kalabryjczykami, czego zresztą nie udowodniono mu nawet po śmierci.

- Rozumiem. Jest coś jeszcze? Są wyniki autopsji i zebranych próbek?

- Wszystko ma nadinspektor Violante. Kiedy wychodziłem, mówił, że zaraz przyjdzie.

- A dokąd poszedł?

- To znaczy... wyszedł na chwilę na kawę, jak sądzę.

Ferrara się uśmiechnął. Przerwa na kawę to zwyczaj, który łączy wszystkich Włochów, tych z Południa i tych z Północy. Nie można było się przeciw temu burzyć.

- I opowie panu też o tej Nucci. Jest jedynym świadkiem, który mógł coś wiedzieć. To on ją przesłuchiwał, nie wiem, czego się dowiedział.

Jak na zawołanie nadinspektor Violante dyskretnie zapukał do drzwi.

- Proszę wejść! - krzyknął Ferrara.

Fabio Violante był średniej postury, z wyglądu skromny i dość niechlujny. Nie sprawiał wrażenia dostatecznie skutecznego, by ktokolwiek chciał go mieć pośród swoich ludzi. Ferrara musiał go trzymać, bo inspektor był tuż przed emeryturą, na którą zresztą z utęsknieniem czekał.

Teraz trzymał w ręku dość sfatygowaną skórzaną teczkę.

- A oto i on! - powiedział Ferrara na jego widok.

Violante popatrzył na jednego, potem na drugiego z obecnych, nic nie rozumiejąc. Problemy ze słuchem nie pomagały mu niestety w

porozumiewaniu się z kolegami.

- Niech pan siada, inspektorze. Sergi mówił mi właśnie, że przesłuchiwał pan pewną kobietę... jak się ona nazywała?

- Laura Nucci - powtórzył Serpico.

- Laura Nucci, mieszkanka Florencji, czterdzieści jeden lat, sekretarka w przychodni medycznej dokładnie na wprost wejścia do sklepu z antykami na drugim piętrze - prawie mechanicznie wyrecytował Violante. - Powiedziała mi, że było około wpół do dziewiątej, chwilę wcześniej weszła do biura, gdy, podnosząc roletę jednego z okien, tego, które wychodzi na ulicę, zobaczyła, jak ktoś wchodzi do sklepu z antykami. Opisała tę osobę jako mężczyznę wzrostu około metra osiemdziesięciu, zbudowanego atletycznie. Miał krótkie blond włosy. Więcej nie była w stanie powiedzieć, bo widziała tylko jego plecy. Ledwie rzuciła okiem, ale wydało się jej, że sklep z antykami nie był jeszcze nawet w środku oświetlony, a to znaczyło, że sprzedawca nie skończył jeszcze przygotowywać go do otwarcia.

- Nic więcej?

- Nie, panie komisarzu.

- Przeprowadzono autopsję?

- Jeszcze nie do końca, ale przyniosłem panu pierwsze wyniki. - Violante otworzył zniszczoną teczkę i wyciągnął z niej dwa pliki dokumentów, które następnie położył na biurku. Były to raporty specjalistów od kryminalistyki.

- Dziękuję. Może pan odejść.

Ferrara wziął pierwszy plik. Zawierał sprawozdanie z wizji lokalnej z dołączoną notką lekarza sądowego, która zaczynała się od słów:

Jako specjalista odpowiedzialny za autopsję zwłok odnalezionych w mieście San Frediano, przy ulicy Santo Spirito pod numerem 25 dnia 31

grudnia 1999 roku, stwierdzam, co następuje.

Potem następował opis zwłok, ubrania oraz znaków na ciele z uwzględnieniem licznych ran, dwóch od broni palnej i wielu zadanych bronią białą. Opisano je z detalami i oznaczono ich położenie na ciele, wpisując je w poszczególne obszary anatomiczne. Wszystkie obrażenia usytuowane były w przedniej części ciała z wyjątkiem dwóch śmiertelnych ran z broni palnej. Ofiara została zastrzelona od tyłu.

Możliwe było też określenie, kiedy nastąpiła śmierć. Stało się to natychmiastowo, między ósmą trzydzieści a ósmą czterdzieści pięć. Jako przyczynę podano niewydolność krążeniowo-oddechową, terminalną i nieodwracalną, która była konsekwencją ran postrzałowych. Ran zadanych jedna po drugiej bronią białą było trzydzieści dziewięć. Zlokalizowane były przede wszystkim w górnej części ciała, w większości na szyi i twarzy. Jeden fakt wydawał się dość szczególny i dziwny: niektóre rany były skoncentrowane bardzo blisko siebie, jedna przy drugiej, inne bardziej od siebie oddalone. Widoczne były też rany na prawym ramieniu.

Analiza resztek pokarmu nie wykazała niczego interesującego. Ofiara najprawdopodobniej nie zażywała środków odurzających, a stan zdrowia przed śmiercią wydawał się w normie.

W raporcie znajdowało się także kilka stron protokółów z prefektury. Zawierały one odtworzenie dynamiki czynu, którą w przybliżeniu z całym mnóstwem detali przedstawił Violante, łącząc swoje spostrzeżenia z miejsca zbrodni z rezultatami ekspertyz. Violante podejrzewał, że atak mordercy nastąpił od tyłu, trochę z lewej strony ofiary. Kiedy Alfredo Łupi upadł na ziemię, gwałtownie uderzył głową o podłogę i obrócił się, wystawiając klatkę piersiową na furię mordercy.

W przedniej części ciała rany krwawiły mniej niż te z tyłu, to znaczy, że zostały zadane pod koniec napaści, kiedy ofiara wydała już ostatnie tchnienie.

Ferrara zamknął teczkę i otworzył drugą, która miała u góry napis: „Prefektura Florencji - Biuro Regionalne Policji Kryminalnej. Próbki do badań”. Na dole widniała kwadratowa pieczęć: „Oryginał dla władz sądowniczych”

Zawierała dziesiątki fotografii i ledwie dwie strony maszynopisu. Ani jeden z odcisków nienależących do ofiary, który nadawałby się do porównań, nie został zabezpieczony na miejscu zbrodni, nie odnaleziono też żadnych szczególnych śladów w pobliżu zwłok. Rezultat pozytywny przyniosły badania balistyczne. Użyto beretty model 92 z tłumikiem.

Ta broń jest niestety bardzo rozpowszechniona. Prawie legendarna. Używana przez policjantów na całym świecie, także jako wyposażenie policji Stanów Zjednoczonych ze względu na stabilność strzału i precyzję. Broń półautomatyczna, zaopatrzona zazwyczaj w zabójcze naboje 9 milimetrów parabellum. Model 92F używany jest także przez siły zbrojne Włoch, przez karabinierów i policję oraz przez dużą część świata przestępczego.

Zbyt często spotykana, aby doprowadzić do zabójcy, pomyślał Ferrara.

Zdjęcia pokazywały poraną ranami twarz ofiary pod różnymi kątami, były też duże zdjęcia ciała leżącego na ziemi w pozycji, w jakiej zostało znalezione oraz zdjęcia z ulicy. Sfotografowano również przedmioty znajdujące się w sklepie, w tym szesnastowieczny krucyfiks, o którym wspominał jeden z artykułów prasowych, a który wcale nie był aż tak blisko zwłok, jak sugerowano. Była tam wielka szafa z siedemnastego wieku ustawiona równoległe do drzwi wejściowych i dzieląca pomieszczenie na dwa mniejsze, prawie dokładnie równe. Szafa ta zasłaniała widok z zewnątrz. Ciało, jak podawały gazety, zostało znalezione za szafą przez dwóch francuskich turystów, którzy weszli do sklepu, mimo że nie był jeszcze otwarty.

Skończywszy czytać, komisarz doszedł do wniosku, że powinien zabrać się ostro do pracy.

- Przebiegły Kot rusza do akcji - powiedział do siebie z odrobiną

kokieteryjnej ironii.

Do sklepu, w którym dokonano zabójstwa, światło wpadało tylko przez wielką witrynę chronioną roletami i metalową kratą przesuwaną poziomo, otwartą w trzech czwartych. Uzyskawszy telefonicznie zezwolenie sędziego, Ferrara kazał zdjąć pieczęcie i wszedł do środka sam, zostawiając na zewnątrz policjanta.

Wnętrze było zaskakująco duże. Pierwsze pomieszczenie miało wymiar około ośmiu metrów na dwadzieścia i podzielone zostało mniej więcej na połowę przez ową widoczną na zdjęciach, siedemnastowieczną ciężką szafę. Drugie pomieszczenie było mniejsze i wchodziło się do niego po czterech schodkach z lewej strony wejścia. Dalej znajdowało się zaplecze.

Wszystkie pomieszczenia zastawione były meblami, obrazami, rzeźbami i przeróżnymi przedmiotami, od kryształowych kieliszków i srebrnych czajniczków po miedziane chochle i złoczone ramy obrazów. Wszędzie panował bałagan, pachniało kurzem, wilgocią i śmiercią.

Ferrara zapalił światło. Porcelanowa sowa popatrzyła na niego z wyrzutem.

Notując w myślach położenie różnych przedmiotów, skierował się ku zasłoniętej szafą tylnej części głównego pomieszczenia. Zanim zabrano ciało, obrysowano kredą na podłodze jego kontury. Przy bocznej ścianie, około półtora metra od kredowego obrysu, stało biurko zasypane zeszytami, fakturami i kartkami. Ferrara podszedł i przyjrzał się, nie dotykając niczego. Nic szczególnego nie przyciągnęło jego uwagi, ale mimo to przez kilka minut stał nieruchomo, przyglądając się wszystkiemu dookoła. Zaglądał też w najciemniejsze zakamarki, które jego oczy mogły z tego miejsca dostrzec. Chciał wczuć się w atmosferę miejsca, poczuć jego zapach i wibracje. Poczuć się tak, jak musiała się czuć ofiara na chwilę przed śmiercią, znaczyło dla Ferrary więcej niż jakikolwiek raport, nawet najbardziej skrupulatny i

dokładny.

Po dziesięciu minutach wyszedł ze sklepu, znów zapieczętował wejście i odesłał policjanta do prefektury, a potem z telefonu komórkowego zadzwonił do Petry, że nie wróci na obiad. Długo stał, obserwując ulicę.

Ulica Santo Spirito, która odchodzi od Borgo San Frediano i zmienia się potem w Borgo San Jacopo za skrzyżowaniem z ulicą Maggio, to wąska uliczka dzielnicy Oltrarno, dzielnicy sklepikarzy i rzemieślników; miejsce wędrówek turystów, którzy przechodzą przez Ponte Vecchio po to, by udać się do niezliczonych sklepów ze starociami. Nawet w tę sobotę, mimo dojmującego zimna i ponurego, nudnego dnia, dzielnica była zatłoczona, pełna ciekawskich, spacerujących w tę i z powrotem ludzi. Brzydka pogoda, która trwała już od tygodni, wcale nie chciała odejść wraz z nastaniem nowego roku.

Komisarz popatrzył na biura znajdujące się na wprost sklepu, tak jakby ich fasady mogły powiedzieć mu, co się tu stało. Przyjrzał się uważnie łukowatej bramie z czerwonego drewna ozdobionego metalowymi ćwiekami i niewielkiemu sklepowi z lewej strony, a zaraz potem zielonym drzwiom, obok których wisiała marmurowa tabliczka z napisem „Przychodnia fizjoterapeutyczna - II piętro”.

Wydało mu się, że w oknie drugiego pietra zauważył jakiś ruch, spróbował więc nacisnąć dzwonek znajdujący się pod tabliczką przychodni.

Usłyszał szcęk i zamek odskoczył.

Wszedł na drugie piętro.

Przyjęła go tam około czterdziestoletnia, chuda, anonimowa kobieta w okularach oprawionych w sztuczny szylkret.

- Szukam pani Laury Nucci.

- To ja.

- Komisarz Ferrara z wydziału śledczego. Przepraszam za najście, ale kiedy patrzyłem z ulicy, miałem wrażenie, że ktoś tu jest, dlatego...

- Skorzystałam z wolnego dnia, żeby nadrobić trochę zaległości - wyjaśniła

kobieta.

- Czy mogę zadać pani kilka pytań?

- Oczywiście, proszę za mną.

Zaprowadziła go za pustą w tej chwili recepcję.

- Wiem, że pani już złożyła zeznania nadinspektorowi Violantemu, ale chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań. Może przypomniała sobie pani jakieś nowe szczegóły? Czy to dla pani kłopot, jeżeli zacznę od początku?

- Nie, nic nie szkodzi. Cieszę się, że mogę pomóc. Widziałam, że ktoś wszedł do sklepu, ale...

- Proszę, niech pani opowie wszystko od samego początku.

- Oczywiście, ma pan rację, przepraszam. Tak. Właśnie otworzyłam drzwi wejściowe do przychodni. Weszłam i postawiłam torebkę na biurku, o, na tym tutaj, poszłam otworzyć okno, które wychodzi na ulicę. Okno i żaluzję oczywiście. Robię to co rano, kiedy przychodzę do biura, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza i żeby zrobiło się widno. Z okna zobaczyłam, że ktoś wchodzi do sklepu. Widziałam tylko jego plecy i to jedynie przez chwilę. To, co udało mi się zapamiętać, już powiedziałam. Niczego więcej sobie nie przypominam.

- Która była godzina?

- Około wpół do dziewiątej.

- Dobrze. Co dalej?

- Wróciłam do biurka, żeby zabrać się do pracy, oczywiście potem już nie podchodziłam do okna, dopiero kiedy usłyszałam, że zatrzymują się tu samochody policyjne, które podjechały na sygnale. Wtedy dowiedziałam się, że ten sprzedawca został zamordowany.

- A w czasie pomiędzy podejściem do okna a pojawieniem się samochodów policyjnych nie słyszała pani niczego szczególnego?

- Oczywiście, że nie! Ulica, jak pan widzi, jest bardzo ruchliwa, mimo że jest wąska i jednokierunkowa. A może właśnie dlatego? No i jest telefon, przychodzą pacjenci, dzieciaki strzelają petardami.

- Znała pani ofiarę?

- Tylko z widzenia, ale wydawał się osobą dobrze wychowaną, wykształconą, miłą. Takie oczywiście robił wrażenie.

- Oczywiście - powtórzył Ferrara sam do siebie, a potem dodał: - Dobrze, teraz proszę o cierpliwość, niech pani postara się wysilić pamięć i opisz jeszcze raz, z jak największą dokładnością, osobę wchodzącą do sklepu.

- Zwróciłam uwagę na wzrost i budowę ciała, to oczywiste. Był wysoki, tego jestem pewna, tak około metra osiemdziesięciu. Był przystojny, szczupły, atletycznie zbudowany. Włosy raczej krótkie, przynajmniej z tyłu, nie dotykały marynarki. Ubrany był w ciemny garnitur i miałam wrażenie, że jest bardzo młody, ale nie był stąd.

- Skąd pani to może wiedzieć?

- Właśnie z powodu stroju. Tutaj ludzie noszą dżinsy i wiatrówki, ten nosił ubranie dobrze skrojone, eleganckie, może nawet czarne. Nie miał płaszcza ani kurtki nieprzemakalnej.

- Chodzi pani o coś w typie smokingu? Może taki garnitur, jaki noszą księża? Nie nosi się teraz za często czarnych ubrań, prawda?

- No tak, ale to na pewno nie był smoking, ale też nie strój księdza, nie powiedziałabym... Chociaż teraz, jak tak myślę, to nie można tego wykluczyć. Jak mówiłam, nie jestem nawet pewna, czy ubranie było czarne. Mogło być ciemnoszare albo ciemnoniebieskie. Na dworze panował jeszcze mrok, wie pan, o tej porze trudno coś takiego rozróżnić.

- Ale jest pani pewna, że to był mężczyzna, prawda?

- Tego jestem pewna, tak. Gdyby to była kobieta, musiałaby być bardzo wysoka, atletycznie zbudowana i mieć doskonałe przebranie.

- Jednak wykluczyć mimo wszystko tego nie można - powiedział komisarz sam do siebie. - A włosy jasne czy ciemne? Gładkie czy kręcone?

- Włosy blond, lekko kręcone. Już to mówiłam, na pewno jest to zapisane w moim zeznaniu.

- Oczywiście, ale wolę usłyszeć pewne rzeczy sam. Proszę jeszcze o

chwilkę cierpliwości. Przypomina pani sobie może jakieś inne szczegóły? Może na przykład nosił okulary?

- Tego nie byłabym w stanie zobaczyć. Jak już mówiłam, widziałam go tylko przez krótką chwilę. Bo oczywiście nie interesuję się sprawami innych - odpowiedziała kobieta, wyraźnie tracąc cierpliwość.

- I to jest to okno, oczywiście - wyrwało mu się niechcący.

- Właśnie to - odpowiedziała sucho kobieta, która musiała zauważyć tę prowokację.

Ferrara podszedł do okna i popatrzył w kierunku sklepu. Rzeczywiście, widać go było doskonale, a także to, czy wewnątrz sklepu jest oświetlone, czy też nie, ale z tej wysokości perspektywa mogła być nieco zwodnicza i niełatwo było określić wzrost człowieka. Gdybyż tylko ta kobieta była odrobinę bardziej ciekawska, pomyślał, albo gdyby otworzyła okno kilka minut później, kiedy ten ktoś stamtąd wychodził.

- Dziękuję za wszystko - pożegnał ją. - Proszę mnie nie odprowadzać, poradzę sobie.

Owinięty szalikiem i ubrany w ciepłą kurtkę szybkim krokiem przeszedł ulicą Santo Spirito i zatrzymał się w pierwszym barze, na jaki trafił. Dochodziła już prawie trzynasta i lokal był pełen turystów oraz stałych klientów.

Przy stolikach i ławie prowadzono ożywione dyskusje, a głównym ich tematem było zabójstwo Alfreda Lupiego.

- Zawsze uważałam, że ten facet to niezły numer - mówiła jakaś elegancko ubrana kobieta.

- Trochę dziwny to on był, nie ma co mówić, ale rozmawiałam z nim kilka razy i wydał mi się porządnym człowiekiem - odpowiedziała jej przyjaciółka.

- Myślę, że wplątał się w jakieś ciemne interesy - włączył się do rozmowy mężczyzna. - To się teraz często zdarza.

- „Ten, kto kradnie grosze, naraża się temu, który kradnie miliony” - barman zacytował toskańskie przysłowie.

- Poproszę piwo i kanapkę - powiedział komisarz.

- Może być z szynką i serem?

- Tak, dziękuję. Znał pan tego chłopaka, którego zamordowano?

- Czasami przychodził coś zjeść, jak wszyscy.

- Co to był za człowiek?

- Normalny, cichy, zajmował się swoimi sprawami. Nie sądzę, żeby miał tutaj jakichś przyjaciół, nigdy z nikim go nie widziałem.

- I nie zauważył pan niczego dziwnego ostatnio w okolicy? Jakichś obcych na przykład?

- Czegóż chcieć, pełno tu obcych, cudzoziemców, Włochów, turystów. A pan jest dziennikarzem?

- Nie, jestem tylko ciekawy.

Podszedł do kasy, kazał sobie podać dwa pudełka cygar Antico Toscano, zapłacił i wyszedł.

Ponieważ nie padało, zdecydował, że przejdzie się pieszo ulicą Tornabuoni, San Lorenzo, przez plac del Mercato i ulicą Santa Reparata. Pół godziny spaceru dla zdrowia.

Stanął na Ponte Santa Trinita, spoglądając na rzekę Arno, która po ostatnich deszczach bardzo przybrała. Wody płynęły z impetem, unosząc ze sobą wszelkie brudy, ale nie tajemnice, w jakie zawsze spowita była Florencja.

Dziwne miasto ta Florencja, zastanowił się. Jedno z najpiękniejszych i najbardziej uwielbianych miast na świecie, o bogatej historii i pełne skarbów sztuki, sprzedaje się zwiedzającym jak chętna kurtyzana. Jednak o ile z jednej strony stroi się i oddaje, o tyle z drugiej okopuje się w martwej ciszy za ciężkimi bramami patrycjuszowskich siedzib, zazdrosna o intymność, której nie pozwala sprofanować.

Zastanawiamy się, co ukryte jest tam w zamknięciu, za murami. To

wspomnienia sekretnych intryg, zdrad i spisków, z których utkana jest jej przeszłość.

Te dwie twarze Florencji zachwyciły go, odkąd tu przybył i wiedział, że będzie nimi oczarowany aż do ostatnich dni swojego życia, które ktoś postanowił skrócić.

Kto wie, czy jego śmierć zapowiedziana łacińską maksymą nie dołączy do rzeki tajemnic, która przepływa w ukryciu przez miasto i tylko czasami na chwilę wypływa na powierzchnię, tak jakby chciała przypomnieć światu, że zło, wyłącznie zło jest nieśmiertelne i nigdy nie ginie naprawdę.

Nawet gdyby starać się je ustawić ponad dziewiczą, czystą chwałą *Narodzin Wenus* Botticellego albo przytłoczyć tonami kamienia *Dawida* Michała Anioła.

Kiedy wrócił do prefektury, wezwał do siebie Rizza.

- Witam z powrotem w pracy, szefie - pozdrowił go, wchodząc do biura. - Jak Wiedeń?

- Jak marzenie, ale już się skończyło. Piękny początek nowego tysiąclecia, co?

- Bo tamto zakończyliśmy już na dobre - skomentował lakonicznie Rizzo. Był w lepszym humorze niż Ferrara.

- Czyli, jak rozumiem, nic nowego w sprawie zabójstwa Micallego?

- Nic a nic. Przeczesał się, co tylko się dało. Przyjaźnie, konto w banku, nawet stosunki z dostawcami. Przewróciliśmy do góry nogami jego mieszkanie, przestudiowaliśmy każdy papierek, zeszyt, notatkę. Przesłuchaliśmy sąsiadów. Nikt nie ma żadnego pomysłu, żadnych podejrzanych.

- A alibi księdza? Trzyma się?

- Cóż, proboszcz potwierdził, że pomiędzy pierwszą a drugą byli razem i przeglądali rachunki, a potem pozwolił mu iść po świece na ołtarz. Nie

znaleźliśmy nikogo, kto by temu zaprzeczył. Również na temat prawdopodobnego homoseksualizmu don Sergia nikt nic nie mówi, nie możemy niczego udowodnić. Prawdę mówiąc, szefie, mam ochotę się poddać. Tyle się teraz dzieje. Nie mogę zajmować się sprawą jakiegoś, za przeproszeniem, pedała, za którym w sumie nikt nie płacze.

- To przekleństwo naszego zawodu, Rizzo. Nigdy nie ma czasu na to, by się na czymś skoncentrować, zawsze jest coś jeszcze do zrobienia... Ale poddać się? Nie. nierozwiązane sprawy nie powinny być zamykane. Muszą zostać gdzieś w głowie, czasami zdarza się, że wskazówka pojawia się znikąd nawet po kilku miesiącach czy latach i byłoby straszne, gdybyśmy nie byli w stanie jej pochwycić. Że nikt po nim nie płacze? To nie jest do końca prawda. Miasto po nim płacze, nawet jeżeli o tym nie wie. A przede wszystkim gdzieś w głębi się boi. Na wolności jest morderca, oby to był tylko, żeby tak powiedzieć, „incydent” i więcej się nie powtórzył. Pamiętajmy jednak, w jaki sposób został zabity Micali, jak poranił go zabójca. Było coś zbyt okrutnego w tej zbrodni, coś, przez co nie można liczyć na to, że były to tylko osobiste porachunki. Przynajmniej tak sądzę.

- Ja także, ale co mam robić? Mieć nadzieję, że morderca uderzy po raz kolejny? I ile jeszcze razy? - stwierdził gorzko Rizzo.

- Miej oczy szeroko otwarte, tylko tego od ciebie oczekuję. Co wiesz o wczorajszych dwóch zabójstwach?

- Wszystko. Byłem z Alfonsim u staruszka, niedawno wróciliśmy. Złożył pełne zeznanie, biedaczysko... Ta sprawa należy już tylko do sądu. Drugie zabójstwo to zupełnie inna historia. Może być równie tajemnicze jak zabójstwo Micaliego.

- Także i w tym przypadku zabójca ranił nożem twarz i górne części ciała ofiary.

- Ale broń, której użył do zabójstwa, to pistolet. Brakuje też komponentu homoseksualnego, który dla mnie był podstawowy przy zabójstwie Micaliego. Ten Alfredo Lupi był żonaty i miał małe dziecko.

- To wszystko prawda, ja także myślę, że homoseksualizm jest bardzo istotny w tym pierwszym zabójstwie. Dlaczego nie wezwiemy Violante i Serpica i nie spróbujemy tego wszystkiego podsumować? Byłem na ulicy Santo Spirito, wiesz?

- Doskonale, zaraz się tym zajmę.

Podczas gdy czekali na inspektorów, zadzwonił telefon.

- Jakiś Beccalossi - powiedziała kobieta z centrali. - Pyta o pana albo o komisarza Rizzo.

- Beccalossi? Kto to taki?

- Właściciel sklepu, w którym pracował Micali - szepnął Rizzo, a oczy rozświetliło mu nagłe zaciekawienie.

- Proszę połączyć - powiedział Ferrara, włączając głośnik.

- Słucham?

- Komisarz Ferrara przy telefonie.

- Nie słyszę zbyt dobrze.

- Włączyłem głośnik, aby także komisarz Rizzo, który jest u mnie, mógł pana usłyszeć - uprzedził szef wydziału śledczego, tak jak tego wymagały dyspozycje dotyczące prywatności rozmów.

- Słyszę pana jakby z daleka.

Dobra strona wyższej technologii!

- Proszę się nie przejmować, ja pana słyszę doskonale. Proszę mówić.

- No cóż, to może nie być ważne, wiem, ale pan sam powiedział, żeby dzwonić... Zorientowałem się, że czegoś jednak w sklepie brakuje. Właśnie zrobiłem remanent na koniec roku i wynika z niego, że brakuje jednego takiego czarnego notesu ze złotym krzyżem na okładce. W dzień przed śmiercią Micaliego było ich dwadzieścia dwa, sam taką liczbę wpisał w księdze głównej, był bardzo skrupulatny. Od tego czasu sprzedałem ich cztery, jeden znaleziono pod ciałem biednego Stefana, jak pan pamięta, a teraz mam ich tylko szesnaście.

- Rozumiem, dziękuję. Jest coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. Czy to się wam na coś przyda?

- Wszystko może się przydać. Dziękuję panu. I proszę dzwonić, jak tylko coś się panu wyda ważne. Był pan naprawdę pomocny - odłożył słuchawkę. Przypomniawszy sobie rezultaty badań kryminalistycznych tego, co po oczyszczeniu z plam krwi na pierwszy rzut oka wyglądało na niewielką biblię albo modlitewnik. Był to notatnik, zwykły notatnik z pustymi białymi kartkami.

Dwaj komisarze wymienili między sobą niepocieszone spojrzenia. Zainteresowanie w oczach Rizza zaczęło gasnąć.

- Zaczniemy od motywu. Zawsze jest motyw, nawet wtedy, kiedy go nie widać. Może to czyste szaleństwo, ale jakaś przyczyna, która porusza ręką zabójcy, musi istnieć. Kiedy znajdziemy motyw, będziemy już w połowie drogi - zaczął Ferrara.

Znów siedzieli wokół prostokątnego stołu konferencyjnego ustawionego przy przeciwległej do biurka ścianie.

- Wykluczyłbym kradzież i dzieło przypadkowego szaleńca - zawyrokował nadinspektor Violante. - Portfel ofiary był nietknięty, a z kasy sklepu nie zabrano ani grosza.

- Poza tym zadano zbyt wiele ciosów jak na złodzieja czy wariata - zgodził się Rizzo i dodał: - Może to dzieło jakiegoś fanatyka religijnego albo psychopaty. Może to ktoś, kto wszedł do sklepu z antykami, bo któryś z wystawionych przedmiotów związanych z religią sprawił, że do jego świadomości dotarł jakiś koszmar, coś, co od dawna było jego obsesją. Kiedy już wszedł, zobaczył w ofierze wcielenie swojego koszmaru, więc ranił go śmiertelnie z niesłychaną zaciekłością.

- Mało prawdopodobne i zbyt literackie, ale nie mogę tego całkowicie wykluczyć - ocenił Ferrara. - Ta hipoteza między innymi mogłaby wykazać powiązanie między zabójstwem przy ulicy Santo Spirito a zabójstwem w

Greve: i tu, i tam zabito osobę pracującą w sklepie z dewocjonaliami. Pistolet co prawda nie pasuje do hipotezy działania pod wpływem nagłego impulsu, ale nie mogę odrzucić możliwości, że po ulicach chodzi fanatyczny zabójca religijny, który nosi przy sobie pistolet choćby dla ochrony.

- Według mnie Alfredo Łupi był ofiarą wybraną - znów odezwał się Rizzo.
- Morderstwo było zaplanowane. Trzeba przyjrzeć się życiu prywatnemu ofiary, żeby zorientować się, czy naprawdę nie miała wrogów.

- Zgoda. A ty co o tym myślisz, Sergi?

Serpico aż do tej chwili siedział, nie odzywając się. Był trochę zakłopotany wobec swoich przełożonych. Ferrara zauważył to i chciał go zachęcić, wiedząc, jakie miał na ten temat zdanie.

- Zgadzam się z wami, ale - zawahał się - nie zapominałbym o tym, że często na sklepach tego typu wymusza się haracze. We Florencji to powszechna praktyka, szczególnie w San Frediano. Szefie, trzeba pamiętać też, że sklep kiedyś należał do Ricciardiego i że na pewno związane są z nim jakieś męty. Może ofiara zapłaciła życiem za sekret odkryty przypadkiem?

- Doskonale. Wydaje mi się, że mamy aż nadto hipotez jak na razie. Powinniśmy się podzielić: Rizzo zajmie się życiem prywatnym Lupiego, Violante sprawdzi trop związany z obsesją religijną, Sergi i ja skoncentrujemy się na wymuszeniach, poczynając od naszych informatorów. Kto wie, może jakaś podpowieź tym razem nam się przyda.

Wiedział doskonale, jak wszyscy policjanci, że większość spraw rozwiązywano dzięki informacjom uzyskanym od informatorów policyjnych, od których wcale nie tak rzadko zależały też policyjne kariery.

Rozdzielił zadania, a sam jeszcze na kilka godzin został w biurze. Podpisał raport końcowy w sprawie dwojga starszych ludzi z Coverciano, przejrzał stosy papierów leżące na biurku, napisał dla prokuratora relację ze sprawy Lupiego i załatwił jeszcze kilka drobnych spraw. Wrócił do domu po

dziewiątej. Tak jak wiele razy w przeszłości, dzień pierwszego stycznia był dla niego zwykłym dniem pracy.

Petra czekała na niego z kolacją. Zapiekane sardynki, danie, które komisarz naprawdę bardzo lubił. Jego żona była w dobrym humorze, co go zaskoczyło, kiedy pokazała mu kolejny anonim. Znalazła go pomiędzy listami, które przyszły, kiedy byli jeszcze w podróży do Wiednia.

Może dzięki swemu praktycznemu podejściu do życia albo dlatego, że minęło tyle czasu bez kłopotów, Petra poradziła sobie z przerażeniem, jakie wywołał w niej pierwszy anonim i wydawało się, że podchodzi do tych wiadomości jak do dziwactw kogoś niespełna rozumu, kogoś, kogo nie należy brać za bardzo serio.

Na dodatek ten list był inny niż poprzedni, zarówno w tonie, jak i w formie.

Nie było na nim czerwonych plam i wydrukowano go na drukarce laserowej.

WIELCE SZANOWNY KOMISARZU PRZEBIEGŁY KOCIE,
WIEDZIAŁ PAN, ŻE W KRÓLESTWIE ŚMIERCI OSTATNI SĄ
PIERWSZYMI, A W KRÓLESTWIE SŁOWA PIERWSZA BĘDZIE
OSTATNIĄ?

A MOŻE UMIESZ TYLKO PALIĆ TOSKAŃSKIE CYGARA,
NIESZCZĘŚNIKU?

Nic, tylko to. Żadnych bezpośrednich pogrózek.

Możliwe, że listy nie miały ze sobą nic wspólnego, komisarz Ferrara nie mógł jednak nie zauważyć, że oba nadeszły w czasie powiązanim z jakąś krwawą i tajemniczą zbrodnią.

Z drugiej strony ostatni list mógł nadejść w każdym momencie ich długiej nieobecności, toteż nie musiał być związany ze zbrodnią popełnioną dzień wcześniej. Nie było zresztą także żadnych dowodów, że pierwszy list miał

jakikolwiek związek z zabójstwem Micaliego.

Zdecydował się nie schodzić z wcześniej wytyczonej drogi.

Jeżeli chodzi o list, to wolał tym razem nie dawać go do badania swojemu przyjacielowi Fuschiemu z kryminalistyki. Pamiętał, aż za dobrze, jak dziwnie tamten na niego spojrzał, przynosząc analizę pierwszego.

- Wolałem przyjść osobiście - powiedział w poniedziałek zaraz po dniu, w którym popełniono zbrodnię, po zrelacjonowaniu osobistej tragedii, jaką był wynik 3 do 1, którym to Roma upokorzyła Fiorentinę. - Nie zrobiłem pisemnego raportu, bo musiałby zostać w aktach.

- Dziękuję.

- Nie mam ci jednak wiele do powiedzenia. Papier to zwykła kartka A4, plamy krwi to czerwony lakier, który znajdziesz w każdym sklepie z farbami, klej to taki sam klej, jaki można kupić w każdym papierniczym. Nie było odcisków żadnego typu ani pod literami, ani w kleju, ani na kartce. Ani jednego.

- Dobrze, dziękuję.

To wtedy spojrzał na niego z tym dziwnym wyrazem twarzy.

- Dobrze mnie zrozumiałeś?

- Oczywiście, dobrze zrozumiałem.

- Nie było odcisków palców.

- Słyszałem, nie jestem głuchy.

Wzruszył ramionami.

- Dobra, to ty jesteś policjantem. Jako zwykły człowiek zastanawiam się tylko, jak to możliwe, że nie było tam odcisków zmarłego, który przecież musiał dotykać kartki...

- To oczywiste, że morderca musiał je zetrzeć potem - zaczął się bronić Ferrara.

- Zamiast zabrać ze sobą kartkę? Traci czas i ryzykuje, że ktoś wejdzie do sklepu i złapie go na gorącym uczynku? I to z jakiego powodu? Bo chce, żeby wszyscy wiedzieli, że mu groził?

- Daj spokój, te problemy muszę rozwiązać sam - uciął Ferrara, ale zdawał sobie sprawę, że nie wygląda to za dobrze.

Może taką zagadkę powinienem zadać swojemu przyjacielowi Massimowi, on uwielbia szarady, pomyślał, obiecując sobie, że zajrzy do niego, gdy tamten wróci z Wiednia. Włożył płytę CD z ariami śpiewanymi przez Natalie Dessay - ostatnie odkrycie Petry - i postanowił zakończyć ten dzień przy muzyce w towarzystwie żony.

Nie tylko państwo Ferrara przerwali wakacje. Valentina Preti wróciła pospiesznie do Bolonii z San Vigilio dwudziestego dziewiątego grudnia, dwa dni przed Nowym Rokiem. Dokładnie tydzień po swoim przyjeździe. Opuszczając stolicę Emilii-Romanii, bliska była wyczerpania nerwowego, wróciła tam bardziej zagubiona i zmieszana niż kiedykolwiek, ale zdecydowana ostatecznie zakończyć związek, który mógł zniszczyć jej życie na zawsze.

Valentina co najmniej dwa razy w roku wracała do domu, do pięknego hotelu, który był własnością jej rodziny od trzech pokoleń. Przyjeżdżała na Boże Narodzenie i w karnawale albo na Wielkanoc. Rzadko latem.

Można śmiało powiedzieć, że urodziła się z nartami na nogach. Lubiła długie zjazdy schodzące ze szczytów Plan de Coronas, ale od letnich spacerów po ścieżkach Dolomitów wolała plaże i morze południowych Włoch, wyspy greckie, zwyczajne i o wiele tańsze weekendy na Cinque Terre* albo wypady nad Zatokę Poetów**.

* CINQUE TERRE - FRAGMENT RIWIERY LIGURYJSKIEJ.

** TAK NAZYWANA JEST ZATOKA LA SPEZIA NA WSCHODZIE LIGURII, KTÓRĄ W PRZESZŁOŚCI ODWIEDZAŁO WIELU SŁYNNYCH ARTYSTÓW.

W Bolonii mieszkała od czterech lat w mieszkanku, które dzieliła z przyjaciółką Cinzią Roberti. Kiedy skończyła liceum, mając osiemnaście lat, zapisała się na Uniwersytet Boloński i przeprowadziła zadowolona, że w końcu opuszcza ograniczone, zamknięte przestrzenie zakątka doliny Val

Badia, w której dotąd mieszkała.

Ułatwiła to przyjaźń z Cinzią, córką bolońskiego chirurga, młodszą od niej o dwa lata.

Cinzią Roberti była prawie dokładnym przeciwieństwem Valentyny Preti.

- To dzikie zwierzątko - żartobliwie opisywał ją ojciec, kiedy musiał przeproszać za jej impertynencje. Chudziutka i niska, miała czarne włosy, była impulsywna, niezależna, uparta i zdeterminowana tak bardzo, jak Valentina była niepewna i delikatna. Znały się, odkąd były małymi dziewczynkami. Państwo Roberti zaczęli przyjeżdżać do San Vigilio di Marebbe w 1990 roku, kiedy odkryli hotel Passo Selva i wspaniałą gościnność rodziców Valentyny, którzy za punkt honoru postawili sobie, by przyjmować gości w taki sposób, jakby byli członkami wielkiej rodziny. Rodziny, dla której wielki hotel będący w posiadaniu Pretich stanowił główne miejsce spotkań. Jak inni goście, Roberti wracali potem regularnie, co roku, by spędzić tydzień na nartach.

Valentina miała wówczas dwanaście lat, Cinzią dziesięć. Początkowo stosunki między obiema dziewczynkami nie były najłatwiejsze. Różnice charakteru, a przede wszystkim wieku, tak wyraźne szczególnie w dzieciństwie, natychmiast zaczęły je do siebie zniechęcać.

Młodsza nie znosiła przebywania w domu starszej, gdzie miała ochotę rządzić, a starsza nie rozumiała, dlaczego ma być miła i opiekuńcza w stosunku do kapryśnej i zaborczej smarkuli.

Rodzice zarówno jednej, jak i drugiej doprowadzili w końcu do tego, że zaczęły się wzajemnie akceptować, a ta akceptacja potem powoli zmieniła się w prawdziwą przyjaźń.

Kiedy Valentina postanowiła zapisać się na wydział sztuki, Cinzia szybko przekonała rodziców, że mimo iż ma szesnaście lat, koniecznie musi mieć jakąś przestrzeń, gdzie mogłaby się spokojnie uczyć, miejsce niedaleko uniwersytetu, na którym za parę lat będzie studiować. Państwo Preti i państwo Roberti wspólnie wynajęli mieszkanie dla obu dziewcząt.

Valentina miała wracać do domu co tydzień, ale szybko zaczęła rezygnować z tych męczących podróży. Nie zrezygnowała jedynie z kilku w roku dłuższych powrotów do domu.

W Boże Narodzenie 1999 roku szczególnie odczuwała wielką potrzebę odpoczynku i refleksji. Zbliżał się termin zakończenia studiów, a ona nie miała jeszcze pomysłu na to, co chciałaby robić potem. Do tego stosunki z Cinzią znów stały się napięte i trudne.

Ostatnie miesiące były jedną wielką kłótnią. Przyjaciółce nie podobało się, że Valentina zdecydowała się na zajęcia we Florencji, mimo że w ciągu trzech miesięcy pojechała tam ledwie cztery razy. Krytykowała także jej znajomość z amerykańskim dziennikarzem, z którym utrzymywała regularne kontakty. Chociaż widziała go tylko raz, bo wyjeżdżał często w podróże służbowe, pisała do niego e-maile, rozmawiała na czacie i przez telefon komórkowy.

Kolejna wściekła kłótnia wybuchła dwudziestego pierwszego grudnia i przekonała Valentinę do wcześniejszego wyjazdu do domu, gdzie miała zostać aż do święta Befany szóstego stycznia. Miał to być czas na odpoczynek i zastanowienie. Nie mogła przewidzieć, że zamiast bożonarodzeniowego spokoju czeka ją tydzień rozterek, które doprowadziły do tego, że rozszalały się w niej głęboko skrywane emocje.

- Jesteś coraz piękniejsza - powiedział ojciec, kiedy przyjechał po nią na stację w Brunico.

Był taki jak zawsze. Tęgawy, dobrze ubrany, jowialny. Zawsze, kiedy go widziała, budziło się w niej poczucie winy.

W trakcie podróży rozmawiali o postępach w nauce i o nowinach z hotelu, o salonie fitness z sauną i masażami, który matka organizowała na ostatnim piętrze budynku, gdzie wcześniej były tylko strych i poddasze.

- Twojego pokoju nikt nie ruszał - zapewnił ojciec.

Padał śnieg i zrobiło się już ciemno, ale niepowtarzalny kształt wielkiego hotelu z wieżyczką na dachu powitał ją ciepłem rozświetlonych okien.

Czekała na nią matka ze starym posłańcem Carlem oraz z portierem. Kiedy wszyscy obejmowali ją serdecznie, zawładnęło nią poczucie dławiącej tęsknoty.

Obeszła sale, pozdrowiła niektórych gości grających w karty albo rozmawiających w barze. Czekali na otwarcie sali obiadowej. Zeszła do kuchni, gdzie kucharka przygotowywała kolację złożoną z dań ladyńskiej kuchni regionalnej, a kelnerzy szykowali butelki z winem. Wielkie pomieszczenie pachniało dojrzewającą szynką oraz gotowaną wieprzowiną do klasycznej panicii - zupy z jęczmienia i fasoli z golonką i warzywami.

- Oto i mój skarb! - pozdrowiła ją kucharka, która była przy jej narodzinach. Wytarła ręce ścierką, aby móc uścisnąć dziewczynę w swoich potężnych ramionach. - I popatrz, co my tu mamy! - dodała zaraz po wycelowaniu, podnosząc serwetkę z wielkiego półmiska pełnego *cranfus mori* - smażonych ciasteczek z czerwonymi borówkami, które Valentina wręcz uwielbiała. - Nie krępuj się, bierz, jest ich całe mnóstwo.

- Dziękuję, są wyborne jak zawsze - stwierdziła Valentina po zjedzeniu jednego i odeszła, oblizując palce.

Tego wieczoru jedli kolację w saloniku, który był wyłącznie do ich dyspozycji, a ojciec odszedł od stołu tylko kilka razy, aby porozmawiać przez chwilę z gośćmi, jak miał w zwyczaju, upewniając się, czy wszystko jest w porządku.

- Jeżeli chcesz, to jest wolny pokój na pierwszym piętrze, sto czternaście. Właśnie go odnowiliśmy, ma wszelkie wygody i unowocześnienia, telewizję kablową, faks, pełny barek... - powiedziała w pewnym momencie matka.

- Dziękuję, mamo, ale wolałabym swój pokój.

- Jak chcesz, tyle tylko, że to niewygodna klatka. Ale jak zawsze czeka na ciebie.

- Nie wiem, jak dajesz radę tam spać - dodał ojciec. - Nie ma nawet

łazienki, a żeby skorzystać z toalety, musisz przejść pół korytarza. Przy prowadzonych w tej chwili pracach jest tam paskudny bałagan!

- Ale tam są moje rzeczy, moje wspomnienia... Naprawdę tam mi się podoba, nie przejmujcie się niczym.

- Jak chcesz.

Valentina chciała. Chciała wrócić do swojego dziecięcego pokoju, schronić się w nim i zapomnieć, mimo że, jak to przed chwilą powiedziała, w tym pokoju były jej wspomnienia...

Ścięty sufit, plakat Spice Girls, lalki Barbie porządnie ustawione na półeczce białego regaliku, liliowa tapeta, kolekcja pucharów i medali, które zdobyła w zawodach narciarskich. Był też telewizor z magnetowidem w jednym oraz wieża stereo i stojak na płyty CD, trochę książek i mnóstwo komiksów w drugim kącie. Valentina rozejrzała się dookoła, nie odnajdując w tych przedmiotach ciepła, którego się po nich spodziewała. Bardziej niż towarzyszami dziecięcych zabaw wydały jej się nagle milczącymi świadkami zdrady, o którą ją oskarżały. Zdradziła swoją rodzinę, swoją przyszłość, wszystkie swoje marzenia. Zdradziła samą siebie w nieświadomości niewdzięcznego wieku i nie wiedziała, jak z tego się wycofać.

Wszystko zaczęło się właśnie tutaj, w tym pokoiku pierwotnie przeznaczonym dla służby, który ona chciała mieć dla siebie za wszelką cenę, kiedy miała dziesięć lat.

Położyła się do łóżka i zgasiła światło, ale trudno jej było zasnąć. Nawet to łóżko ją oskarżało.

To była noc w Wigilię Bożego Narodzenia 1994 roku. Valentina miała wtedy szesnaście lat, Cinzia czternaście. Rodzina Robertich przyjechała pod wieczór. Valentina czekała na Cinzię i na nowiny z miasta, a przyjaciółka jej nie zawiodła. Po kolacji wszyscy poszli się przejść. Dziewczęta chciały porzucać kulami śniegowymi, a dorośli - napić się gorącego ponczu, który na

placu rozdawali instruktorzy ze szkółki narciarskiej przebrani za świętych Mikołajów. Była muzyka i radość, ludzie witali się i składali sobie życzenia pod wielką kolorową choinką, a pomiędzy domami wisały girlandy wielobarwnych światełek.

Wielu ludzi czekało na pasterkę, tak jak i rodzice obu dziewczynek, ale im samym udało się nie pójść na mszę. Wróciły do hotelu, obiecując, że natychmiast pójdą spać. Zamiast tego, próbowały zgadnąć po wielkości paczek pod choinką, jakie prezenty czekały na nie następnego dnia.

- Mogę przyjść do twojego pokoju? - zapytała Cinzia.

- Tak, ale będziesz musiała wyjść, zanim wrócą twoi rodzice, bo inaczej zorientują się, że nie śpimy.

- Mam ci wiele do powiedzenia - obiecała przyjaciółka. - Idę przebrać się w piżamę i zaraz do ciebie przyjdę.

Valentina także pobiegła się przebrać i umyć zęby, zanim zjawi się koleżanka, bo łazienka była rzeczywiście dość daleko od jej pokoju.

Niedługo potem spotkały się i zaczęły plotkować. Cinzia była bardzo ożywiona, chaotycznie opowiadała o swoich nowych odkryciach, o fascynujących wydarzeniach w Bolonii, o lokalach, do których zaczęła chodzić mimo młodego wieku, o kręgu znajomych z liceum.

- Palisz? - zagadnęła w pewnym momencie.

- Nie, a ty? - chciała wiedzieć Valentina.

- Palę to - powiedziała Cinzia, wyciągając z kieszeni bloczek bibulek do papierosów, paczkę tytoniu i brązową kostkę, która wyglądała jak coś w rodzaju plasteliny.

Miała przekorną minę, uśmiechniętą lisią twarz rozświetloną niewinnym uśmiechem.

Jest tylko małą dziewczynką, która bawi się w dorosłość, pomyślała Valentina, mając ochotę przyłączyć się do tej zabawy.

Cinzia skruszyła kawałek kostki, wymieszała okruchy z tytoniem i skrzyła papierosa ze znanostwem, którym wzbudziła podziw Valentiny.

W tym momencie usłyszały nadjeżdżającą windę.

- Ćśś! - Valentina położyła palec na ustach.

- Co jest? - zapytała Cinzia.

- Bądź cicho. To pewnie moi rodzice. Zgaś światło.

Czekały przez chwilę. Usłyszały zbliżające się do drzwi kroki, jakieś wypowiedziane szeptem, ledwo słyszalne słowa. Potem nastąpiła cisza.

- Śpi - doszedł z korytarza głos ojca.

Kroki się oddaliły.

Winda zjechała w dół.

- A co z twoimi rodzicami? - zaniepokoiła się Valentina.

- Zamknęłam pokój na klucz, oni też pomyślą, że śpię. Nie zapalaj światła, tak jest bardzo miło. Lepiej otwórz okno, żeby wywietrzyć zapach dymu - powiedziała, zapalając papierosa i zaciągając się nim głęboko.

Światło księżyca oświetliło jej twarz, która Valentinie wydała się naprawdę prześliczna.

- Masz, spróbuj - zachęciła Cinzia, tłumacząc, jak powinna to zrobić.

Rozmawiały, paląc wspólnie jednego papierosa. Cinzia była coraz bardziej rozluźniona i wesoła, śmiała się z byle czego. Valentina czuła tylko, że jej umysł staje się trochę zamglony.

- Zimno, przykryjmy się kołdrą - zaproponowała Cinzia, kiedy skończyły palić.

Valentina posłusznie położyła się na plecach, przyjaciółka przytuliła się do niej, jakby szukając ochrony. Poczwała, jaka jest jeszcze drobna i dziecinna i rozczuliła się. Nie zorientowała się nawet, kiedy ręka Cinzii spoczęła na jej piersi. Naturalny gest, niewinny, a jednak zadrżała, kiedy poczuła, jak jej sutek nagle reaguje na ten dotyk. Zakłopotana wstrzymała oddech.

- Onanizujesz się czasem? - zapytała Cinzia łamiącym się, chrapliwym głosem, omiatając jej szyję i uszy ciepłym oddechem.

Valentina zorientowała się zaskoczona, że dłoń przyjaciółki nie leży w bezruchu, ale lekkimi, kolistymi ruchami głaszcze jej pizamę tuż nad

sutkiem, który stwardniał tak, że aż sprawiał ból. Odwróciła się z wahaniem do przyjaciółki, chcąc uzyskać wyjaśnienia. Zobaczyła czarne rozgorączkowane oczy, wąską twarz podobną do pyszczka fretki, usta uśmiechnięte zachęcająco, bliskie, coraz bliższe. Poczła ciepły oddech, który mieszał się z jej oddechem, oddech słodkawy, pachnący marihuaną pomieszaną z miętą.

Pocałowały się nieśmiało, potem jeszcze raz.

Poczła rękę wciskającą się pod guziki piżamy i głaszczącą miękkie, jędrne piersi.

Straciła nad sobą kontrolę.

Tej nocy kochały się po raz pierwszy i zostały kochankami na długo. Żadna z nich od tamtej pory nie czuła najmniejszego zainteresowania płcią przeciwną. Uważały, że są razem szczęśliwe i jedyne w swoim rodzaju. Wszelka wiedza związana z męskim organem seksualnym (okropnym penisem, jak go nazywały, śmiejąc się) pochodziła z gazet i kaset pornograficznych, które szczególnie Cinzia zawzięcie pochłaniała.

Przez kilka następnych lat oddalenie było dla obu dziewcząt prawdziwą torturą. Szukały wszelkich pretekstów, by się wzajemnie odwiedzać. Studia na Uniwersytecie Bolońskim wydały się Valentinie jedynym, właściwie obowiązkowym wyborem.

Tak zaczęło się ich wspólne życie, a w końcu ciągle kłótnie. Teraz jednak dla Valentiny nadszedł czas rozliczenia się ze sobą samą. Wierzyła, że w samotności swojego dawnego pokoju dziecięcego znajdzie spokój konieczny, by zastanowić się nad wszystkim. Tymczasem natychmiast wrócił niepokój i zawstyżenie tamtej pierwszej nocy.

Zrozumiała, że to wszystko nie będzie wcale łatwe.

- Wiesz, brakuje mi ciebie - pozdrowił ją głos w telefonie komórkowym rankiem dwudziestego piątego grudnia, ale nie był to głos Cinzii.

- To ty, Mike?

- Tak, to ja.

- Miło mi, że zadzwoniłeś. Najlepsze życzenia z okazji świąt.

- Kiedy wracasz do Florencji?

- Jeszcze nie wiem. Na razie zostanę tutaj aż do Befany - powiedziała, ale nie była tego całkiem pewna. Może brakowało jej Cinzii, może potrzebowała się z nią jeszcze raz zobaczyć, żeby zebrać w sobie dość odwagi, by pożegnać ją raz na zawsze? - Dlaczego nie przyjedziesz? Wszędzie w hotelach jest pełniusieńko, ale coś dla ciebie znajdę. Szlaki narciarskie są fantastyczne!

- Chciałbym, ale nie mogę. Mam coś do zrobienia.

- Cóż, dobrze. Zadzwonię do ciebie, kiedy będę już w Bolonii, okej?

- Będę czekał. Serdeczne życzenia!

Rozłączając się, Valentina zastanawiała się, czy ten Amerykanin nie przyczynił się o wiele bardziej niż chciała to przyznać przed samą sobą do kłótni z Cinzią i do jej wewnętrznego kryzysu. Był pierwszym mężczyzną, który w jakiś sposób ją zainteresował.

Przyczyny tego zainteresowania aż do teraz upatrywała w jego zdolnościach, które niewątpliwie stawiały go o wiele wyżej niż większość młodych mężczyzn, których znała. Był niewiele starszy od niej, a miał już nazwisko w tak wspaniałej gazecie jak „New York Times” i jeździł po świecie w poszukiwaniu ciekawych tematów, które sam wybierał i opisywał.

Kiedy zobaczyła się z nim w listopadzie we Florencji, pokazał jej długi tekst na temat San Gimignano i wystawy narzędzi tortur, na którą kiedyś miał ją zabrać, zważywszy na sukces ekspozycji i piękno tamtejszych okolic.

Ponieważ jej angielski nie był dość dobry, nie zrozumiała za bardzo artykułu, ale nazwisko pod tekstem zobaczyła bardzo wyraźnie. Nie mogła też nie zauważyć, że był pięknym mężczyzną.

- Kto dzwonił? - Matka, wchodząc, zauważyła, że Valentina rozmawia przez komórkę.

- Wesołych Świąt, mamó. To znajomy.
- Wesołych Świąt, kochanie. Przystojny?
- No cóż... tak.
- Dlaczego go tutaj nie przywiozłaś?
- Pracuje.
- W Boże Narodzenie?
- Jest sławnym dziennikarzem. To Amerykanin.
- Stary? - zaniepokoiła się kobieta. - Sławę zazwyczaj osiąga się w zaawansowanym wieku.
- Całkiem młody, mamó, byłabyś zachwycona.
- Najważniejsze, że ty jesteś zachwycona. Tak czy siak, niczego więcej nie pragnę. Powiedz mu, że czekamy na niego, niech przyjeżdża, kiedy zechce. Idziesz pojeździć?
- Oczywiście! - Valentina skierowała się do piwnicy, gdzie przechowywano sprzęt narciarski.

*

Jednakże ani spotkanie z przyjaciółmi, ani bieg zjazdowy z Plan de Corones przez przełęcz Furka aż do podnóży Miary nie przywróciły jej spokoju.

- Wiesz - zaczął wieczorem ojciec - widzę, że jesteś jakaś zatroskana.
- To pewnie przez egzaminy, tato.
- Na pewno? Przecież radzisz sobie doskonale.
- No tak, ale będzie jeszcze praca końcowa. To bardzo trudne zadanie.
- Jasne. Może jednak chodzi o coś innego? Nie potrzebujesz pieniędzy?
- Nie, tato, bądź spokojny. To, co mi dajesz, wystarcza aż nadto.
- A twój fiat panda? Pewnie nadaje się już tylko na złom? Jesteś pewna, że nie potrzebujesz nowego samochodu?
- Radzę sobie, a poza tym w Bolonii rzadko go używam. A do Florencji wolę jeździć pociągiem.

- Masz rację. Po drodze są Apeniny. A może przejmujesz się tak tym amerykańskim młodzieńcem, o którym mówiła mi mama?

- Nie, tato. To tylko znajomy, nie mam z nim żadnych kłopotów.

- A co z Cinzią? Wszystko dobrze? - drążył ojciec z cieniem zawodu na twarzy.

- Tak. Oczywiście. Możesz być spokojny.

Po raz kolejny zastanawiała się, czy rodzice coś podejrzewają.

Niepokój powrócił.

Powróciła też myśl o Cinzii, która nie dawała znaku życia. Valentina nie wiedziała, czy się z tego powodu cieszyć, czy niepokoić. Powróciła myśl o mieszkaniu, które wspólnie zajmowały, o tym, że kiedyś wydawało jej się rajem, a teraz coraz częściej przypominało duszne więzienie. Tak samo jak pokój na poddaszu, w którym spędziła ostatnią, tak bardzo niespokojną noc. Bała się na samą myśl, że będzie musiała tam wrócić, ale równocześnie pragnęła tego. Chciała raz jeszcze poczuć zachłanne uściski swojej małej przyjaciółki, kiedy były jeszcze dziećmi.

Może właśnie na tym polegał problem, pomyślała, odzyskując na chwilę jasność umysłu. Na tym, że żadna z nich nie była już dzieckiem. Stały się kobietami, a kto tak naprawdę ma ochotę dorosnąć w świecie takim jak ten?

Tej nocy też nie spała dobrze.

Śniła o Cinzii jako o trzynastolatce w sukni do pierwszej komunii. Przyszła do niej do pokoju uśmiechnięta radośnie. Valentina była naga i zawstydzona, próbowała się okryć, ale przyjaciółka, wciąż roześmiana, nie chciała jej na to pozwolić. Potem podała jej skromne białe ubranie, dziewczyna odwróciła się plecami i ubranie upadło na ziemię. Odwróciła się raz jeszcze i, zakrywając rękoma wzgórek łonowy, zaczęła się do niej powoli zbliżać, a ona patrzyła na nią zachwycona jej niedojrzałymi kształtami i sparaliżowana bezwstydem przyjaciółki.

Cinzia wybuchnęła wulgarnym śmiechem, w rękach ścisnęła okropny penis w stanie erekcji.

Valentina krzyknęła przez sen, ale się nie obudziła.

Krzyk roztrzaskał na kawałki obraz senny. Podświadomość wykonała niesłychany wysiłek, by znów go poskładać. Znów chciała cierpieć, ale kawałki obrazu nie okazywały posłuszeństwa. Zamiast czarnych włosów pojawiły się włosy blond, czarne oczy zmieniły się w jasne, zamiast diabolicznego chichotu pojawił się miły uśmiech, a zamiast okropnego penisa zobaczyła męski członek, niewinny jak te, które widywała, oglądając męskie akty w muzeach.

Twarz i ciało we śnie Valentiny należały do Mikea Rossa.

W Santo Stefano śnieg padał przez cały dzień i szlaki narciarskie zostały zamknięte. Valentina zeszła na dół do hotelu, zmęczona dziwnym snem, by pomagać to tu, to tam, pokojówkom i kucharkom. Nie zadzwoniła do Cinzii; nie wiedziała, co jej powiedzieć. Cinzia także nie dzwoniła.

Przez następne dni również tego nie zrobiła.

Dwudziestego ósmego natomiast zadzwonił Mike.

- Znalazłem prezent świąteczny dla ciebie - powiedział.

- To znaczy?

- Mieszkanie. Zupełnie przypadkiem tuż nad moim. Nie jest najbliżej uczelni, ale zawsze to lepsze niż te dojazdy z Bolonii.

- Nie rozumiem.

- Pozostała ci tylko dysertacja, prawda? Nie potrzebujesz już siedzieć w Bolonii. Powinnaś zamieszkać we Florencji. Chodzi o twoje badania. A poza tym to prawdziwa okazja. Zapewniam cię, że przy tutejszych cenach...

- Ależ nie można podejmować decyzji, ot tak, na kolanie, Mike!

- Nie wiem, co wy, Włosi, o tym sądzicie, ale według mnie jest tak, że jeżeli dziś się nie ruszysz, to jutro po prostu może być już za późno.

- Posłuchaj, to nie takie proste.

- Rób, jak uważasz, ale zatrzymam mieszkanie tylko jeszcze dzisiaj. Dałem

słowo, więc jak podejmiesz decyzję, daj znać.

- Pomyślę, ale i tak dziękuję.

- Daj mi znać - powtórzył.

Nie minęło pół godziny, kiedy ponownie zadzwonił telefon.

- Valentina?

- Cześć, Cinzio.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Ty też nie dzwoniłaś.

Valentina była zaskoczona swoją własną reakcją. Wewnętrznie topniała, zdawała sobie sprawę, że pragnęła tego telefonu bardziej niż czegokolwiek na świecie, a jednak znalazła siłę, by ostro zripostować słowa przyjaciółki.

- Kiedy wracasz?

- Obchodzi cię to?

Cisza.

- Nie usłyszałam.

- Zadałam ci pytanie.

- Nie wiem, może dopiero po święcie Trzech Króli.

- Dobrze się bawisz?

- A ty?

- Jak zwykle.

- Posłuchaj, Cinzio. Nie wiem, czy w ogóle chcę wracać do Bolonii.

Zaproponowano mi mieszkanie we Florencji i...

- Twój przyjaciel dziennikarz, co? - Ton głosu stał się nagle suchy i defensywny.

- To nie ma znaczenia. Ważne jest to, co ja myślę.

- Więc powiedz mi, co myślisz.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie wiem. Muszę pomyśleć o swojej przyszłości...

- A ze mną jej nie widzisz, czy tak?

Znów cisza.

- Oczywiście, że nie widzisz! - sama sobie odpowiedziała obrażonym głosem.

- Powtarzam ci, że nie wiem. Przyjechałam tu, żeby się zastanowić, ale zdarzyło się tyle rzeczy... Dziwnych rzeczy...

- Może chodzi tylko o podjęcie decyzji? To się w życiu zdarza. Ja zdecydowałam szybko. Może nawet za szybko. Postanowiłam, że chcę ciebie i nadal cię kocham, teraz twoja kolej.

- Też cię kocham, ale...

- Widzisz? Jest jakieś „ale”. W miłości nie powinno być żadnych „ale”. Nie muszę ci chyba tego mówić. Prawda jest taka, że ty już zdecydowałaś. Nie jest to decyzja, której oczekiwałam, ale nie będę cię błagać. Nic by to nie dało. Niestety zbyt dobrze cię znam. Znam cię lepiej niż ty sama siebie.

- Może to i prawda. Zawsze za dużo wiedziałaś. Od samego początku. Wiedziałaś, gdzie mnie dotykać, jak mnie zachęcić, jak mnie rozpalić. Sprawiałaś, że stałam się twoja, twoja i tylko twoja, za bardzo twoja.

- Ja też się tobie całkowicie oddałam.

- Naprawdę w to wierzysz? Jesteś mi tak bardzo oddana, że nawet nie mogę wyjechać z Bolonii albo choćby mieć znajomego, który jest mężczyzną?

- Jestem tak bardzo twoja, że nie chcę cię stracić.

- To chyba nie wystarczy. Nikt nie chce stracić klejnotu, który ozdabia mu szyję, ale kto pyta klejnot, czy jest szczęśliwy, ozdabiając akurat tę szyję?

- Przesadzasz, porównując się do klejnotu, ale, przyznaję, całkiem ładnie wyglądasz na każdym, kto cię posiada. Nigdy nie mogłam się tobą chwalić, sama wiesz. Nasze społeczeństwo nie akceptuje lesbijek, a nie zapominaj, że nimi jesteśmy. Jeżeli chcesz być z kimś innym, to nie mam wyboru, muszę ci życzyć szczęścia, ale pamiętaj, są różne klejnoty. Niektóre są przeklęte i przynoszą pecha tym, którzy je noszą.

Tyle wystarczyło. Dwadzieścia minut potem Valentina zadzwoniła do Mikea.

Następnego dnia wyjechała.

Ósmy stycznia, godzina druga w nocy, dyskoteka Central Park w Parco delle Cascine. Muzyka dudniła ogłuszająco. Lokal, jak w każdą sobotnią noc, pękał w szwach. Klimatyzacja chodziła pełną parą, połykając białe chmury dymu przeszywane wielokolorowymi strumieniami świateł.

Wsparty o jedną z kolumn ze szklaneczką whisky w lewej i papierosem w prawej ręce Pino Ricci, agent wydziału śledczego w sekcji Serpica, rozglądał się dookoła ze znudzoną miną.

W prefekturze krążyły na jego temat mało przychylne plotki. Mówiło się, że poza służbą ma drugą pracę w soboty jako wykidajło w dyskotecce Central Park. Ferrara komentował to wzruszeniem ramion.

- Ma odpowiednią posturę! Dwa metry potężnego faceta. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby się przestraszyć. Możliwe, że płacą mu tylko za to, jak wygląda.

Te przypuszczenia nigdy jednak nie zostały potwierdzone.

- Witaj, Pino! Widzę, że w śledczym jesteście bez grosza przy duszy! - Za plecami usłyszał znajomy głos.

Odwrócił się.

Uśmiechnął.

- Cóż chcesz, Spider. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Tak już jest w tej robocie.

Fabio Nuti był jego dawnym przyjacielem, z którym bawił się jako dziecko aż do czasu, kiedy ich drogi się rozeszły. Fabio wstąpił do policji, a Spiderman żył dalej na ulicy. Słynny ze swojej zręczności, wchodził na ściany domów, które potem okradał - stąd przezwisko. Później zrobił karierę pośród dealerów narkotyków. Jego specjalnością było ecstasy rozprawdane

pośród bywalców dyskotek. Dawni przyjaciele nie widzieli się od ponad roku, bo Spiderman został aresztowany przez karabinierów, kiedy wracał z Neapolu z towarem na następny tydzień. Ktoś go sprzedał, przynajmniej tak podejrzewał, kiedy został zatrzymany. Przejeżdżał właśnie przez bramkę autostrady w południowej Florencji, kiedy zatrzymał go nieoznakowany samochód karabinierów z antynarkotykowej po cywilnemu. Zaprosili go grzecznie na komisariat, a potem rozebrali na części jego nowiutkiego rovera.

- Co tam, Spider, jak było w hotelu?

- Idź się pieprzyć, Pino! Powinieneś sam spróbować tego hotelu choć raz. Potem mi powiesz, ile gwiazdek przyznajesz.

- Nie bierz tego do siebie. Wiesz, że żartowałem. Cieszę się, że cię widzę.

- Do dupy z takim gadaniem, Pino, szczególnie, że jesteśmy przyjaciółmi.

Pino wołał zmienić temat.

- Co tam nadaje „radio pierdelek”? Może znajdą się dla mnie jakieś świeże wiadomości, żebym miał się czym szefowi pochwalić?

Bardzo głośna muzyka sprawiła, że Fabio niedokładnie zrozumiał pytanie.

Ricci powtórzył je.

- Nie prosź mnie już o nic. Nie chcę dłużej tego robić, nie chcę być sprzedawczykiem. Wydaje mi się, że ktoś się zorientował, że przekazuję ci informacje. Tam w „hotelu”, jak to nazwałeś, nie było wokół mnie zbyt dobrej atmosfery.

- To znaczy?

- Kiedy przenieśli mnie do sektora A, gdzie zatrzymani czekają na osądzenie, ludzie patrzyli na mnie podejrzliwie, przysięgam! Prawie wszystkich dealerów znałem, a wielu z nich zostało aresztowanych przeze mnie. Bałem się jak cholera. Kiedy wyszedłem z izolatki po przesłuchaniu przez zastępcę prokuratora, poprosiłem o przeniesienie do innego skrzydła, tam, gdzie przebywali już skazani. Niektórych też dobrze znałem. Był tam jeden ze współników Potwora, tego, co mordował ludzi parami. Był sam w celi naprzeciw mnie.

- To ten, którego dopadł komisarz Ferrara.

- Tak, właśnie on. Szkoda mi go było. Nie wygląda zbyt zdrowo. Siedzieć w więzieniu, kiedy ma się ponad siedemdziesiąt lat to nie żart.

- Nie zapominaj, co zrobił, kiedy jeszcze nie był takim biednym staruszkiem, i ile rodzin przez niego cierpiało.

- To prawda, ale jak się jest w więzieniu, człowiek patrzy na wszystko z innego punktu widzenia, nawet jeżeli to nie jest ten właściwy. W głębi duszy jesteśmy tylko ludźmi.

- Nie wszyscy, Spider. Jeżeli się popełnia takie zbrodnie, to przestaje się być człowiekiem. Ale nie mówmy już o tym, mam powyżej uszu tej historii z Potworem. Dalej, nie ma nic, co chciałbyś mi powiedzieć? Czyżby już się w pierdelku nie rozmawiało?

Spider długo nie odpowiadał.

- Chodźmy do baru, Fabio! Postawię ci kieliszeczek, żeby uczcić twój powrót do cywilizacji - zaprosił go z uśmiechem, starając się znów nawiązać stosunki, jakie łączyły ich kiedyś.

- Dwie małe whisky, Lucio - zamówił, pewien, że także Fabiowi szklaneczka whisky dobrze zrobi.

Nie pomylił się, przyjaciel doprecyzował zamówienie:

- Dla mnie Glenn Grant.

Wzięli szklanki i oddalili się do kolumnady, przy której się spotkali.

Po pierwszym łyku Pino kontynuował rozmowę.

- A jak ci idzie z Gabriellą?

- Daj spokój, Pino, nie ma co gadać. Nie minął miesiąc odsiadki, a już ta dziwka znalazła sobie innego.

- A to kurwa! No, ale jak to się stało? Tak doskonale się dogadywaliście.

- Jasne, dopóki byłem na wolności. Trudno, żeby baba była ci wierna, jak nie wracasz do domu, szczególnie, kiedy wie, że siedzisz za kratkami. Dajmy z tym spokój, sprzedam ci pewną świeżutką wiadomość, choć na to nie zasługujesz. Nie zrobiłeś nic, żebym miał w więzieniu choć trochę lepiej. Ty

też o mnie zapomniałeś.

- Jestem zwykłym policjantem, nie możesz żądać ode mnie cudów.

- Wiem, ale gdybyś pogadał ze swoim szefem, mógłby coś dla mnie zrobić.

- Pewnie, już leciałem mu powiedzieć, że jesteś moim informatorem! On ma znać fakty, a nie źródła.

Fabio skinął głową.

- Posłuchajmy, co masz do powiedzenia, byle tylko było tego warte.

- Powinieneś powiedzieć tym z kryminalnej, żeby mieli na oku faceta, który nazywa się Antonio Salustri. To właściciel sklepu w Santo Spirito, w którym zabito sprzedawcę. Nie pamiętam, jak on się nazywał. Wiesz, o kogo chodzi?

- Jasne, rozmawiasz z właściwą osobą, ja też pracuję przy tej sprawie. Nie jestem już w narkotykowej, Sergi wziął mnie do swojej ekipy. Pamiętasz go?

- Pewnie, że tak! Nadal chodzi taki pokudłany?

- Oczywiście! Wciąż wygląda jak student z barykad z sześćdziesiątego ósmego z brodą, długimi włosami i w luzackich ciuchach.

- Co za typ! Zupełnie nie wygląda na policjanta, powinien zabrać się za aktorstwo. Nie rozumiem, co go jeszcze trzyma z tępakami takimi jak wy! - zakończył Fabio i roześmiał się tak, że jego przyjacielowi także udało się roześmiać.

- Dlaczego powinniśmy przyjrzeć się temu Salustriemu, czy jak tam on się nazywa?

- Antonio Salustri. Jeżeli to nazwisko nic ci nie mówi, to znaczy, że jesteś do tyłu z papierami. To wschodząca gwiazda, jeden z tych, którzy mają czyste interesy i handlują z grubymi rybami ze światka przestępczego.

- Mów dalej.

- Ten Salustri ostatnimi czasy zaczął się spotykać z jednym facetem z 'ndranghety. Typ nazywa się Salvatore Dieni, od dawna zajmuje się przemytem antyków dla swojego klanu.

- Jesteś pewien?

- Jak najbardziej.

- I ten Salustri miałby coś wspólnego także z zabójstwem Alfreda Lupiego? Tak nazywał się sprzedawca.

Siedzieli teraz przy stoliku w jednym z rogów sali, bo zwolniło się kilka miejsc. Ludzie zaczęli opuszczać lokal także i dlatego, że o czwartej zamykano dyskotekę, a zbliżała się właśnie ta godzina.

- Jeden taki, tam w więzieniu, powiedział mi co nieco, o nazwisko nie pytaj, bo i tak ci nie powiem.

- Co nieco?

- Powiedział, że to morderstwo miało coś wspólnego z wymuszeniami haraczu u sprzedawców antyków. Według informacji jakie dostał w więzieniu, podobno ofiara odkryła podwójną działalność swojego pracodawcy. Może zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć i zapłacił za to życiem?

- A co zobaczył?

- Nie powiedział, a ja nie pytałem. W takich sytuacjach się słucha i tylko słucha. Rozumiesz? Miej na oku tego Salustriego, a zobaczysz, że nie pożałujesz.

- Wygląda na to, że warto, ale słuchaj, powiedz no mi jeszcze coś.

- To znaczy co?

- Ten facet z 'ndranghety, Salvatore... jak się on nazywa? Kto to taki?

- Salvatore Dieni, poznałem go wiele lat temu. Nie jest to jakaś gruba ryba, ale ma odpowiednie kontakty. Organizacja kalabryjska, do której należy, całkowicie mu ufa.

Uważają go za zaufanego i wiernego do śmierci według kodeksu przestępczego Kalabrii. Zaufanie i wierność jako przepustka, by mógł żyć on sam i jego rodzina, pomyślał Pino, popijając drugą małą whisky z przyjacielem. Tym razem zamówili je do stolika. Potem znów zaczął pytać:

- Co to za typ?

- Mieszka sam i prawie zawsze chodzi sam. Oficjalnie zajmuje się wymianą walut w dzielnicy Borgo san Lorenzo, ale to pralnia brudnych pieniędzy dla klanu. Florencja z całą tą masą turystów i sklepami to idealne miejsce.

- Oczywiście, nikt nie pomyśli, że tu u nas może istnieć mafia. Nie ma mafijnych porachunków, nie ma podkładania bomb, wymuszeń rozbójniczych, porwań... To ciekawe. Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

- Pewnie jeszcze zechcesz, żebym aresztował Dieniego i Salustriego! Podałem ci nazwiska, powiedziałem, co robią i jaką działalność przestępczą prowadzą. Czego chcesz więcej? Ty jesteś policjantem. I raczej niech nikt się nie dowie, że ci to wszystko powiedziałem, bo będę trupem, a ty będziesz miał mnie na sumieniu.

- Żartujesz?! Wiesz, że nigdy cię nie zdradzę, a to, że siedziałeś w więzieniu kilka miesięcy dłużej niż trzeba, to też tylko dlatego, że nie chciałem cię zdradzić nawet mojemu szefowi. Jasne?

- Już to zrozumiałem. Dlatego mam do ciebie zaufanie. Życzę miłej pracy.

- Dzięki, Spider, będę o tobie pamiętał.

- Ja także. Cześć.

Rozeszli się, wypiwszy ostatnią kropelkę whisky, spełniwszy ostatni toast.

- Pino, powiedz szefowi to, co powiedziałeś mnie przed chwilą - powiedział Sergi, jak tylko usiedli przy biurku Ferrary. Była ósma piętnaście w poniedziałek dziesiątego stycznia. Agent Ricci opowiedział dokładnie o tym, czego dowiedział się od przyjaciela z dzieciństwa, którego opisał w ten sposób:

- Wiarygodne źródło, które przy innych okazjach okazywało się bardzo pomocne. Pamiętacie, jak dwa lata temu złapaliśmy na gorącym uczynku facetów, którzy napadli na pocztę główną i uciekli z łupem? - zapytał.

- Jasne, że pamiętam. Któryś z twoich informatorów nam to nadał.

- Właśnie, komisarzu Ferrara, to samo źródło. Nie myli się nigdy, mogę zagwarantować.

- Dobrze, Ricci, napisz notatkę i oddaj ją Sergiemu. Ty, inspektorze, przede wszystkim dowiedz się możliwie jak najwięcej o Salustrim i Dienim, przeszukaj wszystkie archiwa, nie tylko nasze w wydziale śledczym, ale i te w prefekturze.

- Oczywiście, szefie, natychmiast zaczynamy, będę pana o wszystkim informował.

Wyszli z gabinetu, kiedy Ferrara zapalał właśnie z zadowoleniem cygaro. Przed chwilą przyszedł do biura i ta nowina dodała mu skrzydeł.

Później, jeszcze tego samego ranka, pojawiły się pierwsze rezultaty.

- Obaj są nienotowani, szefie. Żadnego aresztowania, żadnych donosów, żadnych zarzutów, nawet wykroczeń. Zupełnie nic. Wiemy jedno: Dieni rzeczywiście zajmuje się wymianą walut i ma kantor w dzielnicy Borgo San Lorenzo blisko placu del Mercato Centrale. Przechodziłem tamtędy i widziałem, że w okienku siedzi dziewczyna, z pewnością pracownica. Tylko ona, żadnych klientów - zrelacjonował Sergi.

- Zorganizuj nadzór policyjny, może nie ciągły, ale zobaczymy, kto tam bywa. Jak pojawi się Dieni, poślij kogoś za nim, zobaczymy, co robi.

- Tak, szefie.

- I jeszcze jedno.

- Niech pan mówi.

- Obserwujcie co najmniej przez kilka dni także tego Salustriego.

- Dobrze, szefie.

- O wszystkim mnie informuj.

- Oczywiście, szefie.

Trzy dni później inspektor Sergi wpadł do biura Ferrary jak burza.

- Przepraszam, komisarzu, że nie zapukałem, nie chciałem być niegrzeczny... - Zaczerwienił się, widząc zaskoczoną minę Ferrary.

- Nie przejmuj się, nie mam tu przed wami tajemnic. Uspokój się, usiądź i opowiadaj.

- Zatrzymaliśmy Dieniego, to znaczy drogówka go złapała i trzyma.

- Co się stało? - zapytał Ferrara zaniepokojony, że jakiś fałszywy krok może popsuć mu szyki.

- Chłopcy, którzy go śledzili, widzieli, jak spotkał się dzisiaj bardzo wcześnie rano z kierowcą ciężarówki z rejestracją z Reggio Calabria na parking przy autostradzie. Z ciężarówki wyładowano jakieś przedmioty, które Dieni włożył do bagażnika swojego mercedesa. Chłopcy zaczęli coś podejrzewać, bo tamci zachowywali się dziwnie, jakby nie chcieli, żeby ktoś ich zobaczył.

- No dobrze i co dalej?

- Poprosili o pomoc drogówkę. Zatrzymała go przy wyjeździe z północnej Florencji. Taki patrol, niby że na rutynową kontrolę. Zatrzymali też auto przed nim i samochód, który jechał za nim, żeby się nie domyślił.

- Bardzo dobrze.

- Prawo jazdy, dowód rejestracyjny, ubezpieczenie, to, co zawsze. Potem trójkąt... Dieni nie chciał otworzyć bagażnika, mówiąc, że się zamek zepsuł. To dało chłopakom pretekst, żeby go zabrać na komendę w północnej Florencji, gdzie bagażnik otwarto. Wewnątrz były cztery obrazy, wyraźnie bardzo stare. Dieni udał, że nie wie, skąd się tam wzięły. Powiedział, że ktoś bez jego wiedzy musiał je tam włożyć, prawdopodobnie na publicznym parking, gdzie zawsze zostawia swoje samochody. To ten parking w okolicy dworca Santa Maria Novella.

- Jedź po niego natychmiast, przywieź go tu z samochodem. Już dzwonię do komendanta drogówki, żeby mu wszystko wyjaśnić.

Serpico wychodził, kiedy szef zawołał go jeszcze raz. Zawrócił.

- A ciężarówka?

- Pojechała autostradą na północ. To jedna z tych, które przewożą owoce. Dałem rozkaz, żeby jeszcze jej nie zatrzymywać, ale śledzić z daleka, dla bezpieczeństwa. W oczekiwaniu na nowe rozkazy.

- Doskonale. Teraz już idź.

Ferrara przygotowywał się na spotkanie. Wiedział, że nie będzie ono łatwe. Było jasne, że pochodzenie obrazów musiało być nielegalne, ale równie jasne było także i to, że trudno będzie w krótkim czasie, bez współpracy samego Dieniego, dojść do tego, skąd pochodziły. Handel dziełami sztuki stanowił dziedzinę, w której działania podejmowane w celu postawienia konkretnych zarzutów były długie i bardzo żmudne. Nie istnieje dokładny katalog skradzionych dzieł sztuki, a poza tym, a nawet przede wszystkim, jest to strefa działania leżąca w kompetencjach specjalnej komórki zazdrosnych o swoje wpływy karabinierów.

Nie minęła nawet godzina, kiedy Dieni pojawił się w biurze Ferrary. Obok niego stali Sergi i Pino Ricci. Na twarzy tego ostatniego dostrzec można było wyraźne oznaki zadowolenia z faktu, że informacja, jaką udało mu się pozyskać, doprowadziła do takiego rezultatu, choć nic niestety nie prowadziło bezpośrednio do sprawy zabójstwa Lupiego. Salvatore Dieni - niski, mocno zbudowany, z oliwkową, pokrytą bliznami po ospie twarzą i czarnymi oczami - był wyraźnie przerażony.

Ferrara postanowił to wykorzystać.

- Przejdźmy od razu do rzeczy, Dieni, bo nie mamy czasu, by słuchać twoich wykrętów i głupich tłumaczeń - zaczął, modulując głos tak, żeby nie można było mieć wątpliwości co do jego intencji.

- Ale jakich głupich tłumaczeń, inspektorze! - zaprotestował Dieni słabym głosem, rzucając okiem na blat biurka, które oddzielało go od Ferrary.

- Osoba, którą masz przed sobą, nie jest inspektorem - sprecyzował Sergi. - To komisarz Ferrara, szef wydziału śledczego, to ja jestem inspektorem, przedstawiłem się przecież.

- Tak, ma pan rację, inspektorze, ale ja nie znam się na stopniach, a poza tym wszyscy jesteście po cywilnemu. Po co mnie tu przywieźliście? Może powinienem zadzwonić do swojego adwokata? Czuję się, jakbym został porwany!

Ferrara aż podskoczył na krześle. Wstał. Odłożył zapalone cygaro na popielniczkę i mocnym głosem, spojrzawszy ostro w oczy przerażonego rozmówcy, zawołał:

- Dieni, drogówco naopowiadał pan strasznych bzdur! Ja chcę prawdy! Bajki niech pan opowiada wnukom, o ile je pan ma, a nie tu, w biurze policji. Koniec z tą komedią, zrozumiał pan? I niech pan patrzy na osoby, z którymi pan rozmawia, a nie w podłogę czy na biurko!

Dieni natychmiast posłuchał i popatrzył na stojącego nad nim Ferrarę takim wzrokiem, że nikt nie był w stanie powiedzieć, czy w jego oczach czaił się strach zamkniętego w klatce zwierzęcia, czy wyzwanie.

- Nie opowiadałem głupot. Powiedziałem prawdę. Niech mi pan udowodni, że te obrazy są moje - odważył się powiedzieć.

- Niczego pan nie zrozumiał, Dieni, albo nie chce pan zrozumieć. Wytlumaczę to lepiej, żeby nie było nieporozumień i żeby nie tracić już więcej czasu, który dla nas jest bardzo cenny. Proszę słuchać uważnie, bo nie będę powtarzał, jasne?

Przerwał na krótką chwilę, usiadł, zapalił kolejne cygaro, wciągnął dym raz, dwa razy. Potem zaczął znów mówić:

- Na początek jedna rzecz jest pewna. Skończył pan już z wymianą walut i może pan wracać do Kalabrii, skąd pan tu przyjechał. W tym mieście nie ma już miejsca dla kogoś takiego jak pan. Mogę pana o tym zapewnić.

- Jak to? Grozi mi pan? - zapytał zaszokowany mężczyzna.

- Nie chodzi o żadne groźby. Znalezienie u pana przedmiotów nielegalnego pochodzenia wystarczy nam zupełnie, żeby poza oczywistymi konsekwencjami prawnymi, jakie zostaną wyciągnięte, pozbawić pana licencji. Poza tym, to nie wszystko...

- Panie komisarzu, te obrazy...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo Ferrara znów skoczył na równe nogi. Głos zmienił mu się po raz drugi. Zaczął mówić w swoim ojczystym dialekcie.

- Skończmy tę komedię, Dieni.

- Ale jaką komedię?

Głos Ferrary podniósł się jeszcze o oktawę. Dreszcz wstrząsnął ciałem Salvatorego Dieniego.

- Dość tego, Dieni. Chce pan zobaczyć film, który nagrali moi ludzie? Na tym filmie odbiera pan płótna z ciężarówki i wkłada do swojego samochodu. Jest pan odpowiedzialny za poważne przestępstwa, nie wyłączając osobistego współudziału, za który grozi panu do czterech lat więzienia, nie mówiąc o okolicznościach, które pana jeszcze bardziej obciążają. Obiecuję, że odsiedzi pan swój wyrok co do dnia, mimo że do teraz nie był pan notowany.

Dieni opadł na krzesło. Zrozumiał, że wpadł. Siedział w absolutnej ciszy z głową coraz bardziej schyloną ku ziemi, podczas gdy Ferrara wyjmował ze skórzanego etui kolejne cygaro. Trzecie tego ranka. Zapalał je, choć do końca nie wypalał. Potrzebował zapachu pierwszych pociągnięć, cudownie gęstych i przyjemnych. Sergi i Ricci także umilkli. W pokoju nie poruszała się nawet mucha.

Tę ciężką, wręcz grobową ciszę przerwał w końcu Kalabryjczyk.

- To prawda, to ja przejąłem płótna. Powiem wszystko, ale nie chcę, żeby kierowca ciężarówki miał jakieś kłopoty. On w tym nie siedzi. To ojciec rodziny, który, żeby utrzymać tę rodzinę, musi wciąż jeździć tam i z powrotem z Reggio Calabria do Mediolanu. Przewozi owoce.

I oczywiście narkotyki, pomyślał Ferrara, zanim usiadł ponownie w fotelu.

- Niech pan kontynuuje, doskonale panu idzie.

- Powiem wszystko, ale niech mi pan nie każe wracać do Kalabrii. Muszę nadal pracować we Florencji. Niech mi pan uwierzy.

To było czyste i prawdziwe błaganie, które Ferrara umiał zinterpretować.

Doskonale znał środowisko ndranghety. Nauczył się swojego zawodu, walcząc z nią przez ponad dziesięć lat w Reggio Calabria i zawsze powtarzał, że nie ma lepszej szkoły niż właśnie taka. Dniemu groziło to, że nie będzie już uważany za godnego zaufania przez swoich „szefów”. Nie bał się donosu czy więzienia. Przeraziła go pewność, że będzie musiał zapłacić, prawdopodobnie także i życiem, za błąd, jaki popełnił, nie uważając dostatecznie podczas przejmowania płócien. Natomiast zamknięcie legalnego kantoru pozbawiłoby klan pewnego kanału recyklingowego dla brudnych pieniędzy pochodzących z narkotyków i porwań.

To była sytuacja, którą należało wykorzystać.

- Skąd pochodzą te obrazy i dla kogo były przeznaczone?

- Czy najpierw mógłbym napić się kawy?

Nie czekając, aż poprosi go o to Ferrara, Ricci wyszedł z pokoju. Wrócił z czterema kawami w papierowych kubeczkach i litrową butelką wody mineralnej.

- Tego właśnie było nam trzeba - powiedział Ferrara, dodając zaraz potem:

- Niech pan zaczyna mówić, jesteśmy gotowi słuchać.

Następnie dał znak ręką Sergiemu, by robił notatki.

- Płótna zostały ukradzione w patrycjuszowskiej willi na Sycylii. Nie wiem, czyja to willa, wiem tylko, że znajduje się niedaleko Palermo. Mieszka w niej szlachetna dama, dość już wiekowa. Mieszka sama. Powiedziano mi, że nadał tę robotę hydraulik, który wykonywał tam jakieś prace. Więcej nie wiem, ale sądzę, że dla was to żaden problem odnaleźć zgłoszenie kradzieży przez właścicielkę obrazów.

Miejmy nadzieję, pomyślał Ferrara i porozumiał się wzrokiem z agentem Riccim, który natychmiast wyszedł z pokoju. Kilka telefonów mogło z pewnością potwierdzić tę opowieść i dodać trochę prawdopodobieństwa części, która miała dopiero nastąpić, a która powinna być, jak Ferrara przewidywał, o wiele bardziej interesująca.

- Mam nadzieję, że mówi pan prawdę, Dieni.

- To wszystko prawda, panie komisarzu, niech mi pan uwierzy. Przekona się pan. Ten policjant, który właśnie wyszedł i poszedł to sprawdzić, potwierdzi moje słowa - odpowiedział mężczyzna. Wyraźnie dobrze zrozumiał sytuację.

- Doskonale, a teraz niech pan mówi dalej. Niech pan nam powie, jakie było przeznaczenie tych obrazów. Gdzie miał je pan zawieźć? Albo lepiej: komu miał je pan przekazać?

- Panie komisarzu, wie pan lepiej niż ja, że Florencja to bardzo dobry teren dla paserów, którzy sprzedają meble i inne cenne przedmioty. Są tu całe dzielnice, jak choćby Santo Spirito, pełne sklepów z antykami, w których jest mnóstwo rzemieślników gotowych w taki sposób przerobić dowolny przedmiot, żeby nie został rozpoznany przez właścicieli. Tutaj wszystko odbywa się w biały dzień. Czyż nie tak?

- To wie każdy, nie musi nam pan takich rzeczy tłumaczyć, Dieni - wycedził Ferrara. - Interesują mnie nazwiska paserów albo pasera, do którego miał się pan zwrócić w sprawie tych obrazów.

- Już do tego dochodzę, proszę uzbroić się w cierpliwość. To nie takie proste... A poza tym, nazwiska - co to, to nie. Błagam pana. Nie mogę wyjść na zdrajcę...

- I myśli pan, że zadowolimy się wykładem na temat przestępczości we Florencji? Jeżeli chce pan, żebyśmy mu pomogli, musimy w zamian za to coś dostać, nie wydaje się panu?

-- Zrozumiałem. Obiecuję, że jak tylko stąd wyjdę, nadam wam superakcję przy pierwszej nadarzającej się okazji. Wypuście mnie, a nie pożałujecie.

- Nie. Niczego pan nie rozumiał. Chcę przynajmniej jedno nazwisko, jedno właściwe nazwisko.

- Ale ja naprawdę nie...

W tym momencie wrócił Ricci i dał do zrozumienia Ferrarze, że ma potwierdzenie kradzieży. Co oczywiste, właścicielka obrazów złożyła zawiadomienie na policji. To dobrze rokowało.

- A więc, Dieni, pogadajmy jak mężczyzna z mężczyzną. Tak to się robi pomiędzy ludźmi honoru.

Popatrzyli sobie prosto w oczy, w ten sposób zawierając umowę, przy której nie były potrzebne ani słowa, ani podpisy na podstemplowanych kartkach. Pradawny zwyczaj, do którego w tym momencie obaj się odwoływali.

- Wiemy, że zna pan Antonia Salustriego, sprzedawcę antyków z Santo Spirito, i wiemy także, że jesteście w doskonałych stosunkach - zaczął Ferrara.

- To prawda, panie komisarzu. To jeden z tych, do których idę, kiedy chcę gdzieś upłynnić towar, ale w tej sprawie on nie...

- Zostawmy to. Niech mi pan powie wszystko, co pan o nim wie. Jego sprzedawca został zamordowany właśnie w sklepie w Santo Spirito. Wiedział pan o tym, prawda?

Dieni w końcu zrozumiał, o co chodzi, dodał dwa do dwóch i wydawał się uspokojony.

- To was interesuje?

- Co pan myśli o tym zabójstwie? - rzucił Ferrara.

- Mogę podać tylko swoje przypuszczenia.

- Niech pan to zrobi, zobaczymy, czy są coś warte.

- No cóż, widzi pan, panie komisarzu, fakty są takie, że Antonio Salustri przygotowywał właśnie interes życia. Wielki, naprawdę wielki przekręt, który ustawiłby go do końca jego dni.

- To znaczy?

- Znalazł sposób, by sprzedać prywatnemu szwajcarskiemu kolekcjonerowi z forszą obraz Velazqueza. To taki słynny hiszpański malarz, pewnie pan wie? Obraz ukradziono wiele lat temu w jednym z kościołów na Sycylii. Salustri znalazł go w magazynie swojego sklepu, kiedy robił spis towarów, które zostały po poprzednim właścicielu, Gualtierze Ricciardim. Od razu zorientował się, co to za obraz, ale zdawał sobie też sprawę, że

niełatwo będzie go upłynnić. Zatrzymał więc płótno i czekał na odpowiedni moment. Ostatnio rozmawiał o tym ze mną, prosząc o pomoc. Potrzebował pieniędzy. Poradziłem mu, by sprzedał obraz za granicę. Mogłem mu pomóc wywieźć obraz z kraju w zamian za udział w interesie. Podczas któregoś z naszych ostatnich spotkań powiedział, że negocjuje z jednym ze szwajcarskich kolekcjonerów i że prawdopodobnie będzie potrzebował mojej pomocy. Powiedział też, że obraz sprzeda za cztery miliardy lirów, ale musi zapłacić osobie, która skontaktowała go z kupcem. Więcej nic mi nie powiedział.

- A co ma wspólnego historia Velazqueza z zamordowanym sprzedawcą? - zapytał Ferrara, spodziewając się, jaka będzie odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć na własne uszy.

- Sądzę, że sprzedawca odkrył nielegalne interesy swojego pracodawcy. Może zauważył nawet, że w magazynie znajduje się ten obraz. Nie wydaje się panu, że to dobry motyw, żeby kogoś zabić?

- Na razie to tylko pańska hipoteza. Czy są też jeszcze inne fakty i detale, o których nie chce pan mówić?

- Nie, nic innego nie ma.

- Dobrze. Na tym możemy skończyć. To było nieformalne spotkanie - podkreślił, spojrzawszy szybko na Sergiego i Ricciego, i dodał: - Załatwmy to tak: te cztery obrazy zostają zarekwirowane przez policję drogową, bo pochodzą z kradzieży. Oskarżymy pana, ale będzie pan odpowiadał z wolnej stopy za paserstwo. Teraz może pan iść z inspektorem, który napisze raport z przekazania obrazów i da panu do podpisania protokół z wezwania na przesłuchanie w sprawie podejrzenia o paserstwo. Sergi, zaprowadź go do swojego biura.

- A mój kantor, panie komisarzu?

- Powiedziałem, że może pan już iść, czy tak? - zagrział Ferrara tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że groźba została odłożona ad acta, przynajmniej na razie.

- Musimy się dowiedzieć, gdzie został skradziony ten Velazquez i zdobyć zdjęcie, a jeśli go nie ma, to jakiś dobry opis. Powinniśmy wziąć nakaz prokuratorski, by zdjęć opieczętowanie ze sklepu. Możemy powiedzieć, że musimy jeszcze raz przeszukać to miejsce i zobaczymy, czy obraz nadal tam jest - wyliczył komisarz, jak tylko wrócił Sergi.

- Został tam na pewno - stwierdził Serpico. - Teraz, kiedy znamy już całą tę historię, rozumiem wreszcie, dlaczego Salustri przychodził prawie co drugi dzień z pytaniem, kiedy będzie mógł znów wejść do sklepu. Ostatnim razem rozmawiał właśnie ze mną. Powiedziałem mu, że musi zwrócić się do prokuratury i to najlepiej za pośrednictwem adwokata oraz że będzie mógł starać się o odszkodowanie za utratę zarobków. Był podenerwowany, powiedział, że będzie musiał iść kraść, żeby mieć na życie i tego typu rzeczy.

- Wszystko jasne. Wzmocnij obserwację i śledźcie dalej Salustriego. Wydaje mi się, że trzeba go obserwować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i należy zmieniać ludzi. Załóż mu podsłuch na telefony.

- Jak przedstawimy prośbę o zezwolenie w prokuraturze? Tego, co wiemy od Dieniego, nie możemy powiedzieć, a dopóki nie podamy tych informacji, nie mamy podstaw, żeby dostać zezwolenie na podsłuch.

- Nie powiemy, że podejrzewamy Salustriego, ale że z jego rozmów możemy uzyskać informacje, potrzebne choćby do zidentyfikowania znajomych i przyjaciół ofiary, o których nikt nam nie powiedział. Tak czy inaczej, Salustri był pracodawcą ofiary, a do zabójstwa doszło w jego sklepie.

- Czyli, ponieważ chcemy poddać obserwacji numer osoby, która nie jest nawet podejrzanym, nie musimy tłumaczyć, z jakiego powodu to robimy?

- Właśnie. Zezwolenie na choćby dwa tygodnie powinno nam wystarczyć.

- Załatwię to, szefie!

W niedzielę szesnastego stycznia o dwudziestej drugiej dwadzieścia osiem w sali przechwytywania rozmów przy prokuraturze magnetofon RT2000 podłączony do linii telefonicznej używanej w mieszkaniu Antonia Salustriego zaczął wreszcie pracować.

Jeden, dwa, trzy sygnały i ktoś podniósł słuchawkę.

- Salustri? - zaczął bez wstępów z drugiej strony linii głos o mocnym sycylijskim akcencie.

- Tak, to ja, poznaję pana.

- No więc jak, Salustri?

- Jeszcze nic. Nie mogę dostać się do sklepu, trzeba czekać.

- Co jest, kurwa?! Myślałem, że się rozumiemy!

- Doskonale rozumiem, ale nie mogę tam wejść.

- Ten facet nie może czekać.

- Konieczna jest cierpliwość, a wszystko się uda.

- Kiedy dostaniemy pieniądze?

- Dostaniecie wszystko, nie przejmujcie się.

- Masz tydzień czasu, a potem chcemy pieniędzy.

- Najpierw muszę je zdobyć.

- Tydzień.

- Ale...

Za późno. Sycylijczyk już przerwał rozmowę. To, co usłyszał policjant z nocnej zmiany, wystarczyło, aby zadzwonić o tak późnej porze do inspektora Sergiego, aby Serpico z kolei zadzwonił do Rizza i Ferrary.

- Mamy go, szefie! - powiedział, kończąc sprawozdanie.

- Pogadamy o tym jutro, muszę się dziś w nocy nad czymś zastanowić. Do jutra. Dobranoc.

- Dobranoc, szefie.

Nazajutrz o ósmej rano transkrypcja rozmowy telefonicznej leżała już na

biurku Ferrary, który wezwał do siebie swojego zastępcę oraz Serpica.

- Teraz mamy jasną odpowiedź, szefie. Możemy żądać nakazu przeszukania sklepu. To oczywiste, że obraz tam właśnie się znajduje - zasugerował Rizzo.

Ferrara raz jeszcze przeczytał protokół.

- Obraz tam jest - powiedział. - Nie ma wątpliwości. Pierwsza sprawa to zapobiec temu, aby Salustri, czy któryś z jego ludzi, nie włamał się tam i go nie zabrał. Sklep będzie musiał być pod nadzorem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Oczywiście, szefie. A przeszukanie? - nalegał Rizzo.

- Nie ma pośpiechu. Rozumiem twój zapał, ale entuzjazm nie powinien sprawić, że stracimy z oczu podstawowy cel, którym jest złapanie mordercy, a nie pasera. Musimy działać spokojnie i stopniowo. Tak czy siak, obraz stamtąd nie zniknie.

- Dobrze, szefie. Jak mamy działać?

- Przede wszystkim dowiedzmy się od firmy Telecom, skąd był ten telefon. Chcę wiedzieć, z kim on załatwia tę sprawę.

- Telecom? Będzie trzeba kilku dni, może nawet tygodnia.

- Wiem, ale poczekamy.

- Dobrze.

- Tymczasem miejmy Salustriego na oku. Jakby przyszedł do prefektury, przyślijcie go do mnie. Sergi, zadzwoń do kurii w Messynie i w Katanii, a jak trzeba, to do wszystkich kurii sycylijskich. Dowiedz się, komu został ukradziony ten Velazquez.

- Komisarz Ferrara?

- Słucham.

- Mówi dyżurny z wartowni.

- Proszę mówić.

- Jest tu adwokat Nicola Biffi ze swoim Idientem, niejakim Salustrim. Pytają o pana.

- Proszę wprowadzić ich do mojego biura.

Było południe. Komisarz nie posiadał się z radości. Nie trzeba było wezwania, sami do niego przyszli!

Po kilku minutach do biura weszli dwaj mężczyźni. Ferrara doskonale znał mecenasa Biffiego.

- Panie mecenasie, co pana do mnie sprowadza? Pewnie coś ważnego, skoro sam się pan pofatygował, zamiast wysłać któregoś ze swoich współpracowników.

- W rzeczy samej, komisarzu Ferrara. To ważna sprawa.

- Proszę, niech pan mówi.

- Mój klient, tu obecny pan Salustri, jest właścicielem sklepu z antykami, w którym został zabity Alfredo Łupi.

- Wiem, ale nie miałem jeszcze przyjemności poznać go osobiście.

Właściciel sklepu, pięćdziesięcioletni mężczyzna o bladej wychudzonej twarzy, nie odzywał się. Starannie unikał wzroku komisarza.

- Minęło już sporo czasu, a sklep nadal jest zapieczętowany - ciągnął prawnik. - Mój klient ponosi ogromne straty, zdaje sobie pan z tego sprawę. Co ma robić? Sklep jest jedynym źródłem dochodu dla niego i dla jego rodziny.

- Rozumiem, panie mecenasie, ale nic nie mogę zrobić, sam pan dobrze wie. Pan Salustri wiele razy przychodził do nas, aby prosić o zdjęcie pieczęci. Powiedziano mu, żeby udał się do prokuratury. Lokal został oddany do dyspozycji sądu, ta sprawa nie zależy ode mnie.

- Oczywiście, wiem, ale wiem także, że prokuratura bez zgody organów śledczych prowadzących dochodzenie nie bardzo chce zdejmować pieczęcie z zaplombowanego lokalu, szczególnie takiego, w którym dokonano zabójstwa. Ten przypadek to jednak sprawa czysto ludzka, chodzi o człowieka, który nie ponosi żadnej winy, a mimo to narażony jest na straty

materialne.

- Jestem skończony, panie komisarzu - po raz pierwszy odezwał się właściciel sklepu, nadal nie patrząc w oczy rozmówcy, a to bardzo irytowało Ferrarę. Zdenerwował go także sztucznie łamiący się głos człowieka usiłującego wywołać współczucie. - Muszę zapłacić za towary, a jak to zrobię, jeżeli nic nie sprzedam?

- Rozumiem pana, panie Salustri - odpowiedział Ferrara, z trudem zachowując takt - ale musi pan zwrócić się za pośrednictwem adwokata do prokuratury.

- Rozumiem, że pan ze swej strony odniesie się do tego tematu z przychylnością? - zagadnął prawnik.

- Nie, panie mecenasie, tego nie powiedziałem. Tłumaczyłem tylko, jak to się odbywa zgodnie z procedurami. Niech pański klient się do nich dostosuje, a ja zdecyduję, kiedy będzie odpowiedni moment.

Opuścili biuro.

Gdy tylko wyszli, Ferrara wykręcił bezpośredni numer do prokuratora i poinformował go o wszystkim. Umówił się z nim na osobiste spotkanie, by mogli razem przedyskutować sprawę. Odłożył słuchawkę pewien, że Salustri nie uzyska zdjęcia plomb z lokalu.

Firma Telecom podała im numer i lokalizację abonenta, który dzwonił do Salustriego w ubiegły piątek. Był to automat na stacji benzynowej Agip przy autostradzie MessinaPalermo, kilka kilometrów od stolicy regionu.

Tego samego dnia Ferrara dowiedział się, że obraz został skradziony w katedrze w Ali w prowincji Messina, niedaleko Taorminy.

- Rozmawiałem z proboszczem, szefie, jest niesamowicie szczęśliwy. I do tego jeszcze się bardzo wzruszył, natychmiast chciał przyjechać do Florencji - raportował Sergi.

- Ale co ty mu powiedziałaś? Że znaleźliśmy ten obraz?

- Nie, nic takiego nie mówiłem, to on tak to zrozumiał. Wytłumaczyłem mu, że jeszcze jest dużo do zrobienia i że go powiadomimy. Ale o mało co nie wyszedł z siebie z radości. Wszyscy jego parafianie, a to prawie cała wieś, są rozżaleni, że stracili obraz, bo uważali go za wspólną własność.

- Powiedział, co przedstawia?

- Tak, to cenne siedemnastowieczne płótno przypisywane sławnemu hiszpańskiemu malarzowi Diegowi Velazquezowi, według proboszcza jednemu z największych portrecistów na świecie.

- Jaki jest temat tego płótna? - naciskał zniecierpliwiony Ferrara.

- To portret jakiegoś dostojnika kościelnego, księdza albo mnicha w ciemnej pelerynie z otwartą księgą w dłoniach. Obok niego z prawej strony namalowany jest wielki zamglony ptak, coś w rodzaju kondora. Mówił, że kolory obrazu są bardzo ciemne.

- Dobrze, zapisz to wszystko, może się przydać.

Tym razem sygnały w sali podsłuchu w prokuraturze były tylko dwa. Rozmówcy byli ci sami co w poprzednią niedzielę. Minął tydzień, była godzina dwudziesta trzecia trzy w niedzielę dwudziestego trzeciego stycznia. Poza policjantem na służbie na ten telefon czekali także Sergi i Rizzo. Przygotowano aparaturę, która pozwalała na zdobycie w ciągu kilku minut numeru, z którego dzwoniono. We wszystkich centralach Telecomu siedział pracownik firmy i policjant. Personel wydziału śledczego z prefektury w Palermo już od piątku miał dyskretnie na oku stację, z której dzwoniono poprzednim razem.

- No więc, Salustri?

- Jeszcze nic. Nie mam jak wejść.

- Więc się nie rozumiemy?

- Ale...

Nie miał czasu dokończyć tego, co zamierzał powiedzieć. Mężczyzna

przerwał mu gwałtownie.

- Przygotuj pieniądze. Zadzwonimy jutro wieczorem.

- Ale jak?

Po drugiej stronie nikt już się nie odezwał.

- Cholera, za krótko. Sądzę, że nie było dość czasu, żeby namierzyć - powiedział Sergi, kiedy Rizzo dzwonił do policjanta czuwającego przy centralce Telecomu.

- Nic się nie dało zrobić, panie komisarzu. Za krótko. Nie było nawet trzydziestu sekund. Mogliśmy się tylko upewnić, że rozmowa nie była z okolic Florencji. Teraz sprawdzają wszystko, aby zorientować się, skąd dzwoniło, ale do tego trzeba czasu.

- Zaczekamy, niech zrobią wszystko, co możliwe, żeby zidentyfikować numer tego telefonu.

Miał nadzieję, choć za bardzo na to nie liczył, że będzie to stały numer domowy.

Od kolegów z Palermo dowiedział się, że nikt nie używał telefonu na stacji Agip.

Jest pewne, że to zawodowcy i zmienili miejsce, pomyślał Serpico.

Natychmiast zawiadomiono Ferrarę, który z niecierpliwością czekał na informacje. Poszedł zawiedziony do łóżka, ale nie zdążył zasnąć. Kolejny dzwonek telefonu przerwał ciszę nocy.

Dzwonił Sergi.

- Salustri próbuje wziąć nogi za pas.

- Jak?

- Ludzie, którzy mieli na oku jego mieszkanie, zawiadomili, że widzieli, jak wychodził z walizką w rękę, wsiadł do samochodu i odjechał w stronę autostrady.

- Ktoś za nim jedzie, mam nadzieję?

- Oczywiście, powiedziałem im, żeby go nie spuszczała z oczu.

- Dowiedz się, w jakim kierunku jedzie, i informuj mnie na bieżąco. Nie

przejmuj się późną porą, tej nocy raczej nie będziemy spali.

- Jasne, szefie.

Telefon się rozdzwonił. Sergi zawiadamiał co chwilę o rozwoju sytuacji. Salustri najpierw wjechał na Autostradę Słońca w kierunku północnym, potem zjechał z niej w okolicach Modeny i zatrzymał się w hotelu Holiday Inn niedaleko od zjazdu z autostrady. Policjanci z wydziału śledczego zostali tam zastąpieni przez miejscowych kolegów, którzy teraz pilnowali wyjścia z hotelu.

Ucieka, żeby uratować skórę. Zrozumiał, że nie odzyska już obrazu i nie będzie mógł zrobić interesu życia, a Sycylijczycy nie żartują, pomyślał Ferrara, zanim zdołał zasnąć. Miał ledwie kilka godzin, żeby przygotować się na długi i trudny dzień, który miał nadejść.

*

- Panie prokuratorze, o godzinie ósmej Salustri opuścił hotel i skierował się do Mediolanu. Śledzimy go dyskretnie. W tej chwili potrzebuję nakazu zatrzymania - powiedział Ferrara, który do prokuratury poszedł wraz ze swoim zastępcą Rizzem już z samego rana.

- Na jakiej podstawie? Nie mamy niczego konkretnego - powątpiewał prokurator Galio.

- Wiemy, że w sklepie jest skradzione dzieło sztuki. Wiemy, że Salustri to paser i ma kontakty z mafią, mamy dwie zarejestrowane rozmowy telefoniczne. Bardzo znaczące.

- Sam pan wie, że to nie wystarczy jako podstawa do nakazu zatrzymania, który będzie musiał zostać sygnowany przez sędziego w ciągu dwudziestu czterech godzin i to jeszcze w innym dystrykcie, może w Mediolanie, gdzie o tej sprawie nikt nic nie wie.

- Rozumiem te trudności, panie prokuratorze. - Ferrara pomyślał ze smutkiem, jak często zastępcy prokuratora wystawiali mu nakazy in blanco. Ale to były inne czasy i inne były wtedy procedury postępowania sądowego.

Dzisiaj jest za dużo asekurancja i biurokracji. Coraz trudniej znaleźć złoty środek, o ile takowy w ogóle istnieje.

- Może mi pan teraz dać nakaz przeszukania sklepu, żebym mógł odzyskać Velazqueza. Jednocześnie będziemy obserwować Salustriego, a jak już nie będzie innego wyjścia, może go zatrzymać drogówka i pod jakimś pretekstem zabrać na posterunek, choćby po to, żeby wypisać mu mandat. Z obrazem i rozmowami telefonicznymi nie powinniśmy mieć problemu.

- To całkiem dobry pomysł, komisarzu Ferrara, i niestety w tej sytuacji jedyny możliwy do zaakceptowania.

*

O godzinie dziesiątej trzydzięci Ferrara w towarzystwie Rizza, Sergiego i Ascalchiego oraz ekipy policyjnej zdjął plomby z drzwi i wszedł do sklepu.

Wewnątrz czuć było jeszcze zapach śmierci.

Powietrze wydawało się takie samo jak w dzień zabójstwa.

Zaczęto przeszukiwanie. Z powodu nieobecności Salustriego czy kogokolwiek z rodziny albo zaufanego członka personelu przy przeszukaniu obecna była żona Lupiego, wezwana na miejsce pod pretekstem sprawdzenia, czy w sklepie nie pozostały jakieś przedmioty należące do jej zamordowanego męża. Usiadła na jednym z krzeseł, z dala od miejsca, w którym znaleziono zwłoki.

Ledwie rozpoczęto przeszukiwanie, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Sergiego.

- Szefie, dzwonią z patrolu śledzącego Salustriego - relacjonował Sergi na ucho Ferrarze, kiedy odeszli w róg pomieszczenia. - Twierdzą, że Salustri kieruje się do Ponte Chiasso. Chyba chce przekroczyć granicę. Czekają na instrukcje.

- Nie wolno mu pozwolić na opuszczenie kraju! - krzyknął Ferrara. - Niech go przeszukają na cle, niech przetrzepie go policja skarbową. Niech go zatrzymają pod pretekstem kontroli dokumentów albo niech przeszukają

auto... Niech robią, co chcą, ale nie wolno mu przekroczyć granicy.

- Oczywiście, szefie.

Kontynuowano przeszukanie.

Kawałek po kawałku policjanci zaczęli dosłownie rozbierać sklep na części. Sprawdzili każdy kąt, przestawili i obejrzelili każdy mebel, ze szczególnym zainteresowaniem przyglądali się wszystkim obrazom.

- Komisarzu Ferrara, komisarzu, niech pan podejdzie tutaj - z zaplecza dobiegł podekscytowany głos Ascalchiego.

Ferrara, a za nim Rizzo i Sergi podeszli do Rzymianina. Stał w otoczeniu grupy policjantów, którzy na widok komisarza rozstąpili się, tworząc krąg.

Ascalchi trzymał w ręku obraz, którego szukali.

Ferrara popatrzył na dzieło z lękiem i nieoczekiwanym respektem. Poczul się obserwowany, a nawet osądzany. Wyraziste, intensywne spojrzenie dostojnika kościelnego wydawało się rozświetlone jakimś wewnętrznym światłem, które nie pochodziło z namalowanego ciemnymi barwami obrazu. Oczy portretu zdawały się śledzić ruchy oglądającego i przeszywać go wzrokiem, z którejkolwiek strony spojrział.

- Był za biblioteczką, szefie, oparty o ścianę - wyjaśnił Rzymianin, wskazując na mebel znajdujący się obok cennego biurka zasłanego papierami. - Przesunęliśmy to i zobaczyliśmy, że jest tam coś owiniętego w gazety. Jak tylko je zdjęliśmy, okazało się, że to obraz.

- Świetna robota, chłopaki, teraz powinno być już z górki. Natychmiast idę zadzwonić do prokuratora, żeby go o wszystkim powiadomić, wy w tym czasie dokończcie przeszukania. Kto wie, czy jeszcze coś nie wyskoczy. Sergi, upewnij się, że Salustri został zatrzymany.

Dokładnie o godzinie piętnastej radiowóz wiozący Ferrarę wraz z jeszcze jednym samochodem służbowym, w którym jechali Rizzo, Sergi i dwaj inni policjanci, był już na autostradzie wiodącej do Ponte Chiasso. Zanim

wyjechali, Ferrara przesłał faksem sądowy nakaz zatrzymania Antonia Salustriego oskarżonego o paserstwo. W samochodzie wraz z nim jechał prokurator, który chciał przesłuchać Salustriego osobiście, kiedy tylko sędzia z Como, już zresztą zawiadomiony, podpisze akt zatrzymania.

Po podróży i wypełnieniu formalności dotyczących przesłuchania oskarżonego, dopiero po dziewiątej wieczorem, zjawili się w areszcie Casa Circondariale w Como.

- Panie Salustri, jestem prokuratorem Republiki Florencji, nazywam się Galio, a ten pan obok mnie to komisarz Ferrara.

- Znam komisarza Ferrarę, byłem u niego z moim adwokatem, prosiłem o możliwość wejścia do swojego sklepu.

- Doskonale. Jak rozumiem, otrzymał pan już zawiadomienie o wszczęciu postępowania, które wydałem dziś rano, tak że wie pan, o co chodzi. Przesłuchujemy pana w związku z przestępstwem paserstwa, szczególnie chodzi nam o obraz Velazqueza skradziony na Sycylii, który znaleźliśmy w pańskim sklepie za biblioteczką na zapleczu. Mam obowiązek uprzedzić pana, że ma pan możliwość wyznaczyć swojego obrońcę albo mogę panu przydzielić obrońcę z urzędu. Ponieważ jest pan osobą w stosunku do której toczy się śledztwo, będę musiał przesłuchiwać pana w obecności obrońcy. Taka jest procedura.

- Tutaj nikogo nie znam, a mój prawnik jest we Florencji. To mecenas Biffi, zna go pan?

- Tak, ale nie możemy czekać, aż tu się zjawi. Istnieją przesłanki, które zmuszają nas do natychmiastowego przeprowadzenia przesłuchania.

- Niech pan wyznaczy mi adwokata z urzędu, nie mam nic przeciwko udziałowi w przesłuchaniu. Mogę wszystko wytłumaczyć. Także i to, w jaki sposób wszedłem w posiadanie obrazu.

Ferrara przysłuchiwał się rozmowie, uważnie analizując słowa i reakcje mężczyzny. Wciąż jeszcze blady i z podkrążonymi oczami, Antonio Salustri nie wyglądał już jednak na uległego czy pokornego. Głos wcale mu się nie

łamał, był zdecydowany i mocny.

Wydawało się oczywiste, że w czasie ucieczki zbudował sobie linię obrony, którą teraz będą musieli obalić, nie mogąc liczyć na element zaskoczenia. Jediną rzeczą, której ten mężczyzna nie wiedział, był fakt, że nie zamierzali oskarżać go o kradzież obrazu. Poczekali na przybycie obrońcy z urzędu, który miał właśnie dyżur, a którego znaleźli na liście obrońców prokuratury w Como.

Po formalnościach wstępnych zaczął mówić prokurator Galio:

- Jest pan oskarżony o paserstwo ze względu na to, że w pana posiadaniu był bezcenny obraz znanego hiszpańskiego malarza, skradziony wiele lat temu z katedry w Ali. Poza tym będzie pan musiał odpowiedzieć na kilka pytań związanych z zabójstwem Alfreda Lupiego, do którego doszło w pańskim sklepie trzydziestego pierwszego grudnia ubiegłego roku.

Ferrara zmarszczył czoło.

Adwokat słuchał, nie mówiąc ani słowa.

- A co ja mam wspólnego z zabójstwem? Tego przekłętogo dnia przesłuchiwała mnie policja i odpowiedziałem na wszystkie pytania!

- Wiem. Mam tu protokół, ale muszę przesłuchać pana jeszcze raz. Wszystko w swoim czasie. Zaczniemy od Velazqueza, bo w tej sprawie jest pan oskarżony. Co ma pan do powiedzenia na ten temat?

- Znalazłem go w sklepie, który kupiłem po śmierci Gualtieria Ricciardiego. Rozpocząłem działalność z całym towarem, jaki po nim pozostał. Po pewnym czasie, kiedy chciałem ponaprawiać jakieś przedmioty - wie pan, znam się na restaurowaniu, bo przez wiele lat byłem konserwatorem mebli i starych obrazów - znalazłem obraz, który rozpoznałem jako dzieło tego hiszpańskiego malarza. Był wewnątrz innego, większego obrazu w złoczonej, bardzo grubej ramie. Jednego z tych obrazów, które zajmują całą ścianę. Zamierzałem go odrestaurować.

- Nie wydało się panu podejrzane, że obraz został ukryty w taki właśnie sposób? - zapytał Galio.

- Myślałem, że Ricciardi ukrył go przed ewentualnymi złodziejami. Obraz, w którym się znajdował Velazquez, byłby trudny do przetransportowania ze względu na rozmiar i wagę, poza tym nie miał wielkiej wartości.

- Wiedział pan jednak, że był to obraz kradziony?

- Nie tylko nie wiedziałem, ale nawet nie mogłem wiedzieć. Nie ma katalogów skradzionych dzieł sztuki. Myślałem, że Ricciardi, Bóg wie kiedy, zrobił dobry interes. To z pewnością nie jest przestępstwo.

- A komu pan, panie Salustri, chciał sprzedać obraz?

- Nikomu, chciałem go zatrzymać dla siebie.

- Na pewno?

- Oczywiście.

- W takim razie muszę zapoznać pana z dwiema rozmowami telefonicznymi zarejestrowanymi przez policję zgodnie z nakazem. Chodzi o połączenia na pański numer domowy z dnia szesnastego stycznia o godzinie dwudziestej drugiej dwadzieścia osiem i z dnia dwudziestego trzeciego stycznia o godzinie dwudziestej trzeciej zero trzy. Taki był ich przebieg - podsunął mu pod nos dwa zapisy. - Co ma pan do powiedzenia na ten temat, panie Salustri?

Twarz mężczyzny w jednej chwili pociemniała. Może z powodu wspomnienia gróźb Sycylińczyka zapisanych czarno na białym na kartkach, które prokurator trzymał teraz w ręku. Stracił całą pewność siebie, którą udawał aż do tej chwili. Wymienił spojrzenie ze swoim obrońcą, którego nawet nie znał. Wyglądało, jakby szukał pomocy, która nie nadeszła.

- Panie prokuratorze, chciałbym odbyć prywatną rozmowę z moim obrońcą.

- Oczywiście, to możliwe. Przerwiemy na pół godziny. Komisarzu Ferrara, proszę ich odprowadzić do oddzielnej sali.

Po niespełna piętnastu minutach Salustri i adwokat znów siedzieli przed prokuratorem.

- Panie prokuratorze, wyjaśnię wszystko. To dzisiejsze zatrzymanie

prawdopodobnie nawet uratowało mi życie. Nie jestem przestępcą, ale ofiarą i chcę opowiedzieć, jak to wszystko się odbyło.

- Wreszcie. Proszę zaufać sprawiedliwości. Nie przypadkiem przyjechałem tu osobiście.

- Tak jak powiedziałem, być może dobrze się to wszystko dla mnie ułożyło.

- Zobaczymy. Posłuchajmy, co ma pan do powiedzenia.

Salustri przedstawił swoje powiązania z pewnym karanym już Sycylijczykiem, który był pośrednikiem w kontaktach ze szwajcarskim kolekcjonerem zainteresowanym zakupem obrazu. Wytłumaczył, że powinien był oddać obraz Velazqueza już dziesięć dni temu, aby otrzymać ustaloną cenę, ale nie mógł dotrzymać terminu, bo sklep został zaplombowany.

Opowiedział o groźbach, o pieniądzach, jakie miał zapłacić Sycylijczykowi, o zaliczkach, o strachu, jaki na niego padł, kiedy dali mu dwadzieścia cztery godziny na załatwienie całej sprawy.

- Panie prokuratorze, pan wie lepiej niż ja, że ci ludzie nie żartują. Przyszliby i zabili mnie.

- Kim jest ten Sycylijczyk?

- Nigdy się nie dowiedziałem, jak się nazywa ani gdzie mieszka. Spotkałem go tylko raz we Florencji, w barze w centrum miasta, gdzie się umówiliśmy na spotkanie. Zadzwoił do mnie i powiedział, że wie o interesie, który był do zrobienia i jest nim zainteresowany. To on powiedział, że może mieć kupca i że na koniec podczas transakcji będzie obecny, żeby zainkasować dwadzieścia procent. Zgodziłem się.

- Jak ta osoba się do pana zwróciła?

- Nie chciał powiedzieć, kto go do mnie skierował, a ja nie nalegałem. Myślałem, że ktoś z mojego środowiska, gdzie rozpuściłem pogłoski o sprawie, zawiadomił go i podał mu na mnie namiary.

- Wydaje mi się, że było to trochę nieostrożne, nie sądzi pan? - zapytał

Galio.

- Ma pan rację, ale ja myślałem, że ubiję interes życia. Byłem naiwniakiem. Pomyślałem, że to są ludzie niebezpieczni, więc im mniej się o nich wie, tym lepiej. Najważniejsze było dla mnie wyciągnąć z tego maksimum korzyści, a potem zniknąć. Teraz zdaję sobie sprawę w co wdepnąłem.

Galio wołał nie nalegać, pozostawiając w zawieszeniu inne pytania. Uznał, że nadszedł dobry moment, by przejść do zabójstwa Alfreda Lupiego.

- Proszę powiedzieć, co pan robił trzydziestego pierwszego grudnia zeszłego roku.

- Panie prokuratorze, jeżeli myśli pan, że mogłem zabić swojego pracownika, to grubo się pan myli. Już mówiłem, nie jestem zabójcą i nie miałem żadnego motywu.

- Nie zarzucam panu zabójstwa, pytam tylko, co pan robił tego dnia - odparł Galio, zachowując cierpliwość.

Po raz pierwszy odezwał się adwokat:

- Panie prokuratorze, nie widzę związku między paserstwem a zabójstwem. Zresztą w tej sprawie mój klient był już przesłuchiwany, jak rozumiem, przez osobę, która znała temat.

- Tak jest, oczywiście, panie mecenasie, był przesłuchiwany jako świadek. Teraz jednak musimy zweryfikować niektóre zeznania, bo związek pomiędzy zabójstwem i tym obrazem może jednak istnieć. Tylko o to chodzi.

- Ale to niemożliwe, panie prokuratorze - zaprotestował Salustri. - Alfredo nawet nie wiedział o istnieniu tego obrazu. On nigdy nie wchodził do tej części zaplecza, gdzie jest moje biuro, a jeżeli nawet tam zaglądał, to tylko w mojej obecności. Sprawdziłem to wiele razy, zostawiając niektóre przedmioty ustawione w taki sposób, żebym mógł się zorientować czy były poruszane.

- To pan tak twierdzi. Czy zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie, czy też nie?

- Panie prokuratorze, mogę to zrobić, tylko że czuję się, jakbym był

podejrzany o to morderstwo.

- Ależ nie, jaki podejrzany? W takim przypadku musiałbym panu przedstawić akt oskarżenia, tak samo jak to zrobiłem w sprawie o paserstwo. Adwokat może to panu potwierdzić.

Adwokat potwierdził.

- Tego dnia byłem w Rzymie. Pojechałem rano pociągiem Eurostar o siódmej czterdzieści. Musiałem pojechać właśnie tym pociągiem, bo innych nie ma prawie aż do dziewiątej i bałem się, że nie dojadę na czas. W stolicy miałem spotkanie z jednym z moich kolegów, który ma sklep z antykami obok placu di Spagna. Może to potwierdzić i on, i dwóch jego pracowników. Kiedy rozmawialiśmy, około jedenastej, może jedenastej trzydzieści, zostałem powiadomiony przez sąsiada, że szuka mnie policja, bo Alfredo został zamordowany. Zadzwoił do mnie na komórkę. Wróciłem na stację Termini i wsiadłem do pierwszego pociągu jadącego do Florencji, gdzie natychmiast poszedłem do prefektury.

- Jak nazywają się ci ludzie, kolega z Rzymu i sąsiad?

- Kolega to Giorgio Matta z takiego samego sklepu jak mój, dokładnie obok placu di Spagna, a sąsiad to pan Papa, ale to policja już wie.

W tym momencie Galio i Ferrara popatrzyli na siebie, a potem Galio popatrzył na Rizza. Przesłuchanie zostało zakończone. Antonio Salustri został odprowadzony przez policjantów do celi z jednym tylko zarzutem: paserstwo, artykuł 648 kodeksu karnego.

Wyjechali już następnego ranka, spędziwszy noc w hotelu.

Ferrara był w paskudnym humorze. Przesłuchanie prowadzone przez prokuratora wcale mu się nie spodobało. Dając Salustriemu do zrozumienia tak szybko i w taki sposób, że jest podejrzany o morderstwo, dał mu także czas na psychiczne przygotowanie się do upartego podtrzymywania swojego, w sumie bardzo marnego alibi. Prokurator powinien był dochodzić do tego

stopniowo i nie dawać przesłuchiwanemu do zrozumienia, do czego zmierza. Teraz Salustri, uprzedzony o co chodzi, będzie starał się nie popełniać błędów w następnych zeznaniach.

- Co pan myśli o alibi? - w pewnym momencie zapytał Galio.

- Wydałem już dyspozycje, by się tym zajęto, ale nawet jeżeli byłoby prawdą, że był w Rzymie i spotkał się z kolegą po jedenastej, to technicznie mógł mieć dość czasu, by to zrobić, wyjeżdżając z Florencji pociągiem o ósmej pięćdziesiąt cztery. Nie mówiąc o tym, że z tego, co wiemy, mógł tam pojechać samochodem. Jeżeli by wyjechał po zabójstwie, którego dokonano między ósmą trzydzieści a ósmą czterdzieści pięć, też zmieściłby się w czasie. Nie miałby wiele czasu, ale nie byłoby to niewykonalne.

- Tak więc nadal jest pan zdania, że on może być mordercą? - zapytał prokurator wyraźnie zaniepokojony.

- Nie potrafię tego powiedzieć - odparł Ferrara i pogрузzył się znów w milczeniu.

Kilka dni potem satysfakcja związana ze zwrotem obrazu legalnym właścicielom trochę złagodziła frustrację komisarza.

Kiedy dwa samochody, którymi podróżowali Ferrara, Rizzo, Sergi i Pino Ricci, zatrzymały się na placu katedralnym w Ali, w powietrzu rozległ się dźwięk dzwonów. Na chwilę zamilkli z wrażenia.

Wszędzie były tłumy ludzi: na placu, na ulicach, na balkonach domów, na schodach kościoła.

Proboszcz wyszedł im na spotkanie w towarzystwie burmistrza.

- Komisarzu Ferrara, miasto panu dziękuje! To powitanie jest podziękowaniem dla pana. Tutejsi ludzie czuli się osieroceni bez tego obrazu, który od zawsze wisiał w głównym ołtarzu kościoła. Dziękuję w imieniu wszystkich mieszkańców.

Ferrara niełatwo się wzruszał, ale teraz poczuł się dziwnie. Nie był

przyzwyczajony do tego typu uroczystości. Poza jednym nieszczęsnym wystąpieniem w telewizji zawsze pozostawał w cieniu, nigdy publicznie się nie pokazywał tak jak teraz.

- Zrobiliśmy tylko to, co było naszym obowiązkiem - powiedział, a potem, aby ukryć zakłopotanie, dał Sergiemu znak głową, a ten zrozumiał, że to właściwy moment, by wyjąć z bagażnika samochodu obraz.

Z pomocą Ricciego inspektor z wielką ostrożnością wziął obraz i razem powoli weszli po schodach do kościoła. Za nimi kroczyli proboszcz, burmistrz i wszyscy ludzie, których mogły pomieścić trzy wielkie nawy świątyni. Obraz postawiono na krześle w samym centrum głównego ołtarza.

W tym momencie rozpoczęła się ceremonia, jakiej Ferrara zupełnie się nie spodziewał.

Najpierw przemówił proboszcz, wspominając o bezcennej wartości sentymentalnej obrazu, potem burmistrz podziękował policji w imieniu wszystkich obywateli, wreszcie proboszcz poprosił komisarza, by on również zabrał głos.

Ferrara, który sądził, że udało mu się wszystko załatwić kilkoma wypowiedzianymi wcześniej słowami, czuł się nie na miejscu.

- Co mam powiedzieć? - Zanim zdążył odpowiedzieć sobie na to pytanie, w dłoni już trzymał mikrofon. - Odczuwam wielką przyjemność i ogromną radość, widząc, jak wielki ludzki wymiar ma coś, co dla mnie i dla moich współpracowników było normalnym działaniem policyjnym. Rzadko możemy cieszyć się z efektów naszej pracy. Najczęściej kończą się one aresztem, co nigdy nie jest przyjemną sprawą dla nikogo, nawet dla nas. Korzyść, jaką takie aresztowanie daje społeczeństwu, jest niewidoczna, niewymierna, tak więc czasami zapominamy, że wybraliśmy ten zawód, aby pomagać ludziom, a nie po to, żeby ich prześladować. Dziękuję wam w imieniu wszystkich moich współpracowników za przyjęcie, jakie nam zgotowaliście. Dziękuję z całego serca. Zrobiliśmy tylko to, co do nas należało.

- Panie komisarzu, chodźmy zatem do zakrystii, przygotowaliśmy mały poczęstunek - powiedział proboszcz, kiedy przebrzmiały pełne szacunku oklaski parafian.

Prostokątny stół, długi na ponad dwadzieścia metrów, ugiął się pod ciężarem lokalnych, typowo sycylijskich dań i ciast. Ferrara znów poczuł zapachy oraz smaki, których brakowało mu we Florencji i za którymi bardzo często tęsknił.

Wieczorem zaprowadził swoich ludzi do restauracji w Taorminie, gdzie mieli zamówiony stolik, ale nie poszedł z nimi, głuchy na ich protesty. Nie miał ochoty na kolację. Wolał w samotności odwiedzić znane kiedyś i bliskie mu miejsca, pozwalając, by zalała go fala wspomnień. Nazajutrz rano przed wyjazdem, niesyty wrażeń z podróży w czasie, spacerował bosy po plaży tak jak kiedyś, kiedy był dzieckiem. I tak jak wtedy zapragnął czegoś, co nasyciłoby go naprawdę po ascetycznym śniadaniu podanym w hotelu. Wszedł do baru i zamówił świeżą brioszkę przekrojoną na pół i wypełnioną cytrynową granitą.

❁ 4 ❁

- Więc już zdecydowałaś.

- Tak, Cinzio.

Był pierwszy stycznia i od dwóch dni wciąż rozmawiały o tym samym. Momenty wzruszeń mieszały się z chwilami pełnymi oskarżeń, zarzutów i obraźliwych słów. Tylko trzydziestego pierwszego Valentyny nie było przez całe przedpołudnie w domu, bo pojechała do Florencji, aby spotkać się z profesorem poleconym jej przez promotora. Zwróciła się do niego z prośbą o przyjęcie na jego wykłady z florenckiego teatru renesansowego. Wstała o piątej rano i tym razem zdecydowała się pojechać samochodem. Wróciła o drugiej po południu. Przysięgała na wszystko, że nie spotkała się z Mikiem Rossem, ale Cinzia nie uwierzyła. Znów zaczęły się kłócić.

W takiej smutnej atmosferze czekały na Nowy Rok.

Valentina kończyła pakować walizki, a Cinzia patrzyła na to co robi wilgotnymi oczyma. Po raz pierwszy, odkąd wdarła się do jej życia w San Vigilio, wydawała się Valentinie załamana. Miała ochotę wykonać wobec niej jakiś czuły gest, ale się powstrzymała.

- Muszę iść.

- Nie wrócisz.

To nie było pytanie, nawet nie wątpliwość, ale pewność, która wymagała zaprzeczenia.

- Posłuchaj, Cinzio, nie chcę, żeby to było pożegnanie. Dla mnie nie jest. To tylko jeden semestr. Muszę to zrobić. Muszę się skoncentrować na pisaniu pracy i muszę wszystko sobie przemyśleć. Ty też powinnaś. Obie tego potrzebujemy.

- Jak zwykle się mylisz. Ja tego nie potrzebuję, ty tak, to oczywiste. I to właśnie sprawia mi ból.

Mimo skończonych dwudziestu lat Cinzia rozwinęła się, nie tracąc swoich nastoletnich kształtów. Była szczupła i nieszczególnie wysoka, ale energiczna i pełna życia. Miała krótkie, kruczoczarne włosy i czarne oczy, a wąski podbródek podkreślał jej piękną, nieco lisią twarz.

Miała na sobie gruby wełniany beżowy sweter, który opadał jej aż do kolan. Siedziała z gołymi skrzyżowanymi nogami na pufie, który królował w maleńkim mieszkaniu, gdzie żyły obie aż do tego dnia. Dwa pokoje, kuchnia, łazienka - wszędzie tam były ślady ich krótkiej wspólnej egzystencji. Pamiątki ze wspólnych podróży, oprawione fotografie, starannie dobrane meble znalezione na targowiskach w ciągu tych kilku wspólnych lat.

- To jest próba - przekonywała Valentina. - Wszystkie pary to robią. Będziemy z dala od siebie przez jakiś czas, to wszystko. Przecież to nie koniec świata! - podniosła głos, żeby ukryć zakłopotanie.

- Będziesz z dala ode mnie, ale blisko tego Amerykanina.

Nie nazywała go jego imieniem, dla niej go nie posiadał.

- Proszę cię, Cinzia. Zostaw to. Nawet go nie znam. To tylko miły chłopak, którego przypadkiem spotkałam. Nic do niego nie czuję, nigdy niczego nie czułam do żadnego mężczyzny.

- Chciałabym ci wierzyć. Bardzo chciałabym ci wierzyć, ale boję się. Tak strasznie się boję. Vale... Proszę cię...

Dwie łzy w końcu wydostały się z jej oczu i spłynęły na podbródek, zostawiając dwa mokre ślady na policzkach. Wibrowały przejrzyste, poruszane lekkim drżeniem warg. Valentina odczuła nagłe pragnienie, by uściskać ją, by jeszcze raz, ostatni raz się z nią pokochać, cóż w tym byłoby złego? Ale Cinzia wstała i pobiegła do sypialni, trzaskając drzwiami i zamykając je na klucz.

Wychodząc z domu, Mike Ross zostawił swojej filipińskiej służącej dokładne instrukcje po angielsku. Kobieta niedawno przyjechała do Florencji

i nie znała włoskiego. Dlatego zresztą zatrudnił ją na pół etatu.

Mieszkał na parterze trzypiętrowej willi z wielkim parkiem w dzielnicy Bellosguardo. Pierwsze piętro było niezamieszkałe, a na drugim znajdowało się małe mieszkanie ze wszystkimi wygodami, w którym nikt nigdy nie mieszkał. Nenita, Filipinka, miała otworzyć je i przewietrzyć wszystkie pokoje, upewnić się, czy wszystko jest w porządku, prześcielić łóżka, a na koniec włożyć do wazonów kwiaty, które kupił poprzedniego dnia.

Była godzina dziewiąta. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to Valentina powinna pojawić się około jedenastej na placu della Stazione, gdzie się z nią umówił. Miał mnóstwo czasu.

W kiosku na placu della Signoria kupił egzemplarz „New York Timesa”. Przeczytał go spokojnie w ciepłym zaciszu jednego z wielu barów, które otaczają Palazzo Ducale. Komórka zadzwoniła o dziesiątej pięćdziesiąt.

- To ja, Valentina.

- Wiem, zapisałem twój numer. Wszystko w porządku?

- Była straszna mgła i musiałam jechać powoli, jestem spóźniona.

- Nie masz się czym przejmować, to nie problem. Gdzie jesteś?

- Jakies dziesięć minut od Barberino, jak sądzę.

Mike pospiesznie przeliczył w myślach długość drogi, biorąc pod uwagę niewielki ruch, jaki panował na drogach w pierwszy dzień roku.

- Powinnaś dojechać na jedenastą dwadzieścia, maksymalnie na jedenastą trzydzieści. Zobaczymy się na miejscu. Będę czekał.

Wezwał kelnera i kazał sobie przynieść rachunek. Zdziwił się, że śniadanie w takim barze kosztuje prawie tyle samo co obiad, a jednak miejsca te są równie pełne ludzi jak restauracje, gdzie przynajmniej można dobrze zjeść. Szukając portfela, włożył przez pomyłkę rękę do drugiej kieszeni i zdał sobie sprawę, że coś w niej jest. To był list do ojca Rotondiego. Zapomniał, że miał go w tej kurtce z renifera, której nie nosił od dnia, kiedy po raz pierwszy spotkał Valentine. Miał ochotę go wyrzucić. Wiedział, że znajdzie inny sposób, by skontaktować się z księdzem. Teraz było na to jeszcze trochę zbyt

wcześniej.

Dlaczego zresztą nie postraszyć go trochę? Z uśmiechem na ustach podszedł do skrzynki na listy.

- To ma być to „mieszkanko”?

Valentina nie wiedziała czy ma się cieszyć, czy obawiać. Wszystko wydawało się jej zbyt piękne. Bogaci mężczyźni, nieważne, młodzi czy starzy, nie spełniają dziewczęcych marzeń ot tak, za darmo, szczególnie kiedy chodzi o marzenia młodziutkich dziewcząt o jej urodzie.

Nenita dobrze wykonała swoją pracę. Przez wielkie okna wpadało naprawdę dużo światła, mimo że było szaro, a z zasnutego nieba w każdej chwili mógł spaść deszcz. Salonik zastawiony antykami został ożywiony wielkimi bukietami kwiatów. Ogrzewał go ogień rozpalony w szesnastowiecznym marmurowym kominku.

Sypialnia była obszerna i przytulna zarazem. Wychodziła na coś w rodzaju werandy, która przechodziła w piękny kwadratowy taras. Kuchnię doskonale wyposażono, w łazience czuć było zapach aromatycznych soli kąpielowych.

- To mieszkanie jest częścią willi - wyjaśnił Mike. - Kiedy ją wynajmowałem, wolałem wynająć także i to mieszkanie niż prędzej czy później musieć użerać się z jakimś nieznanym mi, hałaśliwym najemcą. Różnica w cenie była minimalna.

- Ile?

- Teraz o tym nie będziemy rozmawiać. Tak czy inaczej, pierwszy trymestr jest już opłacony. Spróbujesz pomieszkać, jak ci się spodoba, porozmawiamy.

- Nie ma mowy! Jeżeli nie zapłacę natychmiast - wychodzę.

- Tak? A dokąd? Florencja jest pełna nawet w styczniu, nie tak łatwo coś znajdziesz.

Zawsze mogę wrócić do Bolonii, pomyślała Valentina, ale tego nie chciała.

- Okłamałeś mnie. To nie była prawda, że jeżeli nie zdecyduję się od razu, to wynajmą komuś innemu.

- A jak miałem cię inaczej zachęcić? - odpowiedział Amerykanin z rozbijającym uśmiechem na ustach. - Nie kłóćmy się, zgódź się na jeden miesiąc, dobrze? Będziesz mogła zobaczyć, czy to ci odpowiada, zanim się ostatecznie zdecydujesz.

Valentina popatrzyła przez okno. Jakby mogło jej się nie spodobać? Widok zapierał dech w piersiach!

Willa stała na wzgórzu, ukazując na sto osiemdziesiąt stopni panoramę miasta, a na dodatek można było stąd podziwiać cudowną harmonię linii i kolorów kopuły Brunelleschiego na kościele Santa Maria del Fiore. Wszędzie dookoła widać było skupiska dachów to wspaniałych, to znów skromnych, i labirynty uliczek, z których strzelały w niebo iglice San Lorenzo i Santa Maria Novella z lewej, a Santa Croce i Biblioteki Narodowej z prawej strony. Po raz pierwszy Valentina zdała sobie sprawę, że kościół Santa Maria del Fiore był o wiele wyższy od wszelkich innych budynków we Florencji. Tak było przez wieki i tak zostanie już na zawsze, pomyślała.

- Zostawiam cię - powiedział Mike Ross, nie dając jej więcej czasu na zastanowienie. - Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, to zwróć się do Nenity. Jest tu służącą, ale przychodzi tylko rano, popołudniami będziesz musiała radzić sobie sama. Cześć.

Oswojenie się z sytuacją nie zajęło Valentinie zbyt dużo czasu. W następnych dniach mogła uspokoić się zupełnie co do ewentualnych intencji swojego gospodarza. Żyli zupełnie oddzielnie. On chodził na wykłady, on zajmował się swoją pracą. Wyglądało na to, że traktuje ją jako bardzo luźną znajomą albo nawet tylko sąsiadkę, z którą dobrze mu się mieszka.

On się jej nie naprzykrzał, ona nie przeszkadzała jemu.

Zdarzało się, że Mike wyjeżdżał na kilka dni, a potem spędzał całe dni

zamknięty w domu, słuchając muzyki klasycznej i, jak wyobrażała sobie Valentina, pisząc swoje artykuły.

Nie wyglądało na to, żeby miał przyjaciół. Nikt, ani kobiety, ani mężczyźni, nie przychodził go odwiedzać.

Pod koniec pierwszego tygodnia zaprosił ją pewnego wieczoru na kolację.

- Czas, żebyś zaczęła poznawać tajemnice Florencji - powiedział.

Zabrał ją do Buca Lapi, gdzie odkryła przepyszne grzanki z chleba tokańskiego oraz spróbowała najlepszej zupy fasolowej, jaką jadła w życiu.

Była też zafascynowana sklepieniami i ścianami całkowicie pokrytymi kawałkami starych gazet, nawet takimi z osiemnastego wieku.

- To najstarsza restauracja we Florencji - wytłumaczył dziennikarz. - Początkowo zatrzymywali się tu dorożkarze na kieliszeczek wina, miszkę flaków i świeże plotki. Przekazywali sobie z rąk do rąk stronice gazet, które w końcu mięły się i plamiły sosem pomidorowym, oliwą, winem, aż w końcu, żeby się ich pozbyć, przyklejano je do ścian. I gazety tam zostawały. Na szczęście ówczesny karczmarz nie przejmował się specjalnie utrzymywaniem lokalu w czystości.

Valentina zdała sobie sprawę, że lodowate oczy Amerykanina siedzącego przy stole, rozochoczonego winem i ożywionego konwersacją, którą umiał prowadzić z prawdziwym wdziękiem, z prawie kobiecym urokiem, rozświetlały się ciepłym światłem, załamującym się w feerii bajkowych kolorów.

W takiej chwili jego oczy stawały się pełne życia i obietnic. Nie ośmielała się nawet myśleć, że ten efekt wywoływała także jej obecność, chociaż taka myśl przeszła jej przez głowę.

- Dobrze znasz Florencję. Od kiedy jesteś we Włoszech? - zapytała. - Jeszcze mi o tym nie opowiadałeś.

- Jestem tu cztery, może pięć lat. Podoba mi się to miasto, myślę, że już tu zostanę. Florencja przyniosła mi szczęście, wiesz? Studiowałem tu na wydziale sztuki i zacząłem trochę pisać. Potem moje artykuły trafiły do

prasy, spodobały się.

- A teraz jesteś sławnym dziennikarzem.

- No cóż. Nie dostałem jeszcze Pulitzera, ale jestem dość znany, to prawda, i dobrze mi płacą - dodał zadowolony.

- Pisziesz tylko o sztuce i wystawach?

- Och nie, w sumie piszę po trochu o wszystkim, o muzyce, teatrze, robię wywiady ze sławnymi ludźmi... Jestem ciekaw świata, nawet jeżeli nie wyglądam na takiego. Interesuje mnie każda rzecz, ale chodzi o to, żeby można ją było zobaczyć z jakiejś innej perspektywy. Pasjonują mnie także zwykłe wydarzenia, niebanalne morderstwa...

- Brr - zażartowała.

- Przecież psychologia kryminalna to jedna z najbardziej fascynujących dziedzin wiedzy w naszych czasach. Także i tu we Florencji zdarzają się krwawe przestępstwa. Pamiętasz Potwora? Co za historia! Wciąż jeszcze zastanawiam się, w jaki sposób ciekawie o niej opowiedzieć Amerykanom. Mógłbym nawet napisać o tym książkę. A czy w Bolonii, skąd pochodzisz, nie macie w tej chwili jakiegoś seryjnego mordercy?

- Pomówmy o czymś innym, proszę - powiedziała tym razem poważnie.

Miał niestety rację. W Bolonii grasował maniak zabijający prostytutki. Ten temat napawał ją lękiem, wręcz przerażał.

- Zgoda, porozmawiajmy o tobie - zaproponował.

- Niewiele jest do opowiedzenia. Jestem zwykłą studentką, która chce jakoś zakończyć studia.

- A potem?

- Widzisz? Jestem tak banalna, że jeszcze nie wiem, co potem! Kino, telewizja, teatr, cokolwiek. Może zostanę sprzedawczynią w sklepie? Kto wie. Tu są Włochy, nie Ameryka.

- Amerykę możesz znaleźć wszędzie, wystarczy chcieć. Ja znalazłem ją we Włoszech.

- Chwała ci za to, ale to nieprawda. Pisziesz dla „New York Timesa”, a nie

dla „Corriere délia Sera”, czy dla „La Repubblica”.

- *Touché.* - Uśmiechnął się. - Ale bez waszego „Il nostro Paese”, który dał mi pierwsze notatki, nadal piąłbym się po drabinie kariery w jakiejś małej redakcji w Nowym Jorku czy Chicago.

Skończyli jeść, więc zabrał ją na plac Michelangelo, z którego rozpościerał się wspaniały widok na miasto, prawie taki sam, ale bliższy niż ten, który rozciągał się z ich willi.

Spodobał jej się przede wszystkim widok połyskujących światłami wód rzeki. Pomyślała o ciemnych toniach Arno płynącej pośród sztywnych linii brzegów. Zadziwiło ją, że rzece jeszcze się nie udało w swoim, czasami tak szalonym, biegu porwać Ponte Vecchio, który stąd wydawał się delikatny i bezbronny. Kiedy się nad tym zastanawiała, porsche przejeżdżało w pobliżu Palazzo Pitti, by potem wjechać w ulicę Senese, aż w końcu podjechało pod dom.

Teraz on z pewnością zacznie ją adorować, czego bardzo nie chciała, a ona nie będzie wiedziała, jak wytłumaczyć, nie raniąc mu uczuć, że mężczyźni wcale jej nie interesują, że to nie z tego powodu zaakceptowała mieszkanie i zaproszenie na obiad.

Postanowiła jednak, że zgodzi się na to, czego on zechce.

Nadszedł czas, żeby uregulować rachunki.

Drżała, kiedy koła sportowego samochodu zaskrzypiały na żwirze uliczki wjazdowej.

Żołądek gwałtownie jej się ścisnął. Była blada i spięta.

- Źle się czujesz? Zbyt szybko jechałem? - zapytał opiekuńczo.

- To chyba wino - przeprosiła. - Nie jestem przyzwyczajona.

Weszli do domu.

- Dasz sobie radę? - zapytał. - Jeśli to nie kłopot, to nie odprowadzę cię. Muszę skończyć artykuł i przefaksować go na jutro rano. Dobranoc.

Valentina weszła na półpiętro uspokojona, szukając w torebce kluczy do swojego mieszkania. Na drugim półpiętrze, pewna, że Mike za nią nie

podąża, odetchnęła z ulgą i poczuła się lepiej. Albo przynajmniej tak to wyglądało. Przed drzwiami się zawahała. Nadstawiła uszu, aby usłyszeć ewentualne echo kroków na schodach.

Nic.

Włożyła klucz do zamka trochę zbyt gwałtownym ruchem, który uważny psycholog mógłby odczytać jako gniewny.

Ojciec Francesco podzielił pocztę według adresatów. Największy stos był dla don Sergia. Był odpowiedzialny za księgowość, musiał więc sprawdzać rachunki, które przyszły tego dnia. Na dodatek był też list zaadresowany na jego nazwisko, co było dość niezwykle jak na parafię w Greve.

- Te listy są dla ojca - powiedział, podając koperty don Sergiowi, który siedział przy biurku. Ksiądz je wziął. - Cóż to? Nie otworzy ich ksiądz?

- Oczywiście, że otworzę - odpowiedział pospiesznie don Sergio i zaczął je wszystkie przeglądać powoli jeden po drugim.

W ostatnim czasie zachowanie don Sergia wydało się ojcu Francescowi dziwne. Dziwniejsze niż zwykle. Jakby czymś się dręczył i mimo delikatnych nagabywań ojca Francesca nie chciał niczego powiedzieć. Ojciec Rotondi miał jakiś sekret, który, jak rozumiał proboszcz, niełatwo będzie mu wydrzeć.

Młody kapłan starannie posegregował otwarte listy, dzieląc je w zależności od tego, co zawierały. Rachunki, prośby o pomoc, wezwania do zapłaty nieopłaconych rachunków, jakieś nieliczne wpłaty od hojnych parafian. List osobisty pozostał zamknięty.

- A ten? - zapytał więc ojciec Francesco.

Pytanie było niedelikatne, ale usprawiedliwione szczerą troską, z jaką, nie pokazując tego otwarcie, przyglądał się pełnemu lęku zachowaniu młodego kapłana.

Don Sergio otworzył ostatni list. Wydawało się, że zbladł, kiedy zamglonymi oczyma patrzył na to, co zawierał.

- Złe nowiny? - zapytał z troską ojciec Francesco.
- Prywatne - odpowiedział tylko sucho don Sergio.

- Zauważcie przede wszystkim grę linii i kolorów. Popatrzcie, jak sieć linii harmonicznie kontrastuje z celowo zaznaczonymi krągłościami kusz i koni. Jak świetlistość żółci i pomarańczy, ale także niezwykle błękitów padłych koni, tu na dole, zwróćcie uwagę, podkreśla bitewny harmider, spychając na dalszy plan samych walczących, którzy odmalowani są w kolorach tak samo ciemnych jak pejzaż w tle.

Doszli do sali numer siedem galerii Uffizi, którą Valentina widziała po raz pierwszy. To był jej drugi spacer po Florencji z amerykańskim przyjacielem, sześć dni po wieczorze, kiedy poszli na kolację w Buca Lapi.

Przewodnik przedstawiał grupie znudzonych, hałaśliwych studentów analizę obrazu Paola Uccella *Bitwa pod San Romano*.

Mike dał Valentinie znak, by poszła za nim.

- Chodźmy stąd, wrócimy tu innym razem. Są nieznośni. Następną salę obejrzymy, zanim tam dotrą.

W wielkiej sali numer osiem zebrano siedem obrazów Filippa Lippiego, pośród których był cudowny obraz *Madonna z Dzieciątkiem i dwoma Aniołami*-, spojrzenie anioła wychodzi na nim poza kadr, a pejzaż jest sam w sobie obrazem.

- Genialne, niesamowite - stwierdził Mike Ross. - To mój ulubiony malarz. Jest też trochę do mnie podobny.

- To znaczy?

- On także był podrzutkiem. Został porzucony przez matkę pod klasztorem Santa Maria del Carmine. Jego matka była wdową.

- Bo ty też zostałeś...?

- Opowiem ci o tym kiedyś, kiedy lepiej się poznamy. Różnica między nim a mną jest taka, że jemu podobały się kobiety - dodał z niejasnym

uśmiechem.

Valentina podskoczyła. Czyli to znaczyło, że on...

- Nawet za bardzo - mówił dalej Amerykanin. - Nie był w stanie się powstrzymać, a był przecież zakonnikiem! Zresztą to właściwie nie ma znaczenia, księży i zakonnicy zawsze kombinowali na boku. W piętnastym wieku i dziś także... Pomyśl, Filippo Lippi był tak napalony, że kiedy pracował dla Cosima de Medici, ten musiał zamykać go na klucz, aż nie ukończył dzieła, żeby nie uciekł i nie uganiał się za spódniczkami. Mówi się, że raz uciekł przez okno w najbardziej klasyczny sposób na świecie, na linie zrobionej z powiązanych prześcieradeł.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś gejem? - wybuchnęła w końcu Valentina, nieszczerze zainteresowana boccacciowskimi przygodami malarza zakonnika. O mało co nie dodała: Ty też...

Owszem, gdyby był gejem, wiele rzeczy zostałoby wyjaśnionych, choćby ta, dlaczego nie próbował jej uwieść. Dlaczego wydawał się tak zafascynowany rzeźbami przedstawiającymi potężnych nagich mężczyzn wokół Palazzo Vecchio, dlaczego czasami mówił takim afektowanym głosem.

- Spokojnie, dziewczyno. Nie wydaje ci się, że za bardzo interesujesz się moimi sprawami osobistymi? O tym też ci opowiem pewnego dnia, ale nie teraz i przede wszystkim nie tutaj.

- Wygląda na to, że masz mi wiele do opowiedzenia, a stąd możemy już spokojnie wyjść. Mam zdecydowanie dość. Jeżeli będę oglądała następne dzieła, pomiesza mi się w głowie. To muzeum jest za duże.

- Masz rację, trzeba przychodzić częściej, żeby za każdym razem zobaczyć jedną albo dwie rzeczy, które nas interesują, i na nich się skoncentrować. Tak właśnie powinno się oglądać wielkie zbiory takie jak Luwr czy Metropolitan Museum.

- Idziemy?

- Tak, ale nie po to, żeby o mnie rozmawiać. Muszę pokazać ci jeszcze coś.

To właśnie dlatego cię tu zaprosiłem. To nie jest daleko, w San Lorenzo, dwa kroki stąd. Tam nie będziesz się musiała obawiać, że „pomiesza ci się w głowie”, jak to określiłaś. To maleńki zbiór, najwyżej pomiesza ci się wzrok. Tak, tego jestem całkowicie pewien - dodał, uśmiechnąwszy się tajemniczo.

Wyszli.

Była jedenasta, ostatni tydzień stycznia. Zimny i bardzo wilgotny tydzień.

Przeszli przez plac della Signoria targani podmuchami lodowatego wiatru i weszli w ulicę dei Calzaiuoli, zwaną tak, bo od czternastego do szesnastego wieku były tu sklepy z pończochami, jak wytłumaczył Mike.

Valentina czuła się nieswojo. Nie wiedziała, czy powinna być zdenerwowana czy rozbawiona tym, że jakiś Amerykanin opowiada jej, rodowitej Włoszce, historię artystów i miast jej własnego kraju. Nie wiedziała też, czy prawie pewny homoseksualizm jej przyjaciela cieszył ją czy też irytował.

Z pewnością ten fakt uspokoi Cinzię, kiedy jej o tym opowie, ale czy tak się stanie? Mike dał jej do zrozumienia, że woli być dyskretny, że otworzy się przed nią tylko wtedy, kiedy ona zasłuży na jego zaufanie. Czy mogła zdradzić to zaufanie, zanim jeszcze jej o sobie opowie?

Poza tym nie kontaktowały się z Cinzią zbyt często. Rozmawiały wszystkiego cztery razy, odkąd wyjechała z Bolonii. Zawarły telefonicznie może nie pokój, ale zawieszenie broni, obiecując, że spotkają się znowu, we Florencji czy w Bolonii, ale jako „przyjaciółki”.

Momentami bardzo za nią tęskniła. Naprawdę bardzo. Były chwile, kiedy chciała się z nią kochać przez całą noc. Zdarzały się godziny powolnej agonii, które dopadały ją nocą, podczas snu, budziły i, nie dając zasnąć, sprawiały, że opłakiwała to, co minęło. Wystarczyłby wówczas jeden znak, by zeszła na dół, włączyła silnik samochodu i na zawsze, bez wielkich przemyśleń, opuściła ten czarowny dom w Bellosguardo.

W takich momentach czuła, że jest podobna do Filippa Lippiego, ale nie miała dość długich prześcieradeł, by spuścić się z tarasu aż do domu Cinzii w

Bolonii. A może jej zapał nie był równy odwadze tego florentyńskiego malarza?

Przeszedłszy obok Duomo i Baptysterium, trochę dalej zobaczyli romańską bryłę bazyliki San Lorenzo, z jej surową, niedokończoną fasadą.

- Projekt Michała Anioła - znów wytłumaczył jej osobisty przewodnik. - Nigdy nie został zrealizowany. Wejdzmy.

Weszła z ulgą. Kościół nie był specjalnie przytulny, ale przez wzgląd na chłód na zewnątrz wydał się naprawdę ciepłym miejscem.

- Tędy - powiedział Mike i zaprowadził ją przed obraz *Zwiastowanie* Lippiego.

- Czyż nie jest zaskakujące?

- Kto? Co? Obraz? Obraz jest rodzaju męskiego, Mike.

- Podobieństwo - wyjaśnił, nie zwracając uwagi na przytyk, prawie zaskoczony tym, że nie zrozumiała od razu.

- Podobieństwo do Madonny z Uffizi? - zapytała Valentina, w istocie nie rozumiejąc.

- Ależ nie, są zupełnie inne... Popatrz dobrze, naprawdę nikogo ci nie przypomina?

Dziewczyna popatrzyła na piękną Madonnę z oczami skierowanymi ku ziemi, z rękoma ułożonymi w eleganckim geście, w bogatych strojach udrapowanych miękko i geometrycznie, które jakby już zaznaczały przyszłe macierzyństwo na jej brzuchu, ale nadal nie rozumiała, o co mu chodzi. Do kogo miała niby być podobna? Do jakiejś sławnej aktorki? Modelki? Popatrzyła na niego zdezorientowana.

On też na nią patrzył trochę jakby rozbawiony, ale trochę i zadziwiony.

- Patrzysz czasami w lustro, dziewczyno?

Valentina o mało nie wybuchnęła śmiechem. To miałyby być ona? Oszalał czy jak? Ona miałyby być podobna do... Dziewicy? Gdybyż on wiedział... Może był gejem, może nie, ale ona była bardzo daleko od czystości i świętości. Może o tym właśnie powinna opowiedzieć Cinzii, o Valentinie

Madonnie.

- To jesteś ty! - powiedział mocnym, poważnym głosem.

- No nie, przestań! Chodźmy stąd natychmiast - powiedziała, bo zaczynała się czuć zakłopotana.

Spojrzenie Dziewicy wydawało jej się teraz niemym wyrzutem.

- Popatrz na linię nosa, na usta i na owal twarzy, dokładnie takie jak u ciebie. Nawet ten kosmyk jasnych włosów, który wystaje spod jej nakrycia głowy jest taki sam jak u ciebie, jak tego dnia, kiedy miałaś na sobie fioletową chustę, pamiętasz? Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, skamieniałem. Właśnie wróciłem z nie wiadomo której wizyty tutaj, bo to moje ulubione miejsce we Florencji, i pomyślałem, że to taki żart historii. Jakbyś właśnie zeszła z obrazu i ledwie miała czas, żeby się przebrać, zanim przyjechałaś do mnie, do Greve.

- Chodźmy stąd, proszę cię - powtórzyła prawie błagalnym głosem.

W poniedziałek trzydziestego pierwszego stycznia don Sergio Rotondi przeszedł obok kościoła San Salvatore w Vescovo ledwie osłonięty parasolem. Lało jak z cebra, buty i spodnie miał zupełnie mokre. Wszedł pod numer trzeci na placu San Giovanni.

Siedziba kurii archidiecezjalnej we Florencji powitała go dyskretnym bogactwem eleganckich mebli i przyciszonymi głosami księży pracujących w administracji diecezjalnej.

Wy tłumaczywszy powód wizyty, don Sergio został skierowany do biura na pierwszym piętrze, gdzie znajdował się sekretariat arcybiskupa.

Wszedł po schodach, nerwowo obracając w rękach list.

Musiał poczekać dwadzieścia minut, zanim został wpuszczony do innego, mniejszego biura.

- Proszę usiąść - przywitał go kapłan około sześćdziesiątki, o białych zadbanych włosach. Poruszał z gracją starannie wypielęgnowanymi

drobnymi dłońmi, jakby podkreślając ich ruchem swoje słowa. - Jestem monsignore Federici, oddelegowany przez Jego Eminencję do zbadania sprawy ojca. To, z czym ojciec przyszedł, jest bardzo, bardzo niezwykle.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Rozumiem, że dobrze to ksiądz przemyślał?

- Nie miałem innego wyboru.

Monsignore Federici, ściskając policzki palcami prawej ręki, z zaciśniętymi ustami i zmarszczonym czołem obserwował go z uwagą.

- Kościół nie jest już tak skłonny jak kiedyś do współodpowiedzialności, rozumie ksiądz? Jeżeli mass media dobiorą się do tej historii...

- Ale Kościół może zrobić wyjątek.

- Jeżeli są bardzo, ale to bardzo poważne przyczyny. Kościół może... wszystko z pomocą Boską.

- A skalana dusza to nie dość dobry powód?

Prałat się zastanawiał.

- Przyniósł ksiądz list, o który księdza prosiłem?

Don Sergio podał mu list.

- Dobrze - usłyszał. - Sądzę, że Jego Eminencja zechce księdza przyjąć. Radzę, żeby był ksiądz równie przekonywający. Arcybiskup Florencji to święty człowiek, ale nienawidzi, kiedy mu się przeszkadza bez potrzeby. Spraw związanych z diecezją jest bardzo wiele i są naprawdę ważne.

Wstał i skierował się ku drzwiom.

- Proszę tu poczekać - polecił, wychodząc.

Po krótkiej chwili wrócił.

- Proszę iść za mną.

Zajęty dochodzeniem w sprawie Potwora i zabójstwem Lupiego, Ferrara nie miał czasu, by pokazać anonimowe listy swojemu przyjacielowi Massimowi.

Zrobił to w ostatnią sobotę tego chłodnego, burzliwego stycznia, zanim wyjechał na Sycylię. Na zewnątrz księgarni deszcz zmuszał pieszych do chronienia się w sklepach i przedsionkach domów. Jeżeli już nie mogli inaczej, to przemykali blisko murów, kryjąc się pod występami dachów.

- Nie jestem dobry w łamigłówkach - przyznał księgarz, wypuszczając dym z czarnej, ozdobionej srebrnym pierścieniem fajki, starannie obejrzawszy list. - Może powinieneś zapytać jednego z ekspertów od szarad, którzy pracują w gazetach. Pewnie mają maile i czekają tylko na to, żeby ktoś skontaktował się z nimi w sprawie podobnych zagadek.

- To nie jest dobry pomysł - mruknął komisarz. - Nie wydaje mi się, żeby to była zabawa. - Zawahał się, a potem dodał: - To nie jest pierwszy, jaki dostałem.

- Może to nam coś da. Co było w tamtych?

- W tamtym. Był tylko jeden. Nawet nie jestem pewien czy się ze sobą łączą, jeżeli mam być szczery. Tamten list był zupełnie inny. Wydawał się czymś w rodzaju groźby. To była łacińska sentencja „Memento mori”.

- I tyle? - zapytał zamyślony.

- Coś ci to mówi?

- Wiele. Jest to także tytuł pięknej powieści naszej prawie krajanki. To znaczy Angielki, która właściwie od zawsze mieszka w pobliżu Arezzo, Muriel Spark. Kiedyś tu czasami przychodziła. Wspaniała kobieta. Gdybyś częściej słuchał tego co mówię, to byś to wiedział. Musisz koniecznie przeczytać. Kiedy będziemy schodzić, dam ci kopię tej powieści, na koszt

firmy. I tak byś nie kupił, może Petra tak, ale jej także bym podarował. Daj jej do przeczytania, spodoba się jej.

- Daj spokój, Massimo, nie mam teraz czasu, sam wiesz.

- Pierdoły! To wymówka leni i ignorantów. Jak ktoś chce, czas znajdzie, taka jest prawda. Churchill czytał pośród pożogi wojennej. Z całym szacunkiem, odrzucam sam pomysł, że komisarz policji, nawet wydziału śledczego, mógłby być bardziej zajęty.

- Dobra, już dobra, jak zwykle masz rację. Skoro już to czytałeś, powiedz, czy jest tam klucz do tej tajemnicy?

- O to powinieneś zapytać autorkę, ale po przeczytaniu książki. Polecam się na przyszłość! - powiedział prowokacyjnie, po czym ciągnął z powagą: - Jest jeszcze coś, co w jakiś sposób łączy ze sobą te dwa listy. W obu jest wyraźne nawiązanie do religii. Ostatni będą pierwszymi, tak jest napisane w jednej z Ewangelii, a *Memento mori* to motto zakonu trapistów. Może twój prześladowca chce cię po prostu nawrócić?

Oczywiście ostatnia wypowiedź miała być dowcipna, ale jeżeli jej celem było podtrzymanie na duchu komisarza Ferrary, to nie został on osiągnięty.

Czyli wracamy do don Sergia, pomyślał komisarz, zadając pytanie:

- A jeżeli chodzi o tekst?

- To moja dziedzina, więc to mnie najbardziej martwi. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Co ma znaczyć, że pierwsza będzie ostatnią? Że to pierwsza wiadomość i nie dostaniesz żadnej więcej? To wykluczałoby hipotezę związku między tymi dwoma listami, ale jaki miałyby to sens? Jeżeli jednak oba listy są autorstwa tego samego człowieka, to ten ktoś bawi się paradoksami logicznymi, bo „pierwsza” nie istnieje, jeżeli nie ma przynajmniej drugiej, nie sądzisz? To by znaczyło, że mamy do czynienia z osobą raczej wykształconą i inteligentną, a w takim razie odcyfrowanie tego tekstu nie będzie wcale łatwe. Prawdopodobnie całość zawiera w sobie elementy, których jeszcze nie znamy, a to, krótko mówiąc, oznacza, że powinniśmy oczekiwać następnych wiadomości.

Czy to oznacza kolejne zabójstwa? - zadał sobie pytanie komisarz.

Odpowiedź nadeszła zaskakująco szybko.

Po południu w niedzielę szóstego lutego Łapo Vanni, wynajmujący mieszkanie przy de Cerchi, małej uliczce równoległej do niesamowicie gwarnej i uczęszczanej ulicy dei Calzaiuoli, wróciwszy do domu po dziesięciu dniach urlopu, poczuł dochodzący z mieszkania sąsiada paskudny odór. Pukał kilka razy do jego drzwi, a kiedy nikt mu nie otworzył, zdecydował się zadzwonić na policję.

Na miejsce bezzwłocznie wysłano patrol wydziału śledczego, który natychmiast zażądał przybycia strażaków. Ci, zauważywszy, że okno wychodzące na ulicę jest dokładnie zamknięte i zabezpieczone żelazną kratą, musieli wyważyć drzwi wejściowe.

Nikt w tym momencie nie byłby specjalnie zaskoczony, gdyby w mieszkaniu znaleziono jakieś zwłoki. Na przykład osoby, która poczuwszy się źle, nie była w stanie zadzwonić po pomoc. Ale na takie zwłoki, jakie tam znaleziono, nie byli przygotowani.

Na łóżku leżał kompletnie nagi mężczyzna w stanie zaawansowanego rozkładu, zidentyfikowany potem jako właściciel tego mieszkania.

Była to niewielka, ale bardzo elegancko urządzona kawalerka. Meble, choć nieliczne, były gustowne i drogie. Ferrara wraz z grupą z wydziału zabójstw dołączył do pracujących już na miejscu policjantów. Zaraz potem pojawił się także lekarz sądowy, ten sam co zawsze doktor Leone, oraz technicy. Ferrara zastał w mieszkaniu prokuratora, który i tym razem postanowił zjawić się osobiście na miejscu zbrodni. Po doświadczeniach z Como, Ferrara nie był z tego zadowolony. Wszyscy założyli dostarczone przez techników kryminalistycznych plastikowe ochraniacze na buty, żeby nie zanieczyścić miejsca zbrodni.

Dane personalne trzydziestodwuletniego mężczyzny nie mówiły zupełnie

nic. Nazywał się Francesco Bianchi, a jego nazwisko nie figurowało w policyjnych bazach danych. Nie było tam nawet zawiadomienia o zaginięciu dokumentów. Zupełnie nic. Za to sposób, w jaki został zabity, mówił wiele, szczególnie komisarzowi Ferrarze. Pominąwszy kilka różnic, zabójstwo było dokładną kopią zabójstwa Micaliego.

Pierwszą różnicę stanowiła połamana łądyga róży obok zwłok, drugą - resztki cygara rozsypane na zakrwawionym prześcieradle, trzecią zaś drut na szyi związany w formie pętli, pod którą widać było niezbyt szeroką, ale dość głęboką bruzdę.

Co do reszty, to zmarły klęczał na ziemi, a jego tors leżał bokiem na łożku. Na plecach widać było dwie głębokie rany cięte oraz wiele innych ran u góry z lewej strony w okolicach kości ciemieniowej, doskonale widocznych, kiedy Leone odwrócił ciało. Było też wiele cięć na twarzy, tak samo dziwnie umiejscowionych blisko jedna koło drugiej jak na zwłokach Micaliego. Widać było też rany na ramionach, wszystkie zadane bronią białą.

- Czy możemy określić czas zgonu? - zapytał bez większych nadziei komisarz.

- Ze stanu, w jakim znajduje się ciało, możemy wnioskować, że śmierć nastąpiła kilka dni temu. W tej chwili trudno określić, ile to dni, będę to mógł stwierdzić w przybliżeniu dopiero po autopsji - odpowiedział Leone, jak to było do przewidzenia.

W pomieszczeniu wciąż potwornie cuchnęło. Strażacy, gdy tylko weszli, musieli szeroko otworzyć okno wychodzące na ulicę, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, jednak zapach śmierci utrzymywał się uparcie.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - Leone zwrócił się równocześnie do prokuratora i Ferrary, którzy z bliska przyglądali się, jak bada rany na zwłokach.

- To wygląda na scenę bardzo dziwnej gry erotycznej - stwierdził Ferrara, rozglądając się dookoła. Wiele na to wskazywało: pozycja zabitego, abażur osłonięty czerwoną apaszką, ślady spalonego kadzidła, czerwone róże w

wazonie obok siedemnastowiecznego tremo i prawie pusta butelka szampana na komódce.

- W której brał prawdopodobnie udział wraz z zabójcą - dodał prokurator.

- Możliwe - przytaknął komisarz, który wydawał się myśleć o czymś zupełnie innym.

- A to, o ile się potwierdzi, mogłoby ułatwić waszą pracę, czyż nie? - zapytał prokurator Galio, który oczekiwał szybkich wyników śledztwa i okazywał już oznaki zniecierpliwienia, naturalne zresztą w tak szczególnych okolicznościach.

- Mogłoby, ale nie należy zapominać o łądyżce róży. Jak pan wie, czerwone róże są często istotnym elementem w rytuałach związanych z czarną magią. W wazonie jest ich sześć, siedem, jeżeli policzymy łądyżkę przy zwłokach. To liczba magiczna. I jeszcze to rozkruszone cygaro.

- To jest pańska interpretacja - uciął krótko prokurator, wyraźnie niezadowolony. Nie podzielał zainteresowania komisarza tropami satanistycznymi. Poza tym obawiał się, że Ferrara zechce zaliczyć także i to zabójstwo do swojego śledztwa w sprawie Potwora, powracając tym samym do koszmarnych wydarzeń z przeszłości, które znów mogłyby spowodować panikę w mieście.

- Możemy kazać zabrać ciało, moja praca została skończona, przynajmniej na dziś. Jutro zobaczymy, co wyniknie z autopsji - zdecydował Leone odwrócony do prokuratora, który, zanim wyszedł razem z lekarzem, wydał Ferrarze dyspozycje, by ten wykonał wszystkie niezbędne czynności i załatwił wszelkie formalności w tej sprawie. Do komisarza należało przeszukanie mieszkania: sypialni, maleńkiej kuchni i łazienki, ale musiał poczekać, aż ludzie z kryminalistyki skończą zbierać dowody.

Ubrani w swoje białe kombinezony chodzili, sprawdzając każdy zakamarek i każdy przedmiot. Znaleźli wiele odcisków palców. Znajdowały się na desce klozetowej oraz na kryształowych kieliszkach, które stały na komódce obok butelki szampana. Przebadali starannie plamy krwi znalezione

na umywalce w łazience. Przypuszczalnie morderca po zabójstwie umył narzędzie zbrodni, którego niestety nie odnaleziono.

Kiedy technicy skończyli, do pracy mogli ruszyć ludzie Ferrary, którzy przystąpili do starannego przeszukania pomieszczeń.

Czynność ta nie wymagała zbyt wiele czasu, także dlatego, że w mieszkaniu nie było aż tak dużo przedmiotów. Lokal wyglądał raczej na miejsce spotkań niż stałego zamieszkania. Nie znaleźli niczego użytecznego.

Ferrara zdecydował wrócić do prokuratury, żeby przystąpić do przesłuchiwania świadków. Łapo Vanni został wezwany na przesłuchanie wraz z innymi mieszkańcami budynku, którzy tego dnia byli w domu.

- Jak odkrył pan zwłoki? - zapytał Ferrara, kiedy znaleźli się w biurze.

- Cóż, ja właściwie niczego nie odkryłem, poczułem tylko smród. Wróciłem do domu po dziesięciodniowym pobycie na wakacjach zimowych i poczułem ten paskudny odór, który dochodził z mieszkania sąsiada.

- A w pańskim mieszkaniu nie było nikogo, kiedy pan był nieobecny?

- Nie. Mieszkam sam, jestem wdowcem i mam syna, który pracuje we Francji. To u niego byłem przez te ostatnie dni.

- Kiedy pan wyjechał?

- Dziesięć dni temu, już panu mówiłem.

- A kiedy pan wyjeżdżał, widział pan albo słyszał swojego sąsiada?

- Nie. Kiedy wyjeżdżałem, nie wiedziałem, czy w mieszkaniu ktoś przebywa, czy nie, ale sądzę, że nikogo tam nie było. Ten Francesco Bianchi zjawiał się tylko od czasu do czasu, prawie wyłącznie podczas weekendów.

- Jakie miał pan z nim kontakty?

- Praktycznie żadne, może właśnie dlatego, że nie mieszkał na stałe w naszym bloku. Mówiliśmy sobie dzień dobry w tych rzadkich momentach, kiedy spotykaliśmy się na schodach czy na półpiętrze.

- Co pan o nim wie?

- Nic albo prawie nic. Wiem tylko tyle, że mieszkał w Sienie, gdzie uczył historii sztuki w jakimś liceum artystycznym. Wiem też, że kupił tę

kawalerkę około czterech lat temu, bo spodobało mu się we Florencji i przyjeżdżał tak często, jak na to pozwalała mu praca. Przynajmniej tak mi powiedział podczas jednej z tych nielicznych okazji, kiedy zamieniliśmy ze sobą kilka słów.

- A pan od jak dawna mieszka przy ulicy de Cerchi?

- Od zawsze. To było mieszkanie moich rodziców.

- To znaczy, że znał pan pana Bianchiego od samego początku, odkąd przybył tu cztery lata temu? Cztery lata to niemało czasu. To niewielki budynek i chyba to nie jest takie znowu normalne, że ograniczaliście się jedynie do form grzecznościowych. Nie wydaje się panu?

- Ale tak właśnie było, komisarzy. Rozumiem, że może to się wydać dziwne, ale musi pan też brać pod uwagę to, że Bianchi nie był zwyczajnym mieszkańcem, jak powiedziałem. Dla niego to był drugi dom.

- Widział go pan z kimś kiedyś? Z jakimś przyjacielem, znajomym, innym sąsiadem?

- Nie, zawsze widywałem go samego i jestem pewien, że nikt z mieszkańców do niego nie chodził. Wiedziałbym, bo jesteśmy wszyscy w doskonałych stosunkach.

- Niech się pan jeszcze nad tym zastanowi. Jest pan absolutnie pewny, że nigdy go pan z nikim nie widział? Żadnych mężczyzn? Kobiet? Zazwyczaj taka kawalerka używana bywa jako garsoniera, nieprawdaż?

- Tak mi się wydaje, ale przysięgam, że ja nigdy go z nikim nie widziałem. Zawsze wydawało mi się, że nie może być żonaty ani nawet zaręczony. Miałem wrażenie, że jest kimś w rodzaju naukowca.

- Panie Vanni, sądzę, że będziemy musieli spotkać się jeszcze raz, tymczasem niech pan pomyśli, może coś panu przyjdzie do głowy, bo nie powiedział nam pan właściwie nic. Zdaje pan sobie z tego sprawę, mam nadzieję? - Ferrara zaczynał odczuwać poirytowanie. - Wie pan, co nas interesuje, prawda?

- Tak, wiem, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym mógł wam pomóc.

Słyszałem, jak mówiono tu i tam, że czasami przychodził do domu w towarzystwie jakichś mężczyzn, młodszych od siebie, o statusie społecznym - powiedzmy w ten sposób - niższym niż jego własny. Nie powiedziałem o tym, bo to plotki, może nawet pomówienia, a ja tego nie lubię. Nie pamiętam nawet, kto mi to mówił.

- To niech pan się postara sobie przypomnieć.

Przesłuchanie zostało zakończone. Przesłuchano także kilku innych właścicieli mieszkań, ale nie powiedzieli niczego konkretnego. Jakby ten mężczyzna nigdy nie mieszkał w tym mieszkaniu. Doskonały nieznajomy albo raczej osoba, o której inni nie wiedzieli zupełnie nic, tak jak i ona nie wiedziała nic o innych.

Zrobiło się bardzo późno i Ferrara zdecydował się wrócić do domu. Przedostając się przez tłum dziennikarzy, rzucił tylko lakonicznie:

- Na razie żadnych komentarzy.

Następnego dnia prefektura upodobniła się do domu wariatów, co wydało się komisarzowi ironiczną zemstą historii. Budynek, w którym miała siedzibę, pierwotnie był właśnie takim domem - słynnym Spedale di Bonifazio, pierwszym szpitalem psychiatrycznym w nowoczesnym rozumieniu, stworzonym na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku.

Powodem zamieszania było to, o czym można było przeczytać w gazetach przypisujących ostatnie przestępstwa nieudolności sił porządkowych i otwarcie protestujących przeciw takiemu rządzeniu miastem, które daje wolną rękę kryminalistom, mordercom i innym przestępcom, a nie chroni uczciwych obywateli.

Najbardziej dostało się Przebiegłemu Kotu, który już raz dostał kredyt zaufania, gdy wysnuł przypuszczenie, że sprzedawca antyków Salustri, aresztowany za paserstwo, był prawdopodobnie także i mordercą. Sprawę z Santo Spirito uważano więc za zamkniętą, przynajmniej o tyle, o ile

dotyczyła spokoju publicznego.

Niektórzy rozpisywali się na temat zabójstwa w Greve in Chianti, ale większość koncentrowała się na zabójstwach Bianchiego i Lupiego. To ostatnie przypomniano ze szczególnie zajadłą gwałtownością z powodu poprzedniej wersji, którą wcześniej potwierdził komisarz, a która teraz wydawała się kompletną farsą wykombinowaną po to, aby odwrócić uwagę opinii publicznej od tego, co naprawdę dzieje się w mieście.

Obu zabójstw dokonano w samym centrum, w bardzo uczęszczanych dzielnicach turystycznych, jedno od drugiego dzielił bardzo krótki czas, bo tylko nieco więcej niż miesiąc.

Prefekt musiał zrezygnować ze swojej zazwyczaj spokojnej, a nawet flegmatycznej postawy i biegał od biura do biura, szukając odpowiedzi, których nikt nie był w stanie mu udzielić.

Sala prasowa wypełniona była dziennikarzami, a zasypywany pytaniami funkcjonariusz biura prasowego usiłował ich powstrzymać. Komisarze wydawali rozkazy podwładnym choćby tylko po to, by dać im zajęcie i pokazać, że są zapracowani. Radiowozy krążyły bez przerwy tam i z powrotem.

Ferrara wezwał Rizza, Sergiego, Violantego, Venturiego i Ascalchiego na nadzwyczajne zebranie, które miało im zająć całe przedpołudnie. Trzasnąwszy drzwiami, wydał polecenie, by mu nie przeszkadzano w żadnym wypadku i by nie wpuszczano do jego biura nikogo, nawet samego prefekta.

- Niech Leone zadzwoni do mnie, gdy tylko skończy autopsję. Chcę wiedzieć natychmiast, nie będę czekał na raport. I niech zadzwonią także z kryminalnego - powiedział do inspektora Venturiego.

- Natychmiast to załatwię - odpowiedział podwładny, rzucając się do telefonu.

- Panowie - zaczął Ferrara, nie czekając, aż skończy rozmowę - potrzebujemy rezultatów. I to szybko. Jak widzieliście, prasa atakuje nas bez

ogródek. Chcę, żeby oddelegowano wszystkich możliwych ludzi do tej sprawy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czy to jasne?

- Jak słońce - przytaknęli obecni, wszyscy oprócz Rizza.

- A śledztwo w sprawie Potwora? - zapytał zaniepokojony.

- Róbcie to, co macie do zrobienia, ale wczorajsze zabójstwo to priorytet.

Teraz oceńmy hipotezy badawcze. Wszyscy znamy fakty, a jak dla kogoś są niejasne, niech poczyta sobie gazety.

Znów wszyscy skinęli głowami.

- Czy komuś przychodzi cokolwiek do głowy?

Gianni Ascalchi odchrząknął.

- Dla mnie to zbrodnia na tle seksualnym.

- Jeżeli tak, to musimy ustalić, czy Bianchi padł ofiarą dość szczególnej zabawy erotycznej czy jest w tym coś jeszcze. Nie wiem, zemsta za coś, co jest związane ze światkiem perwersyjnego seksu albo z szantażem - zauważył Rizzo.

- Venturi, zanotuj, żeby sprawdzić jego konta bankowe. Jasne też jest, że prywatne życie tego człowieka musi zostać dokładnie zbadane. Przewróćcie je na drugą stronę jak stare skarpetki. Coś jeszcze?

- Środowisko ezoteryczne? - zasugerował Serpico.

- Doskonale, to drugi ślad, który powinniśmy sprawdzić. Oba te ślady mogą się oczywiście łączyć.

- Sposób dokonania zbrodni jest bardzo podobny do zabójstwa Micaliego i w obu przypadkach istnieje związek z homoseksualizmem - jeszcze raz zauważył Rizzo.

- Tak właśnie jest. To prowadzi do dość niepokojących wniosków. Gazety już teraz dwoją się i troją, żeby znaleźć związek pomiędzy tymi trzema ostatnimi zabójstwami. Jeżeli rzeczywiście są ze sobą powiązane, to oznacza, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

Te słowa, które w jakiś sposób od samego początku zebrania cisnęły się wszystkim na usta oraz fakt, że to samo sugerowały także gazety, sprawiły,

że wszyscy zamilkli. Ogromna złożoność sprawy Potwora, która przecież jeszcze nie została całkiem rozwiązana, ciążyła nad nimi jak wyrok. W tamtym przypadku też doszli do wniosku, że sprawcą jest seryjny zabójca i niestety pracowali nad tym od lat.

Seryjny zabójca to zjawisko niemal zupełnie nieznanne w annałach policji włoskiej aż do początku lat osiemdziesiątych, lecz od tego czasu rozprzestrzeniło się jak plama oleju. Wszyscy o nim mówili, opisywały je thrillery i gazety, przeróżne kanały telewizyjne usiłowały zdobyć dla siebie materiały na wyłączność, policja z pomocą ekspertów amerykańskiego FBI, o wiele bardziej doświadczonego w badaniach nad tym zjawiskiem, starała się być na bieżąco. Wszyscy jednak wiedzieli, że właśnie z powodu swoich cech charakterystycznych seryjny zabójca to ktoś, kogo najtrudniej zidentyfikować i pojmać.

Jeżeli taka była perspektywa, to przyszłość wszystkich malowała się w czarnych barwach.

- Zabójstwo Lupiego nie pasuje, był żonaty i miał dziecko - zaprotestował nadinspektor Violante.

- Niech pan nie zapomina o tych dziwnych ranach na jego ciele, inspektorze, i o tym, że sprawę sam, prawdopodobnie błędnie, uznałem za zamkniętą w związku z aresztowaniem Salustriego, jednak oficjalnie nie jest zamknięta. Sądzę, że zrobiłby pan dobrze, wracając do tego śledztwa. Dobrze by było zacząć od sprawdzenia życia prywatnego Alfreda Lupiego, tym bardziej że...

Ferrara doszedł do wniosku, że nadeszła pora, by powiadomić swoich ludzi o anonimowych listach, jakie otrzymał. Były słabymi wskazówkami, może nawet nieważnymi, ale wraz z okrutnymi ranami zadanyimi Francescowi Bianchiemu, nie tak znów bardzo różniącymi się od ran zadanych dwóm pozostałym ofiarom, mogły stanowić istotny element w sprawie.

Reakcja jego ludzi była taka, jakiej oczekiwał. Posypały się oczywiście

zawołowane wyrzuty, że ukrywał przed nimi skierowane do siebie groźby, ale nie chciał tłumaczyć im prawdziwych motywów, dla których milczał aż do teraz.

- Tak czy inaczej, trzeciego listu nie ma, a jest trzecie zabójstwo - zauważył Ascalchi.

- Może morderca pomyślał, że wystarczy rozkruszone cygaro. To także jest wiadomość, ale prawdę mówiąc, nie wiem, może to pan ma rację. Może to tylko teoria, która sprowadzi nas na manowce, więc nie należy przykładać do niej zbyt wielkiej wagi. Nie wykluczajmy jej jednak.

- Łupi nie był homoseksualistą - stwierdził Violante, jakby poirytowany, że znów będzie zajmował się tą sprawą.

- Oczywiście, ale ten drugi list ma wszelkie cechy wyzwania rzuconego policji, to typowe dla seryjnych zabójców, którzy uważają, że są sprytniejsi i inteligentniejsi od nas - dodał Rizzo i w biurze komisarza Ferrary znów zapadła martwa cisza.

Doktor Leone zadzwonił tuż przed południem. Rezultaty autopsji potwierdzały część z hipotez, nad którymi już pracowano, ale dodawały też wiele szczegółów, które mogłyby być bardzo ważne w późniejszym czasie.

Przede wszystkim określono przyczynę śmierci i z dużym przybliżeniem także datę i godzinę zabójstwa. Śmierć nastąpiła z powodu „asfiksji, czyli zamartwicy spowodowanej uduszeniem”. Ofiara była pod wpływem narkotyków i alkoholu. Rany zadane nożem, a było ich trzydzieści pięć, nie okazały się śmiertelne, tak jak i nie były śmiertelne dwie rany na plecach, mimo iż były raczej głębokie. Do zabójstwa doszło pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą czwartą, na cztery dni przed znalezieniem zwłok, w środę drugiego lutego 2000 roku. Rekonstrukcja dynamiki zbrodni w świetle tych badań pozwoliła stwierdzić, że ofiara najpierw została uderzona w plecy, potem poraniona, a w końcu uduszona i w ten sposób zabita. Straszna tortura.

- Znalazłem także - stwierdził Leone przez telefon - ślady spermy w odbycie, były tam też resztki oliwy i wazeliny.

W chwilę potem zadzwonił telefon z wydziału kryminalnego. Wszystkie odciski palców pobrane z mieszkania należały do ofiary, oprócz tych znalezionych na jednym z dwóch kryształowych kieliszków i na desce klozetowej. Skonfrontowane z policyjną bazą danych nie dały jednak żadnych rezultatów. Nawet krew w umywalce okazała się krwią ofiary, toteż potwierdziło się przypuszczenie, że morderca umył nóż po tym, jak się nim posłużył.

Ferrara poinformował swoich ludzi o wynikach, rozdzielił zadania i zamknął zebranie.

W następnych dniach opis postaci Francesca Bianchiego zaczął nabierać kolorów.

Był gejem z wysokiej klasy społecznej, mieszkał w Sienie, ale miał zwyczaj spędzać we Florencji niektóre weekendy, jak potwierdzili jego siostra i siostrzeniec, którzy mieszkali wraz z nim.

Powiedzieli też, że w niedzielę trzydziestego stycznia Bianchi wyjechał, żeby spędzić kilka dni, a może nawet cały tydzień we Florencji, korzystając z krótkiego urlopu, który wziął, by zająć się swoimi badaniami na temat historii sztuki. Dodali też, że w ostatnim czasie ich stosunki się pogorszyły ze względu na sprawy spadkowe, tak więc sądzili, że badania były tylko pretekstem, by wyrwać się z domu i zastanowić nad tym, co powinien zrobić.

Właśnie dlatego nie kontaktowali się z nim telefonicznie i wcale się nie zdziwili, że Francesco nie odzywał się do nich. O jego przyjaciółach czy znajomych z Florencji nie wiedzieli nic, nie wiedzieli nawet, czy jakichkolwiek miał.

Instynkt jednak podpowiadał Ferrarze, że to właśnie we Florencji powinien szukać. Nie można było wykluczyć, że ofiara przywiozła tu sobie jakiegoś kochanka ze Sieny, poprosił więc lokalną policję, żeby dokładnie przyjrzała się sprawie. Była to tylko formalność, bo wydawało się więcej niż pewne, że profesor chciał zachować pozory w swoim mieście i wybrał Florencję, aby tu bez skrępowania realizować swoje prawdziwe potrzeby seksualne. Zarówno

plotki, jak i zakup mieszkania zdawały się to potwierdzać.

Komisarz oddał sprawę Serpicowi, upoważniając go do zrobienia nalotów i przesłuchania ludzi z florenckiego świątka homoseksualnego, który zbierał się przede wszystkim w Parco delle Cascine, na stacji kolejowej Santa Maria Novella i w pewnym kinie pornograficznym w południowej części miasta.

Przez całe dni wydział śledczy pełen był przede wszystkim emigrantów spoza Unii Europejskiej, stanowiących największą i najbardziej przez homoseksualistów pożądaną grupę społeczną ze względu na niskie wymagania finansowe.

Młodzi ludzie bez stałego adresu zamieszkania, bez pracy, prawie wszyscy przebywający na terenie Włoch nielegalnie. Biedni nieszczęśnicy, którzy zmuszeni przez biedę spełniali nierzadko perwersyjne zachcianki swoich „dobroczyńców” w zamian za obiad, stare ubrania, możliwość zatelefonowania do rodziny, a czasem tylko za udostępnienie prysznicza.

Żaden z tych ludzi nie rozpoznał albo nie chciał rozpoznać Francesca Bianchiego na zdjęciach, które zostały im pokazane. Ferrara poprosił także firmę Telecom o wykaz rozmów telefonicznych z florenckiego mieszkania ofiary, licząc, że znajdzie jakiś ślad kontaktu, który naprowadziłby go na właściwy trop. Poprosił też o założenie podsłuchu na telefon w domu siostry ofiary w Sienie, ale nie dało to żadnych rezultatów.

W końcu jedynym elementem, który był w jakiś sposób interesujący, pozostał ślad spermy w odbycie ofiary. Badania laboratorium technicznego pozwoliły określić profil genetyczny właściciela spermy, ale była to czysta abstrakcja, bo do kogo właściwie należał? Nie było żadnego podejrzanego, z którego profilem można by go porównać.

Pod koniec tygodnia wydawało się, że znaleźli się w martwym punkcie. Prasa natomiast z każdym mijającym dniem nabierała coraz więcej werwy, a komisarz obawiał się, że ma rację.

Nawet najwyżsi urzędnicy w prefekturze skłonni byli wysnuwać podobne wnioski. W tym właśnie momencie prokurator i prefekt usiłowali realistycznie ocenić fakty.

- Wydaje mi się, że tym razem Przebiegły Kot nie jest w stanie wykazać się węchem psa gończego - mówił prokurator Galio wyraźnie zadowolony z gry słów, którą, jak mu się wydawało, posłużył się pierwszy.

- Niektóre śledztwa wymagają czasu, wiemy o tym doskonale - usiłował bronić Ferrarę Riccardo Lepri, ale rozmówca natychmiast mu przerwał.

- Czasu właśnie nie mamy. Mamy dwa zabójstwa w ciągu miesiąca w samym centrum miasta i żadnej wskazówki, podejrzanego, niczego, co można by dać na pożarcie prasie...

- Chyba byłem już aż nazbyt cierpliwy. Ferrara ma doskonałe referencje, wspaniałą karierę, ale nie jest już taki jak kiedyś. Ta jego obsesja na punkcie spisków i czarnej magii w końcu go zniszczy.

- Ja też mówiłem mu, żeby był ostrożniejszy i nie pozwolił, by sytuacja wymknęła się spod kontroli, proszę mi wierzyć. Łatwo jest dać się wmanewrować, to są historie bez sensu, dużo hałasu o nic. A czas leci.

- A prawdziwi mordercy chodzą sobie wolno.

- No, a poza tym jest jeszcze... - Prefekt zamilkł i pozwolił błędzić wzrokowi po wspaniałym fresku zdobiącym sufit jego pełnego przepychu biura. Był to jeden z przywilejów, jakim państwo posiadające wiekowe i wspaniałe zasoby artystyczne mogło podziękować swoim najbardziej zasłużonym urzędnikom.

- Jest jeszcze co? - zachęcił go Galio.

- Ta transmisja telewizyjna, wie pan. Nie chciałbym, żeby wbił sobie do głowy, że będzie pokazywał się opinii publicznej jako ktoś w rodzaju bohatera, ktoś lepszy od wszystkich innych.

Była to aluzja do audycji telewizyjnej związanej ze sprawą Potwora. Zeszłego lata Ferrara rzeczywiście wziął udział w popularnym talk-show razem z pewnym psychiatrą, sławnym kryminologiem, badaczem

uniwersyteckim i ekspertem od okultyzmu, bo wtedy właśnie zaczynało się mówić o nowym tropie, jakim zaczął podążać komisarz Ferrara. W programie wzięła też udział, pewnie dla ozdoby, młoda, całkiem ładna aktorka, która grała rolę policjantki w pewnym znanym filmie telewizyjnym. Chwila rozgłosu wokół szefa wydziału śledczego, zazwyczaj małomównego i skromnego, dała do zrozumienia tym, którzy umieli patrzeć i słuchać, że krąg się zamyka i nie została zbyt dobrze przyjęta przez jego zwierzchników.

- Skoro chciał zostać gwiazdą, to powinien iść na aktora, drogi Lepri. Prokuratura we Florencji ma ważniejsze sprawy na głowie. Trzeba, żeby Ferrara się dostosował i to szybko. Bardzo szybko.

- Co zamierza pan zrobić?

- Na razie nic, ale jeżeli wkrótce nie zobaczę rezultatów, to będę wiedział, co zrobić.

Prefekt się zastanowił.

- Porozmawiam z nim - powiedział.

- Jeśli pan chce, to proszę to zrobić, ale uprzedzam, że jeżeli nic się nie zmieni, mogę dać negatywną opinię co do jego awansu na wyższy stopień, o ile nie gorzej.

- Czy to nie przesada? Komisarz Ferrara służy państwu tak jak i my...

- Właśnie dlatego powinien robić to, co do niego należy.

- W jakim sensie?

- Już powiedziałem. Ferrara myśli tylko i wyłącznie o sprawie Potwora, mimo że minęło tyle lat. Do prokuratury nie przychodzi prawie nigdy, a kiedy już się pokaże, zamyka się w biurze swojego kolegi, który się tym zajmuje. Widziałem go ostatnio przy sprawie Salustriego. Wyciągnął mnie nie wiadomo po co aż nad granicę, jak się okazało zupełnie bez potrzeby, a zastępcy prokuratora przychodzą się skarżyć, bo mają wrażenie, że w prefekturze nikt z nimi nie chce rozmawiać.

- Rozumiem. Postaram się przywołać go do porządku.

- Proszę to zrobić. Jedno musi być jasne: albo Ferrara znów będzie robił to,

co należy do szefa wydziału śledczego, całego wydziału śledczego, podkreślam, albo będę zmuszony napisać bezpośrednio do szefa policji, prosząc o jego odwołanie.

W niedzielę nadinspektor Violante udał się do biura. Do emerytury brakowało mu zaledwie kilku miesięcy i czekał na nią z utęsknieniem. W policji przeżył całe swoje życie, a było to życie, które przyniosło mu wiele goryczy i bardzo mało satysfakcji. Jego dzieci, jako nastolatki, w latach osiemdziesiątych dorobiły się łatwych pieniędzy, których wówczas było pod dostatkiem w niektórych środowiskach i nigdy nie kryły, że wstydzą się ojca, który przez całe życie zadowalał się rolą zwykłego urzędnika państwowego.

On nie. On się tego nigdy nie wstydził, a jeżeli teraz w końcu pragnął odpocząć, to nie znaczyło, że nie zamierza wykonywać swojej pracy z należnym samozaparciem i uczciwością, mimo tego co wielu z jego kolegów o nim myślało i z czego on doskonale zdawał sobie sprawę.

Zamierzał skorzystać ze spokoju niedzieli, żeby przejrzeć wszystkie papiery związane ze sprawą Lupiego, ponownie przeglądając jeden po drugim raporty, zeznania i notatki.

Relacja policjanta, który miał służbę w centrali dwudziestego czwartego stycznia, pozwoliła rzucić nowe światło na tę sprawę.

Tego dnia dostali anonimowy telefon. Jeden z tych, których nigdy nie brakuje po zabójstwie, a które prawie zawsze są dziełem mitomanów. Jednak z braku poważnych śladów trzeba je dokładnie zbadać, choćby tylko dlatego, żeby potem nie można było powiedzieć, że coś zostało zaniedbane.

Dzwoniący podał nazwisko Antonia Goriego, określając go jako przyjaciela zabitego. Stwierdził też, że policja powinna przyjrzeć się „szczególnym stosunkom” pomiędzy tymi dwoma mężczyznami.

Połączenie nie zostało zarejestrowane przez operatora, bo centrala nie była jeszcze zaopatrzona w magnetofon, ale policjant sporządził dokładną notatkę,

w której zaznaczył, że dzwoniący podkreślał dwuznaczną naturę przyjaźni pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Chodziło o homoseksualizm ofiary, który on sam jako śledczy negował wobec wszystkich.

Violante nie mógł nie nazwać siebie samego imbecylem za to, że przegapił ten raport i że nie przekazał go Ferrarze. Telefon mógł być oczywiście dziełem mitomana, ale mógł także nim nie być.

Jedynym usprawiedliwieniem było to, że anonimowy sygnał nadszedł w czasie akcji zmierzającej do zatrzymania Antonia Salustriego, którego w tamtej chwili uważano prawie bez cienia wątpliwości za zabójcę Lupiego. W tym czasie tropem najważniejszym był szantaż.

Może to i było usprawiedliwienie, ale on nadal czuł się idiotą.

Uczciwym idiotą. Nigdy by nie pomyślał o tym, żeby wiadomość tę ukryć. Czy jest się tuż przed emeryturą, czy też nie, trzeba być odpowiedzialnym za własne czyny i umieć przyznać się do błędu, nawet kiedy jest się policjantem. Przede wszystkim jeżeli jest się policjantem, powiedział sam do siebie. Inaczej skąd brałby odwagę, by zakładać kajdanki innym ludziom?

- Gratulacje, Violante, doskonała robota! - zawołał Ferrara rankiem w poniedziałek czternastego lutego.

Był szczerze ucieszony. Z zadowoleniem odkrył, że ten niedowidzący, niepozorny człowieczek, który stał przed nim, a który zbyt często wydawał mu się próżniakiem i nierobem, w rzeczywistości był jednym z tych filarów, o których nikt nie wie albo nie chce wiedzieć, a na których w rzeczywistości opiera się cały aparat państwowy.

- Zanim wezwiemy tego Goriego, dopilnuj wszystkich czynności wstępnych.

- Już to zleciłem inspektorowi Venturiemu, panie komisarzu.

Ferrara popatrzył na niego z szacunkiem. Przykro będzie, kiedy ten człowiek opuści ich, by odejść na emeryturę.

Przez dwa następne dni inspektor Venturi odkrył, że Alfredo Łupi i Antonio Gori przez jakiś czas bardzo często się odwiedzali.

Wtedy Ferrara zdecydował się na przesłuchanie. Tego samego dnia, w środę szesnastego lutego wieczorem. Chciał mieć natychmiast odpowiedzi i sprawdzić pierwszy ewentualne alibi podejrzanego, bo sędzia nie zezwoliłby na podsłuch na podstawie anonimowego telefonu, na dodatek niezarejestrowanego.

- Dobry wieczór, panie komisarzu!

Antonio Gori był niski, starannie ogolony, elegancko ubrany i pachnący, ale nie sprawiał wrażenia kogoś zniewieściałego.

- Dobry wieczór! Proszę wejść, niech pan siada.

- Dlaczego zostałem tu wezwany o tej porze? Policjant, który przyniósł mi zaproszenie do prefektury, nic mi nie wytłumaczył. Powiedział tylko, że chce pan ze mną rozmawiać.

- Tak właśnie jest. Muszę zadać panu kilka pytań i zapisać pańskie zeznania do protokołu.

- Protokołu? - Mężczyzna był zaskoczony.

- Znał pan Alfreda Lupiego - uciął Ferrara. - Zanim pan odpowie, chcę panu powiedzieć, że nie wezwaliśmy tu pana przypadkiem. W aktach mamy coś, co naprowadziło nas na pana.

- Wiedziałem! Wiedziałem! - Potrząsnął niepocieszony głową. - Tak, znałem biednego Alfreda i jestem bardzo zasmucony tym, co mu się stało.

- To jak to się stało, że nie przyszedł pan z tym do nas sam?

- Dlaczego? A powinienem był? Przecież nie mam z tym nic wspólnego...

- Jak się poznaliście? - kontynuował nieubłagane Ferrara.

- To stało się jakieś trzy lata temu...

W tym momencie się zablokował.

- Odwagi, panie Gori! Niech pan mówi. Niech pan nam powie prawdę, jeżeli nie ma pan nic do ukrycia.

- To nie to. Nie mam nic do ukrycia, ale to trudno wytłumaczyć.

- Niech pan będzie spokojny, jesteśmy dorośli, niech pan mówi spokojnie i niech pan się nie boi. Nic panu nie zarzucamy, ale, jak już powiedziałem, nie wezwaliśmy pana przypadkiem. Coś wiemy i czekamy na potwierdzenie i wyjaśnienia. Tylko tyle.

- Czy mogę prosić o zachowanie w tajemnicy tego, co powiem, szczególnie wobec mojej rodziny?

- Obiecuję panu, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Ma pan moje słowo.

- Poznałem Alfreda, odpowiadając na anons w lokalnej gazecie. To było coś typu: Trzydziestolatek szuka aktywnego przyjaciela, listy na poste restante, dowód osobisty... coś w tym rodzaju. Wyznaczyliśmy sobie spotkanie na placu Liberta. Postanowiliśmy spotkać się znowu, bo obaj poczuliśmy do siebie nawzajem silny pociąg fizyczny. Wtedy, przy pierwszym spotkaniu, Alfredo powiedział mi, że woli rolę kobiety, co bardzo mi odpowiadało. Ustaliliśmy spotkanie na następny tydzień przy zjeździe z autostrady Florencja Południe.

Nasz układ od początku nie był łatwy, bo Alfredo wolał uprawiać seks tylko w mieszkaniu, obawiając się, że ktoś go zobaczy, gdybyśmy robili to na przykład w samochodzie.

Dlatego też postanowiliśmy wciągnąć w to nasze rodziny. Chcieliśmy, żeby ta nasza niby-przyjaźń wydawała się całkiem normalna. Nasze żony bardzo się zaprzyjaźniły, a spotkania pomiędzy mną i Alfredem były coraz częstsze. Wszyscy razem podróżowaliśmy też czasami za granicę. Nikt z rodziny nigdy nas o nic nie podejrzewał.

W pierwszą wspólną podróż wybraliśmy się do Rumunii, gdzie odbyliśmy pierwszy stosunek seksualny. Potem były kolejne, przez cały czas naszego związku. Często podczas weekendów jeździliśmy do Cortiny, gdzie mam kawalerkę. Tam przebywaliśmy kilka dni, także niedługo przed tym, jak został zabity.

- Nie zwierzał się panu? Miał jakieś poważne problemy? Niech pan sobie

przypomni, to jest ten moment, kiedy powinien pan powiedzieć wszystko, co pan wie.

- Niestety, nie wiem nic. Nie opowiadał mi o swoich lękach czy kłopotach, wydawał się spokojny jak zawsze. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, kto go zabił ani też dlaczego. To dlatego się nie zgłosiłem. Chciałbym wam pomóc znaleźć zabójcę, Alfredo był moim bliskim przyjacielem. Do teraz mi go brakuje, ale nic nie wiem.

- Dziękuję, może pan odejść.

Ferrara poprosił natychmiast prokuratora o nakaz podsłuchu telefonu Goriego. Galio, ucieszony, że sprawy znów ruszyły, nie miał najmniejszych kłopotów, by wydać nakaz w trybie pilnym. Były ku temu powody: nie chodziło już o anonimowy telefon. Oto zaistniały fakty, które wymagały natychmiastowego wyjaśnienia, także w interesie przesłuchanego, którego status należało zweryfikować.

Był to też powód, dla którego komisarz wolał nie pytać go o to, co robił trzydziestego pierwszego grudnia. Lepiej było zająć się tym, o ile będzie to konieczne, po sprawdzeniu przesłuchiwanego i po wynikach podsłuchu telefonicznego.

Wysłano dwóch policjantów na misję do Cortiny, aby przeprowadzili wywiad na temat ostatniego pobytu kochanków. Inni dyskretnie sprawdzali znajomych Goriego, przesłuchano także jego żonę oraz wdowę po Lupim.

Wszystko bez rezultatu. Z biegiem czasu początkowy optymizm powoli zastąpiło uczucie frustracji i rezygnacji.

Antonio Gori okazał się całkowicie niezwiązany ze sprawą, a żona Lupiego zupełnie nic nie wiedziała o podwójnym życiu męża, o którym Ferrara nic jej nie powiedział, przekonany, że wyjawienie tej nieznannej, ciemnej strony życia małżeńskiego, tylko pogłębiłoby jej ból.

W poniedziałek dwudziestego pierwszego lutego, kiedy Rzymianin

poinformował, że w Bolonii znaleziono kolejną zmasakrowaną prostytutkę, szef wydziału śledczego z Florencji zdał sobie sprawę, że jedyną pewną rzeczą, która wynikła po tylu dniach śledztwa, jest homoseksualizm ofiar. Zrozumiał też poważny problem, jaki niezbiecie wynikał z odkrycia tego faktu.

Zarówno we Florencji, jak i w Bolonii działał prawdopodobnie jakiś seryjny zabójca.

Gianni Ascalchi podsumował sytuację stwierdzeniem, które na długo stało się sławne w prefekturze:

- Co za szajs! Bolończycy wykańczają dziwki, florentyńczycy mordują cioty, lepiej bym zrobił, gdybym został w Rzymie.

❁ 6 ❁

Tej nocy Valentina spała źle. We śnie wydawało jej się, że słyszy kroki i jakieś płaczliwe, żałosne pojękiwania dochodzące z pomieszczeń na pierwszym piętrze.

Kiedy kładła się spać koło północy, Mike Ross jeszcze nie wrócił do domu. Świadomość, że jest sama w tej wielkiej, stojącej na uboczu willi, sprawiała, iż nie czuła się zbyt pewnie. Dodatkowo, odkąd, idąc za radą księgarza, entuzjastycznie przyjęta przez promotora w Bolonii i asystenta we Florencji, zaczęła zagłębiać się w badania nad magią okresu renesansu, zasypiała w towarzystwie czarownic posyłanych na stos i kapłanów składających ofiary z ludzi.

Następnego ranka, kiedy podeszła do okna, zobaczyła porsche stojące obok jej fiata pandy.

To dodało jej otuchy. Zeszła do ogrodu i stanęła pod oknem kuchni, w której filipińska służąca myła właśnie naczynia.

- Nenita! - zawołała cichutko, żeby nie obudzić Amerykanina, który powinien był jeszcze spać.

- *Yes?* - zagadnęła kobieta, dając znak, aby podeszła do drzwi.

Szybko pobiegła je otworzyć.

- Przepraszam, Nenito, ale co jest na pierwszym piętrze?

- *Sorry, proszę pani, I don't understand* - odpowiedziała z uśmiechem kobieta.

- *First floor* - starała się odpowiedzieć Valentina w swoim szczątkowym angielskim.

- *Yes?* - powtórzyła kobieta.

- *What is?* - Wskazała w górę. - *First floor.*

- *Oh yes, first floor* - odpowiedziała Nenita z szerokim uśmiechem i

satysfakcją, że zrozumiała. - *That is the first floor.*

- Ale co tam jest? *What is on first floor?*

- *Sorry*, proszę pani - powiedziała Nenita, wzruszając ramionami z uśmiechem.

- Ty *don't understand*, rozumiem.

Valentina wyszła z domu rozdrażniona.

Proś Nenitę, o co tylko chcesz, powtórzyła w myślach, małpując akcent Amerykanina, który tak jej doradził, kiedy się tu wprowadzała już pierwszego dnia.

- Ty prosisz - mruknęła pod nosem - a ona i tak niczego nie rozumie!

Postanowiła porozmawiać z Mikiem po powrocie z uczelni.

Wykład prowadzony przez asystenta odnosił się do pierwszego rozdziału książki włoskiego historyka Carla Ginzburga *Mity, ślady, znaki*, zajmującej się tematem czarownictwa i pobożności ludowej.

Valentina słuchała zafascynowana.

Nie czytała jeszcze żadnej książki tego znanego na całym świecie badacza, ale obiecała sobie, że zdobędzie jego dzieła, a nawet może pewnego dnia pojedzie spotkać go osobiście. Wiedziała, że Ginzburg, choć często wyjeżdża za granicę, na stałe mieszka w Bolonii. Nigdy jeszcze nie była na żadnym jego wykładzie i tego dnia naprawdę tego żałowała. Wspomnienie o Bolonii przywiodło jej na myśl Cinzię. Po wyjściu z uczelni zatrzymała się w barze, by zjeść kanapkę i skorzystała z tej chwili odpoczynku, by do niej zadzwonić. Już od dawna ze sobą nie rozmawiały.

- Numer, z którym usiłujesz się połączyć, jest chwilowo niedostępny - odpowiedziała poczta głosowa przyjaciółki.

Spróbowała zadzwonić na telefon domowy.

- Słucham?

Kobiecy głos, który rozbrzmiewał w słuchawce, nie należał do Cinzii.

- Chciałabym rozmawiać z Cinzią Roberti. Jest w domu?

- Kto mówi?

- Valentina. Valentina Preti.

- Chwileczkę.

Słyszała, jak tamta przykryła mikrofon dłonią, kiedy naradzała się z przyjaciółką.

- Cześć, Vale, czego chcesz? - zapytała Cinzia w chwilę potem.

- Niczego! Miałam tylko ochotę cię usłyszeć. Jak się masz?

- Dobrze, dziękuję, a ty? - Ton był neutralny, ani wściekły, ani przesadnie miły.

- Ja... Ja też. Kto... kto odebrał telefon?

- To Chiara, nie znasz jej. Chiara, powiedz „cześć” mojej przyjaciółce, Valentinie.

- Cześć, Valentino - usłyszała z daleka.

Pozdrowienie było pełne ironii albo złośliwego śmiechu, albo całkowicie niewinne.

Mimo to Valentina poczuła się obrażona, wręcz poniżona.

Natychmiast znienawidziła tę Chiare, której nie zdążyła nawet poznać.

- Pozdrów ją ode mnie. Wszystko naprawdę w porządku?

- Doskonale, nie przejmuj się. A jak studia?

- Okej.

- A jak twój przyjaciel Amerykanin?

- On jest... - powstrzymała się - jest niegroźny. Naprawdę. Poznam cię z nim. Wspaniały człowiek, nigdy niczego nie próbował i nawet o tym nie myśli.

- Albo jest pedałem, albo twoja uroki słabną, Vale.

- Nie wszyscy mężczyźni są jednakowi - zaprotestowała obrażona, a potem zastanawiała się, dlaczego czuła się w obowiązku stanąć w jego obronie.

- Nie, nie są, ale wszyscy chcą tego samego. Ty o tym doskonale wiesz, prawda?

- Nie on! Mogę ci to zagwarantować. Powinnaś go poznać. Byłoby mi miło, gdybyś mogła go spotkać. Zmieniłabyś zdanie na jego temat.

- Jeżeli to jedyny sposób, żeby się spotkać z tobą, zniosę i to.

Serce Valentyny zaczęło bić jak oszalałe. Zastanawiała się jednak, dlaczego Cinzia była taka agresywna, skoro naprawdę tak jej na niej zależało.

- Wiesz, że to nie jest jedyny sposób.

- Ale nie przyjechałaś ani razu do Bolonii, a dziś jest już siódmy lutego. To już ponad miesiąc, zdajesz sobie sprawę?

Poczuła się winna.

- Ty też nie przyjechałaś do Florencji - zaprotestowała słabo, wiedząc, że cała wina leży po jej stronie.

Albo wcale nie cała. Co tam robiła ta Chiara?

- Nasz dom jest tutaj, nie tam.

- Masz rację. Przyjadę wkrótce, obiecuję.

- Okej. Do zobaczenia, cześć.

- Cześć.

Wyłączyła telefon poirytowana. W „naszym domu” w tej chwili jest ta pieprzona Chiara! - pomyślała.

- To znaczy, że wy w wydziale śledczym idziecie teraz tropem, że tak powiem, satanistycznym?

- Rzeczywiście, to jedna z rozważanych hipotez.

- Istnieją zatem powody by przypuszczać, że te zbrodnie zostały popełnione przez środowiska okultystyczne. Co pan o tym sądzi, profesorze?

- Jest znanym faktem, że na świecie, także we Włoszech, istnieje półświatek związany z grupami, które same siebie definiują jako „kręgi wyższej magii ceremonialnej” lub „ezoteryczne szkoły inicjacyjne”. W tych środowiskach wierzy się, że wybrani adepci przez odprawianie bardzo skomplikowanych i udziwnionych rytuałów mogą uzyskać nadludzkie moce.

Istnieją rytuały, w których jedną z koniecznych czynności jest składanie ofiar. Czasami związane jest to z tak zwaną magią seksualną, często także chodzi o ofiary z ludzi...

Głosy dochodziły z wnętrza willi. Valentina zdecydowała się nie dzwonić do drzwi wejściowych, ale natychmiast spotkać się z Mikiem. Poszła zapukać do oszklonych drzwi wychodzących na ogród. To był pierwszy raz. I miał być to także pierwszy raz, kiedy weszłaby do części domu zamieszkaną przez niego.

Nigdy jej tam nie zaprosił.

W oknie wisiały delikatne zasłony z białego lnu. Dziennikarz siedział wygodnie w fotelu z nogami na niskim marmurowym stoliku. Oglądał telewizję. To z telewizora dochodziły głosy, które usłyszała.

Zapukała w szybę.

Mike, zaskoczony, wstał i podszedł otworzyć.

- Cześć - powiedział.

Wydał jej się zakłopotany.

- Pozwolisz mi wejść? - zapytała.

- Jasne, oczywiście. Nigdy jeszcze nie byłeś w jaskini lwa.

- Nigdy mnie tu nie zapraszałeś.

- Wydawało mi się to niezbyt dobrym pomysłem.

- Więc pewnie jestem wobec ciebie niegrzeczna, ale chodzi o to, że chcę z tobą porozmawiać. Musimy się rozliczyć, minął już miesiąc.

- To prawda, usiądź - powiedział, wyłączając pilotem telewizor.

- Co to było? - zapytała Valentina.

- Kasetę. Nagranie programu telewizyjnego z zeszłego roku na temat seryjnego zabójcy z Florencji.

- Wciąż myślisz o napisaniu książki? Mówili coś o rytuałach magicznych, a może źle zrozumiałam? Mogłoby to mnie zainteresować w związku z moją pracą.

- Jak chcesz, mogę to puścić jeszcze raz.

- Może potem, teraz porozmawiajmy.
- Dobrze, ale nie ma pośpiechu. Napijesz się czegoś?
- Nie, dziękuję.
- Kawy, może herbaty?
- Nie, naprawdę dziękuję.

Mike podszedł do szafki z jasnego drewna ozdobionego wyrafinowanymi intarsjami i wyciągnął z niej butelkę whisky wraz ze szklanką.

Mieszkanie było nadzwyczaj luksusowe i przestronne. Ściany i sufit pokoju zdobiły bogate stiuki. Z pokrytego również freskami sufitu zwisał gigantyczny kryształowy żyrandol. Miał co najmniej dwa tuziny podłużnych żaróweczek. Na ścianach wisały duże, zapewne wiele warte obrazy. Oprawione w złoczone ramy przedstawiały pejzaże albo sceny religijne. Fotele i sofy zasłane były cennymi tkaninami, dywany ochraniały antyczne cegły i wypolerowane na wysoki połysk podłogi. Dominowały czerwień i żółć. Valentina miała wrażenie, że znajduje się w salonie Richelieu w jakimś filmie kostiumowym albo w apartamencie biskupa.

- Nieźle, prawda? - stwierdził Mike Ross, widząc, jak jej spojrzenie błądzi po pomieszczeniu.

- Zachwycające. Myślałam, że to wiejski dom, a nie prawdziwa willa.

- Może kiedyś to był wiejski dom, ale jeden z dawnych właścicieli, sławny sprzedawca antyków, tak właśnie go urządził.

- Musiał być bardzo bogaty.

- Z tego, co się mówi, to rzeczywiście bardzo.

- A ty jak wszedłeś w posiadanie tego domu?

- Mam przyjaciół w banku.

- Musi kosztować koszmarnie pieniądze.

- Chcesz znać prawdę? Płaci mi gazeta! Za twoje mieszkanie zresztą też.

Dlatego nie mogę...

- Nie, Mike, to nie jest w porządku...

Wziął pilota i usiadł obok niej.

- Mówiłaś, że interesuje cię ta kasetka, prawda? To oglądaj - rzucił, nie odpowiadając na jej pytanie.

- Ten tutaj to komisarz Ferrara, szef wydziału śledczego we Florencji - wyjaśnił, zatrzymując obraz, na którym na pierwszym planie widać było mężczyznę w mundurze policyjnym.

- Interesujący facet. To on otworzył ponownie sprawę Potwora, kiedy po aresztowaniu seryjnego zabójcy wszyscy sądzili, że jest już całkiem rozwiązana. Udało mu się aresztować i osądzić dwóch wspólników. Wykazał, że zbrodnie nie są dziełem jednego mordercy, jak uważali nawet eksperci z FBI. A teraz wbił sobie do głowy, że znajdzie zleceniodawców. Popatrz.

Obraz znów ruszył.

- Tak więc utrzymuje, pan, panie komisarzu - mówił prowadzący transmisję - że należy teraz odnaleźć zleceniodawców tych zbrodni? Czy to w ogóle możliwe? - zapytał kryminologa.

- To byłby pierwszy taki przypadek w historii. Tacy ludzie jak Potwór popełniają zbrodnie, nie zlecają ich nikomu. Odczuwają przyjemność z zabijania, krojenia, zabierania kawałków ciał... Nie, seryjny zabójca, który miałby być tylko wykonawcą, to mi po prostu nie pasuje.

- Ale są także implikacje satanistyczne, prawda, panie komisarzu?

- Trzymam się faktów, a fakty są takie, że w procesie wspólników Potwora wynikły... tutaj mam opinię sędziów. Wyrok potwierdzony w sądzie apelacyjnym, proszę uważać, czytam słowo w słowo: „pojawiły się przesłanki, które każą przypuszczać, że mógł istnieć zleceniodawca wykonania tych zbrodni” „Pojawiły się przesłanki” To stwierdzenie jest wyraźną zachętą do prowadzenia śledztwa, a nam w policji nie pozostaje nic innego, jak tylko wykonanie tego, do czego zostaliśmy powołani.

Mężczyzna mówił z lekkim akcentem sycylijskim i miał około pięćdziesiątki. Wyglądał dobrze i był zadbany. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, jasnobłękitną koszulę, niebieski krawat. Czarne lekko falowane

włosy zaczesane do tyłu i lekko przyprószone bielą po bokach głowy częściowo zakrywały mu uszy. Nosił też siwe bokobrody, które kontrastowały z gęstymi brwiami i uwydatniały krój jego oczu.

Zupełnie kocie oczy, pomyślała Valentina.

Mówił spokojnie, łagodnie, starannie dobierając słowa. Podkreślał niektóre zdania mimiką twarzy. Jej wyraz wydawał się Valentinie przebiegły i chytry, tak jakby miał podkreślić koci wykrój jego oczu.

- Oto nagranie archiwalne przedstawiające komisarza Ferrarę, szefa wydziału śledczego. Przedstawiamy je, aby przybliżyć widzom postać komisarza, któremu aktualnie powierzona została sprawa zleceniodawców Potwora, zakładając, że takowi istnieją - powiedział prowadzący, kiedy na ekranie pojawił się obraz.

- Teraz uważaj - powiedział Mike, który patrzył na obraz z uwagą.

Komisarz, młodszy o jakieś dwadzieścia lat, dowodził grupą, która otoczyła budynek. Pod zdjęciem widniał podpis: „Reggio Calabria, sierpień 1978”.

Michele Ferrara w kamizelce kuloodpornej wszedł na dach radiowozu i strzelał w kierunku okna budynku. Strzelał bez przerwy, jeden pocisk za drugim. Grupa mężczyzn odskakiwała od okien, próbując uniknąć kul.

Jeden musiał zostać ranny, przynajmniej tak to wyglądało, gdyż upadł na ziemię. Niewiele było widać, obraz był poruszony, zdjęcia wykonał jakiś amator lub przypadkowy operator z policji.

- Tego zabił - powiedział Mike.

- Może nie - rzuciła dziwnie poruszona tymi obrazami, które w sumie tak bardzo jej nie interesowały.

- Zabił go. Zabił - stwierdził Mike poirytowany.

- Ale to byli bandyci, prawda? Wy tam w Ameryce też nie obchodziecie się specjalnie delikatnie z przestępcami, jak sadzę?

Dziennikarz zamilkł. Śledził akcję jak zahipnotyzowany. Grupa zmuszona do ucieczki rzuciła się do drzwi z drugiej strony budynku, gdzie czekali na

nich ludzie Ferrary. Ostatnie ujęcie pokazywało ludzi w kajdankach prowadzonych do policyjnych radiowozów i furgonetek wydziału śledczego. Pośród nich była także jakaś kobieta.

Mike wcisnął guzik pilota.

Telewizor zgasł.

- A ta część o magii? - zapytała Valentina.

- Innym razem. Na dziś mam dość.

Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego, więc nie nalegała. Wyciągnęła książeczkę czekową.

- A teraz się rozliczmy.

Amerykanin popatrzył na nią zdumiony.

- Posłuchaj, dziewczyno. Może nie zrozumiałaś tego, co do ciebie mówiłem. Nie zaprosiłem cię tu, żeby dorabiać się kosztem mojej gazety. To wyrażenie „dorabiać się”, dobrze go użyłem?

- Doskonale. - Valentina nie mogła się nie uśmiechnąć. - Więc po co mnie zaprosiłeś? - dodała jednak po chwili, znów poważniejąc.

- Bo przypominasz mi obraz Madonny Lippiego. Nie wiem. Jesteś jedyną kobietą, z którą kiedykolwiek czułem się dobrze. Jedyną, która mi się spodobała - dodał jakby z trudnością.

Pogłaskał jej dłoń.

- Jeżeli chcesz zostać, to będę się cieszył. Jeżeli chcesz płacić, to znajdź sobie hotel.

- Mogę zostać, ale pod jednym warunkiem.

- To znaczy? - zapytał, uśmiechnąwszy się.

- Co jest na pierwszym piętrze?

Mike Ross się zawahał.

- Chodzi ci o to piętro nad nami?

- Dokładnie! To, które jest bezpośrednio pod moim mieszkaniem.

- Ależ tam nie ma nic, tylko gruz i popiół, chyba tak to się powinno powiedzieć po włosku. Piętro spaliło się, jeszcze jak mieszkał tu tamten

sprzedawca antyków, zostało prawie kompletnie zniszczone. Cudem uratowało się drugie piętro i jeden pokój, jak sądzę, pokój syna. Chłopięca sypialnia. Nowi właściciele nigdy jej nie uporządkowali. Poza tym wszystko jest tam zniszczone, spalone, ściany są całe czarne od dymu i na dodatek jest tam kompletnie pusto. Założyli tylko szyby w oknach od strony fasady i tyle.

- I nikt tam nie mieszka?

Roześmiał się dźwięcznie.

- Jak ktoś mógłby tam mieszkać? Tam nie ma zupełnie nic! Mówiłem ci, jest tylko ta chłopięca sypialnia. Czasami tam chodzę, jak jestem bardzo zestresowany. Nie wiem czemu, ale ten pokój naprawdę mnie uspokaja.

- Dziś w nocy też tam byłeś?

Twarz Mike'a nagle spoważniała.

- Dziś w nocy? Absolutnie nie! - odparł sucho.

- Ale słyszałam...

- Wydawało ci się! - zaprotestował.

- To, co słyszałam, brzmiało jak kroki, westchnienia, jęki kogoś bardzo nieszczęśliwego.

Czoło Mikea Rossa się zmarszczyło. Wydawało się, że przez głowę przebiegają mu tysiące myśli.

- Rozumiem - powiedział po dłuższej przerwie. - To samotny dom na odludziu, rzeczywiście można się tu bać... Postaram się załatwić to tak, żebyś nie zostawała tutaj sama nocą. Na szczęście kogoś takiego jak ja zupełnie nie musisz się obawiać. Jesteś piękną dziewczyną, pokusa dla każdego innego byłaby naprawdę silna.

- Jeszcze mi nie wytłumaczyłeś, co to znaczy „ktoś taki jak ty” - powiedziała ugodowo.

- Też tego nie wiem. Zapytałaś mnie czy jestem gejem. Nie wiem. Choć faktycznie miałem pewne doświadczenia z mężczyznami. Chodź! Wyjdziemy na zewnątrz, nie chcę o tym tutaj rozmawiać.

Dzień był naprawdę ładny, pełen pierwszych, niepewnych jeszcze znaków

nieuchronnie zbliżającej się wiosny. Słońcerozlewało swoje blade światło po alejkach parku należącego do willi, o który dyskretnie i bezustannie dbał widziany ledwie kilka razy przez Valentineę ogrodnik.

- Czy lubię to robić z mężczyznami? - rozważał, kiedy spacerowali w głębi parku pomiędzy rzędami winorośli i drzewek oliwnych. - Wydaje mi się, że nie. To jest jak przekleństwo, które raz na jakiś czas na mnie spada, a wtedy jest tak, jakbym nie mógł bez tego żyć. Absolutnie muszę się wyładować. Czuję obrzydzenie do homoseksualistów, ale zarazem mnie pociągają. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Mówiłem ci, to przekleństwo.

Valentina była oszołomiona. Zastanawiała się w głębi serca, czy rzeczywiście sama pragnie tylko kobiet. Cinzia ją zaczarowała, już w dzieciństwie, ale czy był ktoś poza Cinzią? Ten chłopak miał prawdopodobnie taki sam problem.

- Masz przyjaciela?

- Nie. Nigdy nie miałem. To by było tak, jakbym zaakceptował swój homoseksualizm, a ja go odrzucam.

Już chciała powiedzieć coś o sobie, ale zmieniła zdanie. Cinzia w tej chwili była z Chiarą...

- A jak to robisz?

- Chodzi ci o wyładowanie? Szukam ich nocą. Homoseksualiści są wszędzie. Wszędzie ich pełno. Używam ich, płacę im i tak się to kończy.

- A próbowałaś kiedyś z kobietą?

Pytanie przyszło bardzo naturalnie, wręcz spontanicznie. Zatrzymał się. Popatrzył jej prosto w oczy i położył dłoń na jej ramieniu.

Valentina poczuła, że jest między nimi więź porozumienia.

- Żadna kobieta nie jest warta wysiłku, Valentino. Seks to zderzenie, walka. To brud splątanych ciał, tak jak splątanie męskich ciał w zapasach, rozumiesz? Spocone członki się splatają, skręcają, zęby się szczyrzą, oddechy zamieniają się w dyszenie. To chora egzaltacja, zgnilizna. To męski sport.

- Jeżeli nie ma w tym miłości.

Powiedziała to, wcale się nie zastanawiając, i pierwsza to poczuła. Amerykanin trzymał rękę na jej ramieniu, a ona poczuła chęć, by przytulić głowę do jego silnych ramion.

Wracali. Zachodziło słońce.

- Być może - powiedział. - Nigdy nie dowiedziałem się, co to jest miłość.

A ona? Czy to, co połączyło ją z tamtą kobietą, mogło być prawdziwą miłością? Nagle poczuła się jakby uboższa, okradziona z ważnej części życia.

- Szkoda, że nie jesteś kobietą - dodał Mike - a jedynie wizją. Renesansową Madonną, która zeszła z obrazu: „Z niebiańskiej, mówią, że zstąpiła chwały, By nam dać uczuć, żeśmy cud widzieli”.

- Zawstydzasz mnie.

- Tym cytatem?

- Nie, tym, że nie uważasz mnie za kobietę. Kto wie, może powinieneś spróbować? - To zdanie wymknęło jej się jak coś w rodzaju wyzwania, którego wcale nie miała zamiaru mu rzucać. Prawdopodobnie zrobiła to pod wpływem myśli, że niedługo w „ich” bolońskim domu Cinzia będzie dzieliła „ich” łóżko z inną.

- To by nic nie dało. *

* DANTE ALIGHIERI, SONET Z KSIĘGI NOWE ŻYCIE, W PRZEKŁADZIE GUSTAWA EHRENBERGA.

*

Leżeli kompletnie nadzy w jego podwójnym łóżku.

Pokój był ogromny. W wielkim kominku palił się ogień. Na oknach i na wznoszących się nad łóżkiem podporach baldachimu zawieszane były ciężkie zasłony.

Ręka Valentyny leżała na bezwładnym penisie Amerykanina.

- Powiedziałem ci, to nie ma sensu.

Dla niej nie miało to znaczenia.

Była zaskoczona, że może dotykać męskiego członka, nie czując do niego żadnego obrzydzenia. Wręcz przeciwnie, dotykała go z czułością i sympatią.

Nie wydawał jej się już okropny, ale godny miłości, miękki i delikatny. Przypominał jej harmonijne i niegroźne męskie członki, jakie widywała, oglądając posągi. Były zupełnie inne od tych obscenicznie wzwiedzionych kutasów pokazywanych na filmach pornograficznych.

Wciąż miała ochotę go głaskać i całować, jakby był niewinnym, bezbronny dzieckiem.

Czuła się dziwnie szczęśliwa, czuła się wolna z dala od wspomnienia Cinzii, która w tej chwili zupełnie się dla niej nie liczyła.

- Wiesz? - odezwała się. - Prawdopodobnie cię kocham.

Członek nie zareagował, Mike też nie.

Valentina odwróciła się w drugą stronę. Czuła się wyczerpana. Dzień obfitował w zbyt wiele emocji. Ukołyszana rytmicznym oddechem Mikea zapadła w głęboki sen.

Poczuła wilgoć pomiędzy pośladkami.

Poczuła chyba jakąś pieśzczołę, mocną, nagłą, wyzywającą. Przesunęła się we śnie, ale tylko odrobinę. Atletyczne, mocne ramiona uwięziły ją w swoim objęciu. Zdziwiona poczuła przyspieszony oddech, potem ciężar obcego ciała, mocny, nagły. Nie sądziła, że się obudziła. Nie chciała się obudzić. Myślała, że śni, o tym, że się obudziła, ale...

Czekała skamieniała, przerażona, ale też pragnąca.

Dziwny ciężar skoncentrował się pomiędzy jej rozsuniętymi nogami. Stał się twardy i ostry. Wtargnął z niesłychaną siłą w zakamarki jej ciała i nagle zdała sobie sprawę, że nie da rady już go powstrzymać.

- Nie - krzyknęła - to nie tu!

Teraz była już całkiem rozbudzona. Poczuła, jak rozdarł ją przerażający

ból. Coś wdarło się brutalnie w jej ciało. Coś zagłębiło się ostro w niewłaściwym miejscu.

- Nie!!!

Mężczyzna uniósł się na ramionach i gwałtownie uderzał w nią, jęcząc.

- O mammo, mammo! - zawodził głośno.

Valentina płakała z bólu, kiedy Mike nieustannie, obsesyjnie, uparcie gwałcił ją analnie w coraz szybszym rytmie.

Kiedy wrócił z łazienki, był blady jak śmierć.

Nie miał odwagi położyć się obok niej. Usiadł niepewnie na łóżku załamany.

Ona nadal płakała. Nie mogła się ruszyć, obawiała się bólu, który mogło to wywołać.

- Nie... nie wiem, co mi się stało. Przysięgam. To było jak... och, nie, nie wiem... jestem potworem, Valentino, potworem! Jak mogłem to zrobić?

Odwróciła się powoli do niego. Nic nie mówiąc, dała mu znak, żeby się wyciągnął obok niej.

Położyła mu rękę na piersi.

- Mimo wszystko chyba i tak cię kocham - powiedziała.

Nie była w stanie zrozumieć samej siebie. Ten mężczyzna właśnie ją sprofanował, a ona była spokojna, czuła się jak w nierealnym świecie, obolała, ale zrelaksowana, słaba, ale bardzo dumna z tego powodu, że była w stanie wywołać u niego erekcję, nawet jeżeli to było tylko od tyłu, jak z mężczyzną...

Pogubiła się zupełnie w plątaninie uczuć, jakie ten bestialski akt wywołał w jej duszy i zastanawiała się, czy to coś, co wstrząsnęło nią tak gwałtownie na koniec, to mógł być orgazm.

Mike się odwrócił. Miał wilgotne, zalęknione oczy. Patrzył na nią długo, z

niedowierzaniem, tak jakby jego Madonna właśnie dokonała cudu.

Potem jego głowa opadła na jej pierś i zaczął szlochać.

Valentina głaskała go po włosach spokojna zarazem i niepewna. Myślała o swojej przeszłości, która mogła okazać się błędem, i o przyszłości, która teraz wydawała się jeszcze większą niewiadomą.

- A ty? - zapytała.

Nie odpowiedział.

- Czy ty mnie kochasz?

Nadal milczenie.

- To zresztą nie jest ważne, wiesz? Nieważne...

Mike Ross podniósł głowę. Jego zimne spojrzenie wydało się teraz rozświetlone i pełne mocy. Oczy wciąż lśniły mu od łez. Targało nim poczucie winy.

Długo patrzyli sobie w oczy.

Potem Valentina zorientowała się, że coś poruszyło się i zaczyna uciskać ją w brzuch.

Uśmiechnęła się.

Mike także uśmiechnął się nieśmiało i niepewnie. Kobieta otoczyła ramieniem plecy mężczyzny, a drugą rękę wsunęła pomiędzy ich ciała. Chciała go teraz poprowadzić w odpowiednie miejsce.

*Śmierć w końcu zawsze zwycięża.
Tylko przez chwilę bawi się swoją ofiarą, zanim ją pochłonie.
Są jak kot i mysz.
Który z nas jest prawdziwym kotem?
Ty z pewnością już nie masz siedmiu żyć.
Cztery straciłeś!*

Zawartość tej wiadomości odcisnęła się mocno w fotograficznej pamięci komisarza. List został w biurze, komisarz miał w kieszeni tylko fotokopię.

Wiadomość przyszła tym razem do prefektury, a nie do domu. Została starannie zaprotokołowana i dołączyła do wielu anonimów, które codziennie o czymś donoszą, czymś grożą, przypisują sobie zbrodnie, prawdziwe albo, częściej, wyimaginowane. Potem list doręczono właśnie jemu, bo został do niego osobiście zaadresowany. Ferrara natychmiast połączył go z pozostałymi dwoma. Wiadomość tym razem była inna, zarówno pod względem formy, jak i treści. List nie został posklejany z wycinków gazet ani wystukany na komputerze. Tym razem napisano go ręcznie. Stanowiło to według komisarza niezaprzeczalny znak, że morderca nabierał coraz więcej odwagi, coraz bardziej gardził ryzykiem i niebezpieczeństwem związanym z tą rozgrywką.

Teraz Ferrara nie miał wątpliwości. Trzy zabójstwa były dziełem tego samego umysłu. Kogoś, kto dążył do zabicia właśnie jego, a swoją drogę zaścielał trupami.

List wyraźnie sugerował, że było już czwarte zabójstwo. Było albo będzie. Potem jeszcze dwa i w końcu nadejdzie kolej na Ferrarę.

Nie było łatwo wyjaśnić, czy chodziło o tę samą osobę, która kierowała

Potworem i jego współnikami, ale komisarz starał się to wykluczyć.

Myśl, że morderca może właśnie w tej chwili popełnia kolejną zbrodnię, sprawiała, że powietrze w niebieskiej alfie romeo 166, która wiozła jego i prefekta do biura prokuratora, wydawało się duszne, wręcz duszące.

Galio zaprosił ich obu, choć każdego z osobna, grzecznie prosząc, by przybyli na pilne zebranie. Było to zebranie, na które Ferrara nie mógł nie pójść ze względu na hierarchiczne układy związane z jego stanowiskiem, a z którego Riccardo Lepri za nic w świecie by nie zrezygnował. Z tonu głosu prokuratora zrozumiał, że ma on nadal jakieś pretensje do komisarza i chciał uczestniczyć w ich rozmowie. To mogło być epokowe wydarzenie.

- Jest pan zamyślony - odezwał się prefekt, kiedy samochód mknął przez ulicę Cavour. Nalegał, by jechali jego samochodem, tłumacząc, że ma zaufanie tylko do swojego kierowcy. W rzeczywistości jednak chciał, by widziano go w najlepszym samochodzie, jaki mieli do dyspozycji. - Kłopoty?

Ton głosu prefekta był spokojny i serdeczny jak zawsze, ale twarz miała spiętą, policzki zaczerwienione, a oczy obwiedzione maleńkimi czerwonymi żyłkami. Musiał zbyt dużo zjeść wczoraj wieczorem, pomyślał Ferrara.

- Takie same jak zawsze - odpowiedział lakonicznie.

- Myśli pan, że prokurator ma dla nas złe nowiny?

- Dobrze to one nie będą. Takich zaimprovizowanych w ostatniej chwili zebrań nie robi się, żeby kogoś chwalić albo awansować.

- No tak - westchnął Lepri z ostentacyjną rezygnacją, jakby to on miał być tutaj ofiarą.

Resztę drogi do prokuratury na plac della Repubblica przebyli w milczeniu, każdy zatopiony we własnych myślach.

Kiedy wysiedli z samochodu i byli już sami, Lepri powiedział:

- Niech pan zostawi w spokoju sprawę Potwora, komisarzu Ferrara, dobrze panu radzę. Z tego śledztwa mogą wyniknąć tylko kłopoty. Jeżeli prokurator

zacznie o tym mówić, niech pan to zbagatelizuje i pokaże, że jest pan zajęty ostatnimi zabójstwami, którym musi pan poświęcić więcej czasu, bo nie może pan tego powierzyć swoim ludziom... jeżeli mogę coś doradzić.

Ferrara nie odpowiedział. Te słowa, jasna zapowiedź oczywistych wewnętrznych utarczek, tylko go zdenerwowały.

Nie zaprowadzono ich do biura prokuratora, ale do przestronnej i dobrze oświetlonej sali konferencyjnej. Ściany częściowo pokryte były elegancką boazerią, a częściowo freskami, które dochodziły do wysokości sufitu. Sufit z kolei ozdobiony był malarstwem alegorycznym. W głębi, przy ścianie, obok wielkiego stołu konferencyjnego stały ekran i projektor. Po drugiej stronie stołu wraz z prokuratorem czekało na nich pięciu mężczyzn i dwie kobiety. Ferrara znał trzech zastępców prokuratora: Luigiego Vinciego, Guida Fornarięgo i Annę Giulietti, znał także komisarzy: Alessandra Polita i Stefana Carracciego. Pierwszy był szefem działu śledczego w Bolonii, drugi - dyrektorem centralnych służb operacyjnych w Rzymie. Koordynował działania wszystkich wydziałów śledczych we Włoszech.

Nigdy natomiast Ferrara nie spotkał piątego z mężczyzn ani drugiej z kobiet. Wszyscy mieli zatroskane twarze. Mężczyźni w marynarkach i krawatach, kobiety pozwoliły sobie na odrobinę zalotności, ale tylko tyle, ile dawało kilka dyskretnych muśnięć szminką, nosiły bowiem dość skromnie skrojone kostiumy.

Było gorzej, o wiele gorzej niż Ferrara mógł się spodziewać.

- Witajcie - przywitał ich Galio z rozbrajającym uśmiechem. - Sądzę, że prawie wszyscy się znacie. Tym z was, którzy jeszcze nie mieli okazji się spotkać - zwrócił się wyraźnie do nowo przybyłych - przedstawiam panią profesor Stefanię Prestigiacomo, wykładowczynię psychologii behawioralnej na Uniwersytecie we Florencji, oraz profesora Guida Marescalchiego, wykładowcę psychopatologii sądowej na Uniwersytecie La Sapienza w

Rzymie. Obecni są tu także pan prefekt Riccardo Lepri i komisarz Michele Ferrara, szef wydziału śledczego - zakończył prezentację. - Proszę, siadajcie.

Wszyscy podeszli do krzeseł stojących dookoła stołu, jakby mieli już przeznaczone dla siebie miejsca, zauważył Ferrara, siadając na jednym z kilku pozostałych wolnych. Pani profesor Prestigiacomo usiadła u szczytu stołu na wprost przenośnego komputera połączonego z projektorem. Prokurator nie usiadł, tylko stanął po jej prawej stronie.

- Zanim rozpoczniemy zebranie, pragnę wytłumaczyć obecność Polita i Carracciego. Polito interesuje się seryjnymi zabójcami jako kierujący wydziałem śledczym w Bolonii, gdzie, jak wiecie, od wielu miesięcy zabijane są prostytutki, a wszystkie zabójstwa wydają się dziełem tego samego człowieka. Wiedząc, że będę badał ten temat, poprosił o możliwość uczestnictwa, by się czegoś nauczyć, o ile będzie taka możliwość, i pomóc nam, jeżeli będzie w stanie. Komisarz Carracci jest tutaj jako obserwator z zadaniem złożenia sprawozdania szefowi policji i ministrowi spraw wewnętrznych, którzy są poważnie zaniepokojeni rozprzestrzenianiem się tego zjawiska. Będzie oczywiście także do dyspozycji, jeżeli chodzi o pomoc techniczną i wyspecjalizowany personel, o ile uznamy, że taka pomoc będzie konieczna.

Jak już powiedziałem, tematem tego spotkania jest pogłębienie wiedzy o szczególnym zjawisku, jakim jest pojawienie się seryjnego zabójcy. Postaramy się też dogłębnie i dokładnie przeanalizować przypadki, jakie zdarzyły się we Florencji, która jest strefą naszych działań, w świetle hipotezy przedstawionej przez komisarza Ferrarę, twierdzącej, że są one dziełem seryjnego mordercy.

- Jednej z hipotez - podkreślił komisarz.

- Oczywiście - zgodził się prokurator. - Jest pan ekspertem. Miał pan, jeżeli się nie mylę, do czynienia z analogicznymi przypadkami?

- Nie myli się pan, panie prokuratorze.

- Tak więc pańska hipoteza bazuje na pańskich dotychczasowych

doświadczeniach. Jakże zatem jest według pana prawdopodobieństwo, że zabójstwa Micaliego, Lupiego i Bianchiego są dziełem tego samego człowieka, czyli seryjnego zabójcy?

- Sto procent. - Stwierdzenie wywołało pomruk zaskoczenia. Zważywszy na wstęp, który wszystkim wydał się dość ostrożny, odpowiedź komisarza wydała się przesadzona albo wręcz prowokacyjna. - Sto procent, że chodzi o tego samego zabójcę, pięćdziesiąt, że o tak zwanego seryjnego zabójcę.

Prokurator zmarszczył brwi.

- Jeżeli zabójca jest jeden, to sądzę, że powinniśmy mówić o zabójcy seryjnym. Chyba że ma pan dowody, których nie poznaliśmy. Dowody, że istnieje związek pomiędzy ofiarami i nie jest to jedynie ich homoseksualizm. Dowody, które uwidaczniają jakąś intrygę albo porachunki. Homoseksualizm jest jedynym śladem, który, jak się wydaje, łączy ofiary i może kazać myśleć o seryjnym zabójcy, czy nie tak, pani profesor Prestigiacommo?

Kobieta przytaknęła, nie chciała brać na siebie roli odgromnika dla burzy, która rodziła się pomiędzy tymi dwoma mężczyznami.

- Mam dowody jedynie na to, że zabójca jest jeden - stwierdził Ferrara.

- Wskazówki i przekonania, jak mi się wydaje! Nie dowody! Zaczniemy po kolei i wróćmy do tematu zebrania, potem przestudiujemy wskazówki - uciął prokurator.

- To nie są tylko... - próbował powiedzieć komisarz, szukając w kieszeni fotokopii otrzymanego rano listu.

- Wszystko w swoim czasie, komisarzu Ferrara, dojdziemy i do tego. Celem tego spotkania jest uporządkowanie wiedzy, jaką posiadamy i dojście do czegoś, co jak najbardziej będzie przypominało konkretną pewność. Po to właśnie sprowadziłem tu dwoje profesorów. Niech oni rozpoczną posiedzenie, a wy potem będziecie mogli włączyć się do dyskusji. Proszę, pani profesor.

Kobieta wstała. Była gruba, niska i zadbana. Miała orli nos, czarne włosy napuszone trwałą i trochę zbyt mocny makijaż. Odchrząknęła i wymieniła

spojrzenia ze swoim kolegą. Przebiegły Kot poczuł, jak jeżą mu się włosy na grzbiecie. Był w defensywie, ale gotów do kontrataku.

- Uważam, że dobrze byłoby odnieść się do klasyfikacji wypracowanej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku przez byłego agenta specjalnego FBI R.K. Resslera, wówczas dyrektora Forensic Behavioral Service w Wirginii. Wyróżnił on dwa typy seryjnych zabójców. Jeden z nich to sprawca zorganizowany, drugi to sprawca niezorganizowany - rozpoczęła psycholog.

Następnie przedstawiła charakterystykę obu typów zabójcy, poczynając od sprawcy zorganizowanego, podkreślając, że wybór ofiar jest dla niego bardzo ważny i uwarunkowany obecnością elementów wspólnych takich, jak: wiek, wygląd, styl życia, rasa albo tym podobne cechy. Dla sprawcy niezorganizowanego zaś ten wybór jest całkowicie przypadkowy.

- W sprawie, o której mówimy - sprecyzowała - homoseksualizm mógłby stanowić element wspólny, jak to zauważył pan prokurator Galio.

Zadowolony prokurator dał znak, aby kontynuowała.

- Profil charakterystyczny dla seryjnych zabójców zorganizowanych przedstawia osoby pozornie normalne, posiadające IQ w normie albo powyżej średniej. Należą do średniozamożnego mieszczaństwa. Są często jedynakami albo pierworodnymi i mają zubożoną strefę afektywną.

- Czyli jest to najtrudniejszy typ do zidentyfikowania i pojmania - zauważył komisarz Polito.

- Tak jest - potwierdziła wykładowczyni.

Ferrara popatrzył na zegar. Kiedy oni rozmawiali o klasyfikacjach i systemach, morderca chodził sobie wolny, a może i zabijał.

Prokuratorowi nie umknął ten gest zniecierpliwienia, ale nic nie powiedział.

- Zanim przejdziemy do charakterystyki drugiego typu, chciałabym zaproponować państwu kilka wykresów, które ukazują schematycznie te różnice.

Psycholog włączyła projektor, nacisnęła jakieś klawisze na komputerze i na ekranie pojawił się schemat, który ukazywał różnice pomiędzy dwoma omawianymi typami zabójców.

- Jak można zauważyć, sprawcy niezorganizowani działają pod wpływem impulsów, a więc nie planują. Wybór ofiary jest przypadkowy, a element zaskoczenia - charakterystyczny i wspólny dla wszystkich zbrodni. Natychmiastowa przemoc prowadzi do szybkiej śmierci ofiary. Sadystyczne akty seksualne, takie jak: uszkodzenia ciała, wyciąganie wnętrzności, ejakulacja we wnętrzu otwartych ran ciała są na ogół wykonywane *post mortem*.

Pani profesor Prestigiacommo pozwoliła sobie na przerwę.

- Pytania? - zapytał prokurator Galio.

- Czy ta klasyfikacja nie jest już przestarzała? - chciał wiedzieć komisarz. - Wydaje mi się, że od tamtego czasu przelano już całe rzeki atramentu na temat seryjnych zabójców, szczególnie w literaturze amerykańskiej, która stara się nawet ośmieszać ten pomysł.

- Chodzi panu o *Milczenie owiec*? Też to czytałam i nawet mi się podobało, doskonały thriller. Ale to fikcja, a my musimy trzymać się danych naukowych i rzeczywistości, tak jak pan. Pisarzowi łatwo jest znaleźć mordercę, sam go wymyśla, ale ani my, ani wy, nie mamy takiej niby nic nieznaczącej, a jednak przewagi. Nie sądzi pan? My musimy go znaleźć i w tym celu zostały wypracowane klasyfikacje, które badamy. Intencją tego, kto je stworzył, było ułatwienie wam pracy - zakończyła kwaśno.

- Oczywiście jest - wtrącił profesor Marescalchi, chcąc wszystkich pogodzić - że każdy wysiłek włożony w zrozumienie sposobu myślenia i zachowań ludzkich daje rezultaty ograniczone i przybliżone, które niestety nie obejmują indywidualnej odrębności każdego człowieka. Celem wszelkich poczynań, zarówno śledczych, jak i naukowych jest, naszym zdaniem, odkrycie uwarunkowań mordercy, by móc w jakiś sposób udoskonalić metody działań prewencyjnych, represyjnych i terapeutycznych.

- Jeżeli chodzi o seryjnego zabójcę - stwierdził Luigi Vinci, jeden z zastępców prokuratora - to wydaje mi się, że badania nie są jeszcze zbyt dobrze udokumentowane.

- Może bardziej przydałaby się klasyfikacja ofiar, zważywszy, że to jedyna rzecz, jaką mamy - zasugerował komisarz Polito.

- Wszyscy zmarli zachowują się podobnie, są bardzo, bardzo spokojni - rzucił komisarz Carracci.

- Powoli, powoli, dojdziemy i do tego. To znaczy do ofiar, chciałem powiedzieć. I z tego punktu widzenia, przez to, co zostanie tu wykazane, ocenimy, czy morderca, o którym mówimy, jest seryjnym zabójcą - powiedział prokurator. - Chciałbym najpierw usłyszeć, co ma do powiedzenia profesor Marescalchi o motywach, które zmuszają tych ludzi do popełniania zbrodni. Potem wyciągniemy wnioski.

- Z punktu widzenia behawiorystyki seryjnych zabójców dzieli się na pięć typów. Wizjoner, misjonarz, hedonista, maniak władzy i mocy oraz *lust killer* albo zabójca z lubieżności - zaczął natychmiast profesor.

Był wysokim mężczyzną około sześćdziesiątki, prawie łysym z wyjątkiem korony białych włosów dookoła głowy. Miał opaloną arystokratyczną twarz, która wzbudzała zaufanie. Jego zachowanie świadczyło o pewności siebie. Nosił okulary w delikatnej złotej oprawce.

- Seryjny zabójca wizjoner dokonuje zbrodni z powodu rozkazów, jakie wydają mu „straszne głosy” albo z powodu jakichś wizji. Na ogół „głos rozkazujący”, który słyszy, to głos szatana albo Boga; słyszy też wskazówki dotyczące sposobu wykonania zabójstwa.

Ferrara nie mógł nie pomyśleć o księdzu z Greve, don Sergiu. Jego alibi, potwierdzone jedynie przez drugiego kapłana, było najsłabsze w całej sprawie Micaliego. Czy istniał jakiś seryjny zabójca, czy też nie, ciekawe byłoby się dowiedzieć, gdzie był ten człowiek, kiedy zdarzyły się dwa pozostałe morderstwa.

- Misjonarz - ciągnął dalej naukowiec - uważa, że ma do spełnienia misję,

która często polega na oczyszczeniu świata z osób, które uważa za „ekskrementy”, na przykład z homoseksualistów czy prostytutek. Może to być przypadek, z jakim mamy do czynienia w Bolonii, komisarzu Polito. Może też oczyszczać świat z włóczęgów, Murzynów, narkomanów i tak dalej. - Doskonałym przykładem takiego zabójcy seryjnego jest Pedro Alonzo Lopez, trzydziestoletni Kolumbijczyk pracujący jako obwoźny sprzedawca.

- Tak zwany „dusiciel z Andów”? - zapytał prefekt.

- Właśnie on. Popęłił trzysta dziesięć zabójstw. Ma na sumieniu sto dziewczynek, które zakatował w Peru, tyle samo w Kolumbii i sto dziesięć w Ekwadorze, ale to wiecie pewnie lepiej ode mnie. Nie wszyscy natomiast wiedzą, że podczas spowiedzi Pedro Alonzo Lopez wyznał, że czuł się czymś w rodzaju wyzwoliciela. Wyzwalał te dziewczynki od ziemskich cierpień.

Obie kobiety zadrżały oburzone, ale i mężczyźni poczuli się nieswojo.

Guido Marescalchi poczekał, aż minie efekt jego słów i kontynuował:

- Hedonistę charakteryzuje przyjemność, jaką odczuwa, zabijając. W języku angielskim nazywają go *thrill killer*, bo akt zabijania jest dla niego źródłem wielkiej przyjemności, czymś w rodzaju orgazmu emocjonalnego, porównywalnym z uczuciem, jakie ogarnia hazardzistę, kiedy czeka na wyniki zagrania.

Zabójca typu maniak władzy i mocy zabija, aby odczuć całkowitą władzę nad innym człowiekiem. To właśnie potrzeba osiągnięcia całkowitej władzy nad życiem i śmiercią drugiego człowieka sprawia, że dokonuje swoich czynów. W jego przypadku akty takie jak gwałt, stosunek analny czy uszkodzenie organów seksualnych nie są czynem erotycznym, lecz przedstawiają głębokie pragnienie poczucia władzy totalnej, kontroli fizycznej i psychicznej nad ofiarą.

Według niektórych ekspertów kategoria maniak władzy i mocy może także łączyć się z piątą kategorią, którą jest *lust killer*, i zdarza się to prawie zawsze, ale dla zabójcy z lubieżności celem podstawowym nie jest poczucie

mocy i władzy, lecz uzyskanie satysfakcji o charakterze czysto seksualnym.

Tymi słowami zakończył swoją wypowiedź.

- Poproszę teraz komisarza Ferrarę, by przedstawił zabójstwa Micalago, Lupiego i Bianchiego w świetle tych charakterystyk, abyśmy mogli zastanowić się, czy mogą być rzeczywiście przypisane seryjnemu zabójcy - poprosił prokurator.

Komisarz opisał z detalami to, co zostało znalezione w trzech różnych miejscach zbrodni i zakończył, stwierdzając:

- Jedyną cechą wspólną tych trzech zbrodni jest homoseksualizm ofiar, co można by uznać za dzieło zabójcy misjonarza, potworna gwałtowność zaś, z jaką zabójca okalecza przednie części ciała, szczególnie twarze, przywodzi na myśl zabójcę typu niezorganizowanego. We wszelkich innych aspektach przestępstwa te różnią się od siebie. Różnią się sposobem zabijania: pierwsze i trzecie - nożem, drugie - bronią palną. Różnią się środowiskiem; o ile pierwsze dwa można by jakoś połączyć, gdyż doszło do nich w otwartych punktach handlowych i na dodatek oba miejsca łączyła duża liczba elementów religijnych, o tyle trzeciego dokonano w prywatnym mieszkaniu.

- Czyli pierwsze można by połączyć z trzecim ze względu na sposób działania, ale drugie już nie - powiedziała zastępca prokuratora Giulietti, atrakcyjna pięćdziesięcioletnia kobieta.

- Pierwsze za to mogłoby zostać powiązane, jeżeli chodzi o miejsce, z drugim, ale nie z trzecim, które miało mocne konotacje seksualne. Nie zapominajmy o tym, nie było ich w pierwszych dwóch - podkreślił prokurator.

- Łatwiej byłoby odbierać te trzy sprawy jako całkowicie niepowiązane i odrębne, mimo iż trudno uznać niektóre podobieństwa za całkiem przypadkowe - zasugerował dyrektor centralnych służb operacyjnych Carracci - albo przynajmniej pracować nad nimi oddzielnie.

- Czy to uspokoiłoby szefa policji i ministra? - zapytała Anna Giulietti.

- Nie uspokoiłoby, ale sprawiłoby, że obawialiby się mniej - roześmiał się

komisarz Carracci.

- Gdyby to był seryjny zabójca - powiedziała profesor Prestigiacomo - fakt, że zwłoki były za każdym razem zostawione na widoku, przywodziłby na myśl sprawcę niezorganizowanego. Także i to, że jest wiele ofiar w relatywnie krótkim czasie, powinno bardzo ułatwić śledczym zadanie, nie sądzicie?

A brak rezultatów aż do teraz to niewybaczalna plama na honorze, pomyślał Ferrara, podziwiając dezynwolturę i beztroskę, z jaką ta kobieta wymierzyła mu cios poniżej pasa. Zauważył, że prokurator skinął głową przekonany.

- Z drugiej strony - przyszedł mu z pomocą Alessandro Polito - zabójca w każdym z tych trzech przypadków posłużył się bronią, którą ze sobą przyniósł i którą potem zabrał, a nie bronią przypadkową. Oddalił się też jak najszybciej po dokonaniu zabójstwa, co pod tymi dwoma względami przybliżyła go do seryjnego mordercy w typie zorganizowanym.

Wszyscy zamilkli, by się przez chwilę zastanowić.

- Dynamika ostatniego zabójstwa sprawia, że nie można wykluczyć, iż chodzi o maniaka władzy i mocy, wystarczy przypomnieć sobie drut na szyi. Może też chodzić o zabójcę z lubieżności - powiedział po chwili profesor Marescalchi.

- Czego nie można powiedzieć o poprzednich - włączyła się Anna Giulietti, wciąż zamyślonym tonem. - Wydaje się, że nie może być mowy o tym samym zabójcy, choć zarazem trudno o tym nie pomyśleć. Powinniśmy skupić się raczej na tym samym komponencie motywacyjnym.

- Zgadzam się z panią, to wielka łamigłówka - wyraziła swoje zdanie profesor Prestigiacomo. - Rozpatrując to, co zostało tu przedstawione, nie byłabym w stanie podtrzymać hipotezy seryjnego zabójcy, jest zbyt wiele kontrastujących ze sobą elementów.

- A hipoteza rytuałów satanistycznych? - zapytał prokurator.

- To bym zupełnie odrzucił - włączył się Ferrara.

- Sam pan to przecież sugerował! Wszyscy wiedzą, że jest to pole badań, któremu oddaje się pan ze szczególnym zapalem w ostatnim czasie - zdenerwował się prokurator Galio.

- W innych śledztwach.

- A gałązka róży? Resztki toskańskiego cygara?

- Jak sam pan zauważył, prawdopodobnie dotyczą właśnie mnie. To sposób, w jaki morderca chciał mi przypomnieć, i to nie po raz pierwszy, że ta sprawa dotyczy mnie osobiście.

- Co to ma znaczyć? - zapytał prokurator.

Inni też wyglądali na zaciekawionych.

- To - odpowiedział Ferrara, wyciągając z kieszeni list, który już wcześniej chciał pokazać. - Przyszedł dziś rano do prefektury, był zaadresowany do mnie.

List przechodził z rąk do rąk. W sali zapadła głucha cisza.

- To pan jest tym „Kotem”? - zapytała profesor Prestigiacomo z nutą sympatii w głosie.

Jej pytanie sprawiło, że napięcie nieco opadło.

- Tak - przyznał komisarz.

- Wszyscy w prokuraturze o tym wiedzą - powiedział Lepri, uśmiechając się swoim dobrotliwym uśmiechem.

- W Bolonii też - dodał rozbawiony Polito.

Przez wisko po raz pierwszy pojawiło się tak wyraźnie w sytuacji oficjalnej.

- Powiedział pan, że to nie pierwszy raz. Dostał pan inne? - dociekał Carracci.

- Przy okazji dwóch poprzednich zbrodni otrzymałem dwa anonimowe listy, które wyglądały na ostrzeżenia, ale bardzo się różniły od tego. Przyszły do mnie do domu i nie przywiązywałem do nich zbyt wielkiej wagi. Wszyscy takie dostajemy, świat jest pełen mitomanów, ale teraz... -- Ferrara powiedział to takim głosem, jakby chciał zbagatelizować sprawę.

- Ma pan je jeszcze? - zapytali naukowcy prawie jednym głosem.

- Trzeba będzie dać je do przebadania ekspertom, poprosimy o badania grafologiczne i deszyfrację - zaproponował prokurator. - Państwo także otrzymają kopie tych listów - obiecał obojgu naukowcom.

- To ten list daje panu pewność, że chodzi tu o jednego zabójcę? - zapytała Anna Giulietti.

- Albo zabójczynię. Tak. Tak właśnie jest - potwierdził Ferrara.

- Wydaje mi się to przekonującym argumentem - przyznała kobieta.

- Mnie także - jak echo powtórzył drugi zastępca prokuratora.

- Nie rozumiem - stwierdził prokurator Galio ze zmarszczonym czołem. - Tu jest mowa o czterech życiach, o czterech już straconych życiach. Jeżeli odnosi się to do zabójstw, którymi się zajmujemy, to czy nie powinno być mowy o trzech?

- Odkąd tu siedzimy, spodziewam się, że ktoś przyjdzie i wywoła mnie z zebrania. Obawiam się, że nie minie zbyt wiele czasu, a dowiemy się o czwartym zabójstwie - zapowiedział Ferrara.

- Jeżeli tak będzie, to nie będę mógł nie przyznać panu racji - stwierdził Galio - ale bardzo proszę, gdyby tak się stało, natychmiast nas zawiadomić. Gdybym był nieobecny, zostawię odpowiednie polecenia, żeby ktoś z biura zajął się tą sprawą i udał osobiście na miejsce zbrodni - dorzucił, dając ogromną satysfakcję zastępcom prokuratora.

Ferrarze został przydzielony nadzór. Taki był od samego początku cel tego przedstawienia, powiedział do siebie z wściekłością.

Błękitna alfa romeo 166 odjechała spod budynku sądu już dziesięć minut wcześniej, a utknęła w korku ledwie kilka minut drogi od prefektury.

- Przyda się to na coś? - zapytał prefekt.

- Co? - odparł Ferrara zatopiony w myślach.

- To zebranie. Ci naukowcy nie byli tacy antypatyczni. Ta Prestidiacono

czy Prestigiacomo, czy jak jej tam, jest trochę zadziorna. Pod koniec zrobił pan na niej dobre wrażenie.

Komisarzowi nie zależało na tym specjalnie.

- Nie wiem. Niektóre rzeczy może się przydadzą, zobaczymy. To zależy od tego, jak rozwinie się śledztwo.

- Które teraz będzie już jednokierunkowe?

- W zasadzie tak, ale nie całkowicie. Nie można zostawiać niezbadanych tropów, nawet tego, który jest teraz już mało prawdopodobny, czyli że to zupełnie oddzielne zbrodnie. Różne grupy śledczych będą się zajmować poszczególnymi zabójstwami. Inaczej nie mogę zrobić.

Samochód wy dostał się z korka i przejechał przez bramę dawnego szpitala psychiatrycznego.

- Tak czy inaczej, gratuluję - powiedział szczerze prefekt.

- Czego?

- Tego, jak stawił pan czoła prokuratorowi Galio, na Boga! - wykrzyknął, uśmiechając się Lepri, kiedy wysiadali z samochodu.

Był wesoły. Jowialny. Towarzyski jak zawsze, a po Florencji krążył morderca. Obaj doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Ferrara pozdrowił go skinieniem głowy, oczy zacieniały mu czarne zrosnięte brwi.

- Pozdrowienia dla żony! - usłyszał jeszcze, kiedy wchodził na schody.

- Ten ksiądz, don Sergio... jak tam on się nazywał? Co się z nim dzieje?

- Chyba jest w Greve, prawda?

- Trzeba coś wymyślić, żeby go tu przywieźć. Albo nie, lepiej będzie jak ja tam pojedę... Lepiej nie wzbudzać podejrzeń po tak długim czasie.

- Myśli pan, że on jest w to zamieszany?

- Nie! Tak! Nie wiem, ale coś mi tu się nie zgadza. Coś mówi mi, że to właśnie od niego powinienem zacząć, od pierwszej zbrodni i od ostatniego

podejrzanego, jaki nam został.

Byli w biurze Ferrary. Rizzo siedział naprzeciw niego z dokumentami dotyczącymi zabójstwa Micaliego w ręku. Ferrara żuł pół tokańskiego cygara, bawiąc się zapalniczką, niezdecydowany, czyjej użyć.

- Mogę coś dla pana zrobić? - zapytał Rizzo.

Ferrara zamilkł zatopiony w swoich myślach, a potem popatrzył mu w oczy przymrużonym kocim spojrzeniem.

- A gdybyś tak przyniósł mi kawy?

Młodszy z policjantów wstał i położył teczkę na biurku przed zwierzchnikiem. Wyszedł z pokoju. Mógł wysłać któregoś ze swoich ludzi, ale nie zrobił tego. Wolał dzisiaj sam zanieść kawę Ferrarze. Nie był to dla niego żaden kłopot, zresztą miał ochotę zrobić przyjemność przyjacielowi.

O osiemnastej szef wydziału śledczego wyszedł z prefektury. Szedł pieszo.

Szedł ulicami Zara, Santa Reparata, Sant'Orsola, placem del Mercato, Borgo La Noce, przepiękną ulicą San Lorenzo, potem de Conti. Przez chwilę maszerował ulicą de Cerretani, potem de Rondinelli, aż w końcu Tornabuoni zasypaną jeszcze tu i tam stosami brudnych confetti.

Księgarnia Verga.

Wszedł.

- Cześć, Rito - pozdrowił sprzedawczynię. - Jest Massimo?

- W swoim biurze, siedzi i klnie na czym świat stoi.

- Zły humor? - zapytał.

Nie przyzwyczał się jeszcze do florentyńskich wyrażeń Rity.

- Paskudny.

- Znów odkrył, że wszyscy mężczyźni są skurwysynami, a kobiety...?

- Gorzej. Odkrył, że co najmniej jedna nie jest... Ta z Wenecji, wie pan?

Ferrara się uśmiechnął. Miło było wrócić do normalności.

Wszedł po schodach i zapukał do biura przyjaciela.

- Proszę wejść.

Pokój zasnuty był aromatycznym dymem. Massimo Verga czytał, trzymając w zębach ustnik długiej, polerowanej, lekko wygiętej fajki.

- Gdzie gaśnice? - zapytał Ferrara.

- Zużyłem je wszystkie, studząc gorące zapały Lucrezii.

- Trafiała kosa na kamień?

- Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi. Rita pewnie ci już wszystko wygadała, jest gorsza od rubryki towarzyskiej.

- Powiedziała tyle, że macie chyba jakieś problemy.

- Ja mam jakieś problemy, ona nie, ona czuje się doskonale. Myślisz, że to możliwe?

- Z tobą u boku? Prawdę mówiąc, nie. Albo to jakaś święta, albo się z nią ożenisz.

Księgarz zadrżał.

- Zmieńmy temat!

- Z przyjemnością. Mam ci coś do pokazania. To kolejna „zagadka”.

- Chcesz powiedzieć: kolejny list z groźbami?

- Sam to oceń.

Przeczytawszy list, Massimo Verga gwizdnął przeciągle.

- Jesteś w tarapatach, przyjacielu.

- To wiedziałem nawet bez twojej cennej pomocy.

- Jesteś w większych tarapatach niż myślisz. Twój tajemniczy adorator miesza w to wszystko Schopenhauera! To wieki filozof, ale humor nieco czarny.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pierwsze zdania, aż do „pochłonąć”, są wzięte w całości od Schopenhauera, reszta jest już jego własna. To w sumie raczej banalne, ale pokazuje, że twój antypatyczny nadawca zakodowanych wiadomości jest naprawdę wykształcony. Ma wyrafinowane gusta. W przeciwieństwie do ciebie, jeżeli mogę tak powiedzieć, więc masz kłopoty.

- Bo jest bardziej inteligentny niż ja?

- Tego nie wiem. Nie znam faceta, ale on jest przekonany, że tak i zabawia się z tobą jak kot z myszką. Zresztą sam o tym mówi.

- Czyli zgadzasz się? To jest oczywiste wyzwanie?

- Bardzo wyraźne. Jasne jak słońce. Daje ci także dwa punkty forów, tak bardzo czuje się silny. Dwa życia, zanim zabierze się za ciebie. Sam o tym zawiadamia.

- I pisze ręcznie, nie przejmując się naszymi badaniami grafologicznymi.

- Co pokazuje, że jest kimś o IQ powyżej średniej, dobrze wykształconym, uporządkowanym i bardzo dokładnym. Może to psychopata, ale rozsądny, przebiegły i doskonale potrafi planować. Dobry strateg. Jeśli nie masz ochoty aresztować Napoleona, to będziesz musiał zaczynać wszystko od początku.

- Dzięki za dodanie mi otuchy.

- To moje zadanie.

Zamilkli.

Massimo skorzystał z chwili, by znów zapalić fajkę, o której w tym zamęcie zapomniał.

Ferrara nie miał odwagi przyłączyć się do niego.

- Myślę...

- O czym? - zapytał komisarz.

- O zagadce z poprzedniego listu. Ostatnia wiadomość będzie pierwszą. Pamiętasz? Jeszcze nie udało mi się tego rozwiązać.

- Może jest inteligentniejszy także i od ciebie.

- Tego jestem nawet pewien, ale to nie mnie chce załatwić.

- Nie dodasz: „na szczęście”?

- Nie żartujmy, Michele, ten człowiek grozi ci na serio. Nie wiem, czy ta nowa wiadomość może pomóc nam zrozumieć poprzednią. Co znaczy, że pierwsza będzie ostatnią, a ta jest która? Trzecia?

- Tak.

- Czyli ostatnia będzie prawdopodobnie siódma. Ponieważ jedna została

pominięta, czyli to znaczy co? Że nadejdzie już po twojej śmierci?

Ferrara nie odpowiedział.

- Tak sobie to wyobraża, oczywiście! Ty go złapiesz wcześniej.

- Mam nadzieję.

- Przyjmijmy, że tak będzie. Czyli pierwsza, niewysłana, jest, można tak powiedzieć, wyjaśnieniem całego planu. To opis tego, co morderca zrobi, zanim dopadnie ciebie. Po twojej śmierci wyśle wiadomość do władz jako ostatnią obrazę, aby pokazać, jaki był wspaniały. To będzie ta pierwsza wiadomość, kompletne przedstawienie planu przygotowanego skrupulatnie z wyprzedzeniem i wykonanego do końca, wiadomość wysłana jako ostatnia. To znaczy ostatnia będzie pierwszą. Genialne, co?

- To szaleństwo. Ta hipoteza nie musi być wcale prawidłowa.

- Pomoże ci tylko wtedy, kiedy będziesz miał szczęście zdobyć dokładny plan zabicia szefa wydziału śledczego i dopaść tego, kto go stworzył.

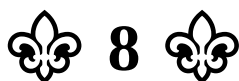
- To niewiele, ale już coś.

Wyszedł z księgarni, kiedy zapadł zmrok.

Dzieciak przebrany za kota z długimi czarnymi wąsami wymalowanymi na policzkach rzucił w niego garścią confetti i uciekł biegiem do matki.

Ostatni dzień karnawału.

Zabawa już się skończyła, a on nie zauważył nawet, kiedy zdążyła się zacząć.



Był ostatni dzień karnawału, sobota dwudziesty szósty lutego. Ktoś nocą dowcipnie poprzebierał śnieżne figury na łące wzdłuż drogi, która od pierwszych domów ciągnie się do placu centralnego.

Śniegowe rzeźby to tradycja w San Vigilio. Od zawsze w połowie stycznia odbywa się tu festiwal, w którym biorą udział najbardziej utalentowani artyści z całej okolicy. Przez resztę roku pokazują swój rzemieślniczy geniusz, rzeźbiąc w drewnie cokolwiek, co podpowiadają im tradycje lokalne, okazjonalna moda albo własna inspiracja.

San Vigilio di Marebbe, średniowieczna wioska należąca do opactwa Castelbadia, znajduje się w sercu Dolomitów na południe od Val Pusteria, w strefie, w której kultura ladyńska oparła się upływowi czasu i gdzie do chwili obecnej ludzie mówią jeszcze językiem ladyńskim. Teraz jest to miejscowość znana pasjonatom nart i letnich górskich wspinaczek.

Zimą powstają tu śniegowe rzeźby, które stoją, witając turystów, aż stopnieją, kiedy nadejdą pierwsze ciepłe dni.

- Popatrz na tego z nogawkami na głowie! - zawołała Cinzia.

- To na pewno jest Gran Bracun! - odskrzyknęła Valentina.

- Kto?

- Franz Wilhelm de Brach, rycerz bez skazy i lęku. Pamiętasz tę ladyńską bajkę?

- Ale krasnoludki zapomniały zrobić mu pranie.

Śmiały się, z przyjemnością podziwiając abstrakcyjną kompozycję, która podobna była do rycerza walczącego ze smokiem. Na samej górze hipotetycznego woja żartowniś, który zabawiał się nocą i zakładał rzeźbom maski, umieścił parę majtek, a smok na ziemi ozdobiony confetti i serpentynami wydawał się tarzać ze śmiechu zamiast leżeć pokonany.

Dziewczęta rozweselone poszły do baru w hotelu Posta, gdzie zatrzymały się, by kupić papierosy dla Cinzii i wypić poncz na rozgrzanie. Przyjechały dzień wcześniej tym samym pociągiem, Valentina wsiadła we Florencji, Cinzia w Bolonii. Umówiły się, że razem spędzą te kilka wolnych dni.

Tylko jako przyjaciółki. Tak sobie przyrzekły.

Valentina zupełnie nic nie powiedziała swoim rodzicom o Florencji. Może dlatego, że o pewnych sprawach nie chciała im opowiadać, a także i dlatego, że trudno by jej było wytłumaczyć im fakt, że wynajmuje mieszkanie, za które nie musi płacić. Nie chciała także ani nie bardzo mogła opowiadać im o związku z Mikiem, którego sama nie rozumiała.

Po tamtej nocy już nigdy więcej nie uprawiali seksu.

W pewnym sensie wrócili do życia, jakie wiedli przedtem. On częściej wyjeżdżał w związku ze swoją pracą. Kiedy był na miejscu, był czuły i opiekuńczy, może nawet trochę zakochany, ale tak, jakby był uczniakiem zauroczonym po raz pierwszy w życiu. Zachowywał się jak niemądry adorator, zamiast być towarzyszem i podporą.

Zastanawiała się nieraz, czy Mike nie ma wyrzutów sumienia po tym impulsywnym akcie stosunku analnego i czy to nie ona pierwsza powinna podnieść tę kwestię i stawić czoła całej sprawie, by w końcu ją zamknąć. Prawda była jednak taka, że nie wiedziała, co miałaby mu powiedzieć. Sama też nie wiedziała, co sądzić o tych wydarzeniach. Czy to, co czuła, było odrazą, czy może żalem? Czy ten stosunek naprawdę odbył się wbrew jej woli, czy też podobało jej się to i stało się za jej przyzwoleniem? Nie wiedziała też, jak zareaguje, gdyby zaproponował jej, by zrobili to ponownie.

Wszystko trwało w czymś w rodzaju mglistego zawieszenia.

- Pogadamy? - zapytała Cinzia, zapalając papierosa.

Była piękna, energiczna, miała czarne wyraziste oczy i zaróżowione od chłodu policzki.

Siedziały z dala od innych, nielicznych gości, na drewnianych ławach przy jednym z rustykalnych stolików. Przed nimi parował w szklankach poncz.

Mogły rozmawiać tak, żeby nikt im nie przeszkadzał i nie obawiać się, że ktoś je usłyszy.

- Zaczynaj ty.

- Brakuje mi ciebie.

- Cinzio, rozmawialiśmy już o tym...

- Okej, okej. Nie nalegam. Obiecuję. Przysięgam. Jesteśmy tu tylko jako przyjaciółki. Co mam ci powiedzieć? Bolonia jest nudna, uniwersytet to syf, a ojciec skretyniał jeszcze bardziej. Matka go nie znosi, ale udaje, że wszystko jest w porządku. Zgadza się na wszystko. Nie ma nawet odwagi wziąć sobie kochanka. Zwykłe życie. Ciekawy jest tylko CNN. Staram się nauczyć angielskiego.

Zwłaszcza że podobają ci się Amerykanie, chciała dodać, ale się powstrzymała, aby nie zepsuć tego wąskiego zawieszenia broni.

- Założyłam antenę satelitarną, więc mogę łapać zagraniczne stacje.

- Nowe przyjaciółki? Nic?

- Nic ważnego.

- A ta... jak ona się nazywała?

- Która?

- Ta, która była u ciebie, kiedy dzwoniłam.

Cinzia zastanawiała się przez chwilę albo tylko udawała, że się zastanawia.

- Ach, masz na myśli Chiarę? To jeszcze dziecko, jest w liceum. Daję jej korepetycje z greki, żeby trochę dorobić.

- Jaka jest? To też nic ważnego?

- Ależ nie - odpowiedziała, udając obojętność - jest sympatyczna, dowcipna. Chcesz wiedzieć, czy to dobra dupa? - dodała przewrotnie.

- Nie, nie interesuje mnie to.

- Tak czy siak, pieprzy się nieźle - dodała.

- Ale ty jesteś durna! - zareagowała Valentina.

- Ależ co ty! Tylko żartowałam. Nie można sobie po przyjacielsku pożartować?

Valentina skinęła głową i uśmiechnęła się, ale poczuła ból i to ją zaniepokoiło.

- A ty? Teraz twoja kolej. Jak się żyje na brzegach rzeki Arno?

- Nie bardzo wiem. Jest mnóstwo pięknych rzeczy do zobaczenia, ale spędzam prawie cały czas zamknięta w mieszkaniu. Uczę się.

- Mówisz prawdę?

- Chcę zrobić magisterkę, skończyć studia i zabrać się do roboty. Znaleźć sobie pracę, może najpierw trochę podróżować. Tak czy inaczej, chcę zmienić swoje życie.

- Masz szczęście. Mnie jeszcze dużo brakuje.

- Może zorganizujemy jakąś wspólną podróż? Pojechałybyśmy za granicę, chciałabyś?

- Bardzo. Zobaczymy, a ten typ?

- Mike Ross? Pracuje. Jest miły, mówiłam ci. Kilka razy zabrał mnie na kolację do pięknych, luksusowych restauracji.

- Nic więcej?

- Daj spokój, Cinzio, już ci mówiłam...

Nie chciała o nim opowiadać i to było wyraźnie widać.

Kiedy wychodziły z baru, Cinzii minął już dobry humor.

- Gotowa?

- Czekaj - powiedziała, rozglądając się dookoła, zanim włożyła gogle i zaciągnęła się jeszcze raz papierosem. Tej wady się nie pozbyła, a Valentina jakoś nigdy jej nie nabyła.

Widok z nasłonecznionego szczytu Plan de Corones na 2275 metrach ponad poziomem morza zapierał dech w piersiach. Można było objąć spojrzeniem całą pobieloną śniegiem dolinę, otoczoną koroną szczytów pokrytych wiecznym śniegiem.

Widać było girlandy postrzępionych wierzchołków górskich Dolomitów na południu i wielkie, imponujące Alpy Aurine na północy.

W niedzielę, kiedy szlaki narciarskie były zatłoczone, między

przyjaciółkami bardzo się poprawiło. Większość tego dnia spędziły wraz z rodzicami Valentyny, którzy byli jak zawsze mili i opiekuńczy. Cinzia dobrze się z nimi czuła i bardzo ich szanowała, a oni kochali ją jak drugą córkę. Gdyby wiedzieli, co łączy obie dziewczyny, nigdy by nie dali tego po sobie poznać. Mama Valentyny nie wahała się jednak poddać córki przy przyjaciółce krótkiemu, żartobliwemu przesłuchaniu na temat „Amerykanina z Florencji” Valentynie udało się wyjść z tego zręcznie i bez szwanku, przy wsparciu Cinzii.

W poniedziałek postanowiły ścigać się na najtrudniejszym szlaku Sylvester, przeznaczonym do biegów zjazdowych. Był długi na cztery-pięć kilometrów, a różnica poziomów wynosiła 1300 metrów.

- Jedziemy! - krzyknęła Cinzia, wyrzucając niedopałek, i zerwała się do biegu.

To dla niej typowe, pomyślała Valentina, która zdjęła rękawiczki, by poprawić włosy pod nakładaną właśnie czapkę.

Nie zdenerwowała się, nawet się uśmiechnęła, te niewielkie fory mogły dodać więcej smaczku tym zawodom. Ponieważ się tu urodziła, zawsze uważała się za silniejszą.

Zaczęła zjeżdżać za Cinzią.

Dziewczyna wyprzedzała ją o jakieś pięćdziesiąt metrów i wymijała zwinnie narciarzy, których miała przed sobą, zjeżdżając jak najprostszą trasą.

Valentina jechała za nią, odczuwając coś na kształt dumy, kiedy widziała przed sobą smukłą sylwetkę przyjaciółki, która z elegancką pewnością siebie wymija przeszkody. Była to duma, do której nie powinna mieć już prawa.

Prawie nie zauważyła chłopaka na snowboardzie. Pojawił się nagle przed nią.

Co za cholera? Snowboard tutaj? Klnąc w duchu, skręcała gwałtownie w prawo, aby go wyminąć, potem znów w lewo, by wrócić na szlak. Ale byli jeszcze na czerwonej części trasy, która skręcała przed czarną i kończyła się przy kolejce linowej Gripfelbahn. Ten manewr kosztował ją kilka cennych

sekund. Cinzia była teraz przed nią. Wyprzedzała ją o ponad osiemdziesiąt metrów i właśnie zniknęła za wąskim zakrętem, za którym szlak dzielił się na dwa, a szlak Sylvester robił się o wiele bardziej stromy i można było tam natrafić na długie połacie zmrożonego śniegu.

Musiła naprawdę się postarać i dać z siebie wszystko.

Skoncentrowała się, uspokoiła oddech i wychyliła do przodu, tak aby w odpowiedni sposób ustawić swoją wagę na nartach.

Zbliżyła się do zakrętu. Wszyscy narciarze jechali wzdłuż najłatwiejszego ze zjazdów. Natychmiast zrozumiała dlaczego. Tablica informacyjna zawiadamiała, że zjazd Sylvester jest zamknięty z powodu prac konserwacyjnych. Cinzia to zignorowała.

Typowe, pomyślała znowu i pojechała za nią, rzucając się w przesmyk z szybkością, jakiej nigdy dotąd jeszcze nie osiągnęła. Powietrze chłostało ją po twarzy jak deszcz kłujących igieł.

Oczy chronione goglami łzawiły mimo wszystko i miała zamglony widok, ale widziała przyjaciółkę jadącą poniżej.

Zbliżała się do niej. Po około trzech i pół kilometra zmniejszyła dystans o dobrą połowę i skracała go nadal. Uśmiechnęła się z przyjemnością, skalkulowała, że dogoni przyjaciółkę nie dalej niż za jedną czwartą kilometra i przegoni na długo przed końcem zjazdu.

Lekko zwolniła, żeby skoordynować ruchy. To był błąd.

Cinzia, czując się ścigana, skróciła promień slalomu i zwiększyła szybkość właśnie wtedy, kiedy Valentina ją wytracała. Valentina zaklęła. Znow ruszyła do walki i zaczęła się zbliżać do Cinzii, ale nieco wolniej.

Na czwartym kilometrze przyjaciółka wyprzedzała ją jeszcze co najmniej o trzydzieści metrów, a chwilę potem Valentina dostrzegła koniec zjazdu. Zobaczyła także, że szlak wznosi się nagle na czymś w rodzaju skoczni i aby jej uniknąć, trzeba wykonać długi skręt w prawo lub w lewo. Cinzia dotarła tam i skręciła na prawo. Po lewej pracował żółty mechaniczny pług śnieżny.

Valentina się nie zawahała. Poszusowała prosto na śnieżny wał. Zrobiła to

z całą szybkością, na jaką pozwoliły jej narty, wychyliła się do przodu, dotarła do szczytu i wyskoczyła w powietrze z ciałem ułożonym prawie równolegle do nart, z rękoma rozstawionymi na kształt skrzydeł. Leciła.

Zalało ją uczucie upajającej wolności, kiedy zobaczyła, jak Cinzia gdzieś na dole zatrzymuje się i patrzy na nią.

Kiedy dotarła do najwyższego punktu wysokoku i zaczęła opadać, musiała zacząć wznosić ciało, aby uzyskać powoli właściwe rozłożenie wagi i móc zeskoczyć na ziemię.

Skurcz lewej nogi nie pozwolił jej dokończyć tego zadania. Zobaczyła zbliżającą się ziemię, kiedy była jeszcze niebezpiecznie wygięta do przodu. Ignorując ból, podjęła jeszcze jeden wysiłek, ale było już za późno. Jedna z nart dotknęła ziemi wcześniej niż druga. Druga narta się wypięła. Valentina straciła równowagę. Zobaczyła śnieg dookoła, uderzyła prawym ramieniem i twarzą w zlodowaciałą śnieżną zaspę. Śnieg zdzierał jej skórę twarzy tak długo, że wydało się to całą wiecznością.

Straciła przytomność.

*

Cinzia nie rozumiała, co się stało. Przejechawszy przez zakręt narzucony przez zeskok, zobaczyła czarno-czerwony kombinezon Valentiny lecący ponad śniegowym zeskokiem, który pług obniżył już o połowę. Zatrzymała się przerażona.

Zobaczyła, jak przyjaciółka płynie w powietrzu ponad maszyną, dzięki Bogu, i przez chwilę odczuwała dla niej podziw. Potem zobaczyła, że dziewczyna skręca się w powietrzu tuż przed zetknięciem z ziemią, uderza ciałem o zjazd, spada i zsuwa się w kierunku lasu ciągnięta diaboliczną siłą upadku, który jakby nigdy nie miał się skończyć.

- Vale - jęknęła - Vale...

Oczy wypełniły jej się łzami.

- Valentina! - krzyknęła zdesperowana i rzuciła się w dół zjazdu,

wyobrażając sobie, że zobaczy ją z głową roztrzaskaną o pień drzewa.

Valentina rzeczywiście leżała niedaleko od drzewa pinii, ale jednak o kilka metrów od niego. Tu się zatrzymała, nieruchoma z zamkniętymi oczami. Piękna twarz zmieniła się w krwawą maskę. Cinzia podjechała do niej, odpięła narty w mgnieniu oka, zdjęła rękawiczki i uklękła przy dziewczynie.

- Vale - płakała - powiedz coś, odezwij się, powiedz coś, powiedz, że nic ci nie jest. Powiedz, że jesteś zdrowa, proszę, proszę. O mój Boże, co ja narobiłam. To moja wina! Moja wina, Valentina, kochanie, kochanie...

Wezwany przez ludzi ze śnieżnego pługu zbliżał się do nich ratrak ciągnący za sobą nosze.

- Nie martw się, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze - usiłował pocieszyć Cinzię ojciec Valentiny, zagłuszając tymi słowami własny lęk. - Żebyś ty wiedziała, ilu już widziałem ludzi z połamanymi kośćmi...

Matka milcząca, blada i spięta stała z oczami wpatrzonymi w podwójne białe drzwi oddziału ratunkowego. Cinzia siedziała sztywna na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach. Wstrząsał nią spazmatyczny szloch. Słowa pana Pretiego jeszcze go podsycaly zamiast koić.

Podwójne drzwi otworzyły się w końcu i wyszedł z nich doktor Werter. Miał spokojną twarz, pocieszające spojrzenie.

- Cześć, Liso, cześć, Giorgio - pozdrowił rodziców Valentiny. - To nic poważnego, kilka dni w szpitalu i trochę rekonwalescencji. Kilka tygodni i będzie jak nowa.

Cinzia słuchała z niedowierzaniem.

- A jej twarz, cała we krwi... - szlochała, nie mogąc się powstrzymać.

Doktor Werter popatrzył na nią.

- Przyjaciółka? - zapytał. - Nie przejmuj się, to tylko zadrapania. Jest ich dużo, ale są powierzchowne. Będzie miała trochę strupków, ale potem będzie jeszcze ładniejsza. Najgorszy kłopot to gips. Ma zwichnięte prawe ramię i musimy je unieruchomić. Może wystarczy sztywny opatrunek, ale ważne jest, żeby przez co najmniej piętnaście dni nie używała tej ręki. I nie będzie

mogła chodzić. Miała wodę w lewym kolanie i jej spuchło, już zrobiliśmy punkcję i teraz zakładają jej lekki gips jako stabilizator, żeby usztywnić nogę. Sama będzie mogła go sobie przeciąć nożyczkami za dwa tygodnie, jeżeli nie da rady przyjechać tu do nas.

Podniesieni na duchu rodzice Valentiny podziękowali lekarzowi, po czym ten wrócił do sali.

- Widzisz - powiedział, zwracając się do Cinzi Giorgio Preti, teraz naprawdę rozluźniony, tak jak i jego żona, która wreszcie usiadła.

Dziewczyna odpowiedziała uśmiechem, który rozświetlił całą pokrytą łzami twarz, ale wciąż pociągała nosem.

Po chwili podwójne drzwi otworzyły się znowu i wyszło z nich dwóch pielęgniarzy. Popychali zaopatrzone w kółka łóżko, na którym leżała Valentina z twarzą całkowicie pokrytą opatrunkami. Lewą nogę miała w gipsie, a prawe ramię w sztywnym opatrunku.

Matka, ojciec, przyjaciółka - wszyscy zebrali się dookoła jej łóżka.

Przez dziury w opatrunku widać było oczy, które poruszały się, spoglądając to na jedną, to na drugą osobę. Widać było też usta, które wydały się Cinzii ściągnięte w grymasie bólu, mającym udawać uśmiech.

- Boli cię, Vale?

Valentina nie odpowiedziała.

Pielęgniarze poprosili zebranych o odsunięcie się, by mogli zawieźć pacjentkę do przeznaczonej dla niej sali.

- Kto wygrał? - wymamrotała w końcu Valentina, kiedy ją zabierano.

Cinzia siedziała przy Valentinie dniem i nocą. Lisa Preti chciała się z nią zamieniać, ale ona się uparła, że cała wina leży po jej stronie i to ona powinna zajmować się przyjaciółką. W rzeczywistości była szczęśliwa, że może być koło niej. Nie było to zresztą nawet niewygodne. Szpital w Brunico był jednym z nielicznych we Włoszech, w którym profesjonalizm medyczny i

wysoki standard opieki nad chorymi były na najwyższym poziomie. Ta placówka nie miała czego zazdrościć nawet klinikom prywatnym.

Rodzice przez cały dzień przychodzili odwiedzać córkę na zmianę, raz ojciec, raz matka. Przynosili gazety, kwiaty i słodycze. Valentina wracała do zdrowia bardzo szybko.

Rankiem w czwartek drugiego marca zdjęto jej bandaż z lewej, nieporanionej części twarzy, a Cinzia poprosiła pielęgniarki, by wytłumaczyły jej, jak troszczyć się o drugą stronę, na której pojawiła się wielka sieć delikatnych strupków. Pajęczyna ta odchodziła od zewnętrznej części prawego oka, a kończyła się poprzecznym cięciem, które biegło przez prawy kącik ust. Po południu nauczono Valentine używać kul, a wieczorem wypisano do domu.

Giorgio Preti zabrał obie przyjaciółki do hotelu.

- Ale przecież nie możesz wracać do Florencji - upierała się Cinzia.
- Muszę zabrać się do nauki, a poza tym nie mam ochoty zostawać tutaj.
- Więc wróć ze mną do Bolonii.
- Nie mogę, we Florencji mam swoje rzeczy.
- Zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś samowystarczalna? Jak będziesz się myła? Kto przygotuje ci coś do jedzenia? Nie bądź głupia. Przez dwa tygodnie doskonale wystarczą ci rzeczy, które zabierzesz stąd, niewiele będziesz potrzebować, przecież nie będziesz chodzić na tańce! Bolonia to nadal twój dom. Przysięgam, że nie będę nastawać na twoją cnotę, jeżeli tego się obawiasz.

Valentina się uśmiechnęła.

A nawet gdyby... - pomyślała. Przez te kilka wolnych dni znów bardzo zbliżyła się do Cinzii. Zdawała sobie sprawę, że przyjaciółka była przy niej przez cały ten czas i poświęcała się tak, jak nie zrobiłaby nawet siostra.

Na dodatek Cinzia miała rację. Nie dałaby sobie sama rady we Florencji.

Sytuacja mogłaby ją też zmusić do intymniejszych kontaktów z Mikiem, a tego nie chciała. Nie w tym stanie.

- A studia? - próbowała się słabo bronić.

- Zrobisz mi spis książek, a ja dołożę zeszyty, pióra, atrament i kałamarz.

Wszystko na koszt firmy - zawołała triumfalnie Cinzia.

W niedzielę piątego marca Valentina ponownie pojawiła się w swoim dawnym bolońskim mieszkaniu.

W poniedziałek szóstego marca jej komórka odebrała SMS. Był od Mikea.

„Dobrze się bawisz? Kiedy wracasz do Florencji?”

Zdecydowała, że do niego zadzwoni i wszystko mu opowie. Powiedziała, że jest unieruchomiona w Bolonii i że wróci, jak tylko znów będzie mogła się poruszać. To była kwestia najwyżej tygodnia. Czuła się dobrze. Na twarzy miała już niewiele plastrów i kilka blizn, tylko rana cięta na dolnej wardze nie chciała się zabiłnić i trochę jej dokuczała. Pewnie dlatego, że czasami ją przygryzała nerwowo, odrywając strupek, co powodowało krwawienie. Poruszała się już nawet dość zręcznie i myślała o przecięciu gipsu, gdy tylko będzie to możliwe.

Milce okazał troskę i zaoferował pomoc. Powiedział, że do niej przyjedzie, ale Valentina wolała, żeby tego nie robił. Na wszelki wypadek jednak poprosił, by podała mu adres i numer telefonu Cinzii.

- Okej, jeżeli nie zjawisz się wcześniej, to w piątek po ciebie przyjadę.

- Dam ci znać.

Teraz nie była już taka pewna, czy chce, żeby Mike i Cinzia się spotkali.

Cinzia opiekowała się nią jak troskliwa matka albo nawet lepiej, poza tym dotrzymywała danego słowa. Traktowała ją jak szczególnie cennego gościa i nigdy nie próbowała wykorzystać żadnej z wielu nadarzających się okazji,

jakich dostarczały zależność i częściowe unieruchomienie przyjaciółki. Nawet gdy pomagała jej myć intymne części ciała, dotyk jej rąk ani razu nie zmienił się w pieszczotę.

Właśnie w takich sytuacjach Valentina przygryzała nerwowo dolną wargę. Wtedy albo nocą, poruszona dziwnymi podświadomymi obrazami.

Spały w dwóch oddzielnych łóżkach, ale w tym samym pokoju. Z dawnych zwyczajów, jakie pozostały im po wspólnym życiu, Cinzia zachowała tylko tę wadę, że chodziła po mieszkaniu naga albo prawie naga. Pokazywała z naturalnością swoje młode niedojrzałe ciało, maleńkie, jędrne piersi, które jeszcze nie rozkwitły, długie szczupłe nogi i wąskie pośladki, które nadawały jej chłopięcego wyglądu, takiego jak u niektórych, ostatnio tak bardzo modnych, anorektycznych modelek.

Valentina nie mogła uniknąć porównywania między miękkimi, lekko kościstymi krągłościami przyjaciółki a kanciastymi i o wiele mniej delikatnymi powierzchniami jedyne go męskiego ciała, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia. Tak samo jak nie była w stanie nie myśleć o tym, co odczułaby, gdyby znów oddała się cudownym pieszczotom kobiety, delikatnym pocałunkom, wprawnym palcom i dotykowi języka. Wtedy i tylko wtedy wydawało jej się, że to, czego doznała z Mikiem, to była prawdziwa przemoc, jedyny sposób uwodzenia znany mężczyźnie.

W takich chwilach wstydziała się, umysł stawał się zamglony, nie była w stanie myśleć, niczego już nie rozumiała. Może też dlatego, że ta przemoc nie była jej aż tak bardzo niemą.

Czy Cinzia była w stanie dostrzec te chwile pomieszania? Tego Valentina nie dowiedziała się nigdy. Z pewnością przyjaciółka niczego po sobie nie pokazywała. Kończyła z naturalnością to, co wcześniej zaczynała, jak choćby rozmowy, które ciągnęła, nie zmieniając nawet tonu głosu. Świadomie czy nieświadomie - zdobywała kolejne punkty na swoją korzyść.

Finał nastąpił w czwartek wieczorem. Po południu Cinzia pomogła Valentinie przeciąć gips i zdjąć nareszcie opatrunek z ramienia. Noga początkowo była trochę zdrętwiała, ale szybko wróciła do normy.

- Patrz, chodzę! - zawołała rozradowana Valentina po zrobieniu kilku kroków.

- A jednak się kręci - zacytowała Cinzia Galileusza poważnym tonem.

- Wychodzimy.

Dni zrobiły się dłuższe, niebo było bezchmurne i świetliste. Powietrze pachniało wiosną. Kasztanowce obrastały młode pędy, ludzie na ulicach byli pogodni i one, dwie najlepsze przyjaciółki, także były radosne.

- Dojdziemy do Baru Basso - zdecydowała Valentina.

Było to jedno z ulubionych miejsc spotkań studentów. Znajdowało się w podcieniach budynku jednego z instytutów Wydziału Literatury i Filozofii. Miejsce to oddalone było od ich domu o dobre trzy kilometry, więc jeździły tam komunikacją miejską albo na skuterze Scarabeo, który należał do Cinzii.

- Oszalałaś?!

- Coś ty? Czuję się świetnie. Przysięgam!

- Dojdziemy, dokąd będziesz chciała, o ile będziesz się dobrze czuła. Jak tylko poczujesz się zmęczona, powiedz mi i zawrócimy, dobrze?

- Jasne.

Doszły do Baru Basso.

Kupiły kawę, kawałek tortu i papierosy dla Cinzii.

Wróciły taksówką, kiedy zrobiło się już ciemno.

- Pójdę wziąć prysznic - powiedziała Valentina, jak tylko weszły do domu.

- Nie mogę się doczekać porządnej kąpieli po tym całym myciu na raty.

- Ale... jesteś pewna? Ledwie co zdjęłaś gips.

- Jak chcesz, pomóż mi jeszcze tym razem - zasugerowała niewinnie Valentina.

Wtedy dopiero Cinzia zrozumiała, że powolna, delikatna, codzienna i chyba nawet niezamierzona praca nad Valentiną w końcu znów rzuciła ją w

jej ramiona.

Kiedy się rozbierały, puściła wodę i weszła wraz z Valentiną do wielkiej kabiny prysznicowej.

- Jak cudownie! - wykrzyknęła Valentina, wystawiając się z lubością na działanie idealnie ciepłego strumienia wody.

- Namydl mi plecy, potem ja namydlę twoje.

Cinzia wzięła gąbkę nasączoną żelem do mycia i zaczęła pocierać miękkimi ruchami ramiona i plecy Vale, potem zeszła w dół kręgosłupa. Lewą ręką objęła talię i położyła dłoń na płaskim, napiętym brzuchu przyjaciółki. W tym samym czasie, masując gąbką jej pośladki, wspięła się na palce i lekko pocałowała ją w szyję.

Valentina nie zaprotestowała.

Cinzia zsunęła lewą rękę po brzuchu, zagłębiła palce w mokrych włosach na wzgórku Wenera i wsunęła je pomiędzy wargi sromowe w poszukiwaniu łechtaczki.

Valentina jęknęła.

Skończyły w jej łóżku. Cinzia była jak oszalała. Valentina pozwalała jej na wszystko, nie skarżąc się, nawet kiedy gorące pocałunki przyjaciółki powodowały ostry ból.

- Uważaj - powiedziała jej tylko raz, obawiając się zbyt dużego nacisku jej ciała na prawe ramię.

Kochały się całą noc aż do chwili, kiedy zmęczone zasnęły razem. Ciało Cinzii było splecione z ciałem Valenty jak wtedy za pierwszym razem w San Vigilio.

Obudził je dzwonek. Było już prawie południe.

Cinzia wyskoczyła z łóżka i pobiegła otworzyć jeszcze zasnana i okryta jedynie krótkim szlafrocikiem, który, biegnąc do drzwi, pochwyciła w locie. Myślała, że to może jedna z przyjaciółek albo Chiara, która, wróciwszy z

wakacji, przysłała się dowiedzieć, kiedy znów będzie mogła przyjść na lekcje. Stała naprzeciw wysokiego mężczyzny o blond włosach. Nosił okulary przeciwsłoneczne, a w ręku trzymał ogromny bukiet róż.

Uśmiechnął się miło.

- Szukam Valentiny Preti - powiedział po włosku z lekkim amerykańskim akcentem. - Jest tu?

Wiesz, dobrze, że tak, pomyślała Cinzia zirytowana.

- Tak, ale... no wiesz... jesteśmy jeszcze... - Popatrzyła na zegarek i zrozumiała, że nie było sensu mówić, że są jeszcze w łóżku. - Ledwie wstałyśmy, to może wydać się dziwne, zdaję sobie z tego sprawę, ale tak właśnie jest...

- Rozumiem. Mogę wejść?

Cinzia zaciekle szukała powodu, dla którego mogłaby mu powiedzieć, że nie, ale nie znalazła. Nie mogła go zostawić pod drzwiami, był w końcu przyjacielem jej przyjaciółki.

- Mamy straszny bałagan, ale dobrze. Wejdz, uprzedzę Vale - powiedziała, wpuszczając go do domu i okrywając się dokładniej szlafrokiem.

Nie widziała jego oczu, ale czuła się dziwnie obserwowana, analizowana, oceniana. Zawstydziała się, że jest prawie naga i bezbronna, wstydziła się podkrążonych z pewnością oczu i włosów, które musiały być koszmarnie potargane.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi, ale Mike zauważył nietknięte łóżko obok tego rozkopanego, w którym leżała Valentina. Kształt jej ciała widoczny był pod prześcieradłem, które naciągnęła sobie aż na głowę.

Mieszkanie było małe, łatwo było je objąć jednym spojrzeniem.

W chwilę potem pojawiły się jako tako ubrane przyjaciółki. Cinzia wzięła się w garść. Wyglądała na spokojną i pewną siebie.

Valentina była wyraźnie zakłopotana.

- Cześć, Mike! Po co przyjechałeś? - zapytała głupio.

- Zabrać cię, jeśli chcesz. Jest przecież piątek, pamiętasz?

- Ale ja ci powiedziałam... och, dajmy spokój. Boli mnie głowa. Chcesz kawy?

- Przygotuję - zaproponowała Cinzia, idąc do maleńkiej kuchni.

- Są dla mnie? - zapytała Valentina, patrząc na wspaniałą bukiet róż.

- Naturalnie.

- Cinzio, przynieś też wazon, ten duży, możesz?

- Ładnie tu - powiedział Mike.

- Jest trochę bałaganu... Siedzieliśmy długo wieczorem. Wiesz. Uczyliśmy się.

Mike nie miał zamiaru wgłębiać się w naturę studiów, którym się oddawały. Zaczął żywić pewne podejrzenia i był bardzo zdenerwowany, ale mimo szalejącej w sercu wściekłości, na zewnątrz okazywał pełen ostentacji spokój. Owszem, było możliwe, że Cinzia wstała wcześniej i zdążyła już pościelić swoje łóżko, ale zważywszy, jak wyglądała, otwierając mu drzwi, dałby głowę, że dopiero co wstała z łóżka i to z pewnością nie ze swojego.

O coś takiego nigdy nie byłby w stanie podejrzewać Valentiny, więc nie wiedział, jak do tego podejść. Zupełnie mu się to nie podobało.

Cinzia wróciła z pełnym wody wazonem, do którego włożyła kwiaty. Po chwili dał się słyszeć odgłos napełniającego się ekspresu do kawy, wróciła więc do kuchni.

Po jakimś czasie pojawiła się znowu z tacą, na której niosła trzy filiżanki, cukiernicę i mały wazonik, w którym stała wyjęta z bukietu róża. Postawiła tacę na niskim stoliku między pufem a sofą, na której siedział trochę sztywno Mike, i podała mu filiżankę. Drugą podała siedzącej na pufie Valentynie. Wazonik z różą podsunęła do Valentiny, rzucając jej porozumiewawcze spojrzenie, które nie umknęło Amerykaninowi. Potem wzięła swoją filiżankę i usiadła na ziemi, na dywanie.

- Poznaliście się już? - zapytała Valentina.

- Nie potrzeba - stwierdziła Cinzia.

- Pani to pewnie Cinzia - przypuścił Amerykanin.

- A pan nigdy nie zdejmuje tych okularów?

Mike Ross uśmiechnął się i je zdjął. Lodowate spojrzenie jego oczu sprawiło, że dziewczyna poczuła się nieswojo.

- Dlaczego mówicie sobie na pan, pani? To okropnie dziwne w naszym wieku.

- Masz rację - przyznał Mike, czując coraz większe poirytowanie. - W żadnym razie nie chciałem wam przeszkadzać. Chciałem tylko zobaczyć, jak się czujesz i, jeżeli zechcesz, zabrać cię do Florencji.

- Czuję się dobrze, jak widzisz, dziękuję. Nie mam już gipsu ani opatrunku na ramieniu. Także i twarz prawie całkiem się zagoiła, ale jestem jeszcze trochę słaba, nie czuję się na tyle dobrze, żeby dziś wracać. Nie martw się, poradzę sobie sama. Cinzia opiekowała się mną lepiej niż pielęgniarka.

- Jak chcesz. Pamiętaj, że czekam na ciebie w każdej chwili - zapewnił, wstając.

- Już idziesz? - zapytała Cinzia, nie robiąc nic, by ukryć ulgę.

Valentina rzuciła jej spojrzenie pełne wyrzutu. To także nie umknęło uwadze dziennikarza.

- Tak, dziękuję. Nie chcę wam dłużej zawracać głowy, a poza tym mam artykuł do skończenia, wolę wrócić do domu.

- Możesz wpadać tu, kiedy chcesz, to dla nas przyjemność - skłamała radośnie Cinzia, podkreślając szczególnie słowo „nas”, kiedy odprowadzała gościa do drzwi.

- Cześć - powiedział, wychodząc.

- Cześć - odpowiedziała Valentina, nadal siedząc na pufie.

- No cóż, przystojny to on rzeczywiście jest, grzeczny też, ale wcale mi się nie podoba - oświadczyła Cinzia.

- Byłam tego najzupełniej pewna - odpowiedziała Valentina.

Po tym, co znów stało się między nimi tej nocy, każdy intruz byłby niemiłe

widziany. Szczególnie, jeżeli przyjechałby po to, by ją sobie zabrać.

- To nie to, o czym myślisz, chodzi o to, że jest w nim coś dziwnego, zimnego. Te jego oczy... Brrr.

- Mylisz się, to tylko takie wrażenie, ja też początkowo... - zamilkła, przygryzając wargę, która zabarwiła się kropelką krwi.

O mało co nie powiedziała za dużo.

Cinzia podeszła do niej i otoczyła ją ramionami, starając się scałować tę kropelkę z jej ust.

- To boli - zaprotestowała Valentina, wskazując na ramię.

Poprzedniej nocy nie skarżyła się wcale.

Przyjaciółka odsunęła się gwałtownie.

- Przepraszam.

- To nic, to ja przepraszam.

- Tak czy siak - zaczęła Cinzia - co on cię obchodzi? Przecież nie wrócisz już do Florencji, prawda?

Valentina zamilkła.

Wcale tego nie była taka pewna. Przykro jej było widzieć, jak Mike odchodzi w taki sposób i nie chciała zbyt pochopnie kończyć związku, który być może jeszcze się nawet nie zaczął, a i tak odcisnął na niej swe piętno.

O wiele łatwiej by było, gdyby mogła przeżywać wszystkie swoje doświadczenia do głębi i do końca, kochać ich oboje, bez zobowiązań i zahamowań. Ale ten świat tak nie działa.

- Nie odpowiedziałś mi - zaprotestowała zaalarmowana Cinzia.

- Bo nie wiem, Cinzio.

- Znowu to samo! Już przecież o tym rozmawialiśmy, Vale. Powinnaś dorosnąć. Powinnaś w końcu podjąć decyzję.

Cinzia miała rację. Musiała zdecydować i nie mogła tego zrobić, chowając się w jakimś bezpiecznym kącie otoczona ramionami przyjaciółki, to wydało jej się wreszcie jasne. Musiała poderwać się do lotu i rozwinąć skrzydła. Już raz tego próbowała, ale nie udało się, upadła.

To zupełnie to samo, co lot z tamtej skoczni, pomyślała. To samo.

Po tamtym upadku doszła do siebie, może powinna spróbować jeszcze raz.

- Powinnam w końcu podjąć decyzję? Nawet jeżeli nie będzie to taka decyzja, jakiej byś chciała? - rzuciła.

Cinzia zamilkła skamieniała. Miłość, troska, uczucie, dwa tygodnie wspólnej radości i wspólnych kłopotów, to wszystko na nic. Nie było nic warte.

- Dlaczego tak robisz? Dlaczego? - zapytała niepocieszona.

- Bo... nie wiem.

- Znowu wyjedziesz?

- Nie pytaj mnie o to więcej.

Po południu zaczęły się kłócić, dzień później Valentina wyszła z domu z torbą, w której miała nieco swoich rzeczy.

Cinzia widziała ją z okna. Widziała, jak idzie w kierunku przystanku autobusowego.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała. Jej serce przeszło ostre jak brzytwa przecucie. Wiedziała, że widzi Valentín po raz ostatni, że nigdy więcej już jej nie zobaczy.

- Nie śpisz?. - zapytał komisarz Ferrara żonę, która właśnie zapaliła światło przy swoim biurku. Dochodziła druga w nocy, była środa popielcowa.

- To ty nie śpisz. Już od godziny słyszę, jak się miotasz po łóżku - odpowiedziała Petra. - Chodź, zaparzę ci rumianku.

Poszli do kuchni. Petra postawiła czajnik na ogniu, a na stole dwie duże filiżanki, cukier i spodeczek z niemieckimi ciasteczkami przysłanymi im przez jej rodziców na karnawał.

Biszkopty były niezbyt twarde, ale konkretne, na długo zajmowały im szczęki i czepiały się zębów. Nazywali je „przeżuwakami”.

- Coś cię dręczy - stwierdziła.

- Nie, ale w tej sprawie, którą się zajmuję, coś się nie zgadza.

Nic więcej nie powiedział. Nie lubił rozmawiać o pracy w domu i ten fakt stał się czymś w rodzaju tradycji albo nawet zasady, której żona przestrzegała.

- Zawsze jest coś, co nie pasuje, aż sprawa się zakończy, nie uważasz? Ja na przykład powinnam już widzieć kielkujące bulwy peonii, które zasadziłam zeszłej jesieni, a nie ma nic. Co mam zrobić? Dręczyć się? Co by to dało? Nadal podlewam regularnie, daję nawóz, któregoś ranka pójde sprawdzic, bez lęku, bo rośliny to czują, wiesz? I zobaczę, jak wystają z ziemi. Będziemy mieli piękne kwiaty i jeden ci dam, do twojego biura.

Uśmiechnął się. Pragmatyzm żony zawsze mu pomagał.

Rozmawiali o kwiatach i innych roślinach, popijając rumianek, potem wrócili do łóżka, ale Ferrara długo jeszcze nie mógł zasnąć.

To nie wrogość prokuratora stwarzała mu problemy. Wiele razy czuł wrogość innych wobec siebie, poza tym prokuratorzy odchodzą, komisarze

zostają. Było jeszcze coś innego, co go niepokoiło. Ta niejasność, niejednoznaczność tej sprawy, te połączone ze sobą i zarazem zupełnie niepołączone zabójstwa, jakby morderca chciał zostawić jasno swój podpis i w tym samym czasie rozsiewał rozbieżne wskazówki, mieszał typologie naukowe, jak prestidigitator tasuje karty, bawił się ich przekonaniami jak... właśnie, jak klasyczny kotek z myszką.

Ferrara musiał pozbyć się wszelkich przekonań i zacząć od zera, od księdza, który pozostał dla niego tajemnicą, od otrzymanych listów i odnalezionych zwłok. Od zmarłych.

- Tak, zaczniemy od zmarłych - powiedział do siebie. Choć jednego nadal brakowało. Nimi też chciał pobawić się morderca? Teraz będzie ich ukrywał, zamiast zostawiać na widoku?

Przez cały wczorajszy dzień Michele czekał na telefon, który zawiadomiłby go o odnalezieniu kolejnego ciała.

Na próżno.

Ciekaw był też, jak radzą sobie prefekt, prokurator i jego zastępcy.

„Jak tak dalej będzie, w końcu będę musiał przyznać panu rację” powiedział Galio.

Jakby przyznanie racji jednemu z podwładnych, i to zwierzchnikowi wydziału śledczego, było dla niego czymś wręcz nie do pomyślenia.

W dodatku, co gorsze, pomyślał gorzko Ferrara, prokurator pokazał, że mu nie ufa, dając swoim zastępcom prawo, by go nadzorowali.

Zegar w salonie wybił trzecią.

Telefon zadzwonił dwie minuty po szóstej.

Znaleziono czwarte zwłoki.

- W Parco delle Cascine w okolicy amfiteatru leży na ziemi mężczyzna w koszuli poplamionej krwią. Nie rusza się. Przyjeżdżajcie jak najszybciej.

Taki właśnie telefon o szóstej rano odebrano pod 113.

Policjanci z patrolu znajdującego się w tej okolicy przybyli na miejsce po kilku minutach, prawie równocześnie z ambulansem. Czekał na nich mężczyzna, który dzwonił - emeryt co rano wyprowadzający na spacer do parku swojego psa. Na ziemi, twarzą w dół, leżał martwy mężczyzna, na którego ciele widać było liczne rany cięte.

Jakieś trzy metry od zwłok, pod drzewem policjanci znaleźli pozostawiony na widoku zakrwawiony nóż, ostrze miało długość około piętnastu centymetrów. Trzonek wykonano z macicy perłowej.

Ferrara, Rizzo i Sergi zjawili się niedługo potem, natychmiast dołączyła do nich pani Giulietti, która zgodnie z zaleceniem prokuratora miała brać aktywny udział we wszystkich działaniach personelu technicznego.

Zmarły mężczyzna miał na sobie parę starych jeansów i golf. Musiał mieć jakieś trzydzieści lat, był normalnej budowy ciała i średniego wzrostu. Na lewym nadgarstku miał metalowy zegarek z paskiem wykonanym z wąskich metalowych ogniw, który stanął o godzinie trzeciej dziesiąt. Na nogach tkwiły brązowe mokasyny. Nie było śladów ciągnięcia po ziemi. Nie było też śladów, które mogłyby powstać podczas walki. Tylko tam, gdzie leżały zwłoki, widać było plamy krwi.

- Nie został przeciągnięty - zauważył Ferrara. - Zabito go tutaj.

- Tak. Wygląda na to, że tak - odpowiedział Sergi, schylając się, by z bliska przyjrzeć się ziemi. Po chwili na miejscu zjawił się też inspektor Pino Fabrizi, który znał środowisko nocne delle Cascine.

Zmarły miał rany na plecach, zauważono także trzy dziury w golfie, położone dość blisko siebie. Ubranie było nasiąknięte krwią, która przykleiła je do ciała ofiary, a potem spłynęła na ziemię.

Francesco Leone dotknął zwłok. Odsłonięte fragmenty ciała były zupełnie zimne, ale w miejscu kontaktu z ziemią lekarzowi udało się wyczuć jeszcze pewną ciepłotę. Poruszył kończynami nie do końca zablokowanymi przez stężenie pośmiertne w stanie postępującym. Odwrócił ciało. Krew, która z niego wypłynęła, była wciąż raczej płynna. Przednie części ciała znaczyły

charakterystyczne czerwono-niebieskie plamy pośmiertne, które koncentrowały się w dolnych partiach zwłok. Na reszcie ciała ich nie było. Twarz i szyja, jak w przypadku poprzednich ofiar, były porane licznymi ranami.

- Nie żyje od niedawna - stwierdził Leone. - Najwyżej trzy, cztery godziny. Dopiero co pojawiły się plamy opadowe, ale pomiar temperatury ciała i autopsja dadzą nam dokładniejszą odpowiedź.

Po włożeniu rękawiczek policjanci zaczęli przeszukiwać kieszenie spodni ofiary pod czujnym okiem Ferrary. W prawej kieszeni znaleźli dwa klucze, jeden z nich na pewno do samochodu, drugi prawdopodobnie do mieszkania. Były połączone złotym kółkiem. W tej samej kieszeni był też portfel z kilkoma banknotami i prawo jazdy ze zdjęciem. Ofiara nazywała się Giovanni Biagini. Mężczyzna urodził się we Florencji, miał trzydzieści trzy lata. Nazwisko nie było notowane w archiwach policji, jak wynikało po sprawdzeniu terminala elektronicznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- Fabrizi, każ ludziom przeszukać całą okolicę, niech szukają także w pobliżu drzew i pod nimi, może coś znajdziecie - zalecił Ferrara.

Inspektor Fabrizi wyznaczył dwie ekipy. Klucze znalezione w kieszeni zmarłego dał dwóm policjantom, by mogli skontrolować samochody zaparkowane w okolicy. O tej porze nie było ich dużo, a jeden z nich mógł należeć do ofiary. Tymczasem technicy rozpoczęli dokumentację fotograficzną. Pobrali próbki krwi znajdującej się na nożu, szczególnie na jego ostrzu, używając do tego tamponików nasączonych substancjami fizjologicznymi, które wkładali potem do odpowiednio zabezpieczonych torebek. Nóż również zapieczętowano w plastikowej torebce i oddano do dyspozycji techników.

Poirytowany Ferrara zastanawiał się, dlaczego morderca pozostawił narzędzie zbrodni na miejscu. To kolejny zaskakujący ruch w grze, do której zmuszał go ten, kto rzucił mu wyzwanie i czyim dziełem z pewnością było to morderstwo.

Zastępca prokuratora Giulietti podeszła do niego i powiedziała, jakby czytając mu w myślach:

- Czyli miał pan całkowitą rację. Morderca uderzył, tak jak pan to przewidział, choć zrobił to z niejakim opóźnieniem.

Miała na sobie szary kostium, złagodzony nieco jedwabną bluzeczką w kolorze akwamaryny, pasującą do oczu, świetlistych i uśmiechniętych. Gałązka mimozy ozdabiała kołnierz jej płaszcza, co przypomniało Ferrarze, że dzisiaj było święto kobiet.

- Za wcześnie, by o tym mówić.

- Ale mógłby się pan założyć, prawda?

- O własną głowę.

- Jest pan ostrożny - o karierę już nie? - zażartowała.

Ferrara to zignorował. Zastanawiał się, co takiego mają kobiety szczególnego, że zasługują na święto, a mężczyźni nie. Petra była oczywiście wyjątkiem. Nie może zapomnieć o podarowaniu jej kwiatów.

Rekonesans w parku nie przyniósł żadnych rezultatów, ale agenci wysłani, by odnaleźć samochód, mieli więcej szczęścia. Znaleźli go. Był zaparkowany obok alei dell Aeronautica i zamknięty na klucz. Był to fiat punto koloru białego z tablicą rejestracyjną z Florencji. Wewnątrz znaleźli dowód rejestracyjny na nazwisko Giovanni Biagini, kalendarz z nazwiskami i numerami telefonów oraz pisma pornograficzne ukryte pod obiciem tylnego siedzenia.

- Samochód zostaje zarekwirowany - powiedziała Giulietti, zwracając się do Ferrary. - Zabierzcie go do garażu prefektury, aby wykonano tam wszelkie badania.

Ferrara kazał wykonać to polecenie.

Potem zawołał Sergiego.

- Weź ludzi i przeszukajcie dom Biagiego. Przesłuchajcie rodzinę, jeżeli

jakaś ma. Sprawdźcie, co mógł robić przed zabójstwem i co to w ogóle był za człowiek.

Biagini mieszkał w Gałuzzo, na peryferiach miasta, w wolno stojącym domu, w którym oprócz niego mieszkali jeszcze siostra oraz brat. Żadne z nich nie pozostawało w związku małżeńskim.

Giovanni Biagini także nie był żonaty.

Policjanci musieli czekać kilka minut pod drzwiami domu, zanim im otworzono.

- Przykro nam, ale mamy dla państwa złe wiadomości - oświadczył Sergi, pokazując legitymację służbową, kiedy w końcu rodzeństwo Biagini otworzyło drzwi. - Giovanni Biagini został znaleziony martwy dziś rano w Cascine. Ktoś go zamordował. Czy to państwa krewny?

- Brat - powiedział mężczyzna.

Kobieta wybuchnęła płaczem.

- Przykro mi. Możemy wejść? Chcemy zadać kilka pytań.

Nie miał odwagi powiedzieć im od razu, że muszą przeszukać dom.

- Oczywiście, wejdźcie, ale... czy jesteście pewni, że to on? Nie może być jakiegś...

- Niestety nie ma wątpliwości, naprawdę mi przykro.

- Jak to się stało? Kto to zrobił?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Musimy też dokonać przeszukania zarządzanego przez zastępcę prokuratora Giulietti, która nadzoruje śledztwo. Nie możemy stracić ani minuty, jeżeli chcemy znaleźć winnego.

Rodzeństwo się nie sprzeciwiło. Dom przeszukano w ich obecności. Znalaziono kalendarz i przeróżne notatki. Zabrano je, by dokładnie zbadać. Nie znaleziono natomiast ani pism pornograficznych, ani żadnych innych dowodów, które mogłyby świadczyć o homoseksualizmie ofiary.

Sergi poprosił Biaginic, by udali się z nim do biura, a na miejscu zostawił

kilku policjantów, aby przesłuchali sąsiadów. Jak najszybciej musieli zebrać możliwie dużo informacji o życiu zamordowanego.

Przesłuchanie rodzeństwa nie dało żadnych wymiernych rezultatów. Przesłuchiwano ich razem. Sergi sądził, że w ten sposób będzie to łatwiejsze. Mieli na imię Antonia i Filippo, oboje byli starsi od zamordowanego brata.

- Jak wczoraj zachowywał się Giovanni? Zauważyli państwo coś szczególnego?

- Nie, nic. Czy mogę mówić sam? - zapytał Filippo Biagini, chcąc oszczędzić bardzo poruszonej siostrze tego nieprzyjemnego obowiązku. - Siostra wie to samo co ja, nic mniej, nic więcej.

- Nie ma problemu. Więc nic nadzwyczajnego?

- Nic. Wczoraj Giovanni był spokojny jak zawsze. Jak codziennie. Zupełnie nie rozumiem...

- Był w jakiś związku uczuciowym? Żył z jakąś kobietą?

- Nie. Mieszkał z nami, nie miał nikogo. My też, ani ja, ani siostra nikogo nie mamy. Jesteśmy samotni. Wolimy takie życie. Wie pan, nasi rodzice, umarli już, biedacy, byli starej daty i bardzo autorytarni. Przyzwyczailiśmy się do takiego życia, a teraz...

- Czy wiadomo panu, że brat miał jakieś problemy? Ktoś mógłby mieć powód, żeby go zabić?

- Nie sądzę. Powiedziałyby nam, ufaliśmy sobie nawzajem.

- Nawet gdyby miał, powiedzmy, szczególne upodobania? - rzucił Sergi.

- Na co pan sobie pozwala, komisarzu?! - zaprotestował oszołomiony mężczyzna, patrząc z troską na kobietę, która nadal płakała cichutko.

Serpico zignorował ten wybuch i żeby rozluźnić atmosferę, powiedział:

- Dziękuję za awans, ale jestem tylko inspektorem.

- Przepraszam, nie znam stopni. Pierwszy raz znajduję się w takiej sytuacji, proszę mi wierzyć. Przez całe życie nigdy nie wszedłem do biura policji

nawet po paszport.

- Nic się nie stało. Tak tylko zażartowałem, choć rozumiem, że to nie miejsce i moment. I proszę wybaczyć to pytanie, ale mamy pewne podstawy, by sądzić, że...

- Nie, nie, nie! To niemożliwe. Mówię panu. Giovanni miał różnych przyjaciół, ale nie takiego rodzaju - odpowiedział mężczyzna z godnością.

- Dobrze. Rozumiem.

- Taka jest prawda, panie inspektorze. Zauważyłbym, nie sądzi pan?

Wierzył mu, a na dodatek, co wydawało się niemal niemożliwe, ten mężczyzna nie miał co do tego nawet najmniejszych podejrzeń. Policjant wiedział jednak też, że homoseksualiści są bardzo sprytni w ukrywaniu swoich skłonności i że często rodzina woli nie widzieć tego, czego nie jest w stanie zaakceptować.

- Ale wiedzieli państwo, że Giovanni bywał w Parco delle Cascine?

- Tak, bywał tam od czasu do czasu. Kochał naturę.

- O której wyszedł wczoraj wieczorem z domu? Kiedy widzieli go państwo po raz ostatni?

- Wyszedł po kolacji, około dziesiątej. Powiedział, że idzie się przejechać, żeby się odprężyć. Nie widzieliśmy, jak wracał, ale to normalne, bo spał w pokoju piętro niżej, a my nad nim. Poza tym wczoraj wieczorem po kolacji położyliśmy się i zasnęliśmy prawie natychmiast. On cierpiał na bezsenność, my nie. Przeciwnie! To wy nas obudziliście niedawno.

- A te przejażdżki, jeździł na nie sam czy z którymś z przyjaciół? - zapytał Sergi.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Chodził do domu kultury w naszej dzielnicy i tam znał kilka osób, nie wiem, czy wczoraj tam pojechał, czy nie ani czy ktoś mu towarzyszył. Zapytajcie tam.

- Dobrze. Popytamy. Ostatnie pytanie i kończymy. Przynajmniej na dzisiaj.

- Proszę pytać, panie inspektorze.

- Co państwo myślą o zabójstwie brata? Ktoś go zamordował. Musiał

przecież mieć jakiś motyw, prawda?

- Nie potrafię nic na ten temat powiedzieć, już panu mówiłem. Giovanni był osobą spokojną i szanowaną przez ludzi. Może to była pomyłka albo sprawka jakiegoś oszołoma, który chciał go okraść? Nie jestem w stanie podać innej przyczyny, proszę mi wierzyć.

Antonia, która ciągle przytakiwała głową słowom brata, po raz pierwszy otworzyła usta.

- Tak właśnie jest. Pomyłka albo złodziej. Najbardziej prawdopodobne, że był to jakiś złodziej. Dziś we Florencji nie żyje się już tak spokojnie jak kiedyś, kiedy zostawiało się drzwi otwarte. Dziś jest zbyt duża przestępczość, nie mówiąc już o narkomanach, którzy są gotowi na wszystko, żeby zdobyć pieniądze na działkę. Gotowi są nawet zabić, ale przecież nie muszę tego panu mówić. Wie pan to lepiej niż my. Florencja zmieniła się, jak wiele innych miast, czyha tu na ludzi tyle zagrożeń.

To prawda, pomyślał Sergi, niestety tak właśnie jest. Florencja to nie tylko miasto z pocztówki, to miasto, które żyje w tym samym rytmie, co inne, prowadzi się tu te same interesy i są te same kłopoty, co w innych metropoliach.

Portret ofiary niezbyt odległy od tego, co mówił brat, podali sąsiedzi przesłuchiwani przez policjantów, którzy przekazali wyniki swojej pracy Ferrarze. Komisarz natomiast zarządził kilka kontroli i zbierał informacje w okolicy, w której doszło do przestępstwa, a gdzie często bywały osoby o co najmniej dwuznacznych zainteresowaniach.

Teren ten nie po raz pierwszy był przeszukiwany przez śledczych. W centrum Parco delle Cascine, wąskiego pasa ziemi, który jak wyspę opływają wody rzeki Arno, istniał precyzyjnie wyznaczony podział terytorialny zależny od „specjalizacji” seksualnej. Z jednej strony egzystowali transseksualiści ze swoimi klientami oraz podglądacze. Była to strefa, w

której przestępstwa zdarzały się najczęściej. Wyrywano torebki, zdarzały się kradzieże i mniej lub bardziej agresywne napady, których motywy pozostawały nieznane. Strefa leżąca bliżej tej, w której dokonano zabójstwa, była uczęszczana przez homoseksualistów i ich młodych partnerów - zawodowe męskie prostytutki. Tu spotykały się grupy młodych ludzi pochodzących często z prowincji, z innych miast Toskanii czy z zagranicy, którzy zarabiali pieniądze, oddając się homoseksualistom z najróżniejszych grup społecznych i zawodowych. To była najbardziej odizolowana część parku. W części zaś najbliższej wejścia głównego od zawsze działały prostytutki.

Wreszcie zewnętrzna, najślabiej oświetlona część parku, która była najtrudniejsza do skontrolowania, stanowiła miejsce spotkań homoseksualistów niekoniecznie zajmujących się seksem za pieniądze. Ta część parku uczęszczana była przez homoseksualne pary w różnym wieku. To właśnie tutaj doszło do zabójstwa.

Prefektura od dawna usiłowała zidentyfikować wszystkich bywalców parku. Nie chodziło jedynie o wyeliminowanie zjawiska, które, tak teraz powszechne, z pewnością znów by się pojawiło. Celem była prewencja i ograniczenie liczby przestępstw, w tym czasami także aktów bezsensownej przemocy.

Kiedy agenci wyszli, Ferrara wezwał inspektora Venturiego, który był najlepszy w przeszukiwaniu archiwów, i zlecił mu dokładne sprawdzenie wszelkich danych komputerowych. Potem kazał sobie przysłać Ascalchiego.

- Mam bardzo szczególną misję dla pana.
- Jestem do dyspozycji, panie komisarzu.
- Czy jest pan religijny?
- Ochrzczony, mój Boże, tak, ale pierwsza komunia była także i ostatnią, jeśli mogę tak powiedzieć...
- Jest taki ksiądz w Greve in Chianti, wie pan, gdzie to jest?
- To tu gdzieś niedaleko, prawda?

- Niech jakiś kierowca panu dokładnie wytłumaczy. Musi pan tam pojechać, ale sam. Niech dadzą panu cywilny samochód. W parafii niech pan znajdzie don Sergia, to taki młody ksiądz. Niech pan nie da po sobie poznać, że jest pan z policji, zrozumiano? Ma pan rzymski akcent, niech pan udaje turystę, niech pan coś wymyśli. Musi pan sprawdzić, gdzie był ksiądz dzisiejszej nocy, czy tam spał, jeżeli nie, to dlaczego. Myśli pan, że da pan radę?

- Może pan na mnie liczyć, panie komisarzu. My, rzymianie z Rzymu, umiemy robić takie rzeczy. Nazywali mię Albertone, od tego aktora Alberta Sordiego.

- Nie mówi się „mię”, przynajmniej w naszym języku.

- Wiem, ale „mię” mi się podoba - zażartował Rzymianin.

- Niech pan jedzie i niech pan pamięta, ufam panu.

Ten pomysł przyszedł mu do głowy siłą rzeczy. Najważniejsi ludzie zajmowali się zabójstwem, które jak zwykle miało absolutne pierwszeństwo. Poza tym fakt, że Ascalchi pochodził z Rzymu, mógł zmylić księdza. To mogło się udać.

W innym pokoju prefektury Venturi wpisał właśnie hasło do komputera, otworzył katalog „Cascine” i podkatalog „Nazwiska”.

Wpisał „Biagini Giovanni” i pozwolił maszynie szukać.

Po niedługim czasie na ekranie monitora zaczęły pojawiać się informacje o plikach zawierających to nazwisko, mimo że inspektor nie spodziewał się go znaleźć. Poczł, że rozpiera go energia.

Otworzył pliki, po czym wybrał z nich właściwe informacje i je wydrukował. Następnie wrócił biegiem do biura Ferrary i prawie zderzył się z Ascalchim, który właśnie stamtąd wychodził.

- Wynik pozytywny, panie komisarzu - zaraportował, wchodząc - bardzo pozytywny!

Położył dumnie na stole stos wydrukowanych kartek, stając prawie na baczność.

- Siadaj, nie stój jak kołek - powiedział komisarz.

Nazwisko nie figurowało w aktach Ministerstwa Spraw

Wewnętrznych, bo Biagini nie miał precedensów karnych, ale pojawiało się, i to często, w banku danych wydziału śledczego. Rejestracja jego samochodu widniała tam na kilku stronach. Była notowana szczególnie późnym wieczorem w Cascine, biały fiat bowiem często parkował właśnie w pobliżu późniejszego miejsca zbrodni. Sam Biagini był też kilka razy zatrzymany przez policję i kontrolowany, nigdy jednak nie legitymowano go w czyimś towarzystwie.

- Brawo, Venturi - pochwalił go Ferrara, wynotowując z dokumentów to, że i samochód, i jego właściciel często widziani byli obok kilku innych samochodów. Nielicznych, zawsze o tych samych numerach rejestracyjnych.

W chwilę potem Venturi zobaczył, jak twarz komisarza chmurzy się, kiedy czyta raport sprzed kilku miesięcy.

Był to oficjalny dokument dwóch agentów, w którym raportowali oni swojemu przełożonemu poufne wiadomości otrzymane od informatora. Jego nazwiska nie podano, a policjanci nazywali go źródłem jak najbardziej godnym zaufania.

Poufna wiadomość wyjaśniała technikę, jakiej używali kierowcy oczekujący w swoich samochodach. Dawali sygnały świetlne reflektorami innym potencjalnym homoseksualistom, nigdy nie wysiadając z samochodów, chyba że zjawił się ten, z kim mieli się spotkać. Informator dodał potem:

„Przez ostatnie tygodnie pojawiały się tam grupy młodych ludzi podchodzących do kierowców, niby szukając kontaktu, ale w rzeczywistości chcąc wymusić pieniądze w zamian za możliwość parkowania w danym miejscu. Prędzej czy później, zdarzy się tutaj coś paskudnego”.

Czy to możliwe, że Biagini nie miał nic wspólnego z seryjnym zabójcą? Że

został zabity, bo odmówił zapłaty haraczu? Że zabito go, by dać nauczkę innym? Zachowanie typowe dla zwykłego wymuszenia.

Była to jedynie hipoteza, nie można jej było jednak wykluczyć, podobnie jak hipotezy o napadzie rabunkowym, chociaż zegarek i przedmioty osobiste pozostawione w kieszeniach ofiary raczej temu przeczyły.

W tym momencie dołączyli do nich Rizzo i Sergi. Wrócili z domu kultury, do którego uczęszczała ofiara, z jedną tylko wiadomością. Tego wieczoru Biagini nie pojawił się tam nawet na krótko, mimo że miał w zwyczaju wpadać codziennie. Nikt go nie widział.

Zastępca Ferrary usiadł w pustym fotelu na wprost biurka, a Serpico przyciągnął sobie krzesło stojące obok stołu.

Rizzo pokusił się o pierwsze podsumowanie faktów.

- Biagini musiał wejść do parku piechotą, szedł pewnie na jedno z tych spotkań, które tam się odbywają. W pewnym momencie został zaszyty od tyłu. Nie ma śladów walki ani ciągnięcia ciała, czyli można przypuszczać, że znał mordercę, bo szedł przed nim. To tylko przypuszczenie, ale wydaje mi się istotne.

- Na temat działalności Biaginiego w Cascine mogą dostarczyć informacji inni kierowcy samochodów zaparkowanych w pobliżu auta ofiary. Zapisaliśmy numery rejestracyjne - stwierdził Sergi.

- Porównajcie je z tymi, które zapisano w przeszłości choćby tylko kilka razy. Mam tu spis, który właśnie przyniósł mi Venturi. Skoncentrujcie się na nazwiskach, które powtarzają się najczęściej i dołączymy do tego osoby, które można zidentyfikować na podstawie numerów telefonów z notatnika Biaginiego. Pośród jednych i drugich nietrudno będzie wyłowić tych, którzy nas interesują, nawet biorąc pod uwagę znowę milczenia typową dla tego środowiska.

Mężczyźni wstali, aby odejść do zadań wyznaczonych im przez szefa.

- Ty zaczekaj, Venturi - powiedział Ferrara. - Skoro jesteś taki obeznany w komputerach, zapisz mi na CD wszystkie zdjęcia ofiar, począwszy od sprawy

Micalego. Potrzebuję ich jeszcze przed wieczorem.

Zacząć od zera. Zacząć od zmarłych.

Komisarz Ascalchi wrócił do prefektury późnym wieczorem i udał się natychmiast do biura szefa.

- Więc spał tej nocy w parafii? - zapytał go natychmiast Ferrara.

- Nie - odpowiedział Rzymianin.

Ferrara odczuł lekki przebłysk triumfu.

- Ale ma alibi?

- Trzeba by go spytać.

- Co to ma znaczyć? Nie rozmawiałeś z nim? - W ułamku sekundy przeszedł na ty, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

- Nie, nie ma go.

- W jakim sensie nie ma?

- W tym sensie, że zniknął.

- Jak to zniknął? To niemożliwe!

- Zniknął, wyparował, jest nieosiągalny...

- Daj spokój, nie mam ochoty na żarty - rzucił. - Niech pan mówi dokładnie to, co ma mi pan do powiedzenia.

- Nie żartuję, panie komisarzu. Ksiądz wyjechał trzeciego lutego i już nie wrócił. Już przysłano w zastępstwie innego.

Pewna myśl szybko przebiegła komisarzowi przez głowę: trzeci lutego to był dzień po zabójstwie Bianchiego.

- Rozmawiał pan z proboszczem?

- Jasne. Nie powiedział słowa. Mówi, że nie wie, gdzie tamten się podział. Wyjechał, nic nikomu nie mówiąc, nawet rodzinie, jak sędzę.

- Niemożliwe. Ksiądz nie znika ot tak sobie. Proboszcz na pewno wie, gdzie on jest, tylko dlaczego nie chce powiedzieć?

- Może nie ufa rzymianom? Przysięgał na wszystkie świętości, że jego

pierwszego zaskoczyło to zniknięcie.

- A ty mu uwierzyłeś?

- Mam powiedzieć prawdę? Ani na jotę, ale nie mówił pan, że mogę używać silniejszych argumentów... Nawet się nie przedstawiłem, ale jeśli pan chce, to jutro tam wrócę...

- Nie, nie, zostawmy to. Doskonale pan postąpił. Jak będzie trzeba tam wrócić i przesłuchać proboszcza, to powiem albo sam się tym zajmę. Niech pan już idzie.

Na korytarzu Ascalchi spotkał jednego z policjantów i zapytał:

- Głaskaliście go dzisiaj pod włos? - i śmiejąc się, odszedł.

*

- Panie komisarzu!

Do Ferrary podbiegł Venturi. Była dziewiąta wieczorem i komisarz wychodził już z prefektury. Zrobiło się prawie pusto i kroki inspektora dudniły głośno w korytarzu. Ferrara wracał do domu, bo było już zbyt późno, by pojechać do Grčve, a poza tym może lepiej było podejść do sprawy ostrożnie i nie niepokoić za bardzo proboszcza. Przede wszystkim to właśnie on dostarczył don Sergiowi alibi na czas zabójstwa Micaliego.

- Przyniosłem CD - powiedział Venturi, podając mu kopertę. - Są tu także zdjęcia Biaginiego na stole autopsyjnym. Wie pan... kazałem się pospieszyć tym z kryminalistyki - dodał z uśmiechem.

- Dziękuję, zupełnie zapomniałem.

- Ale dziś to panu będzie potrzebne?

- Tak.

To była prawda. Zdecydował, że tego wieczoru przestudiuje zdjęcia zwłok. Chciał je przebadać, odcyfrować ich język, wydrzeć najmniejszy nawet skrawek prawdy, jeżeli taki istniał.

Sposób, w jaki leżały, grymas twarzy, jakiś szczególny rodzaj ułożenia ramienia, wszystko może wiele powiedzieć komuś, kto umie patrzeć. Nie

zawsze, ale często.

Tak więc po kolacji załadował zdjęcia do komputera i podczas gdy Petra zajmowała się pracami domowymi, słuchając przy tym *Lunaticzki* Belliniego, zaczął je przeglądać. Najpierw obejrzał zdjęcia całych ciał, porównując ich pozycje i nakładając obrazy na siebie, aby znaleźć podobieństwa albo różnice. To była bardzo żmudna praca, bo nakładał dwa zdjęcia, a potem każde porównywał z innymi. Następnie analizował rany na plecach, zatrzymując się przy tych zadanych nożem, a odkładając te, które pochodziły z broni palnej.

Wydało mu się, że widzi analogie, kiedy porównywał rany na ciele Micaliego i Biaginiego, czyli pierwszej i ostatniej ofiary, ale kiedy usiłował powiększyć obraz, ten się rozmazał tak bardzo, że nie można było niczego znaleźć. Postanowił kazać technikom przebadać je dokładniej.

Na koniec zostawił twarze, te wszystkie maski zmasakrowane jak popadnie cięciami noża, tak jakby morderca chciał je całkowicie unicestwić, mimo wszystko pozostawiając pewną możliwość rozpoznania. To właśnie Ferrara uważał za najbardziej zagadkowe.

Była już północ i Petra pocałowała go na dobranoc, wiedząc, że nic by nie dało przekonywanie go, by zostawił to na jutro. Analizował twarz pierwszej ofiary. Z przodu, z profilu, z góry, z dołu. Odizolował zmasakrowaną część i zachował ją w pamięci komputera, przeszedł do drugiej, potem trzeciej, a w końcu do ostatniej.

Przy każdym ze zdjęć wykonał tę samą pracę, zapisał do pamięci charakterystykę, znaki szczególne, anomalie.

Nic. To były cztery różne twarze, tak różne, jak twarze czterech przypadkowych osób, każda była indywidualna, niepasująca do twarzy trzech pozostałych. Jedyne wspólne znaki to zawsze niezliczone rany. Zbyt liczne, jak zeszyt zabazgrany przez dziecko, które dostało ataku szału.

Znalazł sposób, by pogrupować w jednym oknie cztery portrety: dwa u góry, dwa u dołu. Przez dłuższą chwilę im się przyglądał.

Wydawało się, że nie mówią nic, a jednak miał wrażenie, że chciały mu coś przekazać i że wykrzykiwały mu w twarz jakąś wiadomość, a on nie był w stanie jej zrozumieć.

Chyba że pragnienie znalezienia czegokolwiek podsuwało wyobraźni coś, czego w rzeczywistości po prostu nie było.

Zasmucony tym postanowił wyłączyć komputer i pójść do łóżka.

Zanim kliknął, by zamknąć program, zapalił sobie toskańskie cygaro i wpadł na pewien pomysł. Wybrał twarz Lupiego, ustawił na całym ekranie i poddał obraz serii efektów specjalnych. Zmienił kolor, podniósł ziarnistość, cofnął, zwiększył kontrast, potem znowu.

Doznał wrażenia, że zbliża się do czegoś, ale jeszcze nie wiedział do czego.

Zapisał tylko kontury zewnętrzne i wewnętrzne.

Odizolował je.

I wtedy to zobaczył.

Niedokładna, grubo ciosana, ukryta, teraz twarz wydała mu się oczywista.

Podczas gdy prawie wszystkie cięcia zadane zostały na oślep, cztery trochę głębsze i precyzyjniejsze od innych ułożone były regularnie. Dłuższe cięcia pionowe i trzy krótsze poziome wychodzące od dłuższego cięcia: pierwsze na górze, drugie na dole, a trzecie pośrodku.

Oddzielone od pajęczyny ran układały się w literę E.

Ferrara zadrżał.

Zapisał tak rozpracowany obraz i przeszedł do drugiego zdjęcia. Poddane tym samym zabiegom w końcu pokazało literę F.

Teraz przyszła kolej na twarz Bianchiego. Z dużo większą trudnością, ale w końcu Ferrara odkrył literę R, potem znalazł i drugą prawie taką samą na twarzy Biaginięgo. Cztery litery, patrząc na kolejność, w jakiej popełniono zabójstwa: F, E, R, R.

Ferrara poczuł się wykończony, jak ktoś, kto po długich badaniach nagle dociera do prawdy. To było potwierdzenie.

Nie miał już żadnych wątpliwości, a ten dowód wystarczy prawdopodobnie także i prokuraturze.

Poczuł dreszcz. Te cztery litery mogły znaczyć wiele, ale jedno było najbardziej prawdopodobne - morderca pisał na zwłokach jego nazwisko.

Ferrara ma siedem liter, siedem jak siedem było róż na miejscu zabójstwa Bianchiego, siedem jak siedem żyć kota; cztery już zostały stracone, a dowody na to leżały tuż przed nim.

Siedem liter, pomyślał i natychmiast potem dodał: Ostatnia będzie pierwszą.

- Ależ tak! - zawołał głośno, ryzykując, że obudzi Petrę, ale ona na szczęście zawsze spała głębokim snem.

Z Massimem zafiksowali się, odnosząc się jedynie do wiadomości, ale była jeszcze jedna możliwość, której nawet nie wzięli pod uwagę. Ostatnia litera jego nazwiska bez wątpienia jest pierwszą literą alfabetu.

To była ta tajemnica. Ostatnia miała dla mordercy bardzo szczególne znaczenie, bo była to litera zarezerwowana dla niego.

To właśnie literę A zamierzał zostawić na jego twarzy.

Ferrara wyłączył komputer, zgasił cygaro i światła.

Położył się do łóżka, starając się nie obudzić Petry, której regularny, spokojny oddech miał mu towarzyszyć długo tej nocy, bo przewidywał, że będzie bezsenna. Wiedział, że będzie to noc rozrachunku z samym sobą.

Nie obawiał się gróźb, ale chciał poznać powód tak głębokiej nienawiści, którą musiał żywić wobec niego jakiś mężczyzna lub kobieta, że z takim okrucieństwem pisał jego nazwisko na ciałach ofiar. Dlaczego on? Czy miał coś do policjanta Ferrary, który był przedstawicielem władzy, czy chodziło o człowieka o nazwisku Ferrara, którego życie nie było wolne od błędów, tak jak niczyje życie nie jest od nich wolne? Jaki szkielet w szafie miał się pojawić? Jaki duch przeszłości wrócił, by żądać zemsty? Gdyby naprawdę chodziło o seryjnego mordercę, jakiegoś maniaka szaleńca, który uderza na oślep i rzuca wyzwanie siłom policji, to pierwsza hipoteza była

prawkłowa i mógł spać prawie spokojnie, ale już w to nie wierzył.

Wiedział, że śledztwo może zmusić człowieka do zajrzenia w głąb siebie samego, bo każde śledztwo stawia naprzeciw drugiej istoty ludzkiej, a kiedy ludzie spotykają się naprawdę, każdy musi oddać się temu całym sobą, nie ma sposobu, by nie wejść całkowicie do gry.

Widząc własne nazwisko napisane przez przeciwnika, Ferrara zrozumiał, że to wyzwanie jest prawdziwe i dotyczy go o wiele bardziej niż do tej pory myślał.

Zanim zapadł w sen, uświadomił sobie, że zapomniał kwiatów dla Petry. Nawet nie złożył jej życzeń i nie będzie umiał potraktować tych gestów, o których zapomniał, jak nic nieznaczących, drobnych uchybień. Dołączył to do listy wątpliwości i zmartwień, nad którymi zastanawiał się w ciszy nocy.

Last Saturday's article - napisała na tablicy nauczycielka. - Artykuł z zeszłej soboty - przetłumaczyła. - Dziś będziemy mówić o dopełniaczu saksońskim.

Cinzia słuchała z roztargnieniem. Od czasu do czasu rzucała okiem na czarnulkę w jeansowej spódniczce, która siedziała dwie ławki dalej. Fantazując na jej temat, zastanawiała się, czy powinna zapomnieć o Valentinie i zacząć wszystko od nowa.

Dziewczyna miała na imię Alice i pracowała jako sekretarka w firmie transportowej. Miała dwadzieścia sześć lat, była pewna siebie i nie miała kompleksów, które czyniły życie Valentyny tak skomplikowanym i trudnym. Nie była zamężna ani nie miała narzeczonego. Kilka razy ze sobą rozmawiały, nic więcej.

- Zanim wyjdziecie - powiedziała nauczycielka pod koniec lekcji - zabierzcie po jednej fotokopii artykułu z „New York Timesa”. Kopie leżą na moim biurku. Przeczytajcie ten artykuł na przyszłą lekcję. Będziemy o nim dyskutować.

Cinzia stanęła w kolejce i tak się złożyło, że stała dokładnie obok Alice.

- Cześć - dziewczyna pozdrowiła ją z uśmiechem.

- Cześć - odpowiedziała.

Alice popatrzyła na zegarek.

- Przyjechałaś na skuterze? - zapytała, kiedy brały fotokopie.

- Tak - powiedziała Cinzia, rzucając okiem na tekst. - Ale numer! - krzyknęła, widząc podpis pod tekstem. - Mike Ross.

- Co z tego? - zapytała zdziwiona Alice, patrząc na artykuł i nie znajdując w nim niczego szczególnego.

- Nie, nic - powiedziała Cinzia, chowając go zawstydzona.

- Słuchaj, muszę jechać do rotonda di piazza Martiri, a jestem spóźniona. Nie podwiozłabyś mnie?

- Nie mam drugiego kasku - przeprosiła Cinzia. Nie miała najmniejszej ochoty nadkładać drogi. Była w paskudnym humorze. Myślała o Valentinie.

- Ja mam kask. Przyjechałam ze znajomym na motorze i zostawił mi, nie chciał go ze sobą wozić.

Trafiony, zatopiony.

Alice usiadła za nią i Cinzia poczuła, jak ściskają ją jej długie nogi. Kiedy ruszały, poczuła piersi dziewczyny na swoich plecach i ręce obejmujące ją w talii.

Nie czuła najmniejszych nawet emocji.

Kiedy dojechały, Alice zsiadając, jeszcze raz popatrzyła na zegarek i aby jej podziękować, zaproponowała, by poszły do baru wypić aperitif.

- Mam jeszcze chwilę czasu, jechałaś jak burza. To jak, idziemy?

W jej głosie, uśmiechu było coś szczególnego albo tak się tylko wydawało.

Cinzia miała niejasne poczucie winy, nagle przestraszyła się, że ktoś mógłby zająć miejsce Valentiny. Alice nagle wydała jej się nic nieznacząca, wręcz byle jaka.

- Nie, dziękuję, muszę jechać - powiedziała, uruchamiając silnik.

- Szkoda. Może innym razem?

Cinzia już jej nie słyszała. Miała mokre oczy i to nie z powodu wiatru. Wciąż półgłosem powtarzała imię Valentiny.

Ze względu na życzenie kurii w Anas (według niektórych) albo dlatego, że chcieli tego bracia zakonni (według innych) droga, która na długości jakichś piętnastu kilometrów wiała się przez apeniński las w dolinie Casentino aż do opactwa San Benedetto w Bosco była kamienista i bardzo wąska. Oprócz nielicznych mieszkańców, którzy czasami jej używali, by wyprowadzać owce na pastwiska, i starali się od czasu do czasu oczyszczać z zarastających ją

jeżyn czy odśnieżać, niewielu ludzi jej używało.

Na północny zachód od Camaldoli, w okolicy pomiędzy Toskanią a Emilią Romanią, która pełna była kościołów, klasztorów i pustelni, stało opactwo San Benedetto w Bosco. Zostało zbudowane w pobliżu jednego z dopływów Arno w 1386 roku z woli Ricciego di Cambia, florentyńskiego bankiera, tak bogatego, że mógł pożyczać pieniądze królowi Neapolu i państwu papieskiemu. Budowla skonstruowana została według kanonów architektury cystersów z murami klauzury, które otaczały wszystkie budynki, ogrody i sady. Dookoła krużganków wznosiły się zabudowania, po stronie wschodniej - budynki braci z chóru, a po zachodniej - zabudowania braci konwersów i ludzi świeckich. Miało to podkreślać różnice pomiędzy obiema tymi grupami, które współpracowały dla dobra opactwa.

Kościół zbudowany był po stronie północnej i chronił inne budynki od podmuchów tramontany, ale równocześnie ustawiony był tak, by nie zasłaniać światła. W pobliżu furty, wewnątrz murów znajdowało się pomieszczenie dla gości, które miało wielki refektarz i dormitorium dla odwiedzających.

Była to do niedawna siedziba gimnazjum dla młodych arystokratów florenckich, przygotowujących się do wyższych stanowisk tak w sektorze prywatnym, jak i publicznym oraz dla sierot pochodzących z różnych stron Włoch. Tu przygotowywano ich do życia w stanie duchownym. Potem opactwo powoli odizolowało się od reszty świata, zarówno ze względu na swoje powołanie, jak i na lokalizację, przez co coraz bardziej przypominało pustelnię.

Tego marcowego dnia drogąjechała furgonetka prowadzona przez mnicha. Plamy śniegu, który tego roku padał obficie, bieliły wielkie połacie lasu.

Samochód podskakiwał na kamieniach, zjeżdżał w dół i wspinał się po śliskich i stromych podjazdach, ale mnich nie wydawał się tym przejmować, gwizdał wesoło.

Kiedy po około dwudziestu minutach tej męczącej drogi furgonetka

zatrzymała się w końcu przy furcie, mnich wysiadł i poszedł otworzyć tylne drzwi.

- Mówiłem, że będzie trochę nieprzyjemnie, co? - roześmiał się.

Don Sergio, w opłakanym stanie, zgięty w pół i skostniały z zimna wysiadł z furgonetki. Nie był ubrany w sutannę, nosił benedyktyński habit, taki sam, w jaki ubrany był towarzyszący mu mnich.

- Urodziliśmy się po to, by cierpieć - stwierdził.

Zabrał torbę ze swoimi rzeczami i skierował się na furkę.

Furgonetka odjechała.

- Witaj z powrotem, bracie - powitał go furtian. - Przeor czeka na ciebie w kapitularzu.

Don Sergio znał drogę. Przeszedł pod portykiem prawie do kościoła i zapukał do drzwi.

- Proszę wejść.

Sala kapitularza była dokładnie taka sama, jak pamiętał: ogromna i surowa. Ściany z surowego kamienia zdobił jedynie wielki drewniany krucyfiks, okna zwieńczone ostrymi łukami umieszczone były bardzo wysoko. Opat Anselmo siedział na swoim miejscu po środku wschodniej ściany. Był sam. Kamienne krzesła różnej wysokości po jego lewej i prawej stronie stały puste. Mały i chudy wyglądał na zagubionego w tym miejscu, ale Sergio Rotondi wiedział, z jaką energią i siłą potrafi wszystkim pokierować.

- Prawdą jest, że drogi Pańskie są niezbadane, bracie - powiedział stary zakonnik, kiedy don Sergio zbliżył się do niego. - Kto by powiedział, że kiedykolwiek jeszcze cię zobaczymy?

- Jak się czujesz, ojcze? - zapytał ksiądz, który stał się bratem.

- Jak widzisz, zdrowy i zadowolony, że mogę służyć Panu.

- Niech będzie pochwalony. Czy wszystko gotowe?

- Tak jak zarządził to jego eminencja.

- Dziękuję.

- Chodź, zaprowadzę cię do celi, która została ci przeznaczona.

Z pociągu Valentina zadzwoniła do Mikea, ale telefon był niedostępny. Spróbowała zadzwonić na telefon domowy, ale odebrała Nenita, która na jej pytania odpowiadała tylko:

- *No home.*

- *He's left* - usiłowała wytłumaczyć Filipinka, kiedy Valentina w końcu przyjechała do domu - *Airport, New York.*

Wyjechał, ot tak, nie mówiąc nic.

- Kiedy wraca?

- *Sorry?*

- Czy to możliwe, że nie nauczyłaś się ani słowa po włosku?

- Nie rozumiesz - stwierdziła kobieta, wysiliwszy się.

- *OK, OK, come back! When Mr. Ross come back?*

Kobieta wzruszyła ramionami.

- *I don't know. He didn't tell me.*

Minął tydzień, a ona nie otrzymała od niego jakiegokolwiek wiadomości. Dni mijały leniwie, powoli, wieczorami czasami wsiadała do samochodu i jechała do miasta oglądać sklepy, kupowała jakieś nowe ubrania i przyglądała się restauracjom, do których chętnie by poszła, ale nienawidziła samej myśli, że musiałaby iść tam w pojedynkę. Noce były najgorsze, bo co jakiś czas wydawało się jej, że dobiegają ją hałasy z niższego piętra. Przerazona nakrywała się wtedy na głowę i starała się niczego nie słyszeć.

Następnego ranka, w świetle dnia, świeże powietrze podnosiło ją na duchu, zapach roślin i uspokajający śpiew ptaków sprawiały, że nocne lęki znikwały, ale pozostawała w niej ciekawość, by tam pójść i zobaczyć, co jest za zamkniętymi na kłódkę drzwiami na półpiętrze.

Pewnego dnia jeszcze raz usiłowała zagadnąć Nenitę, wiedząc, że to i tak bez sensu. Przynajmniej mogła udawać, że nawiązuje coś w rodzaju rozmowy z kimś w tym wielkim pustym domu.

- Nenita, posłuchaj. *Listen*. Chodzisz czasem na piętro nad nami?
Firstfloor - powiedziała, wskazując palcem dla pewności.

Były w kuchni domu Mike'a i Nenita szykowała kawę.

- *First floor*? No, I cannot. Mr. Ross doesn't want.

- Nie pozwala - zrozumiała Valentina, która zobaczyła na jednej ze ścian wieszak z kluczami. Były to prawdopodobnie duplikaty kluczy do całego domu i przez chwilę miała ochotę ukraść i skopiować klucze do pierwszego piętra, ale zabrakło jej odwagi.

Niedziela była najsmutniejszym dniem. Tydzień samotności sprawił, iż zrozumiała, jak bardzo brakuje jej amerykańskiego przyjaciela, podczas gdy o Cinzii specjalnie nie myślała. Nie wiedziała jeszcze, co naprawdę czuje do tego mężczyzny, tak pewnego siebie i tak zarazem nieśmiałego i wycofanego, ale zdecydowała, że jedynym sposobem, by to odkryć, jest raz jeszcze się z nim pokochać.

I tak, kiedy w poniedziałek wieczorem Mike zatelefonował z lotniska, że wróci nazajutrz i, aby to uczcić, zabierze ją do San Gimignano, jak jej to kiedyś obiecał, Valentina zasnęła, snując plany uwiedzenia go.

W czwartek dziewiątego marca komisarz Ferrara znalazł na biurku stos zarządzeń.

Giulietti nie traciła czasu, a przede wszystkim starała się pokazać, kto od teraz prowadzi w tym tańcu. Dokument zalecał:

- przebadanie znalezionego noża w celu odkrycia ewentualnych odcisków palców odcisniętych na ostrzu lub trzonku. Ustalenie dokładnych wymiarów i charakterystyki noża oraz stwierdzenie, czy takie same znajdują się obecnie w sprzedaży, a także czy nóż ma inne cechy mogące ułatwić odnalezienie go w niektórych specjalistycznych sklepach, - dokładną rekonstrukcję środowiska, przyjaciół i znajomych ofiary, uzyskując do tego celu informacje od osób, które są w stanie opowiedzieć o tym środowisku, a także badając znalezione i zarekwirowane notatki oraz kalendarze-, - odtworzenie tego, co ofiara robiła w dniu poprzedzającym zbrodnię, a także w godzinach poprzedzających samo zabójstwo. W tym celu jako świadkowie przesłuchane mają zostać ewentualne osoby z nią przebywające oraz mieszkające w dzielnicy, w której mieszkała, a które będą w stanie podać użyteczne wiadomości do rekonstrukcji faktów.

Pedantyczny spis ciągnął się przez ponad dwie strony w tym samym tonie i kończył stwierdzeniem, że Giulietti osobiście zarządziła konsultację techniczną, mianując własnego eksperta, aby upewnić się co do natury substancji znajdującej się na nożu, a więc by określić, gdyby rezultat był porównywalny do krwi ludzkiej, co można podejrzewać, czy ewentualnie należy do ofiary.

Ferrara wezwał Rizza i kazał mu przeczytać zarządzenie.

- Ale, szefie, to jest dokładnie to, co robimy! To znaczy, że nam nie ufa?

- To mnie nie ufa! Sam nie wiem. Przeczytaj dobrze ostatnie zdanie! Zresztą dajmy spokój, to jej praca. Robi to, co zarządził Galio. Miej to gdzieś! A nasza sprawa, jak idzie?

- Przesłuchujemy osoby, których nazwiska pojawiają się w kalendarzu. Chce pan wziąć udział?

- Nie, sam to zrób. Ja muszę jechać do Greve. Don Sergio zniknął, muszę to jakoś wyjaśnić.

- Zniknął? Jak?

- Nie ma go w parafii, Ascalchi to wczoraj potwierdził, ale niczego więcej się nie dowiedział.

- Bingo! To może być on. Powiadomić drogówkę, lotniska, policję graniczną?

- Spokojnie, powoli, ale to jest naprawdę ciekawe, nieprawdaż? A... Rizzo.

-Tak?

- To jeden i ten sam morderca i chce mojej śmierci. Naprawdę. Mam już całkowitą pewność.

Opowiedział mu o swoim odkryciu z poprzedniej nocy. Zdecydowali, że na razie zatrzymają tę informację dla siebie.

*

- Dzień dobry, ojczy.

- Dzień dobry, synu.

- Czy mogę zadać kilka pytań?

- Jeżeli nie ma pan zamiaru niczego mi sprzedawać albo kazać mi opowiadać, co oglądam w telewizji, to jestem do dyspozycji. Pan dał nam uszy, abyśmy słuchali.

- Czy może mi ksiądz powiedzieć, gdzie jest don Sergio Rotondi?

Ojciec Francesco uśmiechnął się słabo. To był smutny, bolesny uśmiech. Skończył układać kwiaty przed niewielkim krucyfiksem i zaprosił Ferrarę, by ten poszedł za nim do zakrystii.

- Nie jest pan nikim z jego rodziny, jak sędzę? Już kiedyś pana widziałem - powiedział, usiłując sobie przypomnieć gdzie i kiedy, podczas gdy szli przez kościół.

- Nie, żadna rodzina ani nawet znajomy, spotkaliśmy się tylko raz.

- Tak, a kiedy?

- W zeszłym roku w październiku. Dokładnie pierwszego października. Weszli do pomieszczenia.

- Tego dnia zabili biednego Stefanina - mruknął stary kapłan.

- Właśnie.

- Jest pan z policji, prawda? Tak myślałem.

- Jestem szefem wydziału śledczego, ojczy, nazywam się Michele Ferrara. Jeszcze jeden gorzki uśmiech pojawił się na ustach don Francesca, kiedy usiłował usiąść.

- Moje kości - wyjaśnił. - Teraz rozumiem, dlaczego pańska twarz nie jest mi zupełnie nieznaną. Widziałem pana w gazetach, prawda? Zdaje się, że także i w telewizji?

- To możliwe.

- I chce pan wiedzieć coś o don Sergiu? Wszyscy chcą wiedzieć. Rodzina, parafianie, nawet jakiś facet z Rzymu, który udawał, że jest tu przypadkiem.

- Muszę go znaleźć. To ważne, ojczy. Były inne zabójstwa po zabójstwie Micaliego, trzy. Wszyscy byli tak jak on homoseksualistami.

- Jak on i jak don Sergio?

- Tego nie wiem, a jest homoseksualistą?

- Nigdy mi o tym nie mówił, ale sędzę, że ma ten problem i z tego powodu cierpi. To jednak panu nie pomoże, a jeżeli chodzi o śmierć Stefanina, to on nie pasuje. Był ze mną, kiedy ten nieszczęśnik został zabity.

- Potwierdza to ksiądz?

- Dlaczego miałbym nie potwierdzić? Jestem stary, moja pamięć już nie jest taka jak kiedyś, czasami zasypiam, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, ale nie jestem jeszcze dzieciniały, więc jeżeli mówię, że don Sergio był

wtedy ze mną, to znaczy, że ze mną był!

- Zaraz po obiedzie, tak?

-Tak!

- I podliczaliście rachunki.

- Prawdę mówiąc, to on je podliczał.

- To strasznie nudne.

- Przerażająco nudne.

- I przy pełnym żołądku można przysnąć.

Ksiądz się zastanowił.

- Rozumiem, co pan chce, żebym powiedział, ale ja nie mam sieczki zamiast mózgu, jak to się u nas mówi. To niemożliwe, widzi pan... Don Sergio bardzo kochał Stefanina, razem dorastali, byli jak bracia.

- Ostrożnie, zaraz mi ojciec powie, że się kochali.

- Nie, nie tak jak pan myśli, niech Bóg panu wybaczy! - Ksiądz aż podskoczył, robiąc znak krzyża.

- I nie byłoby lepiej, żebym ja go znalazł? Żeby mógł ze mną porozmawiać? Powiedzieć mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Tak podejrzewam - westchnął ksiądz.

- Więc dlaczego mi ksiądz nie powie, gdzie on jest?

- Bo nie wiem.

- To niemożliwe! - Komisarz poderwał się, bezwiednie podnosząc ton głosu. - To niemożliwe, ksiądz nie może zniknąć. Może pojechać do rodziny czy przyjaciół, a wasza rodzina jest o wiele większa. Zorganizowana - dodał, sam nie wiedząc, czy miał w tym jakąś ukrytą intencję.

- „Rodzina”, jak to pan mówi, która nie ma obowiązku informować biednego księdza z prowincji, takiego jak ja, o swoich decyzjach - stwierdził z pokorą ojciec Francesco.

Ferrara poczuł się nie na miejscu, jakby nagle przeniesiony w inny wymiar, inny niż miejsce, gdzie rozmawiały ze sobą dwie osoby z krwi i kości.

- Co to ma znaczyć?

- Kościół ma swoje tajemnice i swoje zasady, synu. To nie zawsze są zasady i tajemnice zwykłych śmiertelników, bo takie mogą nawet czasami zostać ominięte dla osiągnięcia wyższego dobra. Jeżeli mówi się nam, byśmy zaakceptowali coś, czego nie rozumiemy, to jesteśmy posłuszni.

Znaczenie słów księdza rzucało niepokojące i zupełnie nowe światło na całą sprawę, czyniąc ją jeszcze bardziej niejasną niż była do tej pory. Ferrara przez chwilę miał wrażenie, że wciąga go jakiś wir.

- Nie sądzę, żebym dokładnie to zrozumiał - powiedział.

- Bo może idzie pan nie tym śladem, co trzeba, albo po prostu nie powiedziałem niczego ważnego czy istotnego, nie wydaje się panu?

- Coś jednak ksiądz powiedział.

- Naprawdę? Nie pamiętam. - Ojciec Francesco uśmiechnął się ze zmęczoną miną, zamykając oczy. - Sam pan się zorientuje. Pan dał nam uszy do słuchania, pamięta pan?

Tymczasem w prefekturze gorączkowo prowadzono przesłuchania, a prawdziwy portret ofiary zaczynał nabierać kolorów.

Okazjonalny znajomy, którego Biagini spotkał przypadkiem w kiosku na dworcu Santa Maria Novella, kiedy oglądał okładki gazet fotograficznych, bo fascynowała go fotografia, przesłuchiwany przez Rizza i Sergiego stwierdził, że Biagini często przychodził do Cascine - przeciwnie do niego, pojawiającego się tylko czasami - w niedziele.

Na imię miał Pietro, a zachowanie i ruchy - wyraźnie zniewieściałe. Poznali się z Biaginem tamtego dnia, bo on także interesował się fotografią. Dał mu nawet kilka rad na temat gazet, które powinien kupić. Potem spotykali się jeszcze, ale zaledwie kilka razy.

- Jeżeli pan nie chodzi tak często do Cascine, to skąd pan wiedział, że Biagini był stałym bywalcem? - zapytał w pewnym momencie Sergi.

- Sam mi to powiedział. Powiedział, że tam go znajdę, jeżeli będę czegoś potrzebował, a jego nie będzie w domu, stąd właśnie tego się domyśliłem.

- Że był homoseksualistą? - jeszcze raz zapytał Serpico.

- Właśnie tak - potwierdził mężczyzna.

- Pan także jest, prawda? - tym razem zapytał Rizzo.

- To znaczy... wiem, że dla was... ale to nic złego, wie pan? Owszem, powiem panu, że jestem homoseksualistą i wcale się tego nie wstydzę. Przeciwnie. Jestem z tego dumny! Wie pan? Mam unormowane życie, pracę, muchy nigdy nie skrzywdziłem...

Dzięki Bogu, pomyślał Serpico. Przynajmniej jeden uczciwie się do tego przyznaje, a nie usiłuje wodzić za nos.

- Utrzymywał pan stosunki seksualne z Giovannim Biaginim? - zapytał Rizzo.

- Na litość boską, nie! Nie był w moim typie. Lubiałem z nim tylko rozmawiać, szczególnie o fotografice.

- Wie pan o jakichś szczególnych znajomych Giovanniego? O kimś, kogo widywał częściej, z kim miał regularne kontakty?

- O Boże, nic nie wiem. Chociaż rzeczywiście, któregoś dnia, żeby już tak powiedzieć całą prawdę, byłem przy jednym jego spotkaniu, było ciut dziwne.

- Niech pan opowiada.

- Giovanni zabrał mnie do domu jednego ze swoich przyjaciół, mieściło się w okolicach Campo di Martę, wie pan? Nikogo nie było. Mówił, że to mieszkanie znajomego, i może tam się spotykać, z kim zechce.

- Chodzi o miłosne spotkania, oczywiście - zauważył Sergi.

- Tak myślę, było raczej jasne, po co mnie tam zaprowadził, nie?

- No i co się stało? - zapytał Rizzo.

- Przyszedł jakiś młody chłopak, był prześliczny. Giovanni zapytał mnie, czy jego obecność mi przeszkadza, odpowiedziałem, że zupełnie mnie to nie interesuje, ale nie zamierzam się w to bawić, jeżeli o to mu chodzi, takie

rzeczy to nie dla mnie. Siedziałem w kuchni przez cały czas, kiedy Giovanni i chłopak przebywali w sypialni.

- Kto to był? Powiedział panu?

- Kiedy chłopak sobie poszedł, bo ja sam nie pytałem o nic, to jasne, powiedział mi, że tamten pracuje w jakimś hotelu w centrum. Giovanni w ostatnim czasie pożyczył mu pieniądze, ale nie na procent. Chłopak nie zwrócił tych pieniędzy, choć tamten wiele razy prosił o zwrot, bez rezultatu. Wyglądał na bardzo wściekłego z powodu tych pieniędzy, chyba czuł się wykorzystany.

W tym samym czasie inspektor Fabrizi przesłuchiwał innego znajomego ofiary. Miał na imię Francesco i poza dodatkowymi informacjami na temat homoseksualizmu Giovanniego podał kilka użytecznych wiadomości, które mogły się przydać do odnalezienia młodego chłopaka, o którym mówił Pietro.

- Pewnego dnia, kilka tygodni temu - relacjonował - Biagini powiedział, że ma znajomego, któremu pożyczył dość dużo pieniędzy i nie może ich odzyskać. Chłopak ma na imię Aldo i mówił, że pracuje w Albergo Dino. Giovanni był naprawdę wkur... wściekły na niego, bo tamten wciąż chciał więcej pieniędzy, a on nie chciał mu już pożyczać. Chciał, żeby ten Aldo oddał mu to, co pożyczył, prawie trzydzieści milionów lirów. Doszło do tego, że zagroził, iż na niego doniesie i tamten straci pracę, jeżeli w czasie maksimum piętnastu dni mu ich nie zwróci. Już nie dawał rady. Byłem obecny przy tej scenie. Krępująca.

Fabrizi przekazał natychmiast rezultat przesłuchania Rizzowi i Sergiemu. Policjanci byli usatysfakcjonowani, kiedy porównali oba zeznania. Znaleźli możliwego zabójcę Biaginiego z dobrym motywem. Trzydziestu milionów nie da się zdobyć ot tak sobie, a szczególnie kiedy się jest pracownikiem hotelu. Donos mógł nie tylko pozbawić go pracy, ale także zniszczyć jego

przyszłość.

- Teraz nie będzie trudno go odnaleźć - stwierdził Sergi.

- Sam się tym zajmij, potem porozmawiamy. Ja poczekam tu na szefa - powiedział Rizzo.

Rzeczywiście odnalezienie chłopaka nie było trudne. Nazywał się Aldo Puleo, miał trzydzieści dwa lata i pochodził z niewielkiej wioski w prowincji Bari, której nawet nie zaznaczano na mapach drogowych. Nie był żonaty i od około pięciu lat pracował jako kelner w hotelu. Sergiemu udało się także odkryć, że oddawał się grom hazardowym i chodził do pewnej szulerni w okolicach Poggio Imperiale.

Kiedy Rizzo wrócił zdać sprawozdanie, zastał Ferrarę w paskudnym humorze. Starał się poprawić mu nastrój, opowiadając z emfazą o rezultatach, jakie udało mu się uzyskać. Sergi próbował tego samego, ale szybko zrozumiał, że to się nie uda.

Wysłuchawszy raportu, komisarz zadzwonił do prokuratury z prośbą o nakaz przeszukania mieszkania Aida Pulea.

- Jak tylko dostaniecie nakaz, przystąpcie do przeszukania - rozkazał swoim ludziom. Potem jednak wybuchnął: - To nie ma sensu! To nie jego szukamy, to nie kelnera powinniśmy szukać, ale księdza, tego przekłętego don Sergia!

Serpico popatrzył na niego zaszokowany. Nigdy nie widział komisarza w takim stanie.

- Ale są poszlaki, które na niego wskazują - stwierdził Rizzo - a sam pan mnie uczył, że żaden ślad nie może pozostać niezbadany.

- Masz rację, wybaczcie mi, chłopcy, wykonaliście doskonałą robotę, naprawdę, ale ta sprawa działa mi na nerwy. Róbcie, co do was należy, ja wracam do domu, na dziś mam już dosyć.

To też było do niego niepodobne.

Nie poszedł do domu. Przynajmniej nie od razu. Poszedł piechotą na nabrzeże, wzdłuż uliczek Matteotti, Gramsci, Giovine Italia. Była to część miasta omijana przez turystów, gdzie słyhać było najwięcej dialektu tokańskiego, a nie języka angielskiego, niemieckiego czy japońskiego. Powoli palił swoje cygaro, zastanawiając się, jak dyskretnie wejść po drabinie kościelnej hierarchii i do kogo się zwrócić oraz jak wysoko trzeba się wspiąć. Z tego co powiedział stary kapłan, istniało ryzyko, że będzie musiał prosić o audiencję w samym Watykanie!

- *Perdone, señor!*

Jakaś rodzina turystów kompletnie pobłądziła. Hiszpanie. Nowa horda, która właśnie dołączała do wszystkich już znanych.

Ferrara skierował ich na właściwą drogę i, kto wie dlaczego, ten banalny gest przywrócił mu nieco dobrego humoru.

Szedł brzegiem Arno aż do Ponte alle Grazie, który przeszedł do połowy. Tam się zatrzymał, by popatrzeć na mniej znaną stronę Ponte Vecchio, u góry którego biegł korytarz Vasarięgo.

O kobiecie, która włożyła zbyt dużo biżuterii, florentyńczycy mówią, że wygląda jak Ponte Vecchio. To jest właśnie prawdziwe serce Florencji. Most zbudowany w trzynastym wieku nad najwęższą częścią rzeki, na trzech arkadach, które stawiały czoła stuleciom. Na nim postawiono sklepy rzeźników i ogrodników, które przetrwały aż do czasów, kiedy wieki książę Ferdynand I kazał je zlikwidować i zastąpić sklepami ze złotem i srebrem. Michele pomyślał, że jak wtedy, tak i teraz bogactwu powierza się reprezentację miasta, a ono ubrane jak prostytutka powinno przyciągać zachłanny wzrok cudzoziemców, którzy zalewają most i tłoczą się przed straganami wystawiającymi coraz bardziej jednakowy towar. Bezsensowne hordy turystów przemieszczają się tu i tam, zabijając czas w kolejkach po bilety i niszcząc fasady antycznych pałaców głupimi graffiti.

Kiedy w żyłach nie płynie już krew, ale złoto i srebro, miasto oddycha z coraz większym trudem.

To chore miasto. Tak je widział tego dnia. Miasto, które gniło pod ciężarem pozorów. A może i Kościół także jużgnił?

Przez następne dni przesłuchania ciągnęły się wolno, a gazety znów zaczęły pisać krytycznie o bezwładzie instytucji. Bazując jedynie na homoseksualizmie ofiar, bez wahania połączyły zabójstwa i odczytały ostatnie z nich jako otwarte wyzwanie rzucone szefowi wydziału śledczego.

Seryjny zabójca daje szacha Ferrarze. Wydział śledczy przegrywa.

To były najłagodniejsze tytuły, inne były o wiele ostrzejsze: *Ferrara pobity na własnym boisku 4 do 0, Florencja drży, a Ferrara leży*. Ktoś pokusił się o sparafrazowanie słynnego powiedzenia: *Co lepsze: trup w garści czy kot na dachu?*

Przeszukanie mieszkania Pulea nie dało żadnych rezultatów, tak jak obawiał się tego komisarz. Znalaziono jedynie ślady jego związku z Biaginim i notatnik, w którym zapisywał sumy, jakie otrzymał. Poza tym Aldo Puleo miał alibi. Kiedy dokonywano zabójstwa był w pracy, w rejestrze personelu był zapis jego zmiany, a wszyscy pracownicy, w tym dyrektor, potwierdzili, że kelner pracował przez cały czas i nie oddalił się ani na chwilę.

We wtorek czternastego marca Ferrara zdecydował się zaprosić na obiad panią Giulietti. Była zła za ten bezsensowny nakaz rewizji, którego jedynym rezultatem było zawstydzenie porządnego obywatela. Brak konkretnych rezultatów przypisywała niedokładności w wykonaniu jej jasnych i precyzyjnych zaleceń.

Intencją komisarza nie było jednak usprawiedliwianie się czy jakiegokolwiek przypodobanie prokuraturze. Nie interesowały go humory czy reakcje zastępcy prokuratora. Miał dosyć własnych problemów. Potrzebował pewnej przysługi. Anna Giulietti należała do starej rodziny, która miała pośród

swoich członków dygnitarzy kościelnych, w tym pewnego sławnego osiemnastowiecznego kardynała.

- No, nie wiem - odpowiedziała do telefonu, kiedy ją zapraszał. - Wydaje się to panu etycznie poprawne?

- To obiad w interesach.

Pomyślała przez chwilę.

- Raczej nie dzisiaj, mam o trzeciej spotkanie w Poggibonsi.

- Zna pani restaurację Latini w Certaldo? To zaraz obok.

- A kto jej nie zna?

- Przyjadę po panią w południe.

- Zgoda.

- Nigdy nie wyszłam za mąż i wcale tego nie żałuję. Mam spokojne, mało intrygujące życie uczuciowe. Praca to moje prawdziwe życie. Mój ojciec był sędzią kasacyjnym, mój dziadek notariuszem - opowiadała, kiedy jechali pięknymi wzgórzami na południe od Florencji, tak jakby to tłumaczyło wszystko.

Na tę okazję Ferrara odkurzył swojego starego mercedesa 190, który prawie zawsze stał w garażu, bo używał go jedynie do dalszych podróży i wycieczek poza miasto. Miał już na liczniku ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, ale silnik mruczał spokojnie i precyzyjnie jak w dniu zakupu.

To był piękny dzień, powietrze było już w miarę ciepłe, a wioski dookoła pełne cudownych zapachów, którym od czasu do czasu udawało się przedrzeć do wnętrza samochodu, nierzadko zmieszanych z ostrym zapachem świeżo nawożonych pól. To też nie był zapach nieprzyjemny. Podczas drogi Anna Giuletta się rozluźniła. Z początku profesjonalna i obojętna, wraz z upływem czasu pozwoliła, by zagościła między nimi bardziej prywatna atmosfera, na której tak zależało komisarzowi.

- Ja jestem żonaty i też wcale tego nie żałuję. Może w życiu wszystkie wybory są dobre, jeżeli dobrze się ich dokonuje.

- Słyszałam. Podobno pańska żona jest doskonałą kucharką i ogrodniczką.

- Uważam, że obie te oceny są prawdziwe.

- Jest więc pan szczęściarzem.

Ferrara pomyślał przez chwilę.

- Tak sędzę - stwierdził, parkując przy stacji benzynowej, która częściowo zasłaniała wejście do restauracji.

Latini osobiście wyszedł im naprzeciw. Był jednym z synów właściciela, który rozslawił podobną restaurację we Florencji. Był niewysokim, jowialnym człowiekiem i dobrze znał komisarza. Zaprowadził ich do stolika, gdzie czekała na nich jego żona, przemiła i serdeczna Amerykanka, która do tego małżeństwa wniosła w posagu zdolność wymyślania doskonałych deserów.

Uzgodniono menu, a kiedy podano wspaniałe przystawki, w tym nieodzowne grzanki z lardo di Colonnata, Ferrara zapytał:

- Miała pani okazję przejrzeć mój raport dotyczący tego, co znaleziono na twarzach ofiar?

- Tak i oddałam to ekspertom wraz ze zdjęciami. To R jest może trochę naciągane, ale F i E są dość widoczne. Ta hipoteza jest przerażająca. Pomyśl mordercy, który gra w scrabble na ciałach ofiar, przyprawia mnie o dreszcze, ale jeżeli ma pan rację, to muszę przyznać, że działa pan z niezwykłą odwagą. Zresztą to, że jest pan odważny, nie jest tajemnicą - powiedziała z niejasnym uśmiechem. Przystawki i wino zupełnie ją rozluźniły.

- Dziękuję za komplement.

- To nie jest komplement. Nigdy nikomu ich nie prawię. To prawda, a poza tym wie pan, że w grze w scrabble słowo Ferrara warte jest dziesięć punktów? Najwyższa stawka - zażartowała.

Komisarz przyjrzał jej się uważnie.

- To pana dziwi? - zapytała kobieta. - Ale dlaczego? Wielu ludzi uważa

pana za nadzwyczajnego śledczego. Jeżeli czasami sprawiam wrażenie, że za bardzo się czepiam, to przepraszam. Inaczej nie mogę. Taka jest moja praca.

I wola prokuratora Galla, pomyślał Ferrara.

- Oczywiście - powiedział głośno. - Szkoda, że tych „wielu”, jak pani mówi, nie należy do kategorii „dziennikarze”.

- Tak. Rzeczywiście, naprawdę dają panu w kość, ale to znak, że to w panu widzą przedstawiciela wszystkich sił porządkowych, a nie dlatego, że Ferrara jest szefem jednej ekipy. Prawda jest taka, że panu ufają, prowokują pana, bo gdzieś w głębi wiedzą albo choć mają nadzieję, że jeżeli ktoś może powstrzymać mordercę, to tylko pan. No i nie zapominajmy, że gazety muszą się sprzedawać. Historie o seryjnych mordercach i pewien niepokój wzbudzony w społeczeństwie znacznie bardziej skutecznie niż piłka nożna sprawiają, że rosną nakłady. W sumie oni też robią to, co do nich należy. Na pana miejscu nie przejmowałabym się tym za bardzo.

- To nie ja się przejmuję - zapewnił ją komisarz.

Zrozumiała. Prefekt i prokurator byli bezpośrednio zainteresowani i odpowiedzialni za utrzymanie porządku publicznego, to oni byli bezpośrednim celem kampanii prasowej. To ich głowy mogły polecieć, jeżeli sytuacja stałaby się naprawdę poważna.

- Nie pozostaje panu nic innego, jak tylko robić to, co do pana należy. Proszę podać nam na srebrnym półmisku tego seryjnego mordercę.

Powiedziała to spokojnym głosem, jakby tą repliką chciała poprawić atmosferę.

- Jeżeli moja hipoteza jest prawidłowa, to nie mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Ten morderca ma bardzo dokładny plan, który ma początek i koniec. Nie zabija z żadnego z tych powodów, z jakich zabija seryjny morderca, ale popycha go do tego jasna, precyzyjna myśl. Zapowiedział siedem morderstw, cztery wykonał dokładnie i punktualnie. Brakuje jeszcze trzech. Potem

zniknie na zawsze albo będzie dalej żył swoim spokojnym życiem, może nawet jakiegoś urzędnika, dyrektora liceum, lekarza, kto wie... może księdza... - Jasno dał jej do zrozumienia.

- Co to miałyby znaczyć?

Ferrara się zawahał. Przez chwilę patrzył na nią.

- Szanowna pani Giulietti, czy pani i ja jesteśmy po tej samej stronie?

- Oczywiście, rozróżniając jednak role, stanowiska i prerogatywy. To się rozumie samo przez się - sprecyzowała defensywnie. Nie wiedziała, do czego zmierza komisarz.

- Oczywiście - powtórzył komisarz. - Czyli mogłaby mi pani pomóc, gdyby zaszła taka potrzeba?

Anna Giulietti zeszywniała jeszcze bardziej.

- W jakim sensie?

Ferrara opowiedział całą historię don Sergia wraz z aluzjami, jakie do sprawy uczynił ojciec Francesco.

Słuchała uważnie i opowieści, i opowiadającego, przyglądając się wyrazowi jego oczu, pewności gestów, sekwencji zdań, w których prawie niedostrzegalnie przebijał się sycylijski sposób intonacji i spokojna siła konkluzji.

- Pomoże mi pani?

Zastanowiła się.

- Dlaczego nie zwróci się pan do arcybiskupa? - zapytała w końcu.

- Bo za zniknięciem don Sergia Rotondiego kryje się coś, czego nie wiemy, nie wie tego też ojciec Francesco. Jest w tym coś, co Kościół chce ukryć. To może być na przykład szaleństwo księdza, czy sądzi pani, że to prawdopodobne? Albo coś innego, coś, co kardynał ukryje bez wahania, jeżeli zwrócę się do niego bezpośrednio jako zwykły urzędnik publiczny. Wie pani lepiej niż ja, że Kościół ma środki, by to zrobić i są w nim takie tajemnice, których zwykły komisarz policji czy zastępca prokuratora nigdy nie odkryją.

Zamilkli, gdy pojawił się tort gruszkowy, specjalność pani Latini, którego Ferrara grzecznie odmówił.

- To nie będzie łatwe. Niczego nie obiecuję, ale postaram się pomóc... jeżeli pomoże mi pan zjeść ten deser.

- Prawda, że proste? Wydaje się niewinnym urządzeniem stolarskim - zauważył Mike Ross.

Stali przed kołyską Judasza. Był to drewniany stożek wsparty na trzech nogach, nad którym umieszczono żelazny pierścień podtrzymywany przez liny ponad samym szczytem piramidy.

Skazaniec ze związanymi nogami był podwieszony powyżej zaostzonego czubka. Podnoszono go pod sufit, ciągnąc za sznur, którym był związany, a potem z impetem opuszczano w dół tak, by czubek urządzenia wbił mu się albo w pochwę, albo w odbył.

- Używano go także delikatniej - tłumaczył, jakby nie wystarczały opisy i zdjęcia, które dołączono do przedmiotu na pokazie w Muzeum Kryminologii w San Gimignano.

- Ofiara była wieszana tak, żeby nie mogła zasnąć, bo jak tylko jej mięśnie się rozluźniały, to spadała nieodwołalnie na czubek piramidy dokładnie tak samo, jakby ją opuszczono. Z tym samym skutkiem! Nazywano to kołyską Judasza, ale także torturą śpiochów. Wyniszczające nie tylko fizycznie, ale i psychicznie, jak to możesz sobie wyobrazić. Ze wszystkich diabelstw tu wystawionych to wydaje mi się najbardziej poniżające, nie uważasz?

Valentina nie odpowiedziała. Była tak samo zmieszana, jak on wydawał się zafascynowany tą serią okrutnych demonstracji, głębi okrucieństwa, jakiej mógł dopuścić się człowiek na drugim człowieku. Krzesło inkwizytorskie - wielki fotel najeżony kolcami nawet w miejscu oparcia. Widelec heretyka - dwa małe widelczyki ustawione naprzeciw siebie i umieszczane pomiędzy brodą a klatką piersiową torturowanego. Słynna dziewica norymberska. Jedno po drugim narzędzia przesuwają się przed zaszokowanymi oczami dziewczyny, która bezskutecznie usiłowała nie wyobrazić sobie cierpień

mężczyzn i kobiet przez całe wieki poddawanych tym obscenicznym torturom. W końcu zrobiło jej się niedobrze.

- Chodźmy stąd, proszę.

- Ej, dziewczyno, jesteś aż takim wrażliwcem?

- Chodźmy.

Poszedł za nią i, aby ją pocieszyć, zabrał na przejażdżkę po tej zachwycającej średniowiecznej mieścinie, szukając czegoś, co mogłoby przypomnieć jej piękniejsze strony ludzkiej egzystencji. Znalazł to w sklepiku w pobliżu niezbyt oddalonego od muzeum placu della Cisterna, w którym, inaczej niż w tego typu sklepach zawałonych seryjnie produkowanymi przedmiotami dla turystów, młoda kobieta, łącząc kamienie, nici i lniane sznurki tworzyła naszyjniki, bransoletki i kolczyki w dobrym guście. Kupił Valentinie naszyjnik z zielono-fioletowych kryształów i z pereł z czeskiego szkła w kształcie wielkich owalnych kropel w kolorach białym i kości słoniowej. Idealnie pasował do tego, w co tego dnia była ubrana, a miała na sobie wełniany, prążkowany golf w kolorze bakłażana i turkusową spódnicę ledwie nad kolano z dwoma zamkami błyskawicznymi z przodu; jeden z nich był do połowy rozpięty, tak aby spódniczka odsłaniała część jej uda.

W południe Mike zaproponował powrót, mieli zatrzymać się po drodze, aby coś zjeść.

Piętnaście minut w samochodzie pośród pięknych widoków, pośród wzgórz i drzew oliwnych, które o tej porze odbijały światło słoneczne, a ich liście wydawały się srebrzyste, dodało odwagi i przywróciło apetyt Valentinie, który całkowicie odebrała jej wizyta w muzeum.

Milce zaparkował obok dość anonimowego budynku z lat siedemdziesiątych na wpół ukrytego za stojącą przy ulicy stacją benzynową. Wielki, zaokrąglony napis wskazywał, że jest to Restauracja Latini.

Weszli.

Wewnątrz były trzy sale: jedna większa, do której wchodziło się najpierw,

i dwie mniejsze w głębi i na lewo od wejścia. Największa sala cała była zarezerwowana i kelner zaprowadził ich do sali na lewo, której wielkie okno wychodziło na ogród.

Mike zostawił Valentinie miejsce na wprost okna, a sam usiadł naprzeciw niej.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Nie za bardzo.

- Szkoda, kuchnia tutaj jest doskonała, jak mówią. Bardzo polecano mi tę restaurację.

Kiedy w końcu podano im pappardelle z królikiem, oboje zgodzili się z tym zdaniem.

- Doskonale - powiedziała prawie wbrew sobie.

- Nie powinienem był zabierać cię na tę wystawę, prawda?

- To chyba nie było w moim stylu... - wytłumaczyła zakłopotana. Zresztą, prawdę mówiąc, była zakłopotana już tego ranka, kiedy ostudził jej zapały, pospiesznie całując w policzek na powitanie. W samochodzie nie zamienili ze sobą ani słowa. On włączył najnowszą płytę Bjork, która jej także się podobała i przez całą drogę z Florencji do San Gimignano słuchali muzyki.

Ponura wystawa narzędzi tortur wcale nie poprawiła stanu ducha Valenty.

- Pomyśl, że poświęciłem temu cały artykuł - powiedział.

- A jak było w Nowym Jorku? - zapytała Valentina, żeby podtrzymać rozmowę.

- Jak zwykle, praca, praca i jeszcze raz praca.

Oboje zamilkli z braku tematów do rozmowy.

- Mike - odezwała się w końcu Valentina, szukając jego wzroku za okularami przeciwsłonecznymi. Zauważyła, że patrzył na coś za jej plecami. Odwróciła się, ale nie zobaczyła niczego poza obojętnym, anonimowym tłumem ludzi, którzy rozmawiali z ożywieniem. Dalej były drzwi wejściowe do kuchni, nad którymi wisiały kalendarz oraz odznaki policji, karabinierów i

Direzione Investigativa Antimafia - policji przeciw przestępczości zorganizowanej.

- Co to jest? Stołówka sił porządkowych? - zapytał Mike kelnera, który podszedł w tym momencie przynieść im drugie danie.

- Ach, to? - odpowiedział kelner. - Cóż, często tu przychodzą coś zjeść. Niech pan pomyśli, dziś je tu sławny komisarz Ferrara!

- Rozumiem - mruknął dziennikarz, jakby mocniej podkreślając swój amerykański akcent.

- Mógłbyś to wykorzystać - zasugerowała z entuzjazmem Valentina, kiedy kelner się oddalił.

- Po co? - zapytał Mike.

- Żeby go poznać. Może mógłbyś zrobić z nim wywiad? Spotkanie z dziennikarzem z takiej sławnej gazety mogłoby mu pochlebić, nie? Mógłby to też być materiał do twojej książki.

- Do jakiej książki?

- Tej o Potworze z Florencji. Nie miałeś napisać o tym dla amerykańskich czytelników?

- Ależ coś ty! Tak tylko powiedziałem, żeby coś powiedzieć. Co Amerykanów może obchodzić jakiś pieprzony marny policjant z włoskiej prowincji?! Zresztą mnie on też gównem obchodzi! To tylko ordynarne historie dla niedouczonej ludzi. Ja jestem esteta. Tam, gdzie nie ma sztuki albo geniuszu, po prostu się nudzę - odpowiedział, zamykając temat.

Valentina znów poczuła się nieswojo.

Wychodząc, rozpoznała słynnego Ferrarę przy stoliku w rogu obok stojaka z winami. Był w towarzystwie dystyngowanej kobiety, blondynki około pięćdziesiątki. Mężczyzna wydał jej się o wiele bardziej interesujący niż w telewizji.

Poczuła się dziwnie jeszcze raz tego dnia, kiedy w drodze powrotnej Mike

zapytał:

- A ta twoja przyjaciółka, ta z Bolonii...

- Cinzia?

- Tak, właśnie ona.

Po co właśnie teraz wspominał o Cinzii? Starła się nie myśleć o niej, odkąd wróciła. Chciała się skoncentrować tylko na nim, desperacko usiłowała wyjść z dwuznaczności, w którą popadła, uwolnić się, wyjaśnić wszystko, a on znów do tego nawiązywał właśnie wtedy, kiedy ponownie rozpinęła zamek, odsłaniając swoje całe lewe udo.

- Tak? - zapytała trochę zbyt gwałtownie.

- Jesteście bardzo... ze sobą związane?

- Znamy się, odkąd byliśmy dziećmi.

- To nie znaczy...

- Co nie znaczy?

- Tamtego dnia, kiedy przyjechałem do Bolonii... wydało mi się, że wy dwie...

- Wy dwie co? Wytłumaczysz mi, do cholery?

Ale on nie odpowiedział. Jechał szybko, był skoncentrowany, napięty. A więc to chodziło mu po głowie. Zrozumiał. Widział je razem, przyłapał je w południe, jak ledwo wyszły z łóżka. O Chryste!

- Między wami coś... jest? - zapytał w końcu z wahaniem.

- A ty co sobie myślisz? Jesteśmy przyjaciółkami, mówiłam ci. Wynajęliśmy razem mieszkanie, a właściwie to nasi rodzice je wynajęli. Znają się. Znamy się wszyscy przez całe życie.

Milczał, wyraźnie niezadowolony.

- Co chcesz wiedzieć? Czy Cinzia i ja sypiamy ze sobą? - podjęła temat rozdrażniona. - A gdyby nawet? To nie jest coś, co powinno cię obchodzić. A poza tym między kobietami to zupełnie inna sprawa. Czasami się zdarza, ale to nic nie znaczy.

- Jestem pewien, że mojej matce takie coś nigdy się nie zdarzyło -

stwierdził nieoczekiwanie Mike.

- Co, do cholery, ma z tym wspólnego twoja matka?

Znów zamilkł i jechali w milczeniu aż do samego końca podróży.

Porsche wjechało w uliczkę i zatrzymało się przed drzwiami ich wielkiego domu.

- Powiedz mi prawdę. Jesteś lesbijką? - zapytał w końcu, stojąc obok samochodu.

Valentina popatrzyła na niego, gotując się z wściekłości. Wysiadła także i czuła, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Pieprz się, Mike Ross!

Odwróciła się i pobiegła do drzwi, powtarzając sobie w myślach: Pieprz się! Pieprz się!

Tej nocy znów słyszała hałasy na niższym piętrze.

Przez to spała źle i miała sny, w których pojawiali się Mike i Cinzia. Wymieniali się wciąż rolami, poniżając ją, wyśmiewając, odsuwając. Zobaczyła nawet, jak się pieprzą, ale nie widziała, kto był mężczyzną, a kto kobietą, może żadne z nich, współżyli ze sobą jak dwie samice w rui, potem jak dwa zniewieściałe samce. Pośród tego wciąż słyszała hałasy, jęki, lamenty, które wydawały się dominować nad każdą sceną, nad każdym bezwstydnym, lubieżnym obrazem.

Obudziła się z silnym bólem głowy.

Nie chciała schodzić na dół. Poczekała, aż usłyszy warkot silnika odjeżdżającego porsche. Dopiero wtedy wyszła z mieszkania i zeszła po schodach.

Zapukała do drzwi na parterze i poprosiła, by Nenita zrobiła jej kawy.

- *Strong*, mocną - powiedziała. - Bardzo mocną. Boli mnie głowa.

Nie powiedziała nic więcej. Filipinka i tak nie rozumiała ani słowa. Znów

były w kuchni i znów wzrok Valentyny padł na wieszak na klucze. Może właśnie po to tu przyszła?

Podeszła i natychmiast zobaczyła mały kluczyk z tabliczką, na której napisane było wyraźnie: „Pierwsze piętro”. Filipinka była zajęta zdejmowaniem z ognia kawiarki, która właśnie triumfalnym dźwiękiem oznajmiła, że kawa jest gotowa. Valentina zabrała kluczyk szybkim zdecydowanym gestem.

Kiedy Nenita skończyła swoje pół dnia pracy i wyszła, Valentina zadzwoniła na komórkę Mikea pod jakimś pretekstem, żeby tylko upewnić się, że ten nie wróci zbyt szybko do domu. Potem zdecydowana zeszła na piętro i włożyła kluczyk do kłódki, która otworzyła się bez trudu.

Valentina weszła.

Drzwi powoli zamknęły się za nią i dziewczyna została pochłonięta przez mrok.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła z trudnością szarość na wpół zniszczonych ścian, poczerniałych od dymu. Pachniało popiołem, starym, wilgotnym popiołem, jakim pachnie w nieczyszczonych kominkach od dawna niezamieszkałych domostw. Po omacku, obok drzwi, odnalazła włącznik światła. Pstryknął, ale światło się nie zapaliło.

Spoza zamkniętych okien przenikały słabe prześwity światła, które wydawały się zatrzymywać tuż za okiennicami, wisząc w powietrzu bladymi świetlnymi smugami.

Gnana niepohamowanym impulsem, który zwyciężył resztki strachu i rozsądku, szła naprzód.

Szła małymi kroczkami, uważając, by nie wejść w stosy odpadów, które leżały to tu, to tam. Przeszła przez długie pomieszczenie, które kiedyś było zapewne przedpokojem. Zobaczyła resztki dwóch sypialni, pokój z wielką drewnianą, prawie zupełnie zwęgloną biblioteką, resztki ceramicznych

wanien, ściany z widocznymi na wierzchu rurami, inne pokoje, inne korytarze.

Była to ogromna przestrzeń, którą niszczący pożar uczynił jeszcze większą. Echo jej ostrożnych kroków dudniło smutno, zmuszając ją od czasu do czasu do zatrzymania. Serce podchodziło jej do gardła. Wtedy nad tym wszystkim zapadała nienaturalna cisza, a ona znów zaczynała ostrożnie iść dalej.

W końcu znalazła drzwi. Jedyne nietknięte i jedyne zamknięte. Położyła rękę na klamce i zamarła, starając się usłyszeć ewentualne hałasy z wnętrza pomieszczenia.

Po kilku sekundach, które wydały się trwać całą wieczność, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Ciemność była tu jeszcze gęstsza. Odwróciła się, by znaleźć włącznik światła, pewna, że tym razem zadziała.

Mike używał przecież tego pokoju.

Zapaliło się światło, oślepiając ją swoim nagłym blaskiem.

Valentina rozejrzała się dookoła.

To był pokój nastolatka. Stały tam jeszcze trofea sportowe i podręczniki szkolne, na ścianach wisiały plakaty i flagi. Nietknięte łóżko ustawiono przy lewej ścianie, po prawej widać było wielkie biurko, a na nim komputer i równo poustawiane książki i stosy teczek.

Z boku stała metalowa szafka zawierająca więcej książek. Na ścianie nad biurkiem wisiał wielki plakat zupełnie niepasujący do tego miejsca.

Była to reprodukcja znaku amerykańskiego Federalnego Biura Śledczego z podpisem: „FBI Academy, Quantico, Virginia”. Obok stała oprawiona w ramki fotografia, na której widać było grupę młodych mężczyzn w koszulkach i czapczkach z napisem FBI. Mike na zdjęciu ubrany był tak samo jak inni, ale miał dłuższe i ciemniejsze włosy. Wydawały się kasztanowe.

Czy to możliwe, że je farbował?

Przy ścianie w głębi stał fotel oparty o wielkie szklane drzwi zabezpieczone dwiema belkami w kształcie litery X i lampa do czytania. Wszelkie szpary zalepione były brązową taśmą klejącą. Valentinie wydało się to dziwne, bo pokój poza tym był czysty i starannie uporządkowany.

Podeszła do metalowej szafki. Były tam książki po włosku i po angielsku. *Zabójcy na wolności. Nierozwiązane sprawy seryjnych morderców* Micheala Newtona i *Nadal na swobodzie. Sprawy dwudziestowiecznych seryjnych morderców, którzy uniknęli sprawiedliwości* to były pierwsze tytuły, jakie zauważyła. Reszta też była w tym samym tonie. *Umrzeć od potworności. Sto lat seryjnych morderców i zbrodni w formie powieści* Enza Catanii.

Robert K. Ressler i Tom Shachtman, *Żytem w potworze. Wewnątrz umysłów najbardziej osławionych seryjnych morderców*, Silvio Ciappi, *Seryjny zabójca. Metody identyfikacji i procedury śledcze-*, Steven A. Egger, *Zabójcy wśród nas: Badanie seryjnych morderców i ich wykrywanie...*

Valentina była zaskoczona. Czy on jej nie powiedział, że temat go wcale nie interesuje i nie ma zamiaru pisać o Potworze z Florencji? O ile się nie myliła, to prawie ją wyśmiał, więc po co mu to wszystko?

Usiadła przy biurku.

Przed nią stały inne podobne książki. Powiodła wzrokiem ku teczkom. Przyciągnęła je ku sobie, coś spadło na ziemię, ale w tym momencie nie zwróciła na to uwagi, patrząc jak zahipnotyzowana na nagłówek dokumentu z pierwszego stosu:

Inne dokumenty także były z FBI, niektóre z pieczętką CLASSIFIED - tajne, odcisniętą niebieskim tuszem.

Valentina była oszołomiona. Kim naprawdę był Mike Ross? Może dziennikarstwo to tylko przykrywką agenta FBI? Ale czego szukałby we Włoszech?

Piętnastego marca, nazajutrz po obiedzie z panią Giulietti, Ferrara dostał kopertę z prokuratury. Wewnątrz była ekspertyza broni użytej do zabicia Giovanniego Biaginiego, poprzedzona poleceniem napisanym własnoręcznie przez Annę. *Niech biegli sprawdzą, czy zarekwirowana broń była tą samą bronią, której użyto do zabicia lub poranienia Stefana Micaliego dnia 1 października 1999, Alfreda Lupiego dnia 31 grudnia 1999 i Francesca Bianchiego dnia 2 lutego 2000, albo też czy znajdują się na niej elementy zgodne z charakterystyką (forma, rozmiar, głębokość) dotyczącą ran na ciałach wymienionych: Micaliego, Lupiego, Bianchiego.*

Komisarz nie mógł nie zauważyć, że w sformowaniu polecenia, łącząc cztery zbrodnie, w tym zabójstwo Micaliego, zastępca prokuratora postawiła się wyraźnie po jego stronie. Był mile zaskoczony. Szybko przebiegł oczami stronice, szukając konkluzji. Eksperci po zbadaniu nie tylko powiększonych i wyświetlonych na ekranie zdjęć zwłok, ale także dokładnych opisów z autopsji wypowiedzieli się w ten sposób: *Stwierdzamy, co zostało dokładnie wykazane, że można założyć, iż chodzi o tę samą broń, chociaż naukowo nie da się tego udowodnić. Mimo uzyskania różnych rezultatów przy różnych sprawach, wyniki te wskazują na fakt, iż nóż użyty do zabicia Giovanniego Biaginiego doskonale pasuje do ran, jakie znaleziono na zwłokach Micaliego, Bianchiego i Lupiego.*

Tłumacząc to na język mniej biurokratyczny, był to rezultat bardziej niż zadowolający. Anna Giulietti musiała to odebrać podobnie, skoro zadała sobie tyle trudu, by mu to podesłać.

Do ekspertyz dołączono też wyniki badań daktyloskopijnych otrzymanych od techników z Rzymu prawie w tym samym czasie. Odciski palców pozostawione na ręczce noża użytego do zabicia Biaginiego okazały się takie

same, jak te zdjęte z deski klozetowej i kieliszka w mieszkaniu Francesca Bianchiego.

Ferrara wygodnie usiadł w fotelu i zaciągnął się cygarem, które właśnie zapalił.

Elementy łamigłówki zaczynały się układać w jedną całość, choć prawdą było, że odciski palców nie zostały dopasowane do nikogo, kogo dane umieszczone byłyby w Krajowym Rejestrze Karnym. Niemniej od tej chwili każdy podejrzany mógł zostać poddany badaniu, które prawie na pewno byłoby decydujące.

Uśmiechnął się na myśl o chwili, kiedy będzie mógł pobrać odciski palców od don Sergia, bo przecież ten moment, prędzej czy później, nastąpi. Z dyskretnego śledztwa przeprowadzonego przez Rizza wynikało, że żaden obywatel o nazwisku Sergio Rotondi nie opuścił Włoch przez ostatnie dwa miesiące, a przynajmniej o tym świadczyły dane udostępnione przez linie lotnicze i posterunki policyjne na granicy.

Nawet jeżeli istniała możliwość, że ksiądz zniknął, używając fałszywego nazwiska, albo że nie został zarejestrowany jako osoba należąca do grupy ludzi, których zazwyczaj się nie kontroluje, to Ferrara uważał, że tak się na pewno nie stało.

Przede wszystkim morderca miał zadanie, które zamierzał doprowadzić do końca. Wielką trudnością nadal jednak było przedarcie się do zamkniętego środowiska kościelnego. Gdyby tylko pani Giuliatti...

Tego popołudnia Cinzia Roberti, gdy tylko wróciła z uczelni, gdzie przebywała do późna, włączyła telewizor, zanim poszła do kuchni zgotować wodę na herbatę, która zazwyczaj stanowiła podstawę jej posiłku.

Wydawała z szafki torebki herbaty i tosty, słuchając z roztargnieniem wiadomości nadawanych dwadzieścia cztery godziny na dobę przez stację CNN. Zmuszała się do tego, aby poprawić swoją znajomość języka

angielskiego i miała już pewne, całkiem zadowalające rezultaty.

Kiedy wkładała saszetkę do wrzątku, usłyszała, jak ktoś wymawia nazwisko Mike Ross. A może tak jej się wydawało? Zawstydzona tym, co uważała już za swego rodzaju manię prześladowczą, podeszła do telewizora stojącego w saloniku.

Starszy, szczupły mężczyzna o ciemnych włosach, z grubymi szklami okularów w ciężkiej czarnej oprawce, opowiadał o zbliżających się nominacjach do Oscarów.

Czekała, aż pojawi się młody dziennikarz, o którym była mowa, a którego imienia nie chciała wymawiać. Plan się rozszerzył i obok starszego mężczyzny, zobaczyła drugiego, młodszego, który właśnie przeprowadzał wywiad. On także w niczym nie przypominał przyjaciela Valentyny.

Cinzia nie zrozumiała pytania, ale dokładnie zrozumiała sam początek.

- *Ok, Mike, then...*

Musiała coś źle usłyszeć z kuchni, to musiało chodzić o innego Mikea.

Staruszek w okularach znów zaczął mówić, a kamera znów zrobiła jego zbliżenie.

Cinzia wstała, aby wrócić do kuchni, kiedy pod zbliżeniem twarzy mężczyzny pojawił się napis:

„NEW YORK TIMES” MIKE ROSS REPORTING FROM HOLLYWOOD.

Cinzia zatrzymała się przerażona.

Kim był ten...

- O cholera! Co za skurwysyn! - krzyknęła. Pobiegła do sypialni po telefon komórkowy i nacisnęła zdecydowanie jedynekę, pod którą miała zapisany numer telefonu Valentyny.

Zadzwoił telefon.

Ferrara podniósł słuchawkę.

- Dostał pan moją wiadomość? - zapytała zastępca prokuratora Giulietti.
- Tak, dziękuję. Zgadza się częściowo z rezultatami badań technicznych z Rzymu, wyślę pani kopię.
- A konkretnie?
- Badania daktyloskopijne.
- Dobrze, chętnie je zobaczę. Wydaje mi się, że rezultaty idą w kierunku pańskiej hipotezy śledczej, czyż nie?
- Na to rzeczywiście wygląda.
- Gratuluję. Jest coś jeszcze, umówiłam pana na spotkanie jutro o jedenastej z monsignore Federicim w siedzibie arcybiskupstwa. Wie pan, gdzie to jest?
- Oczywiście.
- Niech pan tam pójdzie. Federici jest osobistym sekretarzem kardynała. Z tego co zrozumiałam, może być przydatny.

Valentina miała u swoich stóp odpowiedź na wszystkie pytania na temat tajemniczego Mikea Rossa.

Po przejrzeniu dokumentów rozparła się na krześle i zamknęła oczy. Była oszołomiona. Kiedy znów je otworzyła, kątem oka zauważyła przedmiot, który spadł ze stołu. Była to książeczka z czarną okładką ozdobiona jedynie złotym krzyżem. Wyglądała jak mała Biblia, ale otworzywszy ją na przypadkowej stronie, Valentina odkryła, że jest to notatnik, którego stronicę wypełnione są starannym, równym pismem. Na stronie, którą miała przed oczami, jej imię pojawiało się aż trzy razy.

Od tego miejsca zaczęła czytać stronicę dziennika Mikea Rossa, kimkolwiek był. Dostała gęziej skórki. Mężczyzna w sposób obsesyjny opowiadał o swojej miłości do niej, ale przede wszystkim zaniepokoił ją sposób, w jaki ją widział i określał: raz pojawiała się jako Madonna, innym razem jako piękna laska, jeszcze innym, i to najczęściej, jako matka, której

nigdy nie poznał.

Często te role się mieszały i w swojej wyobraźni, w tym, co przelewał na papier, zwracał się do niej „mamo”, powierzając straszliwe sekrety dotyczące przemocy seksualnej, jakiej doznał w dzieciństwie. Przewracała kartki gęste od emocji, zapisane jednym tchem, bez znaków interpunkcyjnych, potem następowały inne, jasne, przerażająco rozsądne.

Nie będąc w stanie przestać czytać, załamana i równocześnie zafascynowana, przerwała i otworzyła notatnik na pierwszej stronie, by zbadać wszystko od początku do końca.

Dziennik zaczynał się od słów:

1 października 1999

W imię twoje zabiłem, Ojczy.

To było łatwe. To mnie wyzwoliło.

Bardziej niż jakakolwiek Spowiedź.

Wreszcie się narodziłem!

Doprowadzę to aż do samego końca...

Dźwięk telefonu rozbrzmiał w pokoju jak piorun apokalipsy, sprawiając, że serce podeszło jej do gardła, a całym ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Nie odbieraj.

Głos był spokojny, bardziej jeszcze lodowaty niż oczy, które tonęły we łzach. Valentina odwróciła się bez emocji jak automat. Była już ponad wszelkim strachem.

- Nie powinnaś była. Nie powinnaś była - mówił, płacząc. - Kochałem cię. Kochałem jak nikogo na świecie.

Stał na progu. Nie wiedziała, od jak dawna obserwował to, co robiła.

Valentina nigdy nie widziała pistoletu, nie zrozumiała więc, czym był otwór lufy skierowany prosto w jej serce.

Ferrara wszedł do sali prasowej jakby znalazł się tam przypadkiem. Był tam tylko młody i bardzo zdolny Ahmed Farah - dziennikarz z „La Nazione”, z pochodzenia Egipcjanin.

- Jakież nowiny, panie komisarzu?

- Żadnych, wciąż to samo - odpowiedział, ale potem, jakby się namyśliwszy, dodał: - Chociaż nie, chodź ze mną.

Na korytarzu położył mu dłoń na ramieniu i szepnął do ucha konspiracyjnie:

- Umiesz dotrzymać tajemnicy?

- Jakże by nie? To mój zawód.

- Właśnie. Mówię to tylko tobie. Mamy go. Mamy badania odcisków palców i rezultaty DNA ze śladów spermy znalezionych na zwłokach Francesca Bianchiego - powiedział. - I doskonałego świadka - dodał po chwili.

- Kto to jest?

- Przykro mi, ale tego nie mogę powiedzieć nawet tobie. Muszę go chronić, rozumiesz? A nawet jeżeli ci ufam...

- Rozumiem.

- Teraz to już będzie szybka sprawa. Bądź gotów, a dostaniesz temat życia.

- Dziękuję, panie komisarzu. Już go rozpoznaliście?

Ferrara się zatrzymał. Przez chwilę udawał, że się zastanawia.

- To powiedziałbym ci tylko wówczas, gdybyś był w stanie zatrzymać to dla siebie.

Ahmed odpowiedział mu uśmiechem.

- I pamiętaj: ja nic ci nie powiedziałem - dodał komisarz, zanim wrócił do biura.

- Niczego, szefie - potwierdził Egipcjanin, trzaskając butami i udając salut wojskowy.

To było posunięcie dość ryzykowne. Morderca, czując, że depczą mu po piętach, mógłby się ukryć i w ten sposób nie dopuścić, by go złapano, ale w takim wypadku Ferrara miałby przynajmniej pocieszenie, że uratował czyjeś życie, co dla niego było ważniejsze niż złapanie mordercy. Nadal by go szukał, bo ukrywanie się nie trwałoby wiecznie. Morderca poprzysiągł go zabić i nie odpuści, tego był pewien. Była też inna możliwość - morderca mógł przyspieszyć wykonanie planu, co prawdopodobnie doprowadziłoby do popełnienia jakiegoś błędu. Ta druga hipoteza była według komisarza bardziej realistyczna.

To był dobry moment na takie posunięcie.

Zarówno zwykli mieszkańcy, jak i służby porządkowe byli bardzo czujni po ostatnim zabójstwie. Wytworzył się klimat nieufności, co sprawiało, że działania mordercy były utrudnione. Strach zapanował szczególnie w środowisku homoseksualistów, a raporty z Cascine donosiły, że ukradkowe spotkania homoseksualistów stały się o wiele rzadsze. Zmuszając mordercę do wyjścia z kryjówki, Ferrara stawiał go na obiektywnie gorszej pozycji.

*

Po trzecim nieodebranych telefonie w ciągu piętnastu minut przejęta Cinzia Roberti wysłała SMS: DLACZEGO NIE ODBIERASZ? MUSZĘ Z TOBĄ NATYCHMIAST POROZMAWIAĆ. TEN FACET TO NIE JEST MIKĘ ROSS. UWAŻAJ NA SIEBIE. ZADZWOŃ. KOCHAM CIĘ BARDZO.

Mężczyzna o lodowatych oczach owinał w kołdrę martwe ciało Valentyny.

Komórka dzwoniła nadal, ostatni sygnał powiadomił o nadejściu wiadomości tekstowej. Mężczyzna przeczytał ją z grymasem rezygnacji na twarzy.

W torebce Valentyny znalazł kluczyki do samochodu i bez wysiłku zarzucił sobie jej ciało na ramię. Zszedł po schodach i skierował się do samochodu. Bagażnik porsche był za mały, a przecież nie mógł jeździć z tym krępującym bagażem na siedzeniu obok kierowcy. Małolitrażowy samochód dziewczyny nadawał się o wiele bardziej, również z tego względu, że Mike nie chciał, aby plamy krwi, które łatwo przesiąkały przez kołdrę, zabrudziły skórzaną tapicerkę jego samochodu.

Odłożywszy ciało, wrócił do domu. Wziął długi prysznic, przebrał się i dokładnie spalił ubrania, które z siebie zdjął. Potem nalał sobie pół szklanki whisky i słuchając tragicznych akordów *Après une lecture du Dante* Franciszka Liszta, powoli sączył alkohol. Wreszcie włożył rękawiczki samochodowe i wyszedł z domu.

Słońce znikło za horyzontem, kiedy fiat panda wyjechał z uliczki obok domu i skierował się na autostradę.

Tego wieczoru pani Adele Spizzichino wróciła do domu późno. Mieszkała w tym samym budynku co Cinzia Roberti i kiedy wyciągała z torebki klucze, zauważyła, że do bramy podchodzi wysoki młody blondyn, który, co dziwne o tej porze, nosił okulary przeciwsłoneczne. Był dystyngowany, miał piękny uśmiech i maleńki bukiet miniaturowych różyczek i tulipanów w ręku.

Kiedy otwierała bramę, zobaczyła, że mężczyzna ma zamiar czytać nazwiska na domofonach.

- Może chce pan wejść? - zaproponowała grzecznie, o całe lata świetlne daleka od pomysłu, że ten człowiek mógłby mieć jakiegokolwiek złe zamiary.

- Dziękuję, jest pani bardzo miła - powiedział młodzieniec z wyraźnym angielskim akcentem, co jeszcze bardziej utwierdziło w niej dobre o nim przekonanie.

Młodzieniec wszedł zdecydowanym krokiem na schody, podczas kiedy Adele Spizzichino, która mieszkała dość wysoko, weszła do windy.

Szczęśliwa dziewczyna, pomyślała, nie wiedząc dokładnie, do kogo szedł ten przystojny chłopak. W każdym razie zazdrościła kobiecie, która na niego

czekała.

W połowie schodów mężczyzna usłyszał hałas wjeżdżającej na górę windy i cofnął się o krok, zszedł na parter i skierował się do piwnicy. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Mike wszedł w ciemny, wilgotny korytarz, gdzie znalazł osłonięte miejsce. Tam usiadł, czekając cierpliwie. Na wszelki wypadek w zasięgu ręki miał długi nóż.

Cinzia Roberti spała głęboko. Była wyczerpana, zaniepokojona i otumaniona zbyt dużą ilością papierosów i alkoholu. Valentina nie odpowiadała na jej wiadomości ani nie odbierała telefonów, mimo że Cinzia dzwoniła przez całe popołudnie. Czowała się bezsilna. Nie mogła zadzwonić do rodziców Vale w San Vigilio, bo nie wiedzieli o jej przeprowadzce do Florencji i tylko by ich zdenerwowała. Nie mogła też pojechać jej szukać, bo przyjaciółka nie podała nowego adresu. Powiedziała tylko, że ma piękne mieszkanie w wielkiej willi, z której widać całe miasto. To było za mało.

Pozostała tylko komórka, której często nadużywała, a która okazała się całkowicie bezużyteczna w chwili, kiedy naprawdę była potrzebna.

Kiedy nadeszła pora kolacji, otworzyła butelkę whisky i wypijała porządną szklankę, sądząc, że to pomoże jej zdusić lęk i dać tymczasowe zapomnienie.

Potem prawie po omacku poszła do sypialni, zrzuciła z siebie ubranie i naga rzuciła się na łóżko. Płakała.

Paskudny sen, który nadszedł potem, był głęboki i męczący. Nie obudził jej szczepek zamka do drzwi, który rozległ się pośród nocnej ciszy.

Nie zauważyła nawet ostrza noża, które gwałtownie wbiło się pomiędzy łopatkę a pierwszy kręgosłup, jednym ciosem zatrzymując na zawsze jej serce.

Ze snu przeszła prosto w śmierć.

Mężczyzna zasunął rolety i zapalił światło. Dziewczyna leżała nieruchomo. Była martwa. Krew ciekła obficie z rany zadanej nożem.

Odwrócił zwłoki.

Długo się przyglądał, zastanawiając się, co takiego „jego” Valentina mogła widzieć w tym chudym, kościstym ciele o prawie niewidocznych piersiach i

obscenicznie wręcz dziecinnych kształtach. Im dłużej patrzył, tym bardziej rosło w nim obrzydzenie i tym bardziej poddawał się ogarniającej go nienawiści. Strasznej, absolutnej nienawiści do homoseksualistów, która coraz częściej targała nim z niszczącą siłą. Dotychczas czuł to tylko wobec mężczyzn, ale przecież ta obrzydliwa dziwka, która okradła go z miłości jego życia, także była brudną homoseksualistką.

Do nienawiści dołączyła ślepa wściekłość. Zaczął ranić ciało, tak jak robił to wcześniej.

Ona nie była częścią planu. Plan po prostu się zmienił.

Było około trzeciej rano. Trochę za wcześnie albo trochę za późno, aby ktoś mógł zauważyć mężczyznę wyjmującego ciężki pakunek z pandy zaparkowanej przed budynkiem, w którym mieszkała Cinzia Roberti, i wnoszącego go do środka. Nikt też nie zauważył tego samego mężczyzny, kiedy stamtąd wyszedł prawie po godzinie i udał się piechotą w kierunku dworca kolejowego.

W czwartek szesnastego marca o dziesiątej rano szef florenckiego wydziału śledczego wszedł do siedziby archidiecezji. Monsignore Federici okazał się człowiekiem chętnym do pomocy i dał do zrozumienia przez telefon, że nakazano mu odgórnie, aby współpracował najlepiej na miarę swoich możliwości.

Mimo to, kiedy Ferrara znalazł się w towarzystwie kapłana, zauważył, że spotkanie nie pójdzie jak po maśle. Monsignore był miły i serdeczny, ale natychmiast dało się wyczuć, że jest doświadczonym dyplomata zdolnym mówić bardzo długo, nie mówiąc zupełnie niczego i ukrywając przy okazji to, co, według jego osądu, nie mogło zostać wyjawione w interesie Świętego Kościoła Katolickiego. Licząc, że interesy te będą choć trochę zbieżne z jego własnymi, Ferrara usiadł na fotelu wskazanym przez monsignore Federiciego.

- Jestem zaszczycony, mogąc pana poznać, komisarzu. Kościół wiele panu zawdzięcza i zawsze będzie pamiętał o tym, że odzyskał pan Velázquez.

- Dziękuję, monsignore.

- Zostałem zobowiązany przez Jego Eminencję kardynała, by odpowiedzieć na pana pytania na temat jednego z księży z naszej diecezji.

- Chodzi o don Sergia Rotondiego.

- Czy nie przeszkadzałoby panu, gdybym spytał, dlaczego go szuka?

- Bo zniknął, a ludzie nie znikają ot tak sobie.

- Jeżeli to dla pana istotne, to powiem, że dla nas nie zniknął. Jest cały i ma się dobrze, wiemy także, że jest w dobrym zdrowiu.

- Czyli mogę z nim porozmawiać?

Kapłan się zawahał.

- Nie - powiedział, wzdychając przeciągle - albo przynajmniej nie będzie

to łatwe.

- Czy mogę zapytać dlaczego?

- Może pan pytać, o co pan zechce. Jak już powiedziałem, mamy wobec pana dług wdzięczności i zależy nam na tym, by go spłacić, ale... Widzi pan, nie wiem, czy mogę odpowiedzieć. Może to ja najpierw powinienem panu zadać pytanie?

- Proszę bardzo.

- To oczywiste pytanie, ale proszę powiedzieć, dlaczego tak bardzo chce pan rozmawiać z don Sergiem?

- Bo jest ważnym świadkiem zbrodni, monsignore, może pan pamiętać...

- Zabójstwo Stefana Micaliego, oczywiście, w zeszłym roku w październiku, prawda? Biedny chłopak. Biedny don Sergio był tym bardzo załamany, ale wydaje mi się, że został już przesłuchany przez policję, czyż nie tak? Był chyba także podejrzany, ale został oczyszczony z powodu alibi, jakie dał mu ojciec Francesco. Po co jest on panu znowu potrzebny?

- Bo ten, kto zabił Stefana, zabija nadal i będzie zabijał, pan także to wie. Florencja nie śpi spokojnie, gazety piszą tylko o tym.

- Florencja drży, Ferrara leży? - Monsignore Federici się uśmiechnął. - Macie złą prasę, niech pan na to nie zwraca uwagi. Ale jest też wiadomość dzisiejsza, podobno macie wyjątkowego świadka i podobno jesteście blisko zamknięcia sprawy? Dziennikarz twierdzi, że już wiecie, kto jest zabójcą. Dlatego więc przyszedł pan tutaj? Czy don Sergio jest tym, kogo szukacie?

- Przykro mi, monsignore, ale to są informacje, których nie mogę udzielać w czasie trwania śledztwa - powiedział komisarz, zasłaniając się tajemnicą służbową, by oficjalnie nie potwierdzać kłamstwa ani też go nie dementować.

- W takim razie mogę pana zapewnić, że don Sergio Rotondi nie ukrywa się tutaj, bo tak właśnie pan myśli, czyż nie?

Uśmiech duchownego był dosyć dwuznaczny.

Ferrara zastanawiał się, czy powinien zmienić temat i zagrać na przebiegłości czy powiedzieć prawdę.

- Nie myślę. Wiem. Wiem, że ksiądz wie, gdzie on jest, a tylko to jest mi potrzebne.

- Naturalnie - odparł kapłan. - Rozumiem, że zdaje pan sobie sprawę z powagi pańskiego... zarzutu? Nie, nie możemy tego tak nazwać. Pan niczego nie potwierdza, jeżeli oficjalnie pan oświadczy, że don Sergio Rotondi jest poszukiwany za zabójstwo, to powiem, gdzie przebywa, ale aż do teraz pan tego nie powiedział i mam wrażenie, że tego nie robi. Tak więc to są tylko hipotezy, supozycje i podejrzenia, które mogą jedynie zaszkodzić dobremu imieniu Kościoła. Nie dlatego, że podejrzewa pan, iż istnieje kapłan zabójca, ale dlatego i przede wszystkim dlatego, że ten zabójca jest kryty przez innego kapłana, proboszcza wielkiej wiary i uczciwości.

- Ojciec Francesco jest bardzo stary. Powiedział, że często zasypia i nie wykluczył, że mógł zasnąć tego dnia o godzinie, w której przeglądali rachunki z don Sergiem.

Wiadomość trafiła do celu.

Monsignore Federici zmarszczył brwi i splótł ręce.

- Rozumiem - powiedział poważnym głosem. - Gratuluję, komisarzu. Gra pan w szachy?

- Nie.

- Szkoda, byłby pan świetnym przeciwnikiem. Przed chwilą dał mi pan szacha. Nie sądzę jednak, że ma pan rację. Poznałem księdza Rotondiego i to nawet dobrze. Moim zadaniem było przesłuchanie go...

- Więc wy też go podejrzewacie?

- Och, nie, nie o to! To była zupełnie inna sprawa. Sprawa, jakby to powiedzieć, duchowa i proszę o to nie pytać, ale miałem możliwość wejrzenia w jego duszę oraz umysł. Mógłby być wszystkim, ale nie mordercą. Don Sergio to pokorny, lękliwy człowiek, komisarzu, człowiek, którego dręczy skłonność do bycia ofiarą, co jednak zawsze usiłował w sobie stłumić.

- Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy homoseksualista zabija

podobnych sobie, bo wstydzi się tego, kim jest.

- Nie zamierzam w to wierzyć, ale gdyby nawet tak było, teraz nie jest już w stanie nikomu zaszkodzić. Jeżeli to on jest zabójcą, to zapewniam, że nie dojdzie do kolejnych morderstw, a Kościół zostanie z dala od tej nieprzyjemnej sprawy. Księdzem Rotondim zaś zajmie się boska sprawiedliwość, kiedy nadejdzie jego czas.

- Jakim cudem jest pan tak bardzo tego pewien? Poza tym to nie wystarczy, przynajmniej dla ziemskiej sprawiedliwości.

- Co panu mówiłem? To tak jak w szachach. Teraz mój ruch, żeby uwolnić się od pańskiego szacha - westchnął z miną człowieka pokonanego. - Muszę jednak prosić pana, aby w granicach ludzkich możliwości zatrzymał pan dla siebie to, co teraz powiem. Nie dlatego, żeby to była jakaś tajemnica, ale Kościół woli, by się o tym nie mówiło, to wszystko. Słyszał pan pewnie o klauzurze. Mnisi i mniszki składają śluby milczenia i spędzają dni na modlitwie i pracy z dala od oczu świata. Mają w ciągu dnia krótką przerwę, by porozmawiać przez chwilę i wspólnie się pomodlić. Być może jednak nie słyszał pan o pewnej bardziej ekstremalnej formie klauzury. To dobrowolne zamknięcie. Spadek po średniowieczu. Niektórzy uważają, że to zwyczaj barbarzyński i już prawie się go nie stosuje, jednak nie zarzucono go całkowicie. Kto wybiera taką drogę, zostaje zamknięty w celi, z której wyjdzie dopiero po śmierci.

Nierzadko zdarza się też, że zostaje żywcem zamurowany. Ma tylko małe okienko, przez które bracia z konwentu podają mu jedzenie. W celi ma tylko tyle, ile jest mu niezbędne. Śpi na drewnianej pryczy, która stanie się jego trumną, kiedy umrze.

Pragną tego osoby, które mają głęboką potrzebę ekspiacji albo kontaktu ze Stwórcą, a w szczególnych okolicznościach Kościół na to przystaje. Ostatni przypadek znany publicznie to jedna z sióstr nazaretanek, Amerykanka o nazwisku Julia Crotta. Żyła w zamknięciu przez czterdzieści lat, wzbudzając tym podziw i zyskując błogosławieństwo papieża Pawła VI.

Taką właśnie drogę wybrał don Sergio, komisarzu. Teraz żyje w takich warunkach, jakich nie dostarczają nawet najbardziej restrykcyjne zakłady penitencjarne. Sądzę, że byłoby dobrze zostawić go w spokoju, aby odbył swoją karę, jakakolwiek by ona była.

Ferrara był zaszokowany. Poczuł na sobie ciężar, który niełatwo jest unieść. Jakby zajrzał przez dziurkę od klucza, przez którą nie powinien był spoglądać. W porównaniu do tego winy, jakie on sam w sobie nosił, choćby tylko dlatego, że żył, wydały mu się nic nieznaczące. Wybaczalne, drobne, jak zapomniane kwiaty dla żony w Dniu Kobiet.

Wstał, chcąc zakończyć spotkanie, zastrzegając sobie możliwość powrotu, kiedy będzie miał ostateczne dowody winy księdza. W takim przypadku nawet szacunek dla Kościoła nie przeszkodziłby mu w wykonaniu powinności. W tej chwili monsignore Federici miał rację, nie powinien był zdejmować zasłony z tej tajemnicy na podstawie hipotez, które on sam uważał za poszlakowe.

- Niech mi pan wierzy, komisarzu - zapewnił dostojnik, wstając, tak samo jak i on. - To, o czym pan myśli, jest bardzo, ale to bardzo mało prawdopodobne. Don Sergio to tylko biedny, przerażony człowiek.

Ferrara się zatrzymał.

- Czym przerażony?

- Swoimi grzechami, światem? Kto to wie...

- A może zabójstwem? Może to był właśnie on, podwójna osobowość, od której chce uciec, zamykając się w celi? A może wiedział, kto to zrobił, ale nie mógł tego powiedzieć? Czyż to nie ciekawy zbieg okoliczności, że do jego zniknięcia doszło wtedy, kiedy ktoś zabijał podobnych mu ludzi?

Powiedział to pod wpływem impulsu, jakby nagle coś go oświeciło. A może automatycznie, po tylu latach pracy w tym zawodzie.

Monsignore Federici znów się zawahał.

Zapadła bardzo długa cisza.

- Szach-mat, komisarzu - westchnął. - Postaram się zdobyć dla pana

dyspensę, by mógł pan porozmawiać z don Sergiem, ale nie obiecuję, że mi się to uda.

Szesnastego marca były urodziny ojca Valentiny, a ona nigdy nie zapomniała zatelefonować, aby złożyć mu życzenia. Matka zaskoczona, że córka nie zadzwoniła przez cały poranek, wybrała jej numer po południu, ale bez rezultatu. Spróbowała dodzwonić się na komórkę Cinzii i do domu, jednak i te próby skontaktowania się z córką skończyły się fiaskiem.

Spróbowała pół godziny później, potem jeszcze raz za kolejne pół godziny. Zaczynała bardzo się martwić. W końcu zadzwoniła do szpitala, w którym pracował doktor Roberti, przepaszając, że przeszkadza mu w pracy i tłumacząc, że nie chciała swoimi lękami zdenerwować jego żony. Ojciec Cinzii zapewnił ją, że pójdzie do dziewcząt, gdy tylko skończy pracę, o ile nie uda mu się wcześniej do nich dodzwonić. Potem wydał dyspozycje sekretarce, by wybrała numery córki i jej koleżanki i żeby połączyła go, gdy tylko zostanie jedną lub drugą.

Kwadrans później, kiedy wyszła jedna z pacjentek, zadzwonił do sekretarki.

- Nie odpowiada, doktorze. Ani komórka, ani stacjonarny w domu.

- Dzwoniła pani także do Valentiny?

- Tak, doktorze.

Spochmurniał. Popatrzył na zegarek, była siedemnasta czterdzieści pięć.

- Niech pani przeprosi w moim imieniu pacjentów, ale muszę przesunąć wizyty. Niech pani ich umówi na inne terminy i poprosi o cierpliwość - powiedział, wstając i zdejmując fartuch.

- Myśli pan, że...

- Nie, nic na pewno się nie stało, ale lepiej będzie, jak tam pojedę.

Wsiadł do samochodu i ruszył, przeklinając ruch na drodze. Do domu córki dojechał o osiemnastej dwadzieścia. Stracił jeszcze trzy nieskończenie

długie minuty, szukając miejsca, by zaparkować, w końcu zostawił samochód w drugim rzędzie. Włączył światła awaryjne. Nie było to odpowiedzialne, ale nie miał wyboru. Zobaczył starego fiata pandę Valentiny zaparkowanego pod domem i poczuł się nieco spokojniejszy. Wsiadł do windy i podszedł do drzwi mieszkania. Odczuł niejasne uczucie mdłości. Zamek był wyraźnie wyłamany. Wszedł do środka.

- Cinzia! - zawołał.

Zza zamkniętych drzwi sypialni zobaczył zapalone światło, więc podszedł i nacisnął klamkę.

Był chirurgiem przyzwyczajonym do widoku zmarłych, ale nie był w stanie znieść tego, co ukazało się jego oczom.

Szef wydziału śledczego z Bolonii przyjechał na miejsce trochę po dziewiętnastej. Były tam już samochody policyjne świecące niebieskimi reflektorami, dwie karetki, telewizja, dziennikarze tłoczący się w wejściu do budynku, a wewnątrz pracowali ludzie z wydziału wraz z technikami.

Alessandro Polito wbiegł po schodach.

Mężczyzna, który zapewne był ojcem jednej z dwóch dziewcząt, siedział na sofie blady i załamany, a Silvia, jedna z policjantek, podawała mu szklankę whisky, usiłując namówić go, by wypił.

Komisarz wszedł do sypialni i zobaczył coś, czego zobaczyć nigdy w życiu by się nie spodziewał. Drobną dziewczyną leżała w kałuży krwi z paskudną raną w plecach. Obok znajdowała się druga dziewczyna, wyższa, o bardziej dojrzałych kształtach, dziwnie czysta, oprócz miejsc, w których jej ciało stykało się z ciałem drugiej ofiary. Wyraz twarzy miała prawie anielski, spokojny i pogodny. Pod lewą piersią dziewczyny widać było ranę od pocisku, nie było jednak żadnych śladów krwi, jakby ktoś dokładnie umył jej ciało.

W porównaniu z nią Cinzia Roberti, jak podał mu nazwisko jeden z

inspektorów, była potwornie umazana krwią i było jasne, że te części jej ciała, których nie było widać z powodu pozycji, w jakiej leżała, musiały być zmasakrowane. To jednak, co sprawiało, że scena była jeszcze bardziej obrzydliwa, to pozycja ciała, gdyż ręka Cinzii wsunięta była w pochwę Valentiny aż po sam nadgarstek.

Dzienniki telewizyjne poświęciły wiele miejsca tej wiadomości, ale Ferrara ich nie oglądał. Dowiedział się o zbrodni dopiero następnego dnia z radia. Sprawa ze względu na specyfikę, młody wiek oraz urodę dziewcząt stała się wkrótce znana i zainteresował się nią cały naród. Przyczyną tego zainteresowania były też obsceniczne szczegóły przemilczane przez policję, o których mimo to dziennikarze słyszeli i które wykorzystywali, grając na niezdrowej ciekawości tłumów za pomocą niejasnych aluzji. Sprawa ta zepchnęła we Florencji na drugi plan nawet sprawę wcześniejszych zabójstw, które niedawno wstrząsnęły miastem.

Sprawozdania z gazet przeczytał rano w biurze i w pewnym momencie poczuł, że powinien zadzwonić do Polita.

- Paskudna historia - zaczął.

- Niestety, masz rację. Nigdy niczego podobnego nie widziałem. Potworny widok. Najgorsze jest to, że Valentina Preti nie została zabita w tym mieszkaniu. Nie ma na miejscu śladów jej krwi, a znaleźliśmy je w jej samochodzie zaparkowanym przed domem. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie jakieś osiem godzin wcześniej. Wydaje się, że morderca przywiózł ją aż tam po to, by włożyć... - Następnie opowiedział wszystko to, o czym z braku dokładnych informacji nie mówili dziennikarze. - Możesz sobie wyobrazić coś bardziej makabrycznego i obrzydliwego?

- Nie zazdroszczę ci - powiedział zde gustowany Ferrara. - Do twoich problemów z mordercą prostytutek tylko tego ci brakowało. Wygląda na to, że obaj mamy kłopoty. Taki już ten nasz zawód!

- Tę sprawę chyba rozwiążemy szybko, jeżeli dobrze pójdzie. Mamy świadka, który może być ważny.

- Gratuluję! Czy widział morderstwo?

- Nie, to sąsiadka z budynku, wczoraj w nocy wpuściła do środka jakiegoś nieznanego faceta. Było ciemno i nie widziała go zbyt dobrze, ale wiemy, że był wysokim blondynem, miał angielski, może amerykański akcent i nosił okulary przeciwsłoneczne nawet nocą. Przystojny chłopak według naszego świadka. Pomyślała, że miał randkę z kimś z budynku, bo trzymał w ręku bukiet kwiatów, więc pozwoliła mu wejść. Nie wzbudzał najmniejszych podejrzeń. Przesłuchaliśmy wszystkie mieszkanki jeszcze wczoraj wieczorem, żadna nie przyznała się do znajomości z nim, żadna też nie przyjmowała go w domu. Oczywiście gdyby był kochankiem zamężnej kobiety, ta nie miałaby ochoty o tym ot tak od razu nam powiedzieć, w dodatku może jeszcze w obecności męża - dodał rozbawiony - ale pracujemy nad portretem pamięciowym.

- Świetny ślad! Zadzwoń, jak coś będziesz wiedział, dobrze? Gdybym mógł ci w czymś pomóc, możesz na mnie liczyć.

- Dobrze, dzięki.

Po południu zadzwonił do niego Massimo Verga.

- Coś się stało? - zapytał Ferrara.

Massimo nigdy nie przeszkadzał mu w pracy.

- Nie. Nic. Chciałem ci tylko coś powiedzieć. Ta dziewczyna, którą zabito w Bolonii, wiesz, która?

- Cinzia Roberti?

- Nie, ta druga, Valentina.

-Tak?

- Cały dzień o tym myślę. Byłem pewien, że już ją gdzieś widziałem, no i w końcu sobie przypomniałem. Pomyśl, pożyczyłem jej nawet taką starą książkę, *Necronomicon* Abdula Alhazreda, ale nie chodzi o to, że była cenna, tylko...

- Znałeś ją? - zapytał zaskoczony Ferrara.

- Nie, właściwie nie. Przyszła do mnie pierwszego października w zeszłym roku, dokładnie tego dnia, kiedy zabito Stefana Micaliego, pamiętasz? To ten dziwny zbieg okoliczności sprawił, że dzwonię. Powiedziała mi też, że studiuje na wydziale sztuki, ale ma ochotę przyjechać do Florencji na kurs o teatrze ludowym w renesansie. Może na uczelni coś o niej wiedzą?

- Doskonała podpowiedź, przekażę to Politowi, szefowi wydziału śledczego z Bolonii, który zajmuje się tą sprawą. Będzie ci wdzięczny. Była naprawdę taka ładna?

- Bardzo.

- A ty nie byłeś w stanie się oprzeć, co? Przyszła sama? Pewnie trochę ją podrywałeś, prawda? - zażartował Ferrara.

- Och, tu weszła sama, ale przyjechała z facetem w niezwykłym porsche, z takim byczkiem, który nosił ciemne okulary o siódmej wieczorem. Jeden z tych przystojniaków, wysoki blondyn jak z żurnala. Co w tej sytuacji miałyby zrobić biedny, stary Sycylińczyk, nawet jeżeli jest przystojny!

Ferrara nie słuchał go, został uderzony jak obuchem krótkim opisem mężczyzny. Był prawie identyczny z opisem, jaki podał mu Polito.

- Zaczekaj, dobrze go widziałeś? Możesz mi go lepiej opisać?

- O mój Boże, nie przyglądałem mu się specjalnie, bardziej interesowała mnie dziewczyna, muszę to przyznać, biedaczka... Za to Rita sprzedała mu pióro i widziała go z pewnością lepiej niż ja.

- Daj mi ją natychmiast.

- Czy to ważne?

- Daj mi ją do telefonu, Massimo!

Drżał, czekając na rozmowę z Ritą.

- Witam, komisarzu, jak leci?

- Rito, przypominasz sobie mężczyznę, który przyszedł do sklepu pierwszego października zeszłego roku i kupił pióro? Przyszedł w towarzystwie pięknej dziewczyny...

- Valentiny Preti, czytałam. Niech pan pyta, nadstawiam uszu.

- Pamiętasz go? Tego mężczyznę?

- Trudno byłoby zapomnieć, komisarzu. Miał takie dziwne oczy, twarde i zimne jak lód.

- A poza tym? Możesz go opisać?

- Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, atletyczna budowa, blond włosy krótko obcięte, tlenione według mnie, oczy szare, bardzo jasne, obcy akcent, chyba angielski albo amerykański, nie wiem, bardziej amerykański, powiedziałabym. Elegancko ubrany, bogaty i ten jego samochód! Niech pan pomyśli, zostawił go tutaj na ponad pół godziny, nie przejmując się wcale mandatem.

To było wręcz niemożliwe, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Tyle szczęścia naraz nie spotkało go jeszcze nigdy w życiu.

- Jakim manda... - zawahał się, jakby chciał postawić zakład na stole do ruletki, wiedząc, jaki jest właściwy numer, ale obawiając się, że koło ruletki może w ostatnim momencie się zablokować. - Jakim mandatem?

- Jakim? Tu jest zakaz parkowania! Dokładnie tutaj, przed drzwiami księgarni, można tak? Gdyby nie przyłapali go ci od parkowania, sama bym zadzwoniła po policję. Można być naiwniakiem, ale żeby robić, co się chce, tylko dlatego, że ma się więcej pieniędzy? O nie, popieprzeniec.

- Dzięki, Rito! Gdybym teraz stał koło ciebie, to bym cię chyba ucałował.

- Niech pan wpadnie, kiedy pan zechce, ja uciekać nie będę.

Ferrara zadzwonił do Serpica i podając mu wszelkie informacje, kazał natychmiast skontaktować się ze strażą miejską. Równocześnie wezwał Rizza i opowiedział mu o sprawie.

Nie było trudno znaleźć samochód.

W ciągu piętnastu minut inspektor zjawił się w biurze, gdzie siedzieli dwaj komisarze.

- Mandat został wypisany o godzinie dziewiętnastej pięć dnia 1

października 1999 roku na samochód porsche carrera z numerem rejestracyjnym AP 286 XS z powodu pogwałcenia zakazu parkowania. Samochód zarejestrowany został we Florencji na nazwisko niejakiego Lorenza Ricciardiego zamieszkałego we Florencji na ulicy Campora 36 w dzielnicy Bellosguardo.

- Ricciardi? Jak ten sprzedawca antyków? - pomyślał głośno Ferrara.

- Ależ oczywiście! - zawołał Rizzo. - To nazwisko poprzedniego właściciela sklepu, w którym zabito Alfreda Lupiego. Zmarł w pożarze w swojej willi, zdaje się, że właśnie w Bellosguardo.

- Sprawdź, czy istnieją powiązania rodzinne. I natychmiast podeślij kogoś do obserwowania willi tego Ricciardiego, ale niech ludzie nie rzucają się w oczy. Poproszę prokuraturę o nakaz na podsłuch telefonu, a ty, Sergi, dowiedz się, czy ma komórkę.

Kiedy wyszli, Ferrara wybrał numer prokurator Giulietti.

Zaraz potem zadzwonił do Polita.

- Znalazłem ci blondyna - stwierdził triumfująco. - I choć to może się wydać niemożliwe, to prawdopodobnie upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu. To może być także i mój zabójca. Nazywa się Lorenzo Ricciardi, jest z Florencji, już zarządziłem obserwację jego domu. Jeżeli zechcesz przyjechać, to jutro możemy razem złożyć mu wizytę.

Polito chwilę milczał zaszokowany.

- Ale jak ty to zrobiłeś?

- Jutro ci to wytłumaczę, ale to pewne, zaufaj mi. Przyjedziesz?

- Natychmiast. Dlaczego nie pojedziesz tam od razu?

- Muszę mieć nakaz przeszukania, a mogę go dostać dopiero jutro rano. Nie obawiaj się jednak, dom jest pod obserwacją. Przywieź tylko dokładne zdjęcia zwłok i wyniki analiz balistycznych. Coś mi mówi, że mogą nam dostarczyć ciekawych wyników.

*

Następnego dnia rano, w sobotę, w dzień wolny od służącej przychodzącej tylko na kilka godzin dziennie, Ferrara dowiedział się, że dom przez cały czas pozostawał nieoświetlony, nikt ani nie wchodził, ani nie wychodził, a samochód stał zaparkowany na podjeździe.

- Przywiozłeś zdjęcia? - chciał wiedzieć, kiedy Polito wszedł do jego biura dokładnie o godzinie dziewiątej rano.

- Oczywiście, i wyniki, oto one.

Komisarz rozłożył fotografie na stole, koncentrując się na ujęciach twarzy. Przyglądał się zdjęciom uzbrojony w silne szkło powiększające. Wiedząc, czego szuka, bez trudności znalazł literę A, która wyraźnie widoczna była na twarzy Cinzii Roberti, na wpół ukryta pod innymi ranami. Zaniepokoił się jednak. Spodziewał się, że znajdzie tę literę gdzieś na ciele Valentyny Preti, która została zabita pierwsza, a literę R na ciele tej drugiej.

Ten szczegół go zastanawiał, ale nie był aż tak ważny, by mógł podać w wątpliwość jego ustalenia. Dochodziła już dziewiąta trzydzieści. Na tę właśnie godzinę zaplanowano zebranie.

- Coś nie tak? - zapytał Polito.

- Nie, chodźmy - odpowiedział Ferrara. - Nie ma sensu czekać.

Sala zebrań w wydziale śledczym nie była dostatecznie duża, aby pomieścić wszystkich wezwanych ludzi i Ferrara zdecydował, że odprawa odbędzie się w sali na drugim piętrze. Była ona używana tylko przy szczególnych okazjach, przede wszystkim przez prefekta. Pomieszczenie miało około dwustu metrów kwadratowych. Było urządzone bardzo nowocześnie, a ściany ozdobiono przykładami malarstwa historycznego udostępnionymi przez Wydział Dóbr Kultury.

Ferrara usiadł wraz Rizzem i Politem przy długim stole konferencyjnym, podczas gdy naprzeciw niego, w pierwszym rzędzie krzeseł, miejsca zajęło trzydziestu policjantów, od zwykłych funkcjonariuszy po inspektorów. Było

też kilku strzelców wyborowych, którzy przyjechali z Rzymu dzięki pomocy Carracciego, zawiadomionego o sprawie przez Ferrarę jeszcze poprzedniej nocy. Byli częścią NOCS - komórki operacyjnej centrali bezpieczeństwa, która była dumą policji. Jednostka ta brała udział w interwencjach uznawanych za akcje wysokiego ryzyka. Personel NOCS rozstawił się przy okazji takich operacji, jak choćby uwolnienie amerykańskiego generała Jamesa Lee Doziera z rąk członków Czerwonych Brygad 28 stycznia 1982 roku. Byli to ludzie doskonale wyszkoleni w precyzyjnym strzelaniu z długiej i krótkiej broni, ale przede wszystkim znający specjalne techniki ataku. Wyróżniali się specjalnymi czarnymi mundurami, a poza tym byli bardzo silni i atletycznie zbudowani.

Jeden z techników kryminalistycznych przygotowany był do obsługi projektora ustawionego pośrodku sali i skierowanego na biały ekran po prawej stronie długiego stołu, gdzie zajęli miejsce trzech komisarze policji.

Celem zebrania było przygotowanie w najmniejszych nawet detalach wejścia do willi w Bellosguardo. Operację rozpracowano, studiując fotografie zrobione o wschodzie słońca z helikoptera i mapy katastralne, które już wkrótce miały zostać rzucone na ekran.

Ferrara zabrał głos.

Zaczął wyjaśniać naturę operacji i jej cel. Musieli wejść do budynku i pojmać niebezpiecznego mordercę. Na ekranie pojawił się panoramiczny obraz willi i wielkiego ogrodu otoczonego wysokim murem.

- To właśnie tu - powiedział. - Zanim zaczniemy akcję, musimy rozmieścić ludzi pod murem po obu stronach bramy. - Podeszedł do ekranu, ukazując drewnianym wskaźnikiem pozycje. - Inspektor Venturi, który już zrobił wizję lokalną, rozstawi ludzi: jeden policjant po każdej stronie. Mają ustawić się tak, by utrzymywać ze sobą ciągły kontakt wzrokowy. Kiedy będą na miejscach, zadzwonię do bramy. Jeżeli mi otworzą, wjadę opancerzonym samochodem wraz z komendantem z NOCS i jego dwoma ludźmi. Zgadza się?

- Oczywiście - odpowiedział szybko pewny siebie komendant.

- Ja się nie zgadzam - zaprotestował Polito.

- To znaczy?

- Chciałbym także tam być - powiedział tylko.

Miał rację. Zbrodnia, z którą mieli do czynienia, zdarzyła się na terenie podlegającym jego jurysdykcji, mimo że za miejsce akcji odpowiadał Ferrara.

- Zgoda.

- A jeżeli nikt się nie odezwie? - zapytał komendant NOCS.

- Otworzymy żelazną bramę. Daje ona dostęp do alei, przy której rosną drzewa. To ta brama, którą właśnie wskazuję. Wystarczy zwykły łom, ale trzeba będzie zrobić to bardzo szybko. Każda sekunda może być cenna, bo musimy położyć nacisk na element zaskoczenia. Mamy zezwolenie prokuratora. Zgadza się na użycie siły, by pokonać wszelkie przeszkody, na jakie natrafimy. Pytania?

Nikt nie zapytał o nic. Wszyscy zgodnie skinęli głowami.

- Gdy już wejdziemy do ogrodu, każdy z nas będzie miał swoje zadanie. Rozdzielimy się, ale będziemy zachowywać kontakt wzrokowy. Będziecie szli w kierunku willi, wykonując moje rozkazy. Nikt, powtarzam, nikt nie działa na własną rękę! Zrozumiano?

Wszyscy przytaknęli.

- To, co tu widzicie, to drzwi wejściowe. Te są główne. Są jeszcze jedne z tyłu, prawie na rogu, ale na zdjęciach ich nie widać. Znów spróbujemy zadzwonić, a w przypadku braku natychmiastowej reakcji, starujemy je. Gdyby zaś były opancerzone...

- Wkraczamy my. Mamy ładunki wybuchowe, to kwestia sekund - zapewnił komendant NOCS, jakby cała ta scena została przygotowana wcześniej.

- Doskonale. Teraz przejdźmy do delikatniejszej części operacji. Proszę, abyście dobrze mnie słuchali, bo tu nie może być mowy o najmniejszej

pomyłce - oświadczył Ferrara stanowczym głosem. - Kiedy już będziemy wewnątrz, sześciu ludzi z noktowizorami i długą bronią zajmie pozycje. Po dwóch na piętro. Chodzi o natychmiastowe ogólne sprawdzenie korytarzy, a potem o osłonę dla kolegów, którzy będą zajęci innymi zadaniami.

Ferrara, Rizzo i Polito, każdy na czele jednej grupy, mieli kolejno wchodzić do pokoi na jednej z trzech kondygnacji, aby równocześnie je zbadać. Ferrara na parterze, Rizzo na pierwszym, a Polito na drugim piętrze.

Kiedy Ferrara tłumaczył zasady przeprowadzenia operacji wewnątrz willi, technik z kryminalistyki pokazywał na ekranie plany oraz rozkład pomieszczeń.

- Jest coś bardzo ważnego - kontynuował Michele. - Będziemy używać małych nadajników radiowych wyposażonych w słuchawki. Zsynchronizujemy je na odrębnym kanale radiowym, tak żeby nikt niepowołany nie mógł nas podsłuchać.

Miał na myśli dziennikarzy, którzy przechwytywali za pomocą skanerów połączenia sił policyjnych, żeby w czasie rzeczywistym dowiadywać się o interwencjach i wszystkim, co się dzieje. Nie chciał, by o tej akcji dowiedział się ktokolwiek.

- Czy ktoś zostaje na zewnątrz willi? - zapytał Rizzo.

- Jeden człowiek z każdej strony, żeby sprawdzić, czy nikt niczego nie wyrzuca przez okna albo czy nikt stamtąd nie strzela bądź nie ucieka. Mamy oczywiście ludzi za murem, ale dobrze jest też kontrolować willę z bliższej odległości.

- Helikopter? - zapytał Polito.

- Powiem komendantowi grupy powietrznej, żeby jeden helikopter stał gotowy do lotu. Wystartuje w razie potrzeby i przyleci w ciągu kilku minut, jeżeli będzie to konieczne.

Zebranie się skończyło. Nie było już nic więcej do powiedzenia. Zeszli całą grupą na dziedziniec, zajmując miejsca w radiowozach i cywilnej furgonetce. Wszyscy mieli na sobie kamizelki kuloodporne i byli uzbrojeni.

Niektórzy wyposażeni byli w karabiny M16, inni - w zabójcze strzelby powtarzalne typu *pump action*.

Kiedy schodzili ze schodów, Polito nachylił się do ucha Ferrary.

- Nie spodziewałem się takiej kumulacji sił policyjnych. Myślałem, że pójdziemy tam tylko my z niewielką eskortą. Co się stanie, jeżeli Ricciardiego nie będzie w domu i zobaczy całą tę armię, kiedy zechce wrócić? Czy nie istnieje takie ryzyko?

- Nie. Jeżeli już tu się zjawi, to będzie w pułapce. Do willi prowadzi tylko jedna droga i dobrze ją obstawiłem ludźmi po cywilnemu. Są ukryci. Jeżeliby tu wjechał, to nie da rady się wydostać. Jeśli natomiast zabarykadował się w środku, to nigdy za dużo ostrożności. Miałyby nad nami przewagę, a gdybyśmy byli sami, stanowilibyśmy doskonały cel, nie sądzisz?

Polito przytaknął.

Radiowozy i furgonetka odjechały spod prefektury, każdy samochód oddzielnie, aby nie wzbudzać niczyjego zainteresowania, szczególnie zaś nie przyciągać uwagi dziennikarzy.

Kiedy dotarli na miejsce, Ferrara podszedł do jednego z ludzi stojących na straży.

- Żadnych wiadomości?

- Nic, szefie. Dom wygląda, jakby był niezamieszkały, wewnątrz nie zauważono żadnych oznak życia.

Ferrara zadzwonił do wejścia dwa razy, ale nikt mu nie odpowiedział. Rozkazał więc, by sforsowano bramę. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Dostali się do ogrodu i podeszli do drzwi wejściowych, które rzeczywiście były opancerzone. Agenci z NOCS wysadzili je w powietrze i już po kilku minutach ludzie przeszukiwali wnętrze willi zgodnie z otrzymanymi wcześniej rozkazami.

Nagle rozgadały się przenośne nadajniki. Wszystkie komunikaty miały tę samą treść: w willi nie ma żywego ducha. Nikt nie strzelał, nikt nie uciekał i nikt nie został aresztowany. Nic. Zaczęli przeszukiwać pomieszczenia w

zupełnie innym stanie ducha i już bez takiego napięcia.

Zapalili wszystkie światła oprócz tych na pierwszym piętrze. Zauważyli, że poza jednym pokojem nie odremontowano pomieszczeń po pożarze. W tym akurat pokoju było światło. Włącznik działał.

- Szefie, proszę tu przyjść - usłyszał Ferrara w słuchawce swojego odbiornika.

To był Rizzo, który był na pierwszym piętrze. Ferrara i Sergi ruszyli po schodach na górę. Okna były odsłonięte i wpadało przez nie światło dnia.

- Uważaj tutaj, Sergi - polecił Ferrara, zapobiegając zdeptaniu dwóch schodków poplamionych czymś ciemnoczerwonym, bardzo podobnym do zastygłej krwi. - Zostawcie tu kogoś, żeby nikt po tym nie chodził.

- Szefie, jest tu coś interesującego. Niech pan idzie za mną. - Rizzo podszedł do niego, gdy tylko zobaczył go na korytarzu.

- Co to takiego?

- Niech pan sam zobaczy, już jesteśmy na miejscu.

Wszedł do jedyne go niezniszczonego pokoju na całym spalonym piętrze, a za nim weszli pozostali.

- Proszę popatrzeć.

Wszędzie były plamy krwi.

Nie mieli czasu tego skomentować, bo podszedł do nich Polito.

- Na wyższym piętrze mieszkała Valentina Preti, są tam jej rzeczy.

Ale to nie był koniec niespodzianek.

Szef NOCS znalazł wejście do piwnicy.

- Niech pan tu przyjdzie coś zobaczyć, komisarzu, szybko.

Ferrara zszedł wraz z innymi po schodach. Ludzie z NOCS wskazywali mu drogę. Znaleźli się w wielkim podziemnym pomieszczeniu o ścianach z surowej cegły.

- A to co za cholera? - krzyknął Polito.

Na środku pomieszczenia stał trójnóg z drewna zwieńczony zaostrzonym na końcu stożkiem. Powyżej był żelazny pierścień podwieszony na linach

umocowanych do ścian, a z sufitu zwisał sznur wprost nad czubkiem ostrosłupa.

- Zostawmy to technikom, chłopaki - rozkazał Ferrara. - Willę trzeba dosłownie wywrócić do góry nogami.

Był wyraźnie zawiedziony.

Dokładne przeszukanie mieszkania miało wytłumaczyć, czym było to tajemnicze urządzenie oraz dostarczyć informacji pozwalających na identyfikację mordercy. On sam poprowadziłby to metodycznie i spokojnie, ale przegrał bardzo ważny pojedynek. Jego przyjaciel Massimo powiedział mu, czytając wysłane do niego wiadomości, że ścigany jest człowiekiem o niecodziennej inteligencji. Niestety, prawda była taka, że pozwolił mu uciec. Całe miesiące poszukiwań, a teraz, kiedy prawie już go miał, morderca wymknął mu się z rąk.

Pomyślał jeszcze raz o tym, co „podpowiedział” egipskiemu dziennikarzowi i sam siebie nazwał kretyńcem.

CZEŚĆ TRZECIA

POLOWANIE

❁ 1 ❁

Lorenzo Ricciardi czytał artykuł Ahmeda Faraha zaraz po ostatnim zabójstwie, w pociągu wiozącym go do Florencji. Siedział w pustym przedziale pierwszej klasy i uśmiechał się gorzko. Plan się skomplikował i musiał zostać jeszcze raz przemyślany. Nie z powodu tego dziennikarza i jego wymysłów, bo prawdopodobnie to były tylko wymysły, ale z powodu nieoczekiwanej słabości, która nim zawładnęła. Kobieta... Ironia losu.

Valentina.

Oparł się wygodnie i zamknął oczy. Był smutny, zmęczony i pusty w środku.

Nie znał miłości aż do momentu, kiedy spotkał właśnie ją. Nigdy nie zaznał matczynej czułości ani przyjaźni kolegi czy koleżanki. Valentina wdarła się do jego życia z niszczącą siłą dokładnie tego dnia, kiedy postanowił realizować swój plan, który został bardzo dokładnie przygotowany podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych i dopracowany przez dołączenie Ferrary jako ostatniego ogniwa. Postanowił go zabić po tym, jak zobaczył go w audycji telewizyjnej strzelającego do ludzi na oślep. Wtedy zrozumiał, że początkiem wszystkiego był właśnie on.

Zrządenia losu bywają bardzo dziwne, pomyślał.

Spotkanie z Valentiną w Greve miało stanowić alibi, w przypadku gdyby jakimś cudem do niego dotarli. Randka z piękną dziewczyną wytłumaczyłaby jego pobyt w tym miasteczku w dzień śmierci Stefana. Niestety stała się początkiem dziwnej przygody zakończonej w bardzo gorzki sposób.

Pokochał ją naprawdę, ale nie mógł pozwolić, by zniszczyła dzieło jego zemsty. Dzieło, w którym dopomagał mu Stwórca i którego dokonał w imię swojego ojca - zarówno Boskiego, jak i tego ziemskiego.

Wcale nie było mu łatwo wybrać między zimnym zabójstwem a gorącym

uściskiem Valentyny. Pomyślał, że to było nieuniknione, musiało się tak skończyć, ale ta myśl wcale nie sprawiała, że czuł mniejszy ból.

Teraz ta sprawa została zamknięta na zawsze i musiał pomyśleć o realizacji planu.

Umysł, otumaniony smutnymi wspomnieniami i monotonną jazdą pociągu, znów stał się czujny i przejrzysty.

Znając dziennikarzy, wiedział, że wiadomość o jego szybkim ujęciu mogła być przesadzona. Co więcej, znając też policjantów, wiedział, że mogła ona być zwykłym kłamstwem. Mimo wszystko zdecydował, że nie warto ryzykować.

Postanowił, że nie wróci do domu.

Miał przy sobie berettę, nóż, trochę pieniędzy i swój dziennik, który był już prawie ukończony. Puste strony, które jeszcze zostały, zamierzał przeznaczyć na dokładny opis tortur, jakie będzie zadawać Ferrarze.

Rezygnacja z powrotu do domu stwarzała pewne problemy. Było jasne, że od tego momentu nie będzie mógł używać kart kredytowych ani wybierać pieniędzy z banku, bo to mogłoby zdradzić miejsce jego pobytu. Musiał poradzić sobie z tym, co ma. Nie powinien dać się zauważyć, musiał stać się jak najbardziej anonimowy. Najlepszym wyjściem było ukrycie się na jakiś czas, na tyle długi, by zorientować się, ile było prawdy w tym artykule w gazecie oraz wymyślić nową strategię działania.

Wiedział, jak to zrobić.

Kiedy dojechał do Santa Maria Novella, wysiadł z pociągu i poszedł do toalety, gdzie wrzucił do kosza okulary słoneczne i zdjął szkła kontaktowe. Jasnoorzechowe oczy nie były już tak lodowate. Poszedł piechotą w kierunku peryferii miasta, zerkając na skutery w poszukiwaniu jakiegoś łatwego łupu.

Zauważył czerwony motorower ciao, zbyt stary, by zabezpieczać go łańcuchem. Bez trudu go ukradł. Motorower miał rozbity tylny reflektor, ale jeżeli będzie jeździł tylko w dzień, to nie powinien mieć problemów.

Jechał wciąż na wschód, aż zatrzymał się w jakimś miasteczku położonym

niedaleko od Pontassieve i wszedł do skromnego zakładu fryzjerskiego.

- Jak pan sobie życzy? - zapytał fryzjer, usadziwszy go na fotelu.

- Mają być ogolone na zero - odpowiedział po włosku bez żadnego obcego akcentu, porzucając na zawsze tożsamość Amerykanina.

Gdyby rozesłali portret pamięciowy cudzoziemca blondyna, co było możliwe po tym, jak zobaczyła go ta kobieta w Bolonii, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Mógłby poruszać się bez większych trudności. Włosy, kiedy już mu odrosną, będą miały naturalny kasztanowy kolor.

W następnym mieście kupił w supermarkecie pikowaną kurtkę i buty do chodzenia po górach.

Perspektywa spędzenia kilku nocy pod gołym niebem wcale go nie przerażała.

Ferrara obracał w rękach paszport Lorenza Ricciardiego zarekwirowany podczas przeszukania.

Minęło już siedem dni.

Cały znaleziony materiał zabrano do prefektury, aby poddać go badaniom techników kryminalistycznych i jego ludzi. Komisarz dostawał wciąż nowe informacje i w tej chwili na biurku rozłożone miał powiększone zdjęcia poszukiwanego, gotowe do przekazania mediom.

Nie był jednak pewien, czy to najlepszy moment. Udało mu się jakimś cudem utrzymać wszystko w tajemnicy przed prasą i czuł, że nie jest to dobry czas, by zaalarmować Lorenza Ricciardiego. Kiedy jeszcze nie wiedzieli, kim był morderca, uważał to za konieczne, by zmusić go do wyjścia z ukrycia. Okazało się to bardzo złym posunięciem. Dręczyło go to, bo teraz, kiedy już go zidentyfikowali, tamta pochopna decyzja mogła naprawdę pokrzyżować szyki policji.

Nie chciał się znów pomylić i po raz pierwszy w życiu czuł niezdecydowanie w stosunku do tego, co powinien zrobić.

Dręczyła go też myśl, że morderca mógł już wyjechać za granicę. Kwestia rozsądku. Jeżeli wiedział, że został odkryty, po co miałby zostawać we Włoszech i czekać, aż w końcu go złapią?

Nazajutrz po wejściu do willi wprowadzono kontrole na lotniskach, w portach oraz na przejściach granicznych, ale dla osoby z inteligencją i możliwościami finansowymi Lorenza Ricciardiego wyprowadzenie ich w pole było tylko odrobinę trudniejsze niż dziecięca zabawa, o ile nie wzięł nóg za pas już wcześniej, zaraz po tym, jak zabił Cinzię. To właśnie w tym momencie stracili wszelki jego ślad. W prefekturze najczęściej braną pod uwagę hipotezą była ucieczka za granicę. Wydawało się, że tylko Ferrara nie chce zaakceptować tego faktu. Paszport, który obracał w dłoniach z czymś w rodzaju gestu odczyniającego uroki, był jedynym, choć słabym dowodem, pozwalającym potwierdzić jego przekonanie. Przekonanie, do którego tak bardzo był przywiązany.

W poprzednich dniach wyładował frustrację, zasypując Rizza i prokurator Giulietti prośbami o dodatkowe badania, nakazy zatrzymania, kontrole bankowe i telefoniczne, a także w końcu o nakazy międzynarodowe. Ponieważ oboje byli jednak bardzo sceptyczni, nerwowość Ferrary wciąż rosła.

Cały tydzień minął bezużytecznie. Siedem dni badań i dokładnych kontroli, które Ferrara prowadził z gorączkowym uporem. Agenci, którym dano zdjęcia Ricciardiego, dyskretnie przeszukiwali stacje kolejowe, dworce autobusowe i postoje taksówek, szukali w marketach, kioskach, sklepach tytoniowych i aptekach, w barach zarówno w Bolonii, jak i we Florencji. Nie istniało prawo jazdy wydane na nazwisko Lorenzo Ricciardi, toteż poszukiwany musiał posługiwać się międzynarodowym prawem jazdy wystawionym w Stanach Zjednoczonych. Nie wydano mu też pozwolenia na broń. Okazało się, że willa należy do szwajcarskiego biura, które nie było w stanie nic powiedzieć na temat swego klienta. Nikt w biurze nie znał go osobiście. Wszelkie dyspozycje wydawane były przez telefon. Od samego

początku przychodziły z jakiegoś banku na Bahamach, skąd jeszcze trudniej byłoby wydobyć jakiegokolwiek informacje.

Założono podsłuch na telefon komórkowy, ale telefon ten nie był już używany. Z bankowych informacji na temat karty kredytowej, którą opłacano agencję przysyłającą służącą, wynikało, że od szesnastego marca nie wykonano na tej karcie żadnych czynności. Nenita, Filipinka, wiedziała o swoim pracodawcy jeszcze mniej niż oni, czyli bardzo niewiele.

Najważniejsze informacje pozyskane po przeszukaniu mieszkania odnosiły się do sześciu lat, jakie Lorenzo spędził w Stanach. Zrobił tam studia z filozofii i chodził na zajęcia z dziennikarstwa, na których osiągał doskonałe rezultaty. Część kursu polegała na badaniach na temat procedur i metod śledczych FBI, stosowanych w celu odnajdywania i chwywania seryjnych zabójców - temat wówczas bardzo modny. Dzięki zainteresowaniu wykładowców udało mu się dostać na krótki czas do Akademii w Quantico. W tym właśnie czasie wykonano zdjęcie, które zawiesił na ścianie na wprost biurka. Miał na nim nie blond, ale kasztanowe włosy. Był to szczegół, który nie umknął Ferrarze. Dobrze sobie radził na kursie i wykładowcy podkreślali zainteresowanie i aktywność ucznia, a także cenne wsparcie dla ich badań.

Bogata biblioteka z książkami dotyczącymi tematu oraz liczne zaświadczenia pokazywały ponad wszelką wątpliwość, że Ricciardi wyspecjalizował się w tej materii, zanim zaczął wprowadzać ją w życie. Ta wiedza pozwalała mu bez trudu wodzić śledczych za nos. Pozwalała dopracować każdą zbrodnię tak, by potwierdzić hipotezę seryjnego zabójcy i skierować siły policji na ślady, które nie miały nic wspólnego z prawdziwymi motywami zbrodni.

Motywami, które nadal pozostawały okryte zasłoną tajemnicy.

- To było w magnetowidzie Ricciardiego - powiedział Rizzo, wchodząc wraz z Giannim Fuschim z kryminalistyki do biura i pokazując mu wideokasetę.

Ferrara popatrzył na Fuschiego z pytającą miną.

- Właśnie skończyłem ją badać, obejrzyj. Jest interesująca.

- Włącz - polecił Ferrara Rizzowi.

Na lewo od biurka, na niskiej szafce obok okna stał telewizor, a także magnetowid, do którego zastępca włożył taśmę. Na ekranie pojawił się program o Ferrarze i Potworze.

- Rozumiem. I co z tego? - zapytał zniecierpliwiony komisarz.

- Zaczekaj - poradził mu Gianni Fuschi.

Ferrara ze znużeniem oglądał transmisję, której nie wspominał zbyt dobrze, aż w pewnym momencie technik zatrzymał taśmę. Na ekranie pojawił się film pokazujący komisarza strzelającego w kierunku budynku, w którym znajdowali się szefowie 'ndranghety.

- Gratuluję oka, komisarzu. Nie wiedziałem, że strzelasz tak dobrze. I to ty, człowiek, który nie lubi chodzić z bronią. Nie jest fanatykiem broni ten nasz szef, co, Rizzo?

- Cóż, rzeczywiście jest trochę niezdyscyplinowany, jeżeli o to chodzi - potwierdził Rizzo z pełną powagą. - Nie wypełnia obowiązku chodzenia z bronią, a na strzelnicy zjawia się od święta i to tylko wtedy, kiedy musi tam z kimś się spotkać.

- Przyszliście zawracać mi dupę czy macie coś poważniejszego do powiedzenia? - warknął Ferrara wściekły nie tyle na głupie teksty, ile na film o nim samym. Film, który był pomysłem prowadzącego transmisję i zaskoczył go bardzo nieprzyjemnie.

Oglądanie go wywoływało w nim irytację.

- Oczywiście, że mam coś do powiedzenia - odpowiedział technik z kryminalistyki, trochę zdziwiony reakcją przyjaciela, która wydała mu się przesadzona.

- No to na co czekasz?

- Po pierwsze etykieta - zaczął Fuschi, wyjąwszy kasetę z magnetofonu i podając ją Ferrarze. - Na etykietce napisane jest „Ferrara”.

- Rozumiem - mruknął komisarz - „Ferrara”, a nie „Potwór” albo coś w

tym rodzaju, co byłoby w tym wypadku naturalne, zważywszy na materiały o seryjnych zabójcach znalezione w willi...

- Właśnie. Jest jeszcze inny szczegół. Kasetę, początkowo pusta, po nagraniu była oglądana bardzo często, ośmieliłbym się nawet powiedzieć: w sposób obsesyjny. Części najbardziej zużyte to nie te z ekspertami teoretyzującymi na temat seryjnego zabójcy ani miejsca, gdzie pojawia się aktorka grająca w serialu kryminalnym, przy której ja sam bym się chętnie zatrzymał, ale te, gdzie ty pojawiaasz się na pierwszym planie oraz scena strzelaniny.

- Tak jakby morderca chciał się pana nauczyć na pamięć i dokładnie przestudiować - zasugerował Rizzo.

- Możliwe, zważywszy na to, że jestem jednym z jego celów - potwierdził komisarz z roztargnieniem.

Myślał właśnie o czymś innym. O nocy, kiedy robił swój własny rachunek sumienia.

- Czy według ciebie - zapytał bez wyraźnego związku - tej strzelaniny można było uniknąć?

- Jakim cudem? - odpowiedział Rizzo. - To był jedyny sposób na zmuszenie ich do ucieczki drugą stroną, żeby wpadli w pułapkę.

- Tak, ale połała się krew. Był jeden zabity.

- Dajmy spokój, szefie! Jeżeli mamy czuć się winni za każdym razem, kiedy ktoś traci życie... A ilu naszych pada każdego roku?

- Zostawię was waszym rozważaniom filozoficznym - powiedział Gianni Fuschi, wstając. - Najwyraźniej moja pomoc nie jest wam potrzebna. Ten Ricciardi was gównem obchodzi! Chcecie w końcu zrozumieć, z kim macie do czynienia, czy nie?! - zakończył, po czym wyszedł.

- Właśnie, co my tak naprawdę o nim wiemy? - zapytał Ferrara, gdy zostali w biurze sami z Rizzem.

- Świetnie się przygotował, ale nie jest profesjonalnym zabójcą - odparł zastępca komisarza.

- Samouk. Ma przebiegłość osoby inteligentnej i prostotę dyletanta o zbyt dużej pewności siebie. Prawdziwy zabójca nie kupiłby na swoje nazwisko samochodu tak rzucającego się w oczy jak to porsche i nie zrobiłby takiej durnoty, by dać sobie wystawić mandat za byle co.

- Pewnie ominął jakiś rozdział w podręczniku - zażartował Rizzo, chyba po raz pierwszy, odkąd komisarz go znał.

Ferrara popatrzył na niego zdziwiony.

- Wiemy, że nie jest na niczych usługach. Nie jest też częścią żadnej grupy, nie poradziłby sobie.

- To ktoś, kto ma coś przeciwko homoseksualistom i przeciwko panu, komisarzu. Tego związku nie rozumiem, chyba że chodzi o wyzwanie rzucone siłom porządkowym. Nie widzę innego wytłumaczenia.

Ale jakiś związek na pewno istnieje, pomyślał Ferrara, który czuł, że znów odzywają się dawne lęki. Czy to możliwe, żeby...?

- W każdym razie - zastępca jakby czytał w jego myślach - nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy się niepokoić. Najpewniej siedzi teraz w Ameryce Południowej albo w Australii, kto wie gdzie, niech pan będzie pewien, szefie.

- Nie. Nie mogę odpuścić. Pojadę do Szwajcarii, do Stanów, na Bahamy, jeśli to konieczne, ale muszę znaleźć tego Ricciardiego. Jego albo jego pieniądze, bo jeżeli uda nam się położyć na nich łapę, to możemy go przystopować. Biedna Giulietti nie wygrzebie się spod sterty moich wniosków o nakazy międzynarodowe.

- Jeżeli to ma tak wyglądać, to lepiej zrezygnować - powiedział Rizzo.

- Nie. Nie zapomnij, że ostatnią ofiarą mam być ja. Z tego co wiemy, mógłby wyskoczyć na mnie pod domem i zastrzelić mnie nawet jeszcze dziś wieczorem.

W rzeczywistości ta hipoteza za bardzo go nie niepokoiła. Wolałby

bezpośrednią i szybką konfrontację niż to wykańczające oczekiwanie połączone z bezsensownymi działaniami i denerwującymi pytaniami bez odpowiedzi.

Instynkt podpowiadał mu jednak, że tak nie będzie. Jeżeli poruszył ten temat, to tylko dlatego, że wiedział, iż Rizzo nie będzie nań obojętny.

- Co mam robić? - natychmiast zapytał, znów bardzo czujny.

- Dalej prowadzić poszukiwania. Bez ustanku. Skoncentrować się na bankach, zobaczmy, czy ma inne konta we Włoszech. Mam wrażenie, że...

-Tak?

Ferrara się zawahał.

- Wciąż myślę, że nie uciekł, że ukrył się, ale tu gdzieś blisko, obok nas. Choć ucieczka za granicę byłaby czymś oczywistym, to uważam, że jednak nie uciekł, a poza tym...

Znów się zawahał. Zastanawiał się.

- A poza tym? - naciskał Rizzo.

Ferrara nic nie mówił, żując krótkie tokańskie cygaro, którego nie zdecydował się zapalić.

- Te dwie dziewczyny! - wybuchnął w końcu. - One mi tu nie pasują! Wydają się fałszywą nutą w tej perfekcyjnej partyturze. Oczywiście oprócz wygłupu z porsche. Po co zabijać jednego po drugim czterech homoseksualistów, w przedziałach czasowych pozwalających dokładnie przygotować każdą zbrodnię, a potem, ot tak, dwie kobiety w takim pośpiechu, i dać się nawet zobaczyć sąsiadce z domu, w którym zostawił zwłoki? Dlaczego okaleczył twarz jednej dziewczyny, a drugiej już nie? I dlaczego, jak twierdziła służąca, jedną przyjmował w swoim domu w charakterze gościa, a nie więźnia? Nie sądzisz, że musiało się zdarzyć coś nieprzewidzianego?

- Ale Cinzia Roberti miała na twarzy wyciętą literę, sam pan to widział, a to dowodzi, że była częścią planu. Może Valentina Preti była świadkiem czegoś, co wiązało go z zabójstwem i musiał ją załatwić.

- Wcześniej niż tę drugą?

- Jeżeli wiedział, że gdyby zabił tę Roberti, Valentina Preti by go natychmiast zidentyfikowała? Dlaczego nie?

- Po prawdzie, tak - przyznał Ferrara, używając bezwiednie wyrażenia ze swojego rodzimego dialektu. - Ale wiesz, co ci powiem? I tak mi to nie pasuje!

Po wyjściu Rizza zadzwonił telefon z archidiecezji.

- Witam, komisarzu - pozdrowił go grzecznym głosem monsignore Federici. - Może przeszkadzam?

- Nie, oczywiście, że nie. Czym mogę służyć?

- Właściwie to ja miałem się panu do czegoś przydać, pamięta pan? A może to już nie jest potrzebne? Niech pan nie pyta, skąd wiem, ale ma pan już winnego, prawda? Tak więc biedny don Sergio Rotondi nie ma z tym nic wspólnego, tak jak myślałem.

- Tak, to był fałszywy trop, ale...

- Nie musi pan mnie przepraszać, komisarzu. Wykonywał pan swoje obowiązki, to chciał mi pan powiedzieć, czy tak? I, jak zwykle, dobrze je pan wykonywał. Tak czy inaczej, pragnął pan spotkać się z don Sergiem, czyż nie? Czy to nadal pana interesuje? - zapytał jakby z lekką irytacją.

- Sam nie wiem. Teraz jeszcze nie, może potem - odpowiedział komisarz, który nie chciał, aby mu przeszkadzano w prowadzonym właśnie śledztwie.

- Szkoda. Jeżeli się pan zdecyduje, to niech pan wie, że Jego Eminencja wysłuchał prośby i otrzymał dla pana dyspensę na spotkanie z don Sergiem, który jest zamknięty w opactwie San Benedetto w Bosco. Don Sergio został powiadomiony i pod naciskiem kardynała zgodził się spotkać z panem i zerwać ślub milczenia.

- Proszę podziękować Jego Eminencji. Nie zapomnę tego.

- Proszę się nie przejmować. Jak już powiedziałem, dla nas to wielka

przyjemność odwdzińczyć się panu w miarę naszych możliwości.

Rozmowa została zakończona. Wywarła na komisarzu nieprzyjemne wrażenie. Dlaczego monsignore Federici, wiedząc, że to już bez znaczenia, zadzwonił do niego i mówił o tajemnicy, nad którą, jak wyraźnie mu powiedziano, Kościół wolał spuścić zasłonę milczenia? Zrobił to, żeby pokazać, że kuria się postarała?

Trudno było uwierzyć w tak pokrętną motywację, która jemu, człowiekowi praktycznemu, wydawała się nieproporcjonalna w stosunku do sekretu, jaki mogła odsłonić. Było w tym coś jeszcze. Jakiś szczegół, który mu umykał. Czuł to, ale nie był w stanie odgadnąć, o co chodziło.

Z niezadowoleniem przegonił te myśli, by wrócić do sprawy, która go zajmowała.

Potem przez wiele lat komisarz Ferrara wracał często myślami do tego drugiego dziwnego zbiegu okoliczności w tym samym śledztwie. Był przekonany, że przypadek, który już raz przyszedł mu z pomocą w postaci Massima Vergi i Rity Senesi, był czasami największym sprzymierzeńcem policjantów śledczych.

Ledwie odłożył słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił znowu.

- Pan Mazzeoli - zapowiedziała telefonistka.

- Nie wiem, kto to taki - odpowiedział niezadowolony komisarz. Brakowało jeszcze telefonu od jakiegoś nudziarza, który zmarnuje mu mnóstwo czasu. - Nie może pani dać mu któregoś z inspektorów?

- Prosił o rozmowę z panem, panie komisarzu. To nowy naczelnik więzienia.

- Proszę połączyć - powiedział przekonany, że chodzi o jakąś prośbę albo skargę któregoś z więźniów.

- Witam, panie komisarzu. To zaszczyt móc z panem porozmawiać. Dopiero niedawno zostałem tutaj przeniesiony, toteż mam nadzieję, że

będziemy mieli wiele okazji do współpracy.

- Proszę mówić - uciął Ferrara, omijając konwencjonalne powitania.

Nawet jeżeli Mazzeoli był zakłopotany tym mało serdecznym przyjęciem, to nie dał tego po sobie poznać.

- Jeden z zatrzymanych poprosił o rozmowę z panem. Pomyślałem, że uprzedzę pana osobiście, aby mieć okazję pana poznać. Oczywiście na to spotkanie musi wyrazić zgodę prokurator, ale jeżeli chodzi o mnie, to może pan przyjść, kiedy pan zechce.

- Co to za zatrzymany?

- Antonio Salustri. Mówi, że ma informacje dotyczące niejakiego Lorenza Ricciardiego.

Zmęczenie, znudzenie i zdenerwowanie, które narastały w nim przez ostatnie dni, zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Ferrara poczuł tak gwałtowny przypływ adrenaliny, że aż podskoczył. Popatrzył na zegarek, obliczając ile czasu zajmie mu zdobycie zezwolenia z prokuratury, z pewnością już uprzedzonej, bo naczelnik nie dzwoniłby do niego, zanim nie przekazałby tej sprawy prokuraturze.

Zebrał z biurka opakowanie cygar, zapalając jedno z nich. Otworzył szufladę, gdzie trzymał kaburę i pistolet, którego nie lubił nosić przy sobie.

- Czy będzie dobrze, jeśli zjawię się za godzinę?

Niemal widział uśmiech zadowolenia na twarzy naczelnika więzienia.

Ze starego więzienia nie pozostało nic. Nowe florenckie więzienie, postawione na otwartej przestrzeni w Scandicci, było wielką budowlą z szarego betonu zbrojonego z jaśniejszymi poziomymi pasami w kolorze typowej toskańskiej gliny palonej. Dwa najwyższe budynki, bloki na planie półokręgu, stały blisko siebie i wznosiły się po delikatnym skosie na zewnątrz. Jak dwie wielkie trybuny na stadionie piłkarskim albo nawiasy, pomiędzy którymi zamyka się istnienia tych, którzy sprzeniewierzyli się zasadom życia społecznego. Budynek ten w latach osiemdziesiątych zastąpił stare więzienie Murate, znajdujące się w centrum miasta. Na pierwszym planie od frontu była wysoka żelazna brama, potem mur i klasyczne wieżyczki z uzbrojonymi strażnikami. Ten widok sprawiał, że ludzie pokonujący autostradę Livorno-Piza-Florencja od razu domyślali się, w jakim celu postawiono tę budowlę.

Komisarz Ferrara w towarzystwie kierowcy zatrzymał się przy wejściu głównym i przedstawił się, pokazując legitymację służbową.

Wartownik zezwolił na wjazd samochodu na dziedziniec wewnętrzny, gdzie kierowca otworzył bagażnik, aby wartownik mógł go przeszukać. Potem nastąpiły formalności: przekazanie dokumentów i broni oraz pokazanie zezwolenia z prokuratury po to, by mogli wejść do więzienia na spotkanie z więźniem Antoniem Salustrim.

Ferrara, choć niespokojny, nie przejmował się długością procedury. Wiedział, że obwarowana jest ona wyjątkowo ostrymi przepisami, których służby więzienne muszą przestrzegać, nawet jeżeli odwiedzający jest szefem wydziału śledczego. Miał jednak nadzieję, że takie zachowanie było regułą, a nie tylko pokazem skuteczności na użytek znanego komisarza, na dodatek wcześniej zapowiedzianego i oczekiwanego.

- Jeszcze chwila cierpliwości, panie komisarzu, poinformuję przełożonego
- powiedział strażnik.

- Dobrze, dziękuję.

Po kilku minutach zjawił się inny strażnik.

- Komisarz Ferrara?

- Tak.

- Proszę za mną. Zaprowadzę pana do naczelnika. Czeka na pana w swoim biurze.

Kierowca został przy samochodzie. Ferrara, idąc za strażnikiem, wszedł do niewielkiego dwupiętrowego budynku, który stał na wprost wartowni. Na pierwszym piętrze tego budynku było biuro naczelnika. Okazał się on mężczyzną w średnim wieku ze skrzywionym nosem. Siedział na wpół ukryty za ustawionym w podkowę wielkim biurkiem, które zajmowało prawie całą ścianę. Ferrara zastanawiał się, jakie wrażenie wywierała ta symboliczna bariera na więźniach, których tu wezwano.

- Miło mi pana poznać, tym razem osobiście, komisarzu Ferrara.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nieczęsto tu bywam, zazwyczaj przychodzą tu moi współpracownicy. Ja zjawiam się tylko na przesłuchania, na które jestem oddelegowany z prokuratury, albo przy okazjach takich jak ta.

- Dobrze, że takie okazje czasem się zdarzają. Mogę zaproponować kawę?

- Z przyjemnością.

- Każę przygotować więźnia w sali widzeń. To potrwa jakieś dziesięć minut.

Naczelnik zamówił przez telefon kawę, która natychmiast została podana. Wniesiono ją na srebrnej tacy w filiżankach z porcelany, co stanowiło ogromny kontrast w porównaniu z papierowymi kubeczkami, do jakich Ferrara był przyzwyczajony w prefekturze. Zastanawiał się, czy ten luksus to coś w rodzaju hołdu złożonego jego randze, czy raczej wynikał on z faktu, że naczelnik był tu nowy. W każdym razie kawa była naprawdę doskonała i

wypił ją z przyjemnością.

Na szczęście nie musiał zbyt długo zajmować się konwencjonalną rozmową z Mazzorellim, bo po chwili został poproszony przez strażnika, który miał go zaprowadzić do więźnia.

- Mam nadzieję, że wiadomości okażą się naprawdę ważne - powiedział naczelnik na pożegnanie.

Wyszli z budynku, w którym znajdowały się biura. Przeszli przez żelazną bramę, którą otworzyło im dwóch strażników, każdy zaopatrzony w inny klucz. Przebyli dziedziniec długi na około sto metrów. Idąc tędy, komisarz czuł się obserwowany przez setki oczu więźniów, którzy na pewno przyglądali im się z zakratowanych okien swoich cel.

Doszli do budynku po prawej stronie, gdzie powtórzył się ceremoniał otwierania drzwi dwoma różnymi kluczami. Potem weszli na piętro, gdzie komisarz został w końcu wprowadzony do sali przeznaczonej na spotkania z więźniami. Było to małe pomieszczenie, trzy metry na trzy, z białymi, anonimowymi ścianami bez ozdób, z małym stołem, dwoma krzesłami i zakratowanym okienkiem wychodzącym na ogród wewnętrzny.

- Komisarzu Ferrara, czy mogę wprowadzić więźnia? - zapytał strażnik. - Zostanę na zewnątrz za drzwiami, jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, to proszę mnie zawołać.

- Dziękuję. Proszę go wprowadzić.

Antonio Salustri wydawał się postarzały o co najmniej dziesięć lat, był też, o ile to możliwe, jeszcze bledszy. Nie było w nim cienia dawnej buty. Wzbudził w Ferrarze coś w rodzaju litości, jaką zawsze wzbudzali w nim więźniowie, których ręce nie splamiły się zbrodniami takimi jak zabójstwa, gwałty czy porwania. Naturalna, czysto ludzka reakcja emocjonalna. Mniej poważne przestępstwa także jednak miały swoje konsekwencje w postaci szkód i cierpień zadanych innym ludziom, tak więc należało je karać.

Usiedli naprzeciw siebie po obu stronach stołu.

- Chciał się pan ze mną widzieć - zaczął Ferrara.

- Tak, panie komisarzu. - Ton jego głosu był pokorny, wręcz unizony, oczy miał podkrążone fioletowymi sińcami. - Dowiedziałem się, że polujecie na Lorenza Ricciardiego i zdecydowałem, że... w sumie mam coś na ten temat do powiedzenia.

- Jak się pan dowiedział?

- Niech pan da spokój, panie komisarzu. Doskonale pan wie, że „radio pierdelek” jest lepsze od całej włoskiej telewizji.

- Posłuchajmy, co ma mi pan do powiedzenia.

Ferrara był oficjalny i trochę wyniosły. Nie chciał stwarzać atmosfery współpracy, do której tamten wyraźnie dążył.

- Najpierw potrzebuję pańskiego zapewnienia, że zrobi pan coś dla mnie - powiedział przymilnym głosem Salustri.

- Myśli pan, że pańskie informacje są aż tak cenne?

- Tego nie wiem, musi sam pan to rozstrzygnąć. Wiem tylko, że to, co mogę powiedzieć, może być dla mnie niebezpieczne, dla mojego procesu zresztą też, ale także dla mojego życia, kiedy już stąd wyjdę.

- To znaczy, że był pan bardziej zaangażowany w działalność przestępczą niż pan to dotąd twierdził?

- Ale pan mi jeszcze nie obiecał...

- Niech pan posłucha, Salustri. Formalnie nie mogę obiecywać niczego, ale jeżeli to, co mi pan powie, będzie użyteczne w śledztwie, to zapewniam, że porozmawiam z sędzią. To nie jest reguła, ale zazwyczaj współpraca i dobra wola więźnia brane są potem pod uwagę jako okoliczność łagodząca.

Salustri zastanawiał się nad słowami komisarza.

- Dziękuję bardzo i za to, choć bardziej obawiam się tego, co może zdarzyć się później.

- Jeżeli myśli pan o programie ochrony świadków, jaki stosuje się wobec *pentiti**, to obawiam się, że musimy przerwać nasze spotkanie - powiedział wbrew sobie Ferrara, żałując, że będzie musiał zrezygnować z tej odrobiny nadziei, która nieśmiało zaczęła się tlić w jego duszy.

* PENTITI - CZŁONEK MAFII, KTÓRY ZGODZIŁ SIĘ NA WSPÓŁPRACĘ Z WŁADZAMI.

- To oczywiście rozumiem. Aż tyle nie pragnę, ale może by... myślałem... cóż, może dałoby się pomóc mi wyjechać za granicę. Mam rodzinę w Argentynie, mógłbym tam zacząć życie od nowa.

Ferrara zdawał sobie sprawę, że problemem była tylko kartoteka, ale nie był na tyle kompetentny, by wiedzieć, jak należało z tym postąpić.

- Nie mogę tego panu powiedzieć z całkowitą pewnością, ale wydaje mi się, że w tym mógłby pomóc przychylnie nastawiony sędzia. O ile sobie pan na to naprawdę zasłuży. Mogę obiecać jedynie tyle, że zrobię naprawdę wszystko, co możliwe. Może pan wierzyć mojemu słowu.

Więzień zastanowił się znów przez chwilę.

Ferrara liczył w myślach sekundy jak gracz w pokera, który dokładnie i powoli bada karty, aby zorientować się czy ta ostania da mu pokera królewskiego, czy zamieni wszystko w nic niewartą sekwencję.

- Ufam panu - westchnął w końcu Salustri.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć... To nieprawda, że obraz Velazqueza znalazłem przypadkiem. Doskonale wiedziałem, że jest w tym sklepie, dlatego ten sklep przejąłem. Znałem Gualtiera Ricciardiego od wielu lat, pracowałem trochę dla niego. Od bardzo dawna był mocno powiązany z ndranghetą, całe jego bogactwo stamtąd pochodziło. Należał do klanu Nitta Santiniego, właśnie tego, którego pan aresztował w siedemdziesiątym ósmym roku. Ojciec Gualtiera był dalekim kuzynem Pippa Calabresiego, tego zabitego w strzelaninie. Klan nie zniknął. Powolutku się odrodził. Dowiedziałem się o tym od Ricciardiego, mogę podać nawet nazwiska...

Na czoło wystąpił mu pot.

- Później - zdecydował Ferrara. - Jestem pewien, że prokuraturę to bardzo zainteresuje i zaczynam wierzyć, że coś da się dla pana zrobić. Niech pan opowiada dalej - zachęcił, nie naciskając na główny temat rozmowy. Nigdy nie przedkładał swoich hipotez nad to, co mogło wynikać ze spontanicznego zeznania.

- Po śmierci Ricciardiego udało mi się położyć łapę na sklepie. Jego syn Lorenzo był wtedy bardzo młody i niedoświadczony, a poza tym nie interesował się rynkiem dzieł sztuki. Rodzice już wtedy wysłali go do Stanów, rzadko wracał do Włoch, mimo że...

- Mimo że?

- No cóż, on tu był, kiedy wybuchł ten pożar. To dziwny typ, wie pan? Był odludkiem i milczkiem, miał paskudne, zimne spojrzenie i według mnie nienawidził ojca, bo to właściwie nie był jego ojciec. Zawsze wydawało mi się, że to on spowodował pożar, żeby go zabić... ale to tylko taki mój domysł, nie dałbym sobie za to ręki uciąć.

To mogło pasować do obrazu seryjnego zabójcy - akty piromanii przed przystąpieniem do właściwych zabójstw. Wyznanie Salustriego było coraz bardziej interesujące. Zaczynał wyłaniać się z niego możliwy, choć skomplikowany portret psychologiczny Ricciardiego, prawdziwego potencjalnego seryjnego zabójcy, który udaje, że, jest seryjnym zabójcą, by doprowadzić swój osobisty plan do końca, plan, którego głównym celem jest właśnie Ferrara. Dlatego, że umiał zdemaskować to, co kryło się pod maską seryjnego zabójcy? Nie, to nie był prawdziwy powód. Teraz już był tego prawie pewien.

- Tak czy siak - ciągnął Salustri - dzieciak wrócił do Ameryki zaraz po pogrzebie, ale udało mi się uzyskać od niego obietnicę, że w imię mojej dawnej przyjaźni z jego ojcem sprzeda mi sklep. Rzeczywiście niedługo potem otrzymałem list z jakiegoś biura finansowego ze Szwajcarii ze wszystkimi dokumentami koniecznymi do transakcji. Wierzyłem, że to interes mojego życia. Nie zamierzałem sprzedawać obrazu tak zaraz,

chciałem, żeby minęło trochę czasu i żeby wszystko się trochę uspokoiło. To miało być moje ubezpieczenie na przyszłość. Któregoś ranka pod koniec września zeszłego roku przychodzę do sklepu i widzę Lorenza Ricciardiego, który właśnie wrócił ze Stanów, gawędzącego sobie z Alfredem Lupim. Nie rozpoznałem go od razu, bo rozjaśnił sobie włosy, zresztą wyszedł, nawet nie mówiąc mi dzień dobry. Ale kiedy Alfredo powiedział mi, kto to był, przestraszyłem się. Pomyślałem, że odkrył, iż mam ten obraz i chce mi go odebrać. Chciałem się czegoś dowiedzieć od Alfreda, ale oczywiście nie dałem mu do zrozumienia, o co chodzi, bo on też nic nie wiedział o Velazquezie. To, co mówił, było dość niejasne i pełne uników. Wtedy pomyślałem, że Lorenzo poluje na mnie, dlatego zdecydowałem się sprzedać obraz, a konsekwencje już pan zna.

Salustri zamilkł, Ferrara też nic nie mówił. Zastanawiał się szybko, jak można połączyć ze sobą te elementy mozaiki, która zaczynała jakoś się wreszcie układać, ale była jeszcze pełna pustych miejsc i niedopowiedzeń. Ricciardi zabił Alfreda Lupiego, co do tego nie było żadnych wątpliwości, ale nie zabił Salustriego, który według tego zeznania powinien być być prawdziwą ofiarą. Dlaczego? I co z tym wspólnego miały inne ofiary?

- Dlaczego według pana Lorenzo Ricciardi zabił Alfreda Lupiego? Bo tego przecież jesteśmy całkowicie pewni. Powinien był zabić pana, prawda? - zapytał komisarz.

- Też się nad tym zastanawiałem. Tysiące razy. Może chciał, żeby tamten mu powiedział, gdzie ukryty jest obraz, ale biedak nie wiedział? To jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy. Nie potrafię sobie niczego innego wyobrazić, tym bardziej, że ci dwaj byli przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi?

- Alfredo został zatrudniony przez Gualtiera Ricciardiego, niedługo zanim tamten zmarł. Sam Lorenzo prosił o to ojca.

- Co jeszcze wie pan o Lorenzu? - zapytał w końcu Ferrara, podejmując temat, z którego powodu przyszedł.

- Dość dziwny typ, jak już mówiłem. Ricciardi i jego żona adoptowali go, bo nie mogli mieć dzieci. Jego prawdziwymi rodzicami byli Calabresi, Pippo i jego żona, która też została aresztowana, jak pan pamięta, a potem zmarła w więzieniu.

Ferrarze zaczęło się kręcić w głowie. Najbardziej skrywane lęki powróciły i potwierdziły się w stu procentach. Teraz już nie mógł przed sobą ukrywać prawdziwych powodów nienawiści Lorenza Ricciardiego i zrozumiał, dlaczego znaleziono u niego tę kasetę. Wyobraził sobie Lorenza, jak ją ogląda raz, dwa, tysiąc razy, obsesyjnie wpatrzony w obraz ojca, który pada pod strzałami policjanta, i matki w kajdankach, a przede wszystkim w obraz młodego komisarza, który strzela zza osłony samochodu. Odpowiedzialnego za to, że został sierotą.

- Czy sądzi pan, że Lorenzo wiedział, że został adoptowany? - zapytał z trudem, zastanawiając się po raz setny, czy tej strzelaniny można było uniknąć.

- Tak, że został adoptowany - tak, sam Gualtiero mi powiedział, ale prawdziwej tożsamości rodziców prawdopodobnie nie znał, bo Gualtiero, mówiąc mu o tym, musiałby się przyznać do układów z kalabryjskim światem przestępczym.

- Ale dzieciak mógł znaleźć coś na ten temat w papierach ojca po jego śmierci. Jakieś ślady adopcji musiały zostać.

- Tak sędzę.

Kolejny kawałek układanki wskoczył na miejsce, ale Ferrara nadal nie mógł pojąć, co mieli z tym wspólnego Stefano Micali, Alfredo Łupi, Francesco Bianchi i Giovanni Biagini oraz Cinzia Roberti i Valentina Preti.

Strażnik dyskretnie zastukał do drzwi. Minęło czterdzieści minut i chciał się zorientować, czy wszystko w porządku.

- Wszystko jest w jak najlepszym porządku - uspokoił go Ferrara, mimo paskudnego stanu ducha. Potem, patrząc na Salustriego, który załamany przecierał czoło chusteczką, dodał: - Mogę prosić o dwie kawy, butelkę wody

i paczkę papierosów?

- Dowiem się - obiecał strażnik, zamykając drzwi.

- Dziękuję - powiedział Salustri.

- Od jak dawna znał pan Lorenza?

- Chyba od osiemdziesiątego czwartego, miał niewiele ponad dziesięć lat, ale rzadko go widywałem. Rodzice wysłali go do szkoły z internatem, chcieli dać mu wykształcenie, które utrzymałoby go z dala od ich środowiska. Rzadko przyjeżdżał do Florencji.

- Rozumiem. Myśli pan, że dlatego ich nienawidził?

- Szczerze mówiąc, tak. Raz Gualtiero mi powiedział, że to, co dzieciak przeżywał w szkole, było dla niego bardzo trudne, ale on nie miał zamiaru zmieniać zdania.

Strażnik wrócił z dzbankiem kawy, papierosami i wodą. Ferrara uśmiechnął się, widząc, że wraca znów do świata papierowych kubeczków.

- Naczelnik pyta, czy jeszcze długo to potrwa.

- Nie, niedługo. Dziesięć minut, maksimum kwadrans. Proszę mu podziękować za cierpliwość. Panu też bardzo dziękuję.

Strażnik ponownie wyszedł.

Salustri wziął papierosa i głęboko się nim zaciągnął. Ferrara zapalił sobie toskańskie cygaro. Za chwilę powietrze w pokoju będzie tak zadymione, że trudno będzie oddychać, ale warto było.

- Czy wie pan, ile wynosił majątek Ricciardiego?

- Kilka miliardów, nie wiem dokładnie ile, ale kilka na pewno.

- I wszystkie pieniądze należą teraz do jego syna?

- Tego nie wiem, ale myślę, że to niemożliwe. Jak już mówiłem, stary Ricciardi był powiązany z ndranghetą i część pieniędzy była w obiegu. Nie sądzę, żeby klan zostawił je Lorenzowi. Możliwe, że on także należy do klanu, ale w to wątpię, bo wtedy nie siedziałby tyle czasu w Ameryce, poza tym bym coś na ten temat usłyszał. Może znaleźli jakiś sposób na podział spadku.

- Ma pan jakiś pomysł, gdzie mógł się ukryć?

- Nie. Sądzę, że za granicą. To najbardziej prawdopodobne. Albo może w Kalabrii lub Aspromonte, jeżeli zachował albo nawiązał kontakty z ndranghetą.

To było coś, o czym nie pomyślał i to coś bardzo interesującego. Przede wszystkim Lorenzo Ricciardi był w posiadaniu nielegalnej broni, co nasuwało przypuszczenie, że miał kontakty z włoskim światem przestępczym, gdyż trudno byłoby taką broń przywieźć ze Stanów.

- Powiedział pan, że był przyjacielem Alfreda Lupiego. Nie zna pan innych jego przyjaciół?

-

- Nie, jak mówiłem, to był skryty typ, nie wiem nic o jego znajomych nawet z czasów szkoły z internatem, bo w takim miejscu nawiązują się prawdziwe przyjaźnie. Sądzę, że tam także był samotnikiem, tym bardziej że nienawidził tego miejsca.

- Mówił pan, że to nie była szkoła we Florencji, prawda? Jakaś szkoła prywatna?

- Prowadzona przez księży. Ekskluzywna. Ojciec, albo raczej przybrany ojciec, chciał dla niego jak najlepiej, mówiłem już. Chciał go też trzymać z dala od swoich interesów, co naturalne. Zdaje się, że tę szkołę zamknięto w związku z jakimś skandalem, który udało się Kościołowi zatuszować.

W głowie komisarza myśli pędziły jak oszalałe.

- Jak się nazywała ta szkoła?

- Coś jak San Benedetto... tak, San Benedetto w Bosco, to była część jakiegoś opactwa....

Klik! W głowie Ferrary trzask kolejnych dwóch elementów układanki z precyzyjnie wskakujących na swoje miejsca wydał się prawie ogłuszający. Naraz, słowo po słowie, pojawiła mu się w pamięci ostatnia część rozmowy z monsignore Federicim.

- *Don Sergio to tylko biedny, przerażony człowiek.*

- *Czym przerażony?*

- *Swoimi grzechami, światem? Kto to wie...*

- *A może zabójstwem? Może to był właśnie on, podwójna osobowość, od której chce uciec, zamykając się w celi? A może wiedział, kto to zrobił, ale nie mógł tego powiedzieć?*

To był właśnie ten szczegół, który umknął mu tamtego ranka!

Posłużył się tą hipotezą tylko po to, aby wywrzeć nacisk i zbliżyć się do księdza, którego uważał za winnego, a okazało się, że hipoteza podsunęta przez instynkt śledczy okazała się najwłaściwsza.

Dwa odrębne tropy prowadziły do opactwa San Benedetto w Bosco.

Don Sergio naprawdę znał zabójcę i usiłował zdusić w swojej klauzurze niemożliwe do wyznania sekrety, które pomogłyby zrozumieć całą sprawę i odtworzyć portret psychologiczny Lorenza Ricciardiego.

Nie czekał, aż dojedzie do biura. Z samochodu zadzwonił do centrali i kazał sobie podać numer sekretarza kardynała, do którego zadzwonił z własnej komórki. Miał szczęście. Monsignore Federici był u siebie i ucieszył się z jego telefonu.

- Proszę wybaczyć kłopot, ale muszę o coś zapytać.

- Proszę bardzo.

- Powiedział mi ksiądz, że dobrze zna don Sergia. Mógłby mi ksiądz powiedzieć, do jakiej szkoły chodził?

Kapłan nie wydawał się zaskoczony tym pytaniem. To chyba było coś, czego właściwie się spodziewał i wydał się uspokojony, a nawet rozbawiony, kiedy wreszcie się to stało.

- Właśnie do San Benedetto w Bosco, tam, dokąd teraz wrócił. Kiedyś była tam szkoła. Niestety teraz jest zamknięta, ale to była doskonała szkoła. Jego powrót tam jest symboliczny jak przypowieść, nie sądzi pan?

- Ta dyspensa od biskupa... jest jeszcze ważna, prawda? Mogę porozmawiać z don Sergiem, nie będzie problemów?

- Naturalnie. Powiedzmy to w ten sposób. Gdyby do tej rozmowy nie doszło po tym, co Jego Eminencja zrobił, aby to umożliwić, byłoby to zmarnowanie czasu duszpasterskiego. Mam wielką nadzieję, że to się panu na coś przyda.

- Dziękuję. Sądzę, że tak będzie.

- Proszę zadzwonić jutro rano. Powiem, kiedy może dojść do spotkania.

Kiedy komisarz Ferrara zjechał z drogi regionalnej, zaczął bardzo żałować, że zdecydował się pojechać na spotkanie prywatnie, bez całej tej oficjalnej pompy, jaką gwarantował samochód policyjny.

Stary mercedes nie nadawał się na tę krętą, ubitą drogę. Wiodła ona przez las kasztanowców, zamieniający się czasami w prawdziwy gąszcz, w którym królowały wielkie buki, sosny i nieliczne jodły. Zawieszenie samochodu było poddawane ciężkiej próbie przez wyrwy i wystające kamienie, na dodatek komisarz spodziewał się, że karoseria cała będzie podrapana przez gęste krzaki zarastające drogę. Obawiał się też, że będzie zmuszony założyć łańcuchy na koła, bo duże połacie lasu były tu jeszcze pokryte śniegiem. Sarny, dziki, a nawet jelenie i łosie mogły w każdej chwili wyskoczyć na drogę, toteż zmuszony był prowadzić bardzo ostrożnie. Po przejechaniu około czterech kilometrów - na mapie wyliczył, że aby dojechać do opactwa, musi przejechać ich piętnaście - zorientował się, że jedzie z prędkością między dziesięć a piętnaście kilometrów na godzinę. Zaklął. Czekala go jeszcze co najmniej godzina tej mordęgi.

Droga była tak paskudna, że podrygiwał także odtwarzacz CD. Głos Callas śpiewającej *Caro nome* przypominał czkawkę, toteż komisarz wyłączył płytę, odpuszczając sobie także *Rigoletta*.

Miał ochotę zawrócić, ale to nie miało sensu, kiedy przejechał już tyle drogi. Zawsze się tak zachowywał. Gdy już coś zaczął, nie był w stanie się wycofać, nawet wtedy, kiedy rozsądek podpowiadał, że trud, jaki go jeszcze czeka, będzie nieskończenie większy niż to, co już zostawił za sobą. Silniejsza była myśl, że to, co dotąd zrobił, stałoby się bezużyteczne. Był strasznie uparty. Był Sycylijszym.

Dwadzieścia minut później udało mu się dojrzeć z daleka wyraźną

sylwetkę okazałego klasztoru. Stał po prawej stronie wzniesienia, na którym się znajdował i skąd, jak można było przypuszczać, prowadziła w dół długa stroma serpentyna drogi.

Na pierwszy rzut oka widać było równy, geometryczny układ murów i budynków.

Michele skontrolował licznik i zdał sobie sprawę, że jechał szybciej niż mu się wydawało, a to dzięki niektórym prostszym i czystszyom odcinkom drogi, na których mógł przyspieszać.

Wyglądało na to, że im bardziej droga zbliżała się do celu, tym lepiej była utrzymana i uporządkowana.

Przyspieszył z nadzieją, w myślach wychwalając skuteczność niemieckiej myśli technicznej, która pozwoliła staremu samochodowi bez uszczerbku pokonać wszystkie dotychczasowe przeszkody.

Satysfakcja jednak nie trwała długo. Ogromny pień powalonego drzewa zagroził mu drogę, zmuszając do nagłego hamowania. To nie było drzewo, ale ociosany pień bez gałęzi i, co ważne, zupełnie niedawno ścięty.

Mógł wybrać jedno z dwóch: albo naprawdę zawrócić, albo zostawić samochód i dalej pójdzie na piechotę. Będąc sobą, Ferrara bez wahania wybrał drugą możliwość. Była czternasta trzydzieści. Spotkanie miało odbyć się późnym popołudniem, więc monsignore Federici poradził mu, by przyjechał wcześniej i stawił się u przeora, ojca Anselma, około drugiej.

Ferrara wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Nie było tu żywego ducha. Było zimno. Jedyne dobiegającymi dźwiękami były szum liści poruszanych przez wiatr, głuchy łoskot osuwającego się z gałęzi jodeł śniegu, który spadał z hukiem na ziemię, skrzeczenie jakichś dalekich ptaków i sporadyczny trzask gałęzi łamanych przez przechodzące zwierzęta. Wiedząc, że mogą tu także być wilki, wyjątkowo ucieszył się, że ma w skrytce samochodu pistolet. Nie lubił jednak go nosić przy sobie, a poza tym nie wszedłby uzbrojony do klasztoru. Czułby się nieswojo.

Wziął komórkę, aby zadzwonić do opactwa i uprzedzić, że się spóźni, ale

nie było zasięgu. Znow zaklął.

Chciał już przejść przez zwałony pień, kiedy usłyszał kroki i zbliżające się głosy. Zaraz potem pojawiła się za zakrętem grupa mnichów i cztery woły.

Kiedy się zbliżyli, uderzył go nie tylko zdrowy, silny wygląd mnichów, ale przede wszystkim ich potężne sylwetki.

- Przepraszam, zdaje się, że przeszkodziliśmy w spacerze - zwrócił się do niego idący na przedzie wesołym i zupełnie nieumartwionym głosem. - Proszę się nie przejmować, to zajmie nam tylko minutkę.

Wyglądało to na żart, ale grupa działała tak skutecznie i precyzyjnie, że zbledliby z zazdrości wszyscy pracownicy zakładów Mercedesa. Pień został zabezpieczony grubymi linami i podwiązany do zaprzęgu wołów. Po chwili wspólne siły zwierząt i ludzi ruszyły go z miejsca. Ferrara dowiedział się potem, że jednym z głównych zajęć zakonników tutejszego klasztoru była troska i dbałość o las. Wielu z nich było doświadczonymi drwalami.

- Już zrobione - powiedział ten sam, który odezwał się pierwszy, ocierając sobie pot z czoła chusteczką. - Jedzie pan do opactwa?

Pytanie było retoryczne, bo nie było tu niczego innego.

- Tak, przeor na mnie czeka, a ja jestem spóźniony - pośpiesznie odpowiedział komisarz, siadając znow za kierownicą.

- Niech się pan nie przejmuje, u nas czas płynie inaczej, ojciec Anselmo z pewnością jakoś sobie wypełnił tę chwilę oczekiwania. Zresztą jest już pan prawie na miejscu, stąd droga, jak widać, jest lepsza - dodał z dumą. - Tym samochodem dojedzie pan tam nie dalej niż za pięć minut.

Dokładnie pięć minut później Ferrara zaparkował przed bramą wejściową pomiędzy furgonetką a starym czerwonym motorowerem ciao z rozbitym tylnym reflektorem.

Lorenzo Ricciardi znalazł w swojej dawnej szkole idealne schronienie w miejscu odizolowanym i gościnnym. Opactwo przyjmowało wolontariuszy niebędących zakonnikami, którzy z różnych powodów decydowali się czasowo albo na zawsze zrezygnować z dobrobytu i stresu, jakie niesie współczesność, w zamian za życie w modlitwie i pracy. W lesie pracowali więc dawni dyrektorzy banków, przemysłowcy, ludzie różnych zawodów. Poza tym Lorenzo znał wielu zakonników i ojca Anselma, jeżeli jeszcze tam był. Ten nigdy by mu nie odmówił chwili spokoju.

W San Benedetto w Bosco mógł więc pozostać przez tyle czasu, ile potrzebował, by uspokoiło się to wszystko i by mógł uderzyć po raz kolejny, bo taka właśnie była jego misja, mimo modyfikacji w planie narzuconej mu przez pojawienie się tych dwóch dziewczyn. Zamierzał doprowadzić plan do końca. Wszyscy ci, którzy byli odpowiedzialni za to, kim się stał i czego tak nienawidził, jeden po drugim zostaną zabici. Na końcu zaś zostanie zabity ten pierwszy i najbardziej znienawidzony, ten, którego zostawił sobie na koniec - komisarz Michele Ferrara, człowiek, który uczynił go sierotą, skazując na haniebny los.

Ten człowiek powinien bezsilnie patrzeć na śmierć innych, posmakować goryczy porażki, nie jednej, a wielu porażek. Powinien wiedzieć, że morderca depta mu po piętach i cierpieć męki oczekiwania. Potem Lorenzo ze spokojem poddałby go torturom, jednej z najbardziej wyrafinowanych form poniżenia, jak się dowiedział w San Gimignano. To było interesujące odkrycie, do którego doprowadził go swoim artykułem ten nieznany mu Mike Ross, którego personalia sobie pożyczył.

Jeżeli go nie znaleźli i szukają nadal Amerykanina o blond włosach, jak wciąż sądził, mógłby wrócić do swojej willi, gdzie dla komisarza

przygotował kołyskę Judasza. Przewidywał już przyjemność, jaką odczuje, widząc go zawieszzonego nad stożkiem, słysząc, jak prosi o litość, której jemu, dziecku, nikt nie okazał. Zanim umrze, musi cierpieć tak samo, jak cierpiał on. Musi odkryć, co czuje człowiek zmuszony poddać swoje bezbronne ciało obsceniczej furii wyuzdanych okrutników.

W klasztorze był już od czterech dni i, jak przewidział, ojciec Anselmo był szczęśliwy, że może go przyjąć. Lorenzo przebył długą drogę z Florencji na motorowerze, zatrzymując się często, śpiąc, gdzie się dało, po drodze codziennie kupując gazety, aby zorientować się, co o nim wiedzieli. Zanim zjawił się w opactwie, stwierdził, że wiadomość tamtego dziennikarza była wymysłem, kaczką dziennikarską bez żadnych podstaw. Została sfabrykowana przez policję. Ta pewność była mu konieczna, bo nie mógł ryzykować, że bracia rozpoznają go jako osobę poszukiwaną przez siły porządkowe.

Tamta kobieta z Bolonii już pewnie złożyła zeznania, tego nie mógł nie wziąć pod uwagę, ale prawdopodobnie poszukiwania skoncentrowano właśnie w tamtym okręgu i nikt nie znał jego prawdziwej tożsamości. Z pewnością nie szukano go we Florencji. Te cztery dni spędzone na pracy w polu, modlitwie i oglądaniu dzienników telewizyjnych wraz z innymi dały mu absolutną pewność. Był gotów wyjechać z klasztoru.

Wtedy go zobaczył.

Brat furtian poprowadził Ferrarę bezpośrednio do przeora, który w tym momencie znajdował się w skryptorium, nadzorując delikatne prace skrybów usiłujących odrestaurować stworzonymi przez siebie farbami miniatury z ksiąg biblioteki klasztornej.

Ojciec Anselmo, szczupły starzec o surowych rysach, przyjął go z pospieszną grzecznością. Podziękował mu za to, że dzięki niemu spotkała go niecodzienna wizyta arcybiskupa i przekazał go bratu, który poprowadził go do Sergia Rotondiego.

Ferrara szedł za swoim przewodnikiem pod krużgankami, potem przez wąski korytarz prowadzący ku schodom. Wszystkie części budowli, tak jak mury zewnętrzne, były wzniesione z małych, nieregularnych kawałków piaskowca, materiału budowlanego typowego dla ziemi florenckiej. Komisarz nie mógł się oprzeć urokowi tej prostej, wręcz surowej architektury, całkowicie pozbawionej elementów dekoracyjnych.

Na pierwszym piętrze przeszli przez inne, równie długie korytarze, które prowadziły do wielkich sal i maleńkich cel prywatnych, utrzymanych we wzorowym porządku i wyposażonych tylko w to, co nieodzowne. W końcu doszli do niewielkich drewnianych drzwiczek z małym zakratowanym okienkiem, przy których brat wyciągnął z kieszeni ogromny pęk kluczy. Ferrara miał wrażenie, że znów widzi spektakl otwierania drzwi w więzieniu, w którym siedzi Antonio Salustri, ale w bardziej ludzkim wymiarze. Za drzwiami znajdował się jeszcze węższy korytarz, na który wychodziły kolejne drzwi podobne do siebie, wszystkie z zakratowanymi okienkami. Kiedy skręcili, szef wydziału śledczego poczuł się nieprzyjemnie. Zobaczył coś w rodzaju ślepego, pustego korytarzyka, przestrzeń wielkości kilku metrów kwadratowych, kompletnie ciemną, oświetloną jedynie słabym

światłem wpadającym zza kraty. Przed nim niedaleko ściany ustawione było krzesło z nieheblowanego drewna. Przewodnik, zanim odszedł, poprosił go, by usiadł i Ferrara miał ledwie czas, by rzucić okiem za kratę. Zrozumiał prawdziwy sens słów monsignore Federiciego.

Teraz żyje w takich warunkach, jakich nie dostarczają nawet najbardziej restrykcyjne zakłady penitencjarne - otchłań tego, co arcybiskup dał mu wątpliwy przywilej zobaczyć.

Cela była maleńka. Obszerna tylko na tyle, by wstawiono tam drewnianą skrzynię, na której przymocowany był krzyż. Żyjący w zamknięciu mnich używał jej jako łóżka, a potem stawała się jego trumną, tak jak mówił mu monsignore Federici. Był tam też stary wiklinowy fotel, instrumenty pokutne i Biblia. Zamurowany żywcem. Sergio Rotondi wybrał ostateczną formę dobrowolnego odosobnienia.

Komisarz nigdy nie był jeszcze w takiej sytuacji. Nie bardzo wiedział, jak zareagować. Czuł w gardle węzeł, który przeszkadzał mu mówić.

Nie widząc nikogo wewnątrz, wyobraził sobie, że brat siedzi przy ścianie pod kratą, aby go nie zobaczono.

- Jest tam ksiądz? - zapytał w końcu Ferrara.
- Tak - odpowiedział chrapliwy, jękliwy, ale wyraźny głos.
- To brat jest księdzem Sergiem Rotondim?
- Jestem Sergio Rotondi.
- Wie ksiądz, kim jestem?
- Tak.
- Wie ksiądz, dlaczego tu jestem?
- Tak.
- Czy chce ksiądz współpracować?
- Poproszono mnie o to, więc to zrobię.
- Czy znał ksiądz Lorenza Ricciardiego?
- Byliśmy tutaj uczniami, kiedy była tu jeszcze szkoła, jeszcze przed tym skandalem...

- Ale ksiądz był od niego starszy. Znaliście się?

- Tak.

- Wie ksiądz, dlaczego go szukamy?

Brak odpowiedzi.

- Więc tak czy nie?

- Spodziewam się, że wiem.

- Lorenzo Ricciardi jest mordercą.

- Brak odpowiedzi.

- Zabił co najmniej sześć osób. Jest okrutnym zabójcą.

- Och, nie, nie - wydało się Ferrarze, że słyszy, ale nie było to zaprzeczenie, a lament.

- Czy ojcu się wydaje, że byłby w stanie... ojcu, bratu... nie wiem, jak mam się do księdza zwracać.

- Proszę mówić do mnie Sergio, tak mam na imię.

- Więc sądzi ksiądz, że byłby w stanie to zrobić?

-Tak.

- Dlaczego?

Człowiek w zamknięciu nie odpowiedział od razu. Słysząc było, jak z trudem oddycha.

- Poproszono mnie, abym mówił... - powtórzył, jakby się zastanawiając - powinienem był zrobić to wcześniej, o wiele wcześniej, ale to było takie trudne, zbyt trudne dla mnie, nie wiem dlaczego, dlaczego, mój Boże, pozwoliłem, żeby to wszystko się stało?!

- Co dokładnie?

- Wszystko! - westchnął. - Wierzyłem, że wystarczy, jak całą winę wezmę na siebie, ale to nie wystarczyło, nie mogło wystarczyć. Musieliśmy wszyscy za to zapłacić.

Ferrara usłyszał wyraźnie szloch zza ściany i poczekał, aż Rotondi się uspokoi.

- To zdarzyło się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku -

zaczął opowiadać Sergio Rotondi. - Przeklęty rok, w którym diabeł wstąpił w mury naszego klasztoru. Niedawno dołączył do nas mnich trapista, niesamowicie piękny, miał prawie czterdzieści lat i był oddelegowany do nauczania łaciny. Brat Attanasio był pederastą i szybko przekazał nam tę swoją haniebną skłonność. Wielu z nas padło ofiarami tego, co wówczas wydawało nam się nieodparcie fascynujące. To, jak do nas mówił, rozumiał nas, pomagał, prowadził. Krótko mówiąc, byliśmy pod jego urokiem, w jego władzy, a on to wykorzystał.

Było nas pięciu, ale to jemu chyba nie wystarczało. Był nienasycony. Pod koniec roku zwrócił swoje oczy na Lorenza. To było jeszcze dziecko, miał dziewięć lat, może około dziesięciu. To była potworność, ale wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Lorenzo był nieśmiałym dzieckiem, zamkniętym w sobie, pogardzał nami, chyba nawet nas nienawidził. Nienawidził tu wszystkiego. Wydawało nam się, że należy go ukarać... upodobnić go do nas... dlaczego? Dlaczego? Co nas napadło?! Wciąż się nad tym zastanawiam, czuję, że wpadam w otchłań hańby, w którą wciągnął nas podziw dla naszego nauczyciela, zapal i młodzieńcza nieświadomość.

- Co dokładnie się wydarzyło?

- Pewnej nocy zgwałciliśmy go. W pięciu, po kolei...

Mury z piaskowca wydały się naraz o wiele mniej skąpane w spokoju niż uznał Ferrara, kiedy stał przed klasztorem.

Ta historia nie była niczym naprawdę nowym, ale to, że usłyszał ją z ust zakonnika i zrozumiał, że rozegrała się w tych murach, spowodowało u niego odruch obrzydzenia.

- A potem?

- Kiedy brat Attanasio się o tym dowiedział, wściekł się na nas, ale nie minęło wiele czasu, a zrobił z niego swojego ulubieńca. Przez wiele lat uprawiał z nim seks, chyba aż do dnia, kiedy Lorenzo opuścił szkołę. Niedługo potem brat Anselmo, nie wiadomo, jakim cudem, odkrył to, co się działo w tych murach i zamknął szkołę. Wielu z nas myślało o tym, że

Lorenzo złożył donos, może nawet anonimowy. Nas już tu od jakiegoś czasu nie było.

- Stefano Micali był jednym z was, prawda?

- Tak, a inni to Alfredo Łupi, Francesco Bianchi i Giovanni Biagini.

Oczywiście, pomyślał Ferrara i z goryczą uświadomił sobie, że o wiele łatwiej byłoby dotrzeć do powiązania między ofiarami, gdyby zaczęli przyglądać się ich dzieciństwu, ale tego prawie nigdy się nie robi, chyba że są jakieś przesłanki ku temu, by tak postąpić. Człowieka zwykle uważa się za takiego, jakim jest w chwili, w której doszło do zabójstwa, zaplątanego w dorosłe układy, pracę, zobowiązania, związki i przyjaźnie. To na tym bazuje śledztwo mające za zadanie odtworzyć życie danego człowieka.

- Podejrzał go ksiądz, kiedy został zabity Stefano Micali?

- Nie. Dopiero potem. Kiedy zabito Alfreda, zacząłem się bać. Wtedy dostałem anonimowy list, który dał mi prawie całkowitą pewność, że może chodzić o zemstę Lorenza... Nie byłem jednak pewny i nie mogłem wyznać... skandalu, chodziło o reperkusje wobec Kościoła...

- I tak pozwolił ksiądz, żeby inni zostali osądzeni.

To było stwierdzenie, a nie oskarżenie. Stwierdzenie, które dla Sergia Rotondiego było bardziej niż oczywiste. To wycofanie się ze świata, ten gest pozornej odwagi był w rzeczywistości aktem haniebnego tchórzostwa, które skazało jego przyjaciół na śmierć.

Ferrara zostawił go samemu sobie, losowi, który wydawał się niewyobrażalnie straszny, zważywszy na to, co Rotondi miał na sumieniu.

Zdziwił się, że nie zastał towarzyszącego mu dotąd brata, ale szybko zrozumiał dlaczego.

Zakonnik wraz z innymi tłoczył się w korytarzu do pojedynczych cel przed otwartymi drzwiami jednej z nich. Z drugiej strony prawie biegiem nadchodził ojciec Anselmo w towarzystwie kolejnych zakonników. Prawie w tym samym czasie dotarli do grupy, która rozstała się przed nimi z szacunkiem, w milczeniu. Z wyrazu ich twarzy, bladych i przerażonych,

komisarz zrozumiał, że musiało stać się coś strasznego i bez słowa wszedł za przeorem do celi.

Na łóżku leżał starszy brat zakonny z potwornie oszpeconą ranami twarzą.

Litera R wydarta na skórze pooranej ostrzem noża natychmiast rzuciła się komisarzowi w oczy, bo już nauczył się odczytywać te znaki.

- Kto to jest? - zapytał, choć znał odpowiedź.

- Nazywał się Attanasio - powiedział złamanym głosem przeor.

- Kto go znalazł?

- Ja. - Przed innymi wystąpił młody onieśmielony zakonnik. - Mieliśmy spotkać się na dziedzińcu. Widząc, że go nie ma, poszedłem zapukać do jego drzwi. Nie odpowiadał, ale wiedziałem, że jest w środku, powiedział mi, że tam będzie. Pukałem i pukałem, w końcu otworzyłem i...

- Pozostańcie tu wszyscy - zarządził Ferrara. - Ojczy Anselmie, gdzie jest telefon?

- Proszę iść ze mną - rzekł zakonnik, który nagle stał się nadspodziewanie energiczny.

Sytuacja była naprawdę niebezpieczna. Lorenzo Ricciardi był uzbrojony i w tej chwili wszyscy byli potencjalnymi celami, ale Ferrara nie miał wyboru. Musiał natychmiast wezwać swoich ludzi. Przeklinał swoje niezdiscyplinowanie. Ten pieprzony pistolet został w schowku w samochodzie, a teraz naprawdę by się przydał! Bez kłopotów dotarli do biura przeora i komisarz wybrał numer Rizza.

- Lorenzo Ricciardi jest w San Benedetto w Bosco - rzucił, podając natychmiast współrzędne geograficzne. - Potrzebuję tu jak najwięcej ludzi, uprzedź też straż leśną i każ helikopterom nadzorować wszystko z góry, niech oświetlą cały teren, zablokujcie drogę przy granicy prowincji. Natychmiast!

Jeżeli morderca rzucił się już do ucieczki, to niełatwo będzie go ująć. Lasy w okolicach Casentino są ogromne, nie da się ich otoczyć, ale też nie będzie mu łatwo się stąd wydostać. Mieli nad nim przewagę, bo posiadali środki

transportu, no i była jeszcze straż leśna, która znała dokładnie teren.

Była też jednak i inna możliwość. Morderca mógł nadal tu być, mógł go zobaczyć, rozpoznać i czekać gdzieś przyczajony. To na tej ewentualności Ferrara musiał się teraz skupić. Jeden uzbrojony człowiek mógł trzymać w szachu cały klasztor bezbronnych zakonników.

Po pierwsze musiał postarać się odzyskać swój pistolet. Zostawił ojca Anselma i ostrożnie skierował się ku furcie. Poruszał się skokami w miejscach najbardziej narażonych na ewentualne strzały Ricciardiego.

Kiedy w końcu tam dotarł, wydało mu się, że minęła cała wieczność. Właśnie zachodziło słońce.

- Widział brat Lorenza Ricciardiego? - zapytał furtiana.

- Wyszedł niedługo po tym, jak pan tu przyjechał, jakieś dziesięć, piętnaście minut potem. Już nie wrócił - odpowiedział.

Ferrara poczuł się trochę lepiej. Bracia w klasztorze byli bezpieczni. Morderca był na zewnątrz, tak więc gdy tylko wystawi nogę za bramę, może zostać zabity. Gdyby jednak nie wyszedł, dałby mu przewagę później, ułatwiłby mu ucieczkę.

Podbiegł zygzakiem aż do samochodu i kucnął obok drzwiczek.

Nic.

Powoli włożył kluczyki w drzwiczki i otworzył je.

Sięgnął ręką do schowka przy desce rozdzielczej i wyjął stamtąd broń.

❁ 6 ❁

Zabiwszy brata Attanasia, Lorenzo Ricciardi zmył z siebie krew, a potem udał się do celi, by zabrać swoje rzeczy i ubrania, które podczas pobytu w klasztorze zamienił na habit. Po chwili spokojnie wyszedł nie niepokojony przez nikogo.

Nadal nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Kiedy go zobaczył, natychmiast rozpoznał, choć starzec nie poznał Lorenza, bo miał ogoloną głowę i był już dorosły.

Wydawało się to prawie niemożliwe. Sądził, że Attanasia oddalono z zakonu po jego anonimowym donosie i że będzie musiał nieźle się namęczyć, aby go znaleźć. Był przedostatnim z listy i niespodziewanie nie kosztował go zbyt wiele wysiłku.

Kiedy zabijał Cinzię, nazaczył ją literą A, myśląc, że może ewentualnie zrezygnuje z brata Attanasia. Litera R miała dostać się don Sergiowi. Odkrycie, że Attanasio jest jeszcze w zakonie, wymogło przynajmniej częściowe przeorganizowanie pierwotnego planu.

Lorenzo Ricciardi nie wahał się uznać, że ten nieoczekiwany przypadek to boska interwencja. Dzięki niej wrócił na właściwie tory, dostrzegłszy jasno i dokładnie następne ogniwo łańcucha w misji, którą miał wykonać. Nie miał więc żadnych wątpliwości i nie zawahał się natychmiast wykonać woli bożej.

Fakt, teraz już nie będzie mógł wrócić do willi. Ucieczka równa była przyznaniu się do winy, ale nie mógł też zostać tutaj i czekać, aż w klasztorze zaroi się od policji. Kości zostały rzucone. Rozegra tę partię do końca, a jego przeciwnikiem będzie czas.

Najpierw musi dostać się do Greve in Chianti, aby ukarać don Sergia, a potem pozostanie mu już tylko Ferrara. Musiał zdecydować, kto dostanie ostatnią literę. Z szyderczym uśmiechem pomyślał, że najwidoczniej będzie

miał trochę za dużo trupów.

Potem mogą go aresztować, mogą go zabić, nie zależało mu. Kiedy zadanie zostanie wykonane, życie nie będzie miało już żadnego sensu. Nie miało sensu, od kiedy stracił Valentine.

Pedałował, aby uruchomić motorower, ale silnik nie chciał zapalić. Próbował kilka razy, ale w końcu zostawił pojazd na ziemi i ruszył piechotą. Znał ten las od dzieciństwa i znał skróty, nietrudno mu będzie dotrzeć do drogi, zanim policja zawiadomiona przez klasztor dojedzie na miejsce.

Z pistoletem w dłoni Ferrara poczuł się wreszcie w stanie ochronić zakonników. Po raz pierwszy docenił broń. Poruszał się ostrożnie, mimo że fakt, iż Ricciardi jeszcze do niego nie strzelił, utwierdzał go w przekonaniu, że nie znajduje się on w najbliższej okolicy, ale zniknął gdzieś w lesie, gdzie o wiele trudniej będzie go złapać.

Miał zawrócić, kiedy otworzyła się brama i na zewnątrz wyszedł przeor z dużą grupą braci, wśród których rozpoznał kilku drwali uzbrojonych w proste kije i jakieś maczety.

- Wracajcie natychmiast!- krzyknął podenerwowany Ferrara.

Nie posłuchali go.

- Ucieka piechotą - stwierdził ojciec Anselmo, widząc motorower porzucony na ziemi. - Daleko nie odejdzie, bracia go znajdą.

- Nie! - zaprotestował Ferrara. - Ten człowiek jest niebezpieczny i uzbrojony. Moi ludzie będą tu za chwilę.

Ale zakonnicy drwale już ruszyli w las.

- Nie może pan ich zatrzymać - tłumaczył przeor. - Muszą go znaleźć, las nocą może być niebezpieczny, ten chłopak nie wie, czym ryzykuje. Było mnóstwo śniegu i wilki są strasznie wygłodniałe, atakują watahami. Już od lat tak się nie zdarzało.

Komisarz pobiegł i dołączył do nich. Byłoby wielką arogancją chcieć stanąć na ich czele, mimo że był jedyną osobą posiadającą broń palną.

Ci ludzie znali teren. Szli spokojnie wzdłuż ubitej drogi w słabym świetle

zachodzącego słońca, wypatrując śladów, jakich on nie byłby w stanie dostrzec.

- Wkrótce zapadnie noc - orzekł jeden z braci. - Noc to królestwo dzików, ale też i wilków - wytłumaczył, powtarzając słowa przeora. - Jest około dwudziestu watah, a w tej chwili nie są to przyjazne zwierzęta.

Szli nadal ostrożnie, ale pewnie.

- Tutaj - powiedział nagle któryś z braci.

Zauważył kilka świeżo połamanych gałązek na brzegu drogi, które wyznaczały niewielką wyrwę w krzakach.

Tutaj weszli w las.

Szli przez gęstwinę roślin przez ponad pół godziny, wracając czasami na drogę, aby potem znów z niej zejść. Na połaciach śniegu wyraźnie widać było ślady i był to znak, że podążali właściwą drogą. Trudniej było tam, gdzie śnieg już się stopił. Szli po podłożu usłanym śliskimi igłami.

Ferrara patrzył ukradkiem na zegarek, czekając, aż usłyszy hałas nadlatujących helikopterów i warkot silników samochodów policyjnych, ale słyszał tylko szum lasu i najpierw słabe, potem coraz wyraźniejsze wycie wilków.

W końcu usłyszeli strzał.

Ferrara dostrzegł błysk i natychmiast odpowiedział ogniem, mając nadzieję, że nie zabije uciekiniera.

- Tędy! - krzyknął jeden z braci.

Nikt nie został ranny.

Nagle zapadł zmrok.

Bracia potarli zapałki i zbliżyli je do kijów, które natychmiast się zapaliły.

Pochodnie rozświetliły gęsty mrok lasu.

- Patrzcie, krew - powiedział jeden z mnichów, kiedy dotarli do punktu, z którego padł strzał.

- Musiał go pan zranić - stwierdził jeden z braci, zwracając się do komisarza. - Wilki poczuły zapach krwi, musimy się pospieszyć.

- Jest uzbrojony, będzie się bronił. Nie możecie wystawiać się na niebezpieczeństwo. Już raz do nas strzelał, a teraz, kiedy są pochodnie, jesteście doskonałym celem - ostrzegł Ferrara, starając się zmusić ich chociaż do minimum ostrożności. Ale zakonnicy nie wydawali się przejmować własnym losem.

- Tu - wskazał ktoś, odnajdując kolejną plamę krwi na ziemi. Szli szybko, a Ferrara usiłował chronić ich, rozglądając się dookoła na tyle, na ile było to możliwe. Nie padł następny strzał, który by im ułatwił poszukiwania, ale usłyszeli warczenie rozwścieczonych wilków. Wówczas jednak nastąpił strzał, po bardzo krótkiej chwili kolejny. Wtedy usłyszeli przeraźliwy skowyt. Pobiegli. Znaleźli ciało wilka zalane krwią, warczenie stało się jeszcze głośniejsze. Poszli w tam tym kierunku.

Wataha była liczna. Rzuciła się na człowieka leżącego na ziemi.

- Uważajcie - przestrzegł mnich prowadzący grupę. Ferrara wystrzelił. Trafił pomiędzy świecące w ciemności oczy bestii. Wilki zostawiły ofiarę. Komisarz strzelił jeszcze raz i drugi wilk padł na ziemię.

- Bądźcie gotowi! - krzyknął, kiedy wystrzelił po raz trzeci.

Pozostałe wilki rzuciły się na nich. Mnisi łatwo odparli atak maczetami i wkrótce niedobitki watahy rzuciły się do ucieczki.

Ferrara i mnisi zbliżyli się do rannego Lorenza Ricciardiego i pochylili nad nim. Jeszcze oddychał. W ręku trzymał berettę, z kieszeni wystawał mu notatnik w czarnej oprawie ozdobionej złotym krzyżem.

Dopiero wtedy usłyszeli odgłosy helikopterów, a po chwili strumień światła omiół okolicę.

Trzeba było jeszcze dobrej godziny, by na miejsce dojechała karetka i zabrała Lorenza Ricciardiego, któremu pierwszej pomocy udzielili bracia zakonni.

Przez tę godzinę, podczas gdy Rizzo kierował działaniami grupy, Ferrara zastanawiał się nad tym, co zaszło. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, nie podając do publicznej wiadomości tożsamości i zdjęcia poszukiwanego. Jak

zawsze w takich przypadkach, na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Gdyby to zrobił, najprawdopodobniej Ricciardi nie pojawiłby się u ojca Anselma, a wtedy być może nie zabiłby brata Attanasia. Pozostawało to jednak w sferze przypuszczeń, bo zabójca był na tyle przebiegły, że i tak udałoby mu się dostać do opactwa, gdyby tylko mu na tym zależało. Z drugiej strony tylko nie czując zagrożenia, miał możliwość nadal realizować plan zemsty, a to w końcu pozwoliło na jego pojmanie.

Smutna satysfakcja. Teraz wszystko doszło do końca. Lorenzo Ricciardi zabił prawie wszystkich swoich oprawców poza don Sergiem, który skazał się na dobrowolne więzienie, i poza komisarzem, który był ostatnim ogniwnem tragedii rozpoczętej w Reggio i rozegranej za murami tego klasztoru.

Ferrara jednak nie myślał już o sobie. Myślał o dwóch biednych dziewczynach, które nie miały z tą historią nic wspólnego.

O roli, jaką odegrały, dowiedział się tej nocy, czytając w domu dziennik, który zaczynał się od niepokojącego wyznania:

W imię twoje zabiłem, Ojczy.

EPILOG

Na święta Wielkiej Nocy Michele Ferrara i jego żona wyjechali w długą podróż. Najpierw, jak co roku, udali się do Niemiec do rodziców Petry. Potem, zamiast jak zwykle jechać do San Gottardo, udali się do Brennero.

Komisarzowi przysłała ochota na kilka dni w górach, zarezerwował więc pobyt w hotelu Passo Selva w San Vigilio di Marebbe.

Na ich przywitanie nie pojawił się, jak zwykł był to robić wobec nowych klientów, Giorgio Preti, który powierzył prowadzenie hotelu siostrzeńcowi, a teraz mieszkał z żoną w mieszkaniu na ostatnim piętrze budynku.

Oboje małżonkowie po tragedii rodzinnej bardzo się postarzel. Mało się pokazywali.

Ferrara widział ich tylko kilka razy.

Wysiadali z windy w milczeniu w ciemnych ubraniach i znikali w holu po cichutku, jakby przepaszając, że zakłócają życie hotelu. Byli smutni, mieli zgaszone oczy.

Wizyta w San Vigilio nie była przypadkowa, co natychmiast dotarło do Petry. Ferrara chciał poprosić rodziców dziewczyny, by opowiedzieli coś więcej o sprawach, o których dowiedział się z dziennika Lorenza Ricciardiego, coś więcej o ich córce. Jej postać, nie wiadomo czemu, bardzo zapadła mu w pamięć. Cinzia Roberti też była biedną, niewinną ofiarą, ale to los Valentyny, która miała pecha rozkochać w sobie mordercę, bardziej go poruszył.

Widząc jednak straszny ból wyraźnie widoczny na twarzach obojga małżonków, powoli zmieniał zdanie. Nie miał odwagi wtrącać się w to prywatne cierpienie, które z miłością kultywowali jako jedyne, co pozostało im po córce.

Ograniczył się tylko do tego, że ostatniego dnia odwiedził cmentarz. Udał

się nań pod pretekstem, że maleńkie wiejskie cmentarze, które mają długą historię, to coś, co warto zobaczyć.

Petra poszła z nim, towarzysząc mu jak zawsze we wszelkich jego niewinnych dziwactwach. Tym razem była trochę zaniepokojona, tak jakby to jego pragnienie wyprzedzało oznaki starości, której jeszcze u niego nie zauważała. Przy wejściu Ferrara kupił wiązanek fiołków, chodzili trochę to tu, to tam pomiędzy grobami, zatrzymując się przy najciekawszych.

Aż znalazł.

Prosty nagrobek z napisem.

VALENTINA PRETI

1978-2000

W marmurze wygrawerowano owalny portret dziewczyny.

- Ależ ona była piękna - zdziwiła się Petra, kiedy Michele kładł fiołki na jedynym wolnym miejscu, które z trudem znalazł pomiędzy wielkimi wazonami pełnymi świeżo ściętych kwiatów. - Wygląda jak Madonna Filippa Lippiego, ta, która jest w San Lorenzo, wiesz?

Kiedy odwracali się, by odejść, zaskoczeni zauważyli rodziców dziewczyny stojących niedaleko, którzy niepewnie im się przyglądali, jakby usiłowali sobie przypomnieć, co to za ludzie, ci dwoje, którzy przyszli złożyć hołd ich córce.

Przechodząc, wymienili krótkie pozdrowienie. Nikt o nic nie pytał, nikt nie chciał niczego tłumaczyć. I rodzice Valentyny, i małżeństwo Ferrara przyśpieszyli kroku, jak dzieci przyłapano na jakimś wybryku. Komisarz zauważył jednak w oczach Giorgia Pretiego małą iskierkę sympatii, takiej, która łączy istoty ludzkie wobec tragedii.

Kiedy wychodzili z cmentarza, Petra zdała sobie sprawę, że mąż ma prawie radosny wyraz twarzy, jakiego od dawna u niego nie widziała.

- Co ci jest, Michele?

- Nie wiem, chyba przypomniałem sobie, że umrę... *Memento mori*, pamiętasz? - Uśmiechnął się zagadkowo.

Żona popatrzyła na niego zaskoczona. Ferrara zatrzymał się i wyjął z kieszeni cygaro, które zapalił z wyraźną przyjemnością.

- Zaskoczona? A cóż właściwie jest piękniejszego? Śmierć to też znak. Przypomina nam o tym, kim jesteśmy. Ludźmi, małymi, przemijającymi ludźmi...

PODZIĘKOWANIA

Zawsze podobał mi się zwyczaj pisarzy, przede wszystkim anglosaskich, by dziękować za wkład bezpośredni i pośredni tym, którzy przyczynili się do powstania dzieła. Tak jak u wielu z nich, tak i u mnie lista byłaby niestety zbyt długa. To przede wszystkim moi byli i obecni koledzy: policjanci, inspektorzy, których nie mogę wymienić po kolei, ale mam nadzieję, że wiedzą, wszyscy razem i każdy z osobna, że jestem im bardzo wdzięczny.

Moja żona Christa, która miała cierpliwość znosić mnie i długie godziny samotności, jakie niesie ze sobą praca pisarza.

Wreszcie agenci literaccy, których okazję poznania dała mi ta książka. Wiele zawdzięczam profesjonalizmowi i pasji, z jaką Daniela i Luigi Bernabowie zachęcali mnie w trakcie pisania tekstu i wspomagali radami oraz sugestiami, za które nigdy nie będę umiał im dostatecznie podziękować.